



Została uratowana przez
amerykańskich żołnierzy, ale
być może jest zbyt zdruzgotana,
żeby naprawdę się wyzwolić.

złamana

Broken Trilogy #1



J. L. DRAKE

J.L. DRAKE

ZŁAMANA

BROKEN TRILOGY #1

**TŁUMACZENIE
EMILIA NIEDZIESKA**

OŚWIĘCIM 2022



Prolog

Podstęp

Oszustwo

Bezprawie

Przeinaczenia

Urojenia

Wymysły

Dywagacje

Blaga

...jakkolwiek by to nazwać, oznacza jedno i to samo... kłamstwa.

Rozdział pierwszy

Savannah

Nie wiem, od jak dawna tu jestem – od czterech miesięcy, może pięciu. Czas płynie inaczej, gdy nie można go zmierzyć. Początkowo odliczałam dni według otrzymywanych posiłków, ale po pewnym czasie taka metoda przestała się sprawdzać. Wiem, że na pewno jestem tutaj przez jeden pełen sezon, jedną porę roku. Mężczyźni zmienili koszulki z długim rękawem na T-shirty.

Moja cela to mały pokój z zardzewiałym łóżkiem, które skrzypi przy każdej zmianie pozycji. W jednym rogu stoi niewielki drewniany stolik z taborecikiem, a w drugim, schowane za postrzępioną zasłoną, znajdują się sedes i umywalka. Nie ma okien, telewizora, nic do czytania poza wyświechtanym egzemplarzem *Chłopców z ferajny* Nicolasa Pileggiego. W przeszłości nie byłam fanką kryminałów, a teraz znam na pamięć całą tę książkę.

Rozpoznaję znajomy dźwięk klucza wsuwanego w zamek i czuję, jak żołądek zaczyna mi się kurczyć. Naciągam znoszony sweter i owijam go mocniej w pasie – jakby to mogło mnie przed czymś uchronić.

Po twardym drewnie szurają buty. Na karku czuję kropelki potu. *Cholera, to on*. Skóra mi cierpnie, kiedy widzę jego przypominające kielbaski palce trzymające tacę z jedzeniem. Włochaty brzuch wystaje mu spod koszulki i wylewa się z džinsów. Gdy tylko mnie zauważa, posyła mi swój koślawy uśmieszek.

– *Hola, chica*. Jak się dzisiaj miewamy? – Facet ma chrapliwy głos i twardy akcent, ale rozumiem każde słowo. Jego mowa ciała mówi sama za siebie. – Zadałem ci pytanie – warczy na mnie.

– Dobrze – odpowiadam z zalęgającą w gardle flegmą.

Stoi, trzymając tacę nad moją głową. W końcu podnoszę wzrok, by spojrzeć mu w oczy, a on uśmiecha się, pokazując mi, jak bardzo cieszy go władza nade mną. Wystarczająco dobrze znam tego faceta, by wiedzieć, że nie odejdzie, dopóki nie dostanie czegoś w zamian. Na szczęście jak do tej pory obyło się bez zagrywek na tle seksualnym – to raczej tylko niegroźne gierki. Co nie znaczy, że nigdy nie próbował. Dygoczę na całym ciele, drżącymi palcami ciągnę za brzeg bawełnianej koszuli nocnej sięgającej do połowy uda. Nie muszę podsuwać mu żadnych pomysłów. Jego wzrok pada na moje nogi, po czym obleśnie oblizuje usta.

– Błagaj – rozkazuje, przeciągle wymawiając sylaby.

Zasycha mi w ustach. Grubas uwielbia tę część. Jestem dla niego zwierzęciem. Nazywa mnie swoją *perra*, co po hiszpańsku oznacza suka. Mój gniew narasta, choć próbuję go zdusić, ale nic na to nie poradzę. W sumie jest mi to już obojętne.

Posyłam mu najśłodszy uśmiech, na jaki mnie stać.

– Wal się.

Odkąd tu przyjechałam, nie mówiłam więcej, niż to było absolutnie konieczne. Trzeba przyznać, że gość jest zachwycony moim nowym doborem słów. Normalnie robię, co mi każą, skrycie fantazjując, na ile sposobów mogłabym ich zabić. Staram się zachowywać tak, jak sobie tego życzą, żeby już nigdy nie spotkało mnie to, czego doświadczyłam w pierwszych dniach po przyjeździe. Niewyobrażalny ból po tym, jak stłukli mnie na krwawą miazgę, bo nie wykonałam tego, co mi kazano, sprawił, że szybko zmadrzałam.

Wysoki poziom adrenaliny w mojej krwi szybko opada, gdy patrzę, jak jego oczy zwięzają się, a szczęka zaciska. Nagle rzuca tacę przez pokój i rozbija naczynia o ścianę.

– To nie będzie żadnego żarcia, *pedazo de mierda!* – syczy i robi krok w moją stronę.

Zakrywam uszy i podciągam kolana do piersi. Ten mężczyzna jest wystarczająco duży, by podnieść mnie jedną ręką i rzucić przez pokój, jak zrobił to przed chwilą z tacą. Chwyta mnie za włosy

i ciągnie po podłodze, moje kolana podskakują jak u szmacianej lalki. Nie czuję bólu, mam świadomość tylko tego, że nachyla się nade mną mężczyzna mierzący prawie dwa metry i ważący jakieś dwieście kilo, a do tego jest wściekły. Dlaczego nie potrafię zmądrzeć? Jedynym plusem całej tej sytuacji jest to, że mnie jeszcze nie zabili. Może jestem przetrzymywana dla okupu. To żadna tajemnica, że mój ojciec ma dużo pieniędzy. Wszyscy wiedzą, kim jest – ubiega się o drugą kadencję burmistrza Nowego Jorku.

Próbuję podtrzymać się na rękach, ale jego but bezlitośnie miażdży mi plecy, zmuszając mnie do leżenia. Uderzam czołem o podłogę, w uszach mi dzwoni. Piszczę, wzrok skupiam na czymś, co jest poza moim zasięgiem. Kiedy słyszę, że zdejmuje pasek, serce zaczyna mi bić szybciej. Nie, nie, nie! To się nie dzieje. Gdybym tylko mogła przesunąć się odrobinę w prawo... Zbieram w sobie resztki sił i, pełznąc po podłodze, rzucając się do przodu.

– A gdzie to się wybierasz?

Jego głos jest spokojny. O, jak bardzo spokojny.

Chwytam kawałek rozbitego talerza, po czym cofam rękę pod klatkę piersiową, żeby ukryć zdobycz.

– Chodź. – Pochyla się nade mną, chwyta mnie za stopy i obraca, po czym ciągnie z powrotem do łóżka. Krzyczę w proteście. Kopię i kręcę się, ale jego uścisk jest zbyt mocny. – Zdziorna z ciebie osobka, co?

Nachyla się nade mną, a ja korzystam z okazji. Wystrzelam w górę i wbijam ostry kawałek rozbitego talerza w jego szyję. Oczy rozszerzają mu się ze zdziwienia, upada na bok z głośnym łoskotem, przeklinając i kopiąc w jakiś przedmiot. Zrywam się na równe nogi i ruszam do otwartych drzwi.

Nie mam pojęcia, w jakim kierunku mam iść, ale to nieważne. Po raz pierwszy, od nie pamiętam kiedy, udało mi się wyjść z tego pokoju. Poruszam się tak szybko, jak tylko pozwalają mi nogi. Mam niedobór cukru we krwi, a moja głowa jest dziwnie lekka, ale idę dalej – to jest moja szansa. Aktywność fizyczna nie była częścią mojego życia od tak dawna, że nogi desperacko próbują nadążyć za rozpędzonym umysłem.

Korytarz jest długi, z mnóstwem drzwi i słabym oświetleniem, ściany pokrywa miejscami podarta tapeta. Wygląda to jak opuszczony hotel. Ale czemu nie ma tu okien? Kręcę się bez końca po meandrach korytarzy, trzymając się blisko ścian, ponieważ coraz bardziej miękną mi kolana. Nie wiem, w którym kierunku iść, każdy korytarz wygląda tak samo. Słyszę zbliżające się głosy, serce podchodzi mi do gardła. Naciskam pierwszą napotkaną klamkę, a potem próbuję pchnąć drzwi, ale ani drgną. Po policzkach spływają mi piekące łzy. Ogarnia mnie panika i zaczynam szlochać. Walczę z tym, ale czuję, że nie daję rady. Mam szansę uciec, a nie mogę otworzyć pieprzonych drzwi! Zamieram na dźwięk ciężkiego kliknięcia, po którym następuje buczenie. Żarówki zaczynają migotać, a po chwili gasną.

Zakrywam usta, by powstrzymać krzyk, trzęsą mi się ręce i szcękam zębami. Opieram się plecami o drzwi, żeby nie upaść. Mój wzrok przyciąga jasne migotanie z lewej strony, które szybko jednak znika i zostaje zastąpione przez matową, pomarańczową poświatę. Jakies pół metra ode mnie ktoś stoi i pali grube cygaro. Zamykam oczy, odmawiając w myślach modlitwę. Kiedy je otwieram, natrafiam na złośliwą parę oczu kilka centymetrów od mojej twarzy. Nie mogę się ruszyć. Znam tego człowieka, widziałam go wcześniej kilka razy. Myślę, że to on jest tutaj szefem. Wydmuchuje dym, wypełniając mój nos przyprawiającym o mdłości zapachem. Poznałabym go wszędzie. Mój ojciec często urządzał przyjęcia i właśnie te cygara były najpopularniejsze wśród jego gości. Montecristo.

Czuję, jak miękną mi nogi, gdy facet z cygarem wpatruje się we mnie w milczeniu. Słyszę dźwięk szeleszczącej kurtki, kiedy unosi ramię. Chwyta dłońmi mój podbródek i mocno go ściska. Od niechcenia zapala zapalniczkę, a następnie zbliża ją do mojej twarzy, by przyjrzeć się rosnącej opuchliznie nad okiem. Płomień gaśnie. Dłonie przypominające imadło przesuwają się na tył mojej szyi, po czym popychają mnie do przodu. Najwyraźniej dobrze zna ten budynek, ponieważ pomimo panujących egipskich ciemności facet bez najmniejszego wahania dokądś mnie prowadzi. Słyszę tylko bicie własnego serca i mój krótki, nierówny oddech.

W końcu zatrzymujemy się przy jakichś drzwiach, mężczyzna otwiera je i rzuca mnie do środka pomieszczenia. Potykam się i upadam na kolana. Nagle zapalają się światła i stają twarzą w twarz z grubym mężczyzną, którego szyja jest owinięta białym bandażem. W dłoni trzyma pasek od spodni,

uderzając nim dla większego efektu. Ostatnie, co pamiętam, to pchnięcie na kanapę i trzask paska wzdłuż dolnej części pleców. Tego rodzaju bólu nigdy nie zapomnę, na trwale wrył mi się w pamięć. Na szczęście szybko wymykam się w pewne błogie miejsce, które witam z otwartymi ramionami.

Budzi mnie obezwładniający ból. Wyję przy najmniejszym ruchu, co z kolei zwielokrotnia cierpienie. Mój umysł jest mętny. Ledwo mogę sformułować myśli, nawet oddychanie sprawia mi trudność. Po chwili zdaję sobie sprawę, że jestem z powrotem w mojej celi i leżę twarzą do dołu na skrzypiącym łóżku. Poddaję się, pozwalając płynąć łzom. Muszę o czymś pomyśleć, na czymś się skupić. Pamiętam pierwszy dzień, kiedy tu przyjechałam. Chryste, jakby to było wieki temu.

*

– Witaj kochanie – mruczę do ekspresu do kawy, stawiając pod dozownikiem ukochany kubek z napisem „Nie odzywaj się do mnie, dopóki ten kubek nie będzie pusty”, po czym wciskam przycisk startu. Moja przyjaciółka Lynn nabija się ze mnie, że nie potrafię funkcjonować, dopóki nie wypiję przynajmniej jednego porządnego kubka kawy. Kupiła mi go na dwudzieste szóste urodziny. Był w koszyczku, sama go w niego zapakowała, razem z biletem lotniczym na Fidżi dla nas dwóch. Chciała, abym choć na chwilę uciekła od mojego pokręconego życia. Cóż to była za podróż.

Słyszę, że otwierają się frontowe drzwi.

– No i się doigrałaś, Savi! – Lynn wykrzykuje, wchodząc do kuchni. Trzyma gazetę i pokazuje mi okładkę.

Czytam podpis pod zdjęciem i już wiem, że ugrzęzłam w głębokim gównie.

– O nie! – Wyrrywam jej gazetę.

– O tak – wzdycha, po czym mija mnie i otwiera szafkę. – Rozumiem, że jeszcze do ciebie nie dzwonił.

Kręcę głową, przyglądając się z przerażeniem fotografii. „Us Weekly” zamieściło moje zdjęcie z zeszłego wieczoru w barze, jak pochylam się nad stołem i wystawiam do obiektywu tyłek. Pod zdjęciem widnieje napis: „Córka burmistrza ujawnia wszystko”.

– Sięgałam tylko po torebkę! – mówię, wściekając się. – To nawet nie jest mój tyłek. Przerobili to w Photoshopie.

– Ja to wiem, ale czy twój najdroższy tatuś ci uwierzy? – Lynn popija kawę, przyglądając mi się z troską. – Może powinnaś do niego zadzwonić. Jeśli zadzwonisz pierwsza, od razu lepiej to wszystko będzie wyglądać.

Lynn i ja przyjaźnimy się od zawsze. Poznałyśmy się jeszcze w podstawówce. Pewnego dnia musiałyśmy odsiedzieć swoje w klasie za gadanie i od tamtej pory jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Była przy mnie, kiedy zalala nas fala sławy po tym, jak ojciec zyskał rozgłos. Jesteśmy dla siebie wsparciem, jak siostry, których nigdy nie miałyśmy. Może ma rację. Odkładam gazetę, sięgam po torebkę i wyjmuję z niej komórkę. Po trzech sygnałach słyszę jego głos.

– Cześć tato. Jak się masz? – Na drugim końcu linii narasta cisza. – Jesteś tam?

– Powiesz mi, dlaczego patrzę na własną córkę na okładce kolejnego kolorowego pisemka?

Jasna cholera! Niech to szlag! W dupę jeża!

– Tato, przecież wiesz, że rzadko gdzieś wychodzę. Naprawę uważałam po ostatnim razie z zeszłego roku. To nie jest tak, jak myślisz...

– Savannah, daruj sobie. Masz pojęcie, jakich problemów mi przysparzasz? Pracują nad tym trzy osoby, które marnują cenny czas na to gówno!

– Tato, proszę daj mi wyjaśnić...

– Nie, Savi, porozmawiamy o tym jutro wieczorem przy kolacji.

Połączenie zostaje zerwane.

Rzucam telefon na blat i obiema dłońmi pocieram twarz. Lynn delikatnie dotyka moich pleców, dając mi kilka chwil na przetworzenie wszystkiego. Wzdycham, a następnie przeczesuję palcami włosy. Lynn staje przede mną, zmuszając mnie, żebym na nią spojrzała.

– Chodź, Savi, wynośmy się stąd.

Po gorącym prysznicu zaczynam dochodzić do siebie. Wkładam ulubioną granatową sukienkę,

czarne buty i czarny dwurzędowy płaszcz.

– Dobra, dobra, przestań już marudzić – stwierdza Lynn, stojąc w drzwiach. – Wyglądasz dobrze.

– Jeśli będę wyglądać, jakbym była na kacu, i dziennikarze mnie dopadną, to wiesz, że będą mieli ubaw po pachy.

Łapie mnie za ramiona, odwraca do lustra i patrzy na moje odbicie.

– Savi, kogo interesuje, co myślą inni? Każdy, kto cię choć trochę lepiej zna, wie, że masz złote serce... i cięty język, by rozstawiać ludzi po kątach. – Uśmiecha się. – Jak można cię nie kochać?

– Jestem rzeczywiście wspaniała – żartuję.

Lynn bierze mnie pod rękę, po czym wychodzimy z mieszkania. Na korytarzu mijamy dwóch mężczyzn, którzy malują ściany. Naciskając przycisk windy, zerkam na jednego z nich. Jego pasek od spodni ma masywną klamrę z napisem „Teksas” z wystającą ze środka głową teksańskiej krowy długorogiej.

– Jest daleko od domu – mamrocze.

Lynn kręci głową.

– Nie no, weź. – Śmieje się, orientując się, na co patrzę. – W każdym sklepie jest ich cała masa.

Wpycha nas do windy. Wzdycham i ociąggam się z wyjściem na zewnątrz.

– Gotowa? – pyta, wkładając okulary przeciwsłoneczne.

– Chyba tak.

Siadamy w kawiarni i zamawiamy jedzenie.

– Przestań się martwić, Savannah – mówi Lynn, przegryzając bajgla. – Twój tata sobie z tym poradzi. Wiesz, jaki jest.

– Wiem. Po prostu nie znoszę, jak go rozczarowuję, zwłaszcza z powodu czegoś takiego, no i przecież byłam taka ostrożna.

Przypomina mi się, jak poprzednio wylądowałam na okładce kolorowego magazynu. Zrobili mi zdjęcie po tym, jak potknęłam się o jakiegoś pijaka i upadłam prosto na twarz. To był świetny materiał dla tabloidów, a między mną a ojcem spowodował jeszcze większe tarcia. Wszystko kręci się wokół publicznego wizerunku i po prostu mam tego wszystkiego dość. Na samą myśl o kolejnych czterech latach mam ochotę uciec z krzykiem i to gdzieś bardzo daleko.

– Masz jakieś plany na wieczór? – pyta Lynn, rzucając serwetkę na talerzyk.

– Tak, mam służbową kolację, na której muszę być. Staramy się pozyskać nowego klienta.

Robi kwaśną minę.

– Brzmi... świetnie.

Lynn ma szczęście, bo jest artystką i ma własne studio. Ja pracuję dla dużej korporacji marketingowej. Mimo że przez lata harowałam w pocie czoła na świetne wyniki w szkole, to niezmiennie czuję, że firmę obchodzi tylko to, że jestem córką burmistrza, więc mogą wykorzystywać ten fakt do zdobywania nowych klientów.

Kiedy trzynaście lat temu zmarła moja mama po długiej walce z rakiem, byłam wyczerpana psychicznie i fizycznie. Przyjęłam panięskie nazwisko matki po tym, jak mój ojciec coraz bardziej zaczął angażować się w politykę. Nie chciałam, żeby ludzie od razu wiedzieli, kim jestem. Początkowo nie potrafił tego zrozumieć, ale teraz jestem pewna, że jest mu to nawet na rękę. Potrzebowałam po prostu czasu i prywatności, żeby przetrwać smutek i żyć dalej.

Wieczorem na spotkaniu zatapiam się w myślach, zamiast przysłuchiwać się rozmowie, która toczy się przy stoliku. Oto jestem na kolejnej wymyślnej kolacji z niezmiernie nudnymi kierownikami, którzy rozmawiają o niezmiernie nudnych rzeczach. Nieszczerólnie zależy im, abym angażowała się w rozmowę, nigdy też nie pytają mnie o zdanie. Siedzę i staram się nie dać po sobie poznać, o czym tak naprawdę myślę. Na przykład o tym, że krawat pana Rotha ciągle zanurza się w zupie, a jego żona udaje, że tego nie widzi. Ciągłe próbuje ukryć swój ironiczny uśmieszek – podejrzewam, że między nimi nie dzieje się zbyt dobrze. Przynajmniej mam trochę rozrywki. Spoglądam przez okno na Central Park. Wiele bym dała, żeby móc przejść się teraz po zaśnieżonych alejkach.

– Gdziekolwiek jesteś, znajdzie się tam miejsce dla mnie? – pyta Joe Might, nachylając się tak, że tylko ja go słyszę.

– Słucham?

Uśmiecha się.

– Myślam, jesteś chyba gdzieś daleko stąd.

Ale wstyd. Zostałam przyłapana na bujaniu w obłokach przez naszego potencjalnie przyszłego klienta. Niezbyt dobrze to o mnie świadczy.

– Przepraszam. – Marszczę nos, bezdennie upokorzona.

No nieźle, Savi!

– Nie ma za co. – Wyciąga ręce spod stołu i pokazuje mi telefon, którego używa do gry w pokera online. Ja staram się ukryć śmiech, on uśmiecha się bez żenady i wzrusza ramionami. – Wszyscy wiemy, że sprawa jest już załatwiona, prawda?

– Co? No tak, chyba tak – mówię, wzdychając. – Po prostu mam ochotę napić się czegoś mocniejszego. – Wskazuję na mój kieliszek z pinot grigio. Z reguły nie piję, ale do tej mało przyjemnej kolacji przydałoby się coś dającego większego kopa niż wino.

Joe mruga do mnie, po czym odchrząkuje i oznajmia:

– Przepraszam panowie, ale muszę zamienić słówko z panną Miller.

Zanim zdążę się zorientować, co się dzieje, odsuwa moje krzesło, pomaga mi wstać i prowadzi przez salę do drzwi wejściowych. Wręcza parkingowemu kwitek, a chwilę później siedzę na brązowym, pluszowym siedzeniu czerwonej korwety.

– A teraz – uśmiecha się – zastanówmy się, gdzie mogłabyś dostać coś mocniejszego, to znaczy do picia.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko kiwnąć głową jak jakaś kretyńka.

Po kilku drinkach w szkockim pubie postanawiam, że powinnam wrócić do domu, zanim przysporzę sobie jeszcze więcej kłopotów z prasą. W sali jest tylko barman i samotny mężczyzna w kącie, ale kto wie, jeśli dziennikarze znaleźliby mnie w kolejnym pubie po tym, co wydarzyło się zeszłego wieczoru, mieliby używanie.

– To chociaż cię odwiozę – proponuje Joe, wstając, by założyć kurtkę.

Jest przystojnym mężczyzną. Brązowe, nażelowane włosy i jasne oczy to ładna kombinacja. Jak na moje oko ma trzydzieści kilka lat.

– Nie musisz. Mogę wziąć taksówkę.

– Nonsens. Podstępem zaciągnąłem cię tutaj, ale przydałoby się odstawić cię z powrotem na miejsce. – Wskazuje na drzwi. – Twój samochód został w pracy?

Kręcę głowę, zarzucając torebkę na ramię.

– Przyjaciółka podrzuciła mnie rano do pracy.

– A więc do domu?

Kiwam głową i wychodzimy na zewnątrz. Jazda jest przyjemna. Joe opowiada o swojej firmie i zadaje kilka pytań dotyczących mojego stanowiska.

– Więc przefaksujesz mi te przykłady, jak tylko będziesz mogła? – pyta, kiedy schylam się do otwartego okna, żeby się pożegnać.

– Tak. Dobranoc, Joe. Dzięki za przyjemny wieczór i przejażdżkę.

Kieruję się w stronę mojego bloku, ale w końcu postanawiam wziąć potrzebne dokumenty z samochodu już teraz, zamiast czekać do jutra.

Opieram się o ścianę w windzie, zmęczona i zaniepokojona tym, jak zaczął się dzień. Myśl o ponownym rozczarowaniu ojca bardzo mi ciąży. Mam wrażenie, że to zawodzenie go stało się cyklicznym, cotygodniowym wydarzeniem. Jak nie media, to znowu coś, co mówię lub robię. Boże, naprawdę tęsknię za mamą! Była taka kochana i wyrozumiała. Nie przejmowałaby się tym, że ubrałam się niestosownie na lunch lub powiedziałam coś nie tak podczas kolacji biznesowej. Chryste, jestem tylko człowiekiem. Zacznijmy od tego, że nigdy nie chciałam wzbudzać zainteresowania opinii publicznej – nigdy!

Wchodzę na opustoszały parking. Na szczęście mój samochód jest blisko zaparkowany, bo bolą mnie stopy od butów na wysokich obcasach. Otwieram bagażnik, sięgam po torbę z laptopem. Nagle wyczuwam za sobą czyjąś obecność. Zaczynam się odwracać, ale w tym momencie na mojej głowie ląduje

ciemny szmacyany worek. Czyjaś ręka zakrywa mi usta, więc nie mogę krzyczeć. Moje stopy odrywają się od ziemi, gdy czyjeś ramię odciąga mnie do tyłu. Coś zimnego i twardego uderza mnie w gołeń. Moje ciało ogarnia strach, powietrze uchodzi ze mnie, gdy napastnik brutalnie wrzuca mnie na tył samochodu. Czuję, że ruszamy. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje! Jestem przerażona i bliska utraty zmysłów.

Ktoś szybko wiąże mi nadgarstki i kostki. Widzę tylko otaczające mnie cienie, słyszę męskie głosy i ciężki oddech. Strach przejął nade mną władzę i najwyraźniej nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Jeden z napastników chwyta mnie za ramiona i przyszpila do siedzenia, drugi nachyla się nade mną. Wiergam nogami jak oszalała i trafiam go w krocze. Wrzeszczy przeraźliwie, odsuwając się do tyłu. Potem czuję ukłucie igły i wszystko się rozmywa.

Tyle pamiętam z dnia, kiedy ostatni raz rozmawiałam z ojcem, moją najlepszą przyjaciółką, ludźmi z pracy i kiedy ostatni raz widziałam światło dzienne.

Rozdział drugi

Savannah

Próbuję zwlec się z łóżka, bo czuję straszną suchość w ustach i rozpaczliwie potrzebuję napić się wody. Kolana uginają się pode mną, gdy zmierzam do umywalki. Zwykle moja cела wydaje się maleńka, ale teraz zdaje mi się, jakbym była sto metrów od ściany. Musieli mnie nieźle stłuc, bo boli mnie dosłownie wszystko.

W końcu docieram do umywalki i sięgam po zardzewiały blaszany kubek. Woda nigdy nie smakowała tak dobrze. Zwilżam usta, orzeźwiający płyn powoli spływa do gardła, aż w końcu wpada do żołądka w postaci bolesnej kuli. Zaczynam płakać, bo wiem, że nigdy się stąd nie wydostanę. Mogę się tylko domyślać, jak źle wyglądają moje plecy. Są mokre i strasznie szczypią, poza tym czuję rwanie w głowie i mam obolałe nadgarstki. Musiał mnie związać kiedy... czuję, jak wywraca mi się żołądek. Powoli przesuwam rękę w dół koszuli nocnej i podciągam jej brzeg. Wzdycham z ulgą, widząc, że mam na sobie te same majtki co wczoraj. Z wierzchu jestem trochę poturbowana, ale reszta mnie pozostała, przynajmniej na razie, nieskalana. Za to emocjonalnie jestem wykończona. Zakrywam dłońmi twarz w nagłym poczuciu porażki, leżąc na podłodze i próbując zebrać myśli. Zbyt długo byłam traktowana gorzej niż podwórkowe zwierzę. Moi oprawcy chyba nigdy nie zmęczą się demonstrowaniem swojej władzy nade mną. Jestem pewna, że daje im to niekończącą się rozrywkę. Raz na jakiś czas biorę kąpiel, podczas której robią mi mnóstwo zdjęć i kręcą filmy. Mam szczoteczkę do zębów, która zrobiła się obrzydliwa, i kostkę mydła, która zmniejszyła się do rozmiarów kamyczka. Na moje wyżywienie, kiedy decydują się mnie nakarmić, składa się jakaś zupa i obrzydliwy zeschnięty chleb. Woda jest zawsze ciepła, z pływającymi w niej drobkami brudu.

Od czasu do czasu przyprowadzają lekarza, żeby mnie zbadał. Dwa razy musieli podać mi kroplówkę. Bardziej martwiłam się, czy igła jest czysta, niż tym, co we mnie wpompowywali. Raz poprosiłam lekarza o pomoc, ale zachowywał się tak, jakby mnie nie rozumiał. Ale wiem, że tak nie było, bo kiedy wspomniałam o domu, wzdrygnął się i unikał kontaktu wzrokowego. Tak więc zamiast pomocy otrzymałam dźgnięcie w żebra od jakiegoś gościa, który darł się po hiszpańsku, besztając mnie w ten sposób za podjętą próbę rozmowy.

Pozostaje mi tylko głódówka. Doszłam do wniosku, że mam już tego wszystkiego dość. Przynajmniej to ja zadecyduję o tym, czy mam umrzeć.

Słyszę kroki za drzwiami. Na dźwięk przekręcanego klucza w zamku moje ciało automatycznie zaczyna drżeć. Jak można się było spodziewać, gruby gość wrócił z tacą z jedzeniem. Stawia ją głośno na stole, po czym rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Obolała? – pyta ze śmiechem.

Mam ochotę rzucić się na niego i wbić mu w szyję kolejny odłamek talerza. Następnym razem muszę pamiętać, żeby nie wyciągać mu go z rany, tylko wbijać, dopóki ten tłusty sukinsyn nie zdechnie.

– Nie, a ty? – syczę w odpowiedzi.

Serio, nie mam nic do stracenia. Z jego twarzy znika uśmiešek, drżącą ręką sięga do szyi, ale się powstrzymuje. Bierze szklankę z wodą, po czym wylewa ją na podłogę. To samo robi z zupą i chlebem, obserwując mnie z beczelnym uśmiechem. Kilka dni temu byłabym załamana, ale teraz jest mi to nawet na rękę i tylko przyspiesza moją decyzję, więc odwzajemniam uśmiech.

Pierdol się.

Kilka godzin później słyszę znajomy dźwięk klucza w zamku. Światło jest przyćmione, więc nie widzę zbyt dobrze. Ktoś przynosi nową tacę. Słyszę, że stawia ją na podłodze. Podchodzi do mojego łóżka. Czuję znajomy zapach Montecristo i wiem już, kto do mnie przyszedł. To ten mężczyzna z cygarem.

– Musisz jeść – oświadcza. Nie ruszam się. Po prostu leżę, czując się całkowicie pokonana. Sięga do tacy i rzuca we mnie kawałkiem chleba, który odbija się od mojego ramienia. – Jedz, *perra* – mówi, a następnie wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Po jakimś czasie w końcu podchodzę do tacy i prawie wymiotuję, gdy widzę ten sam posiłek, którym karmiłam mnie rano i wieczorem od Bóg wie jak dawna – wodnisty gulasz wołowy. Znając tych facetów, to prawdopodobnie szczur lub opos. Świadomość tego tylko potwierdza słuszność mojej decyzji o podjęciu głodówki. Wypijam łyk wody i czuję, jak drobiny piasku spływają mi do gardła. Kaszlę, dławiąc się narastającą żółcią, a potem zwalam się z powrotem na łóżko.

Przyniesiono mi jeszcze pięć posiłków i wszystkie pozostają nietknięte. Chociaż moje ciało błaga o jedzenie, to siła woli nie słabnie. Nie muszę dodawać, że czuję się gównianie.

Często odwiedza mnie moja mama i szepcze słowa otuchy. Wiem, że to tylko mój umysł próbuje w ten sposób poradzić sobie z głodem, ale i tak sprawia mi radość, że znów ją widzę. Jest taka, jaką ją zapamiętałam – ma długie, ciemne włosy, idealne zęby i ciemne oczy. Jej dotyk wydaje się tak prawdziwy, że wręcz czuję na twarzy ciepło jej dłoni.

– *Kocham cię, Savi. Wiesz o tym, prawda?* – mówi. – *Jestem przy tobie. – Dotyka mojej klatki piersiowej tuż nad sercem. – Mój aniołek.*

Podciągam kolana do klatki piersiowej i płaczę, gdy wspomnienie mojej matki znika.

Chciałabym móc teraz tak kochać. Obiecałam sobie, że nigdy nie zrezygnuję z miłości i zaufania. Ufałam i kochałam wiele razy, ale ostatecznie zawsze byłam zdradzana. To zawsze jest tylko pułapka. Cóż, mogą mieć moje ciało, ale prędzej zdechnę, niż dostaną moją duszę.

Leżę w łóżku, wpatrując się w sufit i obserwując, jak pojawia się, a następnie znika z zamazującego się pola widzenia. Nagle wydaje mi się, że słyszę jakiś trzask, a po chwili czyjeś krzyki. Gdybym mogła odzyskać jasność umysłu, mogłabym zrozumieć, co się dzieje, ale w obecnym stanie tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

Wszystko wydarza się jednocześnie. Rozlega się donośny huk, drzwi otwierają się gwałtownie i cały pokój rozświetla jasne światło. Zbliża się do mnie mężczyzna ubrany cały na czarno, w kasku i goglach. Wymaga to ode mnie sporego wysiłku, ale odwracam głowę i spoglądam na niego. Świeci mi latarką prosto w twarz, zmuszając do zmrużenia oczu. Na chwilę nieruchomieje, po czym krzyczy coś do radia zaczepionego przy szyi. Nachyla się, po czym podnosi mnie z łóżka. Jęczę, gdy jego dłoń wsuwa się pod moje plecy. Nie wiem, czy śnię, czy nie, w każdym razie nie jestem w stanie tego wszystkiego ogarnąć. Mój mózg nie funkcjonuje prawidłowo.

Facet trzyma mnie mocno, idąc długim korytarzem. Przed nami stoi kilku innych mężczyzn, ubranych w tym samym stylu, z uniesioną i gotową do strzału bronią. Jestem potwornie zmęczona, ale już całkowicie rozbudzona, a do tego przerażona, że jeśli zamknę oczy, znowu znajdę się w swojej celi, sama. Schodzimy w dół długim korytarzem w kierunku podwójnych drewnianych drzwi, które wyglądają, jakby je ktoś wysadził. Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa, nadal się boję, że śnię.

Na zewnątrz powietrze jest zimne, dookoła panuje ciemność i widać, że zbiera się na deszcz. To chyba dzieje się naprawdę. Na twarzy czuję wilgoć, świeże, chłodne powietrze jest cudowne. Chce mi się płakać ze szczęścia. Przed wejściem czekają na nas trzy czarne SUV-y. Wsadzają mnie do środka auta, tuż za mężczyzną, który mnie niósł, i trzema innymi: jeden siedzi na miejscu kierowcy, drugi na przednim siedzeniu pasażera, a trzeci z tyłu, odwrócony do nas tyłem.

Zapinają mi szybko pasy i zostają owinięta kocem. Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to jak ten koc pięknie pachnie czystością. Oddaliśmy się od budynku. Nie mam siły, moja głowa żyje własnym życiem, podskakując na boki, dopóki nie znajdzie wygodnego wzniesienia na kocu. Patrzę, jak ręce kierowcy przesuwają się po kierownicy ze spokojem. Gdy odjechalibyśmy już spory kawałek, mężczyzna, który mnie niósł, zdejmuje gogle i hełm. Przeczesuje palcami czarne włosy, a potem patrzy na mnie uważnie. Jestem zaskoczona, bo wygląda na zaledwie kilka lat starszego ode mnie, jest może po trzydziestce.

– Savannah? Już wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna – mówi cichym, spokojnym głosem.

A ja po prostu się na niego gapię. Słyszałam, co powiedział, ale mój mózg chyba tego nie

zarejestrował. Nadal nie mogę uwierzyć i boję się, czy naprawdę zostałam uratowana z tego więzienia. Może to tylko jakiś paskudny żart.

Przez chwilę przygląda mi się, po czym sięga do mojej twarzy. Wzdrygam się i na moment zamykam oczy. Cofa rękę i wskazuje na moje czoło.

– Wygląda jakby bolało. Wszystko w porządku? Boli cię gdzieś jeszcze?

Chcę mu opowiedzieć o plecach, ale wciąż nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa.

– Odrzutowiec czeka, sir – informuje kierowca, spoglądając w lusterko wsteczne.

Mężczyzna obok mnie kiwa głową.

– Dobrze. Powiedz im, że będziemy za dziesięć minut.

– Tak jest.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Głodówka daje mi się we znaki. Opieram głowę o okno i patrzę, jak maleńkie krople deszczu żłobią ścieżki w dół szyby. Niczego nie rozpoznaję. Domy i ulice wyglądają inaczej, wszystko jest jakieś bez sensu. Zastanawiam się, gdzie jestem i dokąd mnie wiozą.

Gdy wysiadam z samochodu, znowu czuję podmuch chłodnego powietrza. Deszcz jest zimny. Czuję się cudownie, opierając głowę na ramieniu mężczyzny, który mnie niesie. Jestem kompletnie wyzuta z sił. Krople deszczu odbijają się od mojej twarzy i zmywają trochę brudu.

Jeśli to sen, to jest to najlepszy sen na świecie.

W samolocie siadam na ciepłej skórzanej kanapie i patrzę, jak dziesięciu innych mężczyzn ubranych na czarno zajmuje kolejne miejsca. Wyglądają jak SWAT czy coś w tym rodzaju. Obraz coraz bardziej mi się zamazuje, jestem bardzo zmęczona.

– Savannah, nie zasypiaj. – Słyszę, że ktoś do mnie mówi.

Zmuszam się, by nie zamknąć oczu. Widzę, że mój wybawca mi się przygląda. Przez chwilę wpatruje się we mnie, jego spojrzenie jest niesamowicie mroczne. Z głośnika rozlega się głos i po kilku minutach wyczuwam ruch, a mój bohater znika mi z pola widzenia. Moje oczy stają się ciężkie, szum silników kołysze mnie do snu. Dłużej nie daję rady walczyć z sennością. Czuję, jak osuwam się w pustkę, a ostatnią myślą jest to, że przecież nienawidzę latania.

*

Budzi mnie uspokajający dźwięk szeleszczących liści. Lekko poruszam głową, ocierając policzkiem o najdelikatniejszą poduszkę na świecie. Czuję delikatną woń świeżych róż. Czy to sen, czy to jawa? Otwieram oczy, mrugając kilka razy, by przyjrzeć się łagodnemu światłu, które wypełnia pokój. Po jednej stronie widzę wielkie, potrójne, szklane drzwi prowadzące na balkon. Wiatr porusza zasłoną w kolorze kości słoniowej, mój nadwrażliwy nos czuje unoszący się zapach róż stojących w szklanym wazonie. Przez nagłe szarpnięcie na ramieniu orientuję się, że do lewego nadgarstka mam podłączoną kroplówkę. Plastikowy worek wiszący na stojaku obok jest prawie pusty. Moszczę się wygodnie w ogromnym małżeńskim łóżku z niesamowitą czerwoną pościelą, w której jest mi jak w niebie. Oszołomiona, zamykam oczy i z powrotem zapadam w sen.

*

Kiedy budzę się ponownie, jest ciemno. Worek z kroplówki został wymieniony na nowy i ktoś rozpałił w kamiennym kominku. Cudowny dźwięk trzaskającego drewna prawie doprowadza mnie do łez – jest niezmiernie kojący dla mojej duszy. Czy to jest niebo? Jeśli tak, to zupełnie nie przeszkadza mi to, że umarłam. Słyszę jakiś trzask i zamieram.

Po prawej stronie otwierają się drzwi. Do pokoju wchodzi starsza pani, może po pięćdziesiątce, w luźnych spodniach i bluzce, a w dłoniach trzyma tacę. Zaczynam podnosić się do pozycji siedzącej, ale... *o Boże, jak mnie wszystko boli*. Twarz kobiety zalewa smutek.

– O nie, kochanie. – Jej głos jest bardzo czuły. – Nie bój się, nie skrzywdzę cię. Opiekuję się tobą od trzech dni.

Mam w głowie pustkę. *Trzy dni!* Podciągam kolana do klatki piersiowej i obejmuję je ramionami. Trzęsę się. Ból przypomina mi o piekle, przez które przeszłam.

– Proszę, nie bój się. – Kładzie tacę na stole i unosi ręce. – Nazywam się Abigail. Nie chciałam

cię przestraszyć. Wiem, że wiele przeszłaś, ale teraz już jesteś bezpieczna. Pomyślałam, że przyniosę ci coś do jedzenia i może odpowiem na kilka pytań. – Unosi brew, widząc, że jestem zainteresowana. – Mogę usiąść? – Wskazuje na bujany fotel.

Przełykam głośno ślinę. Abigail przynajmniej wydaje się miła. Ostrożnie kiwam głową, a potem patrzę, jak odsuwa krzesło, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wiem, że powinnam powitać ją – i to miejsce – z otwartymi ramionami, ale zamiast tego wolałabym zwinąć się w ochronny kłębek. Tak bardzo chcę uwierzyć, że jestem bezpieczna.

– Tak lepiej. – Uśmiecha się ciepło. – Dziękuję. Proszę mów do mnie Abigail lub Abby. Wszyscy tak właśnie się do mnie zwracają.

Wszyscy? Kto tu jeszcze jest? Rozglądam się ponownie po pokoju, ale tym razem patrzę na wszystko bardziej krytycznym okiem. Jest ogromny i ma wysokie sklepienie.

– Założę się, że zastanawiasz się, gdzie jesteś – stwierdza Abby. Odwracam się do niej. – Jesteś w bezpiecznym miejscu. Tutaj nikt cię nie skrzywdzi. Jesteś bardzo odwodniona i niedożywiona, ale też młoda, więc rany szybko się goją. Tylko twoje plecy... – Cmoka i patrzy na mnie smutno. – Pewnie ciągle bardzo bołą, ale wkrótce i one się zagoją. Choć minie trochę czasu, zanim odzyskasz siły i poczujesz się lepiej.

Zerkam na nią przez chwilę, a potem spoglądam przez okno, zastanawiając się, gdzie ja właściwie jestem.

Uśmiecha się, widząc moje zmieszanie.

– Jesteś w Północnej Dakocie, Savannah. – Milknie na chwilę, abym mogła przetworzyć tę informację. *Cholera jasna! Tylko spokojnie, oddychaj.* – Wiem, że to za dużo jak na jedną głowę. Więc resztę powiem ci, kiedy poczujesz się lepiej. Teraz naprawdę musisz odpocząć.

Odpoczynek, tak, to dobry pomysł. Nagle znowu czuję się bardzo zmęczona.

– Ale najpierw, Savannah, może byś coś zjadła?

O Boże, jedzenie. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście jestem bezpieczna. Nie, jedzenie nie wchodzi w rachubę.

– Straciłaś dużo na wadze, twoje ciało jest poobijane. Naprawdę musisz mu pomóc i coś zjeść. – Podaje mi słonego krakersa. – Małymi kroczkami.

Powoli sięgam po krakersa. Trzymając go w dłoni, podnoszę wzrok na Abby i widzę jej pełne nadziei oczy. Zbliżam krakersa do nosa, po czym wącham go, żeby przekonać się, czy nie jest czymś zaprawiony. Nie ma dziwnego zapachu. Ostrożnie go liżę. Smakuje normalnie.

Nagle otwierają się drzwi i staje w nich ogromny mężczyzna. Natychmiast upuszczam krakersa i podciągam koc pod samą brodę, patrząc z przerażaniem na Abigail. Wygląda na równie zaskoczoną co ja tym niespodziewanym wtargnięciem. Wstaje i osłania mnie przed intruzem.

– York, co ty wyrabiasz, po co tu przyszedłeś? Przestraszyłeś nas na śmierć.

Mężczyzna wchodzi niespiesznie, uśmiechając się ironicznie.

– Cole powiedział mi, że przyjechała, więc chciałem się upewnić, czy zadomowiła się już w nowym miejscu.

– Tak, wszystko w porządku. A teraz już idź. – Z jej postawy wnioskuję, że już wcześniej miewała z nim problemy.

Koleś odchyła się w bok, żeby mi się lepiej przyjrzeć i gwiździe z uznaniem.

– O rany, ładna jest. Prawdziwy postępek w porównaniu do tej ostatniej, co?

W porównaniu do tej ostatniej? Gdzie ja, do diabła, trafiłam? Niedobrze mi, czuję, jak skręca mi się żołądek i mam odruchy wymiotne. Widzę obok na podłodze miskę, przechyliłam się i pozwałam żołądkowi wyrzucić wszystko, co w nim jeszcze zostało.

– O nie – lamentuje Abigail, przychodząc mi z pomocą. – No już, Savannah, zajmę się tobą. – Odciąga moje długie włosy na bok, a kiedy kończę, przykrywa mi twarz zwilżoną ściereczką.

Cudownie jest mieć kogoś, kto się mną opiekuje, ale nie mogę stracić czujności. Wiem, że zawsze trzeba mieć się na baczności i nikomu nie można pozwolić za bardzo zbliżyć się do siebie. W mojej głowie, niczym fajerwerki, wystrzeliwuje mnóstwo pytań. Jestem bezpieczna? Gdzie, do diabła, jest mój ojciec?

– Wyjdź stąd. Już. – syczy Abigail do Yorka, na którym najwyraźniej nie robi żadnego wrażenia mój popis umiejętności w zakresie opróżniania żołądka.

– Cole wie, że tu jesteś? – pyta, jej głos jest bardziej oskarżycielski niż do tej pory.

Jej nowy ton przykuwa jego uwagę i przez krótką chwilę na jego twarzy gości niepokój.

– Dobra. – Kręci głową i uśmiecha się do mnie. – Do zobaczenia później, ślicznotko.

Facet naprawdę przyprawia mnie o gęsią skórkę. Wygląda na to, że Abigail to wyczuła, bo naciąga kołdrę na moje ramiona i mocno mnie nią otula.

– Nie przejmuj się nim. Zazwyczaj nie kręci się tutaj zbyt często, a jak już się zjawi, to Cole ma na niego oko. – *Cole?* – Nic nie dzieje się tutaj bez jego wiedzy. Dlatego jest tak dobry w tym, co robi.

To znaczy – w czym dokładnie? Chciałabym zapytać, ale głos grzęźnie mi w gardle... w zasadzie, to nie mam siły na dalszą walkę z ogarniającym mnie zmęczeniem. Jestem skonana. Zamykam oczy, wsłuchując się w kojący dźwięk fotela, na którym buja się Abigail.

*

Pozostaję w łóżku przez następne cztery dni, z każdym dniem czuję się coraz lepiej. Jestem pewna, że bardzo pomagają mi w tym aplikowane kroplówki. Nie miałam już więcej nieoczekiwanych gości. Stała i podnosząca na duchu obecność Abigail pomaga mi wracać do zdrowia. Jest dla mnie miła, ale Maria też była. Pomimo wszystko wciąż zachowuję czujność. *Każdy ma tutaj swój rozkład dnia.* Abigail próbuje zachęcić mnie do rozmowy, ale nie daję rady się przełamać – milczenie jest dla mnie na razie łatwiejsze. Abigail kręci się przez cały dzień, przychodzi, potem gdzieś znika, otwiera okna i drzwi, żebym mogła nacieszyć się ciepłymi promieniami słońca. Samo powietrze jest chłodne, ale nie przeszkadza mi to. Jest cudownie. Czasami na parapecie usiadzie ptak, którego śpiew przypomina mi, jak bardzo chciałabym wyjść na zewnątrz.

Cieszę się, że ósmego dnia – wow, w końcu jestem w stanie ponownie odliczać mijające dni – budzę się sama. Dotykam całe swoje ciało, sprawdzam centymetr po centymetrze, ręce, nogi. Plecy nadal bolą mnie jak diabli, ale przynajmniej zniknął pulsujący ból głowy. Czuję, że muszę wstać i trochę się poruszać, więc powoli zsuwam nogi z łóżka. Początkowo drżą, kiedy dźwigają ciężar ciała, ale mnie nie zawodzą. W tym momencie otwierają się drzwi i staje w nich z promiennym uśmiechem Abigail.

– No, proszę, proszę – mówi, obie dłonie przykładając do twarzy. – Wstałaś! – Czuję, jak niewielki uśmiech zaczyna rozciągać mi usta, ale szybko przywołuję się do porządku. Nie mogę poczuć się zbyt pewnie. Nie mogę ufać nikomu. Abigail podchodzi do mnie i ostrożnie wsuwa rękę pod moje ramię. Krzyczę z bólu, więc szybko ją opuszcza. – Twoje plecy?

Nie patrzę na nią. Chciałabym wyplakać się na jej ramieniu i otworzyć się przed nią, ale nie potrafię. Wiem, że tak będzie lepiej. Abigail prowadzi mnie do łazienki. Zanim tam docieramy, jestem zaskoczona, jak stabilnie potrafię się poruszać. Odwraca mnie i delikatnie zsuwa mi z ramion zapinaną na guziki koszulę nocną. Ubranie opada tuż nad pośladkami, moje ręce pozostają w rękawach. Zakrywam piersi dłońmi, podczas gdy Abby spina mi włosy spinką. Widzę, jak na mnie patrzy, ale nic nie mówi.

– Abby, chciałem... – Głos nagle cichnie.

W lustrze widzę swojego wybawcę, który patrzy z szeroko otwartymi oczami na moje gołe plecy. Abigail szybko osłania mnie ręcznikiem.

– Logan, daj nam chwilę.

Nasze spojrzenia się spotykają. W jego oczach widzę smutek, a zaraz potem... gniew? Robi w tył zwrot, a następnie kieruje się w stronę drzwi.

– Tak, oczywiście, przepraszam – mamrocze, wychodząc z sypialni.

Czyli już wiem, że facet, który mnie uratował, nazywa się Logan.

Abigail odkręca ciepłą wodę i pomaga mi wejść do głębokiej wanny. Krzyczę, gdy strumień obmywa mi rany, jednak moja opiekunka nie przestaje polewać mnie wodą z dodatkiem soli Epsom.

– Najważniejsze jest namaczanie, kochanie, a ból z czasem ustąpi. – Myje mi włosy, pomaga szorować ciało, następnie opróżnia wannę i napełnia ją świeżą ciepłą wodą. Przyszło mi do głowy, że gdyby w moim wcześniejszym życiu myła mnie kompletnie obca osoba, to czułabym się bardzo niezręcznie. Teraz po doświadczeniach z niedawnej przeszłości, nawet zbyt nad tym nie

zastanawiam.

Łapię mokry kosmyk i zauważam, jak bardzo zniszczone są moje włosy. Paznokcie mam brudne, a stopy przybrały nierówny kształt. W przeszłości nie przywiązywałam do tego wszystkiego zbytnej wagi. Było to raczej coś oczywistego. Nie byłam jedną z tych dziewczyn, które co miesiąc biegają do salonu piękności, ale dbałam o siebie. A teraz... Zamykam oczy, po policzkach spływają mi łzy. Nie wyglądam i nie czuję się jak dawniej. Jestem teraz kimś innym, tylko nie mam pojęcia kim. Czuję się całkowicie zagubiona.

Abigail zostawia mnie płaczącą. Po jakimś czasie wraca, suszy mi włosy i pomaga położyć się z powrotem do łóżka. Zauważyłam, że zmieniła pościel. Jak cudownie jest być czystym. Stawia na stolyczku obok miskę świeżych winogron i truskawek.

– Jeśli będziesz miała ochotę, kochanie – oznajmia, po czym wychodzi, abym mogła odpocząć.

Następnego dnia Abigail przyprawdza do mojego pokoju nowego gościa. Wysoką kobietę w grubych, zielonych i modnych okularach.

– Witaj, Savannah. Jestem Mel. – Uśmiecha się do mnie. – Ktoś mi powiedział, że przydałby ci się jakiś mały rozweselacz – mówi, poklepując średniej wielkości walizkę w groszki, którą przytargała ze sobą.

Odwracam się szybko do uśmiechającej się radośnie Abigail. Podchodzi do mnie, żeby pomóc mi wstać z łóżka, następnie narzuca mi na ramiona ciepły szlafrok.

Siadam w skórzanym fotelu na środku mojego ogromnego pokoju, stopy opieram na stołeczku i patrzę na góry za oknem. Wzdycham z błogością. *Wow, czy to się naprawdę dzieje?* Wciąż wszystko to wydaje się tylko jakimś pięknym snem.

– Każda kobieta zasługuje na to, by ją od czasu do czasu dopieścić – wyjaśnia Abigail. – Pomaga to nawet bardziej duszy niż ciału, więc po prostu zrelaksuj się i pozwól Mel działać, a przekonasz się, jakie potrafi czynić czary.

Denerwuję się, że zostanę sama z kimś zupełnie obcym, ale Abigail siada na krześle, aby się wszystkim przyglądać, więc od razu czuję się lepiej.

Mel obchodzi się ze mną jak z delikatnym kwiatem, który łatwo można uszkodzić, jeśli nie będzie się dostatecznie ostrożnym. Nie wie, że traktowano mnie jak psa, że dla kogoś byłam *perra*, Bóg wie jak długo. Jej działania koją moje zszargane nerwy, więc szybko się odprężam i cieszę się, kiedy przeczesuje grzebieniem moje świeżo umyte włosy. Podcina mi nieco końcówki, nie pytając, jak zazwyczaj się czeszę. Po wysuszeniu i wymodelowaniu włosów zabiera się za manicure. Piłuje i poleruje mi paznokcie, potem maluje je na głęboki fiolet, a następnie robi to samo z paznokciami u stóp. Kiedy kończy, Abigail uśmiecha się do mnie z zachwytem. Dziękuje Mel i odprowadza ją do wyjścia.

Siedzę na krześle, wpatrując się w swoje dłonie i stopy. Wyglądają ładnie, brud i plamy zniknęły. *Wow, znowu wyglądają normalnie.*

– Mam nadzieję, że to był dobry pomysł, Savannah – upewnia się Abigail, wracając do łazienki. – Nie jestem pewna, czy dasz sobie radę beze mnie, ale muszę iść zająć się lunchem. Zostawię cię teraz samą. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu do mnie zadzwoń. – Wskazuje na intercom, po czym wychodzi.

Patrzę w lustro i serce skacze mi z radości. Oto ja, dawna Savannah, z włosami przyciętymi do połowy pleców, delikatnymi falami, przez które prześwitują naturalne pasemka. Podnoszę dłonie i przeczesuję palcami włosy, które w dotyku przypominają jedwab. Gdybym nie tylko wyglądała, ale też czuła się jak dawna Savannah. *Nie, nie ma co się zadreć. Od czegoś trzeba przecież zacząć.* Spoglądam w dół, zastanawiając się, kiedy ostatni raz ktoś mnie mył lub czesał. Kręcę głową i siłą woli odganiam napływające wspomnienia. *Okej, muszę wy dostać się z tego pokoju.*

Podchodzę do szafy z nadzieją, że znajdę coś, co będzie na mnie pasować. Ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że wszystkie ubrania są w moim rozmiarze, a nawet buty. Wkładam różowy kaszmirowy sweter, który idealnie nadaje się na moje obolałe plecy, jasnobrązowe jegginsy i buty na płaskim obcasie. Widzę, jak bardzo zeszczuplałam w talii. Chryste, jak długo mnie nie było? Jeszcze jedno spojrzenie w lustro. Myślę, że teraz, gdy czuję się trochę bardziej jak człowiek, mogę spotkać się z innymi ludźmi.

Otwieram drzwi i wychodzę na długi korytarz. Ręce robią mi się zimne, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd iść. Biorę głęboki wdech i kieruję się w lewo. Na szczęście po kilku minutach znajduję duże schody, które wiją się spiralnie do drzwi wejściowych. Żołądek ścisza mi się, gdy słyszę niski głos. W pierwszej chwili chcę się wycofać i wrócić na górę, ale ostatecznie nie rezygnuję i idę dalej. *Oddychaj, Savi.*

– Na plecach ma jakieś dziesięć do piętnastu ran ciętych. Biedactwo, jest taka drobna – słyszę, jak mówi Abigail. – Myślę, że jesteś w błędzie, Logan. Jest tak niewinna jak wszystkie, kiedy tu przychodzą.

W błędzie?

Obie głowy odwracają się, kiedy wychodzę zza rogu i wkraczam do kuchni. Mój wybawiciel – to znaczy Logan – przykuwa moją uwagę. Jego szczeka opada, gdy mnie zauważa. Teraz dopiero widzę, że jest naprawdę przystojnym mężczyzną. Ma czarne nażelowane włosy, ciemne oczy i szerokie ramiona. Instynktownie spuszczam wzrok, nauczywszy się unikać kontaktu wzrokowego z ludźmi, którzy mnie przetrzymywali. Orientuję się, że moja reakcja wywołuje dyskomfort wśród obecnych, więc zmuszam się do spojrzenia w górę.

– Savannah – wita się ze mną ciepło Abigail – wyglądasz pięknie. Cieszę się, że znalazłaś ubrania.

Logan odsuwa dla mnie krzesło.

– Witam ponownie, Savannah. Wyglądasz cudownie. Widzę, że Mel się przyłożyła. Usiądź, proszę.

Waham się przez chwilę, ale w końcu siadam. Logan stawia przede mną talerz ze smażonym bekonem, jajkami, grzankami i plackami ziemniaczanymi oraz szklankę soku pomarańczowego. Czuję, jak żołądek zaczyna mi się skręcać, ale zwalczam mdłości. Siadają po obu stronach kuchennej wyspy, popijają kawę i rozmawiają o tym, jak im minął dzień. Wiem, że ze względu na mnie próbują zachowywać się normalnie, ale coś jest nie tak. Szczerze mówiąc, to wszystko jest trochę dziwne. Cały czas zastanawiam się, co się tutaj dzieje. Co to za miejsce? Tak wiele pytań wypełnia mi głowę, że czuję narastającą migrenę. Dotykam miejsce, w którym kiedyś był guz, ale teraz jest tam po prostu miękka tkanka. Zauważam, że Logan mnie obserwuje. Jego oczy dziwnie na mnie działają. Sama nie wiem, jak to określić.

– Naprawdę musisz jeść, kochanie – martwi się Abigail.

Ma rację, ale jakoś nie mogę się zmusić. Po prostu chce mi się płakać. Być może zejście na dół było błędem. Kontynuują rozmowę, a ja sięgam po tost i z przyzwyczajenia go wacham. Raczej jest w porządku. Pierwszy kęs i nic mi nie jest, ale już drugi zostaje odrzucony przez mój żołądek. Jedzenie i stres nie współistnieją już w moim świecie.

Abigail wzdycha, odstawiając filiżankę na spodek.

– Miałabyś ochotę na małą rundkę po naszym domu, kochanie?

Miałabym, ale mam też mnóstwo pytań i nie wiem, od czego i jak zacząć.

Logan chyba rozumie mój dylemat, więc odwraca się do mnie z kubkiem w dłoniach.

– Savannah, na pewno jesteś dezorientowana całą tą sytuacją, zastanawiasz się, gdzie jesteś i co się tutaj dzieje. Spotkajmy się więc po południu, powiedzmy tak około czwartej. W porządku? – Powoli kiwam głową, zastanawiając się, dlaczego nie może porozmawiać ze mną teraz. – Abigail pokaże ci, gdzie jest moje biuro. – Spogląda na zegarek, wstaje i zbiera się do wyjścia. – Miłego dnia, drogie panie.

– Miłego dnia. Dopilnuję, żeby Savannah zjawiała się u ciebie o czwartej – mówi Abigail. Logan wychodzi, a ona sprząta ze stołu naczynia. – Chodź, kochanie, zrobmy sobie małą wycieczkę. Zatrzymuje się i robi zamaszty gest ręką. – Oto kuchnia. – Jest większa niż całe moje mieszkanie, z widokiem na jezioro i okalające je góry. – Zawsze jest tutaj pełno jedzenia. Tak że częstuj się, kiedy tylko najdzie cię ochota. Jeśli nie ma czegoś, czego potrzebujesz, po prostu daj mi znać, a załatwimy to. – Otwiera ogromną lodówkę ze stali nierdzewnej, która jest wypełniona wszystkim, co tylko dusza zapagnie. – Pracuje u nas co najmniej jedenaście osób, plus ci, którzy tutaj mieszkają, więc tak to mniej więcej zawsze wygląda. – Kiwam głową. Cieszę się, że nie muszę robić zakupów spożywczych. – Za tymi drzwiami jest piwniczka z winami, jeśli miałabyś ochotę na lampkę wina. – Informuje mnie

i puszcza do mnie oko.

Wow. Wino to jest coś, o czym nie myślałam od dawna. Ostatnio moje menu składało się głównie z wody. Nagle prawie czuję smak ulubionego Chateauf-neuf-du-Pape. Hmm, na pewno będę musiała sprawdzić tę piwniczkę. Zostawiam marzenia o winach i kieruję wzrok na Abigail, która oparta o marmurową wyspę, lekko uśmiecha się, dając mi nacieszyć się chwilą.

Abby kontynuuje.

– Ogólnie to ja zajmuję się gotowaniem. To dość wyczerpujące, ale stanowi część moich obowiązków, jak również dbanie o to, żebyś czuła się tu dobrze.

Kolejne stwierdzenie sugerujące, że zostanę tu przez jakiś czas, sprawia, że moja głowa znów wypełnia się pytaniami. Naprawdę muszę się w końcu odezwać, ale w ścianie, jaką zbudowałam dla własnej ochrony, nie ma żadnej otwartej furtki.

– Chodź, idziemy dalej.

Wchodzę za Abby do wspaniałego salonu z widokiem na ciągnące się po horyzont górzyste połacie ziemi. Trudno odgadnąć, gdzie jestem, ale widok jest spektakularny. Urodziłam się i wychowałam w Nowym Jorku, więc jestem zafascynowana takim krajobrazem. Salon ma wysoki sufit z drewnianymi belkami i ogromny kominek. Wszystko jest albo z ciemnego drewna, albo z kamienia. Kanapy mają czerwony kolor, a na nich rozłożone są duże czarne koce. Na środku pokoju leży ogromny beżowy dywan z etnicznym wzorem tkanym czarną nicią, który dopełnia wystrój części wypoczynkowej. Pomieszczenie jest ogromne, ale pomimo to panuje w nim przytulna atmosfera. Na podłodze przy nóżce kanapy widzę puszystą *kępkę białego futerka*. Ktoś tu chyba ma jakiegoś zwierzaka.

Wchodzimy do jadalni, z której widać, ten sam co z kuchni, piękny widok na jezioro. Większość pomieszczenia zajmuje ogromny drewniany stół, przy którym mogłoby zasiąść pewnie ze trzydzieści osób, nad nim wiszą trzy żeliwne żyrandole. Pod sufitem zauważam kamerę, więc szybko odwracam wzrok, niepewna, kto mnie obserwuje.

Na najwyższym piętrze Abigail pokazuje mi wszystkie pokoje, w tym mój. Następnie schodzimy schodami nieopodal kuchni. Na dole znajdują się sala gier, kryty basen, siłownia i pokój rozrywki. Pomieszczenia są przeogromne, więc zaczynam czuć się nieco odsłonięta. Zdecydowanie wolałabym znaleźć się w jakimś mniejszym pokoju i owinać się kocem.

W drodze powrotnej do głównej części domu Abby wskazuje na krótszy korytarz i mówi, że na jego końcu pracuje Logan i że tam znajduje się jego biuro.

– Dużo pracuje, ale zazwyczaj dołącza do nas na kolację, chyba że gdzieś wyjeżdża. Nie musisz się martwić, że poczujesz się tutaj samotna. Ten dom zawsze roi się od ludzi. Niektórzy są przyjaźni, inni nie za wiele się odzywają. Z czasem zorientujesz się, jaki kto jest. Kiedy pracuje się w tym biznesie, zwraca się uwagę na wiele rzeczy – na takie, które mogą cię zmienić.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że ich praca musi być bardzo ryzykowna i niebezpieczna. Chciałabym tylko wiedzieć, czy to, co robią, jest legalne.

– A więc tak, po wyjściu ze swojego pokoju skręcasz w lewo, potem w dół po schodach, znowu w lewo aż do końca korytarza, gdzie znajduje się gabinet Logana. Pamiętaj, spotkanie jest o czwartej – podpowiada, obserwując moją reakcję. Kiwam głową. Abby uśmiecha się do mnie. – No to świetnie. Jesteś zmęczona czy chciałabyś wyjść na zewnątrz?

Na zewnątrz... wolność... Uśmiecham się i skinięciem głowy wskazuję drzwi.

Wychodzi na zewnątrz, wciąż opowiadając o historii domu, tymczasem ja nieruchomieję na progu. Abigail zatrzymuje się i spogląda na mnie ze smutną miną.

– Małymi kroczkami.

Jasne, okej.

Podaje mi okulary przeciwsłoneczne.

– Załóż to, Savannah. Twoje oczy będą potrzebowały trochę czasu, aby przyzwycząić się do światła. Na szczęście o tej porze roku jest pochmurno.

Delikatnie łapie mnie pod rękę, po czym wyprowadza na kamienną werandę, która biegnie wzdłuż całego domu. Biorę głęboki wdech, napelniając płuca najczystszym powietrzem, jakim kiedykolwiek oddychałam. Delikatny wietrzyk porusza moimi włosami na karku. Zamykam oczy,

wsluchując się we wszystkie otaczające mnie dźwięki. Ptaki ćwierkają, szeleszczą liście, woda pluska, rozbijając się o brzeg – jest fantastycznie, dopóki nie słyszę za sobą trzasku gałązki. Podskakuję, chwytając Abigail za ramię.

– Pamiętaj, nigdy nie oddalaj się zbytnio od ludzi – szepcze, wskazując na mężczyznę w maskującym ubraniu i uzbrojonego w półautomatyczny karabin szturmowy, idealnie zlewającego się z drzewem, obok którego stoi. – To bezpieczne miejsce, jedno z najlepszych, Savannah, ale żeby tak było, musi być stale obserwowane. Dla Cole’a pracują tylko najlepsi, sami profesjonalści. Zwiadowcy, snajperzy, ludzie z amerykańskiej marynarki, komandosi, co tylko chcesz. Mamy tutaj wszystkie jednostki sił specjalnych.

I to Cole zarządza tym miejscem? Poznam go kiedyś? Skanuję wzrokiem las, próbując zlokalizować więcej zakamuflowanych facetów, ale nikogo nie dostrzegam.

– To, że ich nie widzisz, nie oznacza, że ich nie ma. – Abigail wpatruje się we mnie, jak wodzę wzrokiem po otaczającym nas terenie, a potem skinieniem daje znak, żebyśmy ruszyły dalej. – Z czasem przyzwyczaisz się do tego.

Czas. Znowu to słowo.

– Jezioro szybko się ochładza, ale w południe niektórzy, ci, co lubią rześką wodę, idą popływać. Nie ja, to za zimno jak na moje stare kości. – Śmieje się. – W hangarze są kajaki i wszystko, co potrzeba. I nie zapomnij założyć kamizelki ratunkowej. – Obchodzimy dom dookoła i znów znajdujemy się od frontu. Zaczynam czuć zmęczenie. Odwykłam od długich przechadzek. Abigail to wyczuwa, więc zamiast kontynuować spacer, pokazuje mi palcem różne miejsca. Podchodzimy do drzwi wejściowych. – Resztę pokażę ci później, czyli stajnie i wannę z hydromasażem. Możesz ze wszystkiego korzystać, kiedy tylko chcesz. Chcemy, żebyś czuła się jak w domu, Savannah.

Wracamy do środka i do „mojego” pokoju. Zanim zostawi mnie samą, żebym mogła odpocząć, siada na moim łóżku.

– Jestem pewna, że po tym wszystkim, przez co przeszłaś, czujesz się trochę przytłoczona, ale obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Im szybciej się zrelaksujesz i wyciszysz, tym łatwiej będzie ci się przystosować.

Patrząc, jak wychodzi, próbuję przetworzyć wszystko, co mi powiedziała. Nie trwa to długo, bo za chwilę zapadam w niespokojny sen.

Rozdział trzeci

Savannah

Stoję przed masywnymi drewnianymi drzwiami do biura Logana i podziwiam okrągłą klamkę. Wygląda jak rękojeść starego miecza. Trzy kawałki żelaza odstają i sprawiają wrażenie, jakby owijały się wokół dłoni, kiedy chwyta się za gałkę. Wiem, że nie powinnam dłużej zwlekać, więc delikatnie pukam.

– Proszę. – Na dźwięk szorstkiego tonu, który dobiega zza drzwi, moja dłoń automatycznie cofa się z klamki. Nienawidzę tych drani, przez których stałam się takim wypłochem. Moja matka byłaby załamana, widząc, jak jej niegdyś pełna ognia córka zamieniła się w wypalony knot.

Drzwi otwierają się z hukiem.

– York! – Logan warczy, ale milknie, kiedy mnie zauważa. – A, to ty, Savannah, przepraszam. Myślałem, że to ktoś inny. – Odsuwa się na bok i spogląda na zegarek. – To już czwarta? Proszę, wejdz i usiądź.

Wchodzę do środka i rozglądam się po biurze. Przed sięgającym od podłogi do sufitu oknem z widokiem na stajnie i część jeziora stoi biurko. Jest też kominek i kanapa, czyli wystrój podobny do tego, jaki jest w całym domu. Na ścianie wiszą dwie strzelby, co odnotowuję niemal podświadomie. Moją uwagę przykuwa też płaski telewizor na jednej ze ścian, nastawiony na kanał informacyjny z Los Angeles. Czuję na sobie spojrzenie Logana, ale ten milczy. Wyłapuję z wiadomości datę – dwudziesty szósty października. Wstrzymuję oddech i staram się odnieść jakoś tę datę do dnia, w którym mnie porwano.

– Tak, przetrzymywali cię ponad siedem miesięcy, Savannah – mówi cicho, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie.

Czuję, że zbiera mi się na płacz. O mój Boże, zniknęłam na ponad pół roku! To jakby całe życie. Informacja o tym, ile czasu mnie przetrzymywano, jest wstrząsająca. Owszem dostaję odpowiedź na tak długo dręczące mnie wątpliwości, ale teraz, kiedy już wiem, ile czasu minęło, jestem w szoku. Przykładam dłoń do klatki piersiowej.

– Usiądź, proszę. – Bierze mnie pod ramię i ostrożnie prowadzi do kanapy. Siada naprzeciwko mnie i uważnie mi się przygląda. Kiedy dochodzę do siebie, zaczyna mówić: – Savannah, odkąd zaginęłaś, wiele się wydarzyło. Na pewno masz mnóstwo pytań, zwłaszcza dlaczego tu jesteś i dlaczego cię porwano.

Kiwam głową.

– Mężczyźni, którzy cię uprowadzili, nie są zwykłymi porywaczami. Należą do bardzo niebezpiecznej grupy o nazwie *Los Sirvientes Del Diablos*, co oznacza „Słudzy diabła”. Są częścią karteli. Ukryli cię w Tijuanie i zrobili to bardzo dobrze.

Jasna cholera!

– Twój ojciec...

Prostuję się na dźwięk tego słowa. *Jest tutaj? Kiedy będę mogła go zobaczyć?* Znowu nic nie wychodzi z moich ust.

Podnosi rękę.

– Twój ojciec wywołał burzę medialną po twoim zniknięciu.

No po prostu cudownie... jeszcze więcej niechcianej reklamy.

– Savannah, problem stanowią ci dwaj faceci. – Pokazuje mi zdjęcie. – Rodrigo Heredia. – Ścisła mnie w gardle. To gość od cygar Montecristo. Logan pokazuje mi kolejne zdjęcie. – I Jose Jorge...

W żołądku czuję gwałtowne szarpnięcie. Desperacko chwytam najbliższy kosz na śmieci i wymiotuję żółcią. Logan podaje mi serwetkę i stawia obok szklankę wody. Przeplukuję usta,

a następnie siadam z powrotem na kanapie, unikając jego wzroku. Czuję się zakłopotana moją reakcją i tym, że jego biuro posłużyło mi za łazienkę.

– Rozumiem, że rozpoznajesz Jose?

Znowu kiwam głową, walcząc z chęcią wykrzyczenia wszystkiego. *Tak, drań zmuszał mnie do błagania o jedzenie, chłostał po plecach i doszczętnie pozbawił godności!*

Logan podaje mi czystą serwetkę. Nawet nie zauważyłam, że zaczęłam płakać.

– Chciałem ci powiedzieć, że obu udało się uniknąć schwytania.

Spoglądam na niego z przerażeniem.

Pochyla się do przodu, opierając ręce na udach.

– Rozumiem cię i przykro mi, ale dopóki nie dowiemy się, gdzie są, i nie wpakujemy ich do aresztu, musisz tu zostać. Twoja rodzina, przyjaciele, nikt jeszcze nie wie, że jesteś bezpieczna. Na razie musi tak zostać dla dobra całej sprawy, jak i dla twojego dobra. To tylko kwestia czasu, zanim *Los Sirvientes Del Diablos* i reszta karteli dowiedzą się, kto cię uratował, a kiedy tak się stanie, polowanie zostanie wznowione. Jesteś dla nich bardzo cenna i jestem pewien, że są nieźle wkurzeni, że cię stracili.

Wstaję i kręcę głową, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi York, dupek z zeszłego wieczoru, z uniesionymi rękami.

– Przepraszam, przepraszam, miałem pracowity dzień... – Milknie, kiedy mnie spostrzega. – Witaj ponownie, piękna dziewczyno. – Jego głos jest jak aksamit.

Pieprz się, dupku.

– York – wypluwa Logan – weź to i zajmij się tym.

Facet bierze teczkę z ręki Logana, po czym kieruje się do wyjścia, ale zanim wyjdzie puszcza do mnie oczko.

Logan stoi przede mną. Jest ode mnie znacznie wyższy, sięgam zaledwie do jego podbródka.

– Nie musisz tu zostawać. Masz prawo odejść, ale jeśli to zrobisz, nie będziemy w stanie cię ochronić. Nie minie tydzień, a znów cię uprowadzą i ponownie rozplyniesz się w powietrzu. Ostatnim razem samo odnalezienie cię zajęło nam pięć miesięcy, a jesteśmy najlepsi z najlepszych. Znowu spogląda na zegarek i zaciska zęby. – Niedługo mam wideokonferencję. Jutro o ósmej masz spotkanie z doktorem Robertsem. Jest naszym etatowym terapeutą. Spotkanie jest obowiązkowe.

O nie, do diabła! Nie będę spotykać się z żadnym psychiatrą!

Krzyżuje ramiona, wyczuwając zmianę mojego nastroju.

– Obowiązkowe – powtarza. – Abigail dopilnuje, abyś stawiała się na czas. Na razie, jeśli czegoś będziesz potrzebowała, idź do niej. Będzie ci we wszystkim pomagać. Nie krępuj się i korzystaj ze wszystkiego, co jest w domu, i pamiętaj, że dom jest pod stałym nadzorem ze względów bezpieczeństwa. Oczywiście sypialnie i łazienki nie są monitorowane, ale okna i drzwi są wyposażone w czujniki, dzięki czemu możemy śledzić, kto wchodzi i wychodzi. Używanie telefonu jest surowo zabronione, tak samo jak korzystanie ze wszelkich internetowych komunikatorów. Niezwykle ciężko pracowaliśmy na to, aby utrzymać to miejsce w tajemnicy. Tylko nieliczni znają jego lokalizację i konsekwencje, jakie poniosą, jeśli kiedykolwiek ją ujawnią. Masz tydzień na podjęcie decyzji, czy chcesz zostać. Jeśli tak, to powiem ci więcej o panujących tu zasadach. – Odsuwa się na bok i siada za biurkiem. – Jakieś pytania?

Tak, jakiś miliard.

Kręcę głową, kieruję się do drzwi i zamykam je za sobą. Jezu, mam tyle do ogarnięcia, a myśli wirują mi w głowie jak szalone. Muszę wrócić do swojego pokoju i to przemyśleć. Czy naprawdę jestem gotowa tak żyć? Zamienić jedno więzienie na drugie, choć sztywne? A może zaryzykować i wrócić do domu?

*

Doktor Roberts jest wysokim, chudym blondynem po pięćdziesiątce, o ciepłym spojrzeniu. Ma na sobie elegancki granatowy garnitur oraz cienki krawat sięgający sprzączki paska. Stuka prawym obcasem o podłogę, myśląc intensywnie.

Siedzimy w niewielkim pokoju obok gabinetu Logana. Na kolorystykę wnętrza składają się żółcie i odcienie zieleni. Całkiem tu ładnie.

– Nie jesteś zbyt rozmowna, co? – zagaduje mnie doktor Roberts, próbując rozluźnić atmosferę.

Patrzemy tak na siebie przez ostatnie czterdzieści pięć minut. Podczas pierwszego spotkania zadał mi kilka pytań, ale kiedy na żadne z nich nie odpowiedziałam, po prostu zaczął mi się przyglądać. A ja jemu. Wiem, że chce zadać pytanie, które mną wstrząśnie, i w ten sposób wydusić ze mnie odpowiedź. Oho, no i oto ono. Niemal czuję dym uchodzący z obracających się wściekle w jego głowie zębatek.

– Jakie są twoje uczucia w stosunku do Jose Jorge'a?

Nie wzdrygam się.

Kiwa głową i pisze coś w tablecie.

– Savannah, chciałabyś wrócić do domu?

Oho, kolejne pytanie z cyklu tych mających mnie poruszyć. Nieźle, doktorku. Muszę ci to przyznać. Jeszcze niedawno pytanie o rodzinę by mnie złamało, ale już nie.

Pochyliła się do przodu i odkłada tabletki na stół.

– Cóż, myślę, że dzisiaj nic nie zdołamy. – Zdejmuje okulary w grubych oprawkach, przeciera oczy i wzdycha. – Jeśli nie chcesz się otworzyć na ludzi, Savannah, to jak mamy ci pomóc? Nie męczy cię już ta samotność?

Dobra, trafił w mój czuły punkt, prawie udało mu się mnie złamać. Jestem strasznie samotna, ale kiedy nie rozmawia się z nikim tak długo, jak było w moim przypadku, bo nikomu nie można było zaufać, to prawie zapomina się, jak to jest. Ludzie to podstępne stworzenia.

– Możesz przynajmniej powiedzieć mi, jaki jest twój ulubiony kolor?

Milczę i obserwuję, jak kręci głową.

– Okej, dobrze. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Otwierają się drzwi i wchodzi Abigail.

– Witam, doktorze Roberts. Dołączy pan do nas na lunch? – pyta z uśmiechem.

– Nie, obawiam się, że nie. Ale dziękuję. Chociaż uwielbiam twoją zapiekankę z kurczakiem.

Abby lekko się rumieni.

No, no, ciekawe. Czyżby słodkogłosa Abigail podkochiwała się w eleganckim panu terapeutę?

Na to wygląda.

– Gotowa? – pyta mnie, przytrzymując otwarte drzwi.

*

Budzę się zrana potem, a moje serce wali jak szalone po koszmarze, jaki mi się przyśnił. Spoglądam na zegar. Dopiero co minęła północ. Wciąż czuję smród brudnej pościeli z mojej celi u porywaczy. Zmieniono ją tylko trzy razy w ciągu, jak teraz już wiem, siedmiu miesięcy. Założę się, że nawet jej nie prano – prawdopodobnie tylko wypłukano ją w wodzie i wysuszono.

Wiem, że świeże wspomnienie kosmaru nie pozwoli mi zasnąć. Zrzucam więc z siebie koc i zakładam szlafrok, który przygotowała mi Abigail. Chłodny jedwab cudownie koi moją rozgrzaną skórę.

Schodzę na dół. Okna w pokoju rozrywki wychodzą na jezioro. Pomieszczenie wypełnione jest blaskiem pięknego, delikatnego światła księżyca. Przy jednym z okien stoi czarny fortepian. Moje ręce zaczynają drżeć, gdy zalewa mnie fala wspomnień. Siadam na zimnej ławeczce przy instrumencie, podnoszę jego pokrywę i przesuwam palcami po klawiszach, czując ich znajomą gładką powierzchnię. Aż dostaję gęsiej skórki na całym ciele. Minęło czternaście lat, odkąd grałam, czternaście lat, odkąd widziałam matkę, czternaście lat odkąd obiecałam sobie, że już nigdy więcej nie zagram.

– Kochanie – mówi mój ojciec, zbliżywszy się do mnie – naprawdę ucieszyłaby się, gdybyś zagrała dla niej ten ostatni raz. Proszę, coś, co lubiła najbardziej.

– Ja... nie potrafię – szepczę przez łzy.

– Kochanie, naprawdę proszę cię, zrób to. – Kiwa głową w stronę prasy zgromadzonej w kościele. Na pogrzebie żony nowego dobrze zapowiadającego się polityka muszą być oczywiście dziennikarze. Jakże by inaczej. Patrzę na niego przez łzy. U niego wszystko musi być na pokaz. Prostuje się i zmusza mnie, żebym wstała. – No, już. – Bierze mnie za rękę. – Na pewno dasz radę, Savi. – Całuje

mnie w policzek i wskazuje na przednią nawę kościoła. Trzęsę się, przechodząc obok trumny. Moja kochana mama wygląda na taką spokojną. Kiedy siadam przy pianinie, oczy wszystkich kierują się na mnie. Zerkam na ojca, który ociera łzę i kiwa głową na znak, że mogę zaczynać. Patrzę na klawisze i widzę tylko czarno-białą plamę. Czuję, że robi mi się niedobrze. Biorę głęboki wdech, bo nie chcę zawieść ojca. Nie jestem w stanie śpiewać, więc tylko gram. Rozbrzmiewa Hallelujah Leonarda Cohena. – Dziękuję – mówi mój ojciec.

Do dziś nie wiem, czy dziękował mi za to, że zrobiłam to dla mamy, dla niego, czy dla mediów. Odpędzam wspomnienie i uderzam w klawisz, wygrywając pierwszą nutę. Zamykam oczy i słyszę w głowie melodię. Nucę znajomy początek, ledwo rozpoznając swój głos, z oczu kapią mi łzy – czuję obecność mojej matki, jakby siedziała obok i grała swoją część utworu. To był jeden z naszych ulubionych, którego zresztą sama mnie nauczyła. Ten sam, który zagrałam na jej pogrzebie.

– Graj tylko wtedy, kiedy tego naprawdę chcesz, Savi – szepcze, zerkając na mojego ojca, rozmawiającego przez telefon i krążącego po kuchni. – Jeśli to cię uszczęśliwia, graj. Właśnie dlatego ja gram. – Całuje mnie w policzek. – Pomaga zapomnieć mi o chorobie. Grając, staję się wolna. – Znowu zaczyna śpiewać, mrugając do mnie. Głowę ma owiniętą chustką, ponieważ straciła swoje piękne ciemnobrązowe włosy. To po niej mam taki kolor włosów. Jej głos ogrzałby najzimniejszą duszę.

Mam może jedną czwartą jej wokalnych zdolności – prawdziwy talent mam w palcach. Moim przeznaczeniem była gra na pianinie.

Otwieram oczy i patrzę na oświetlony księżycem pokój. Jest mi zimno. Kątem oka wychwytyuję ruch i cofam ręce z klawiszy.

– Proszę, nie przestawaj. – Z cienia wychodzi Abigail. – To jest takie piękne.

Zamykam pokrywę z trzaskiem i przełykam ślinę.

– Nie słyszałam tej piosenki od wieków. Masz taki cudowny głos.

Wstaję i, nie patrząc na Abby, wychodzę z pokoju. Czuję się dziwnie, kiedy prawi mi komplementy. Nie jestem pewna, jakie ma zamiary.

*

Kolejne dni wyglądają tak samo. Chodzę do doktora Roberta na sesję terapeutyczną i przez godzinę patrzymy sobie w oczy. Spaceruję z Abigail po posiadłości i próbuję nabrać sił. Nigdy nie wspomina o tamtym wieczorze i cieszę się, że tego nie robi. Miałam chwilę słabości. Jemy lunch, to znaczy ja skubię tylko jakiś owoc lub warzywo, ale zawsze to coś. Potem drzemka, a po niej oglądanie koni biegających wokół stajni, następnie kolacja. Abigail opowiada mi stare ludowe historie o górach, które są naprawdę ciekawe, po czym kładę się spać. Sen nie jest czymś, co lubię, ale wiem, że moje ciało go potrzebuje, bez względu na to, jak bardzo protestuję. Abigail powtarza, że czuję się ciągle zmęczona dlatego, że tak mało jem. Wiem, że naprawdę muszę nad tym popracować.

Słońce przyjemnie grzeje moją twarz, napełniając mnie mieszanymi uczuciami. Biję się z myślami, czy tutaj zostać. Choć to najpiękniejsze miejsce na świecie, to jednak to nie mój dom. Ale jeśli wrócę do Nowego Jorku, to czy rzeczywiście, tak jak mówi Logan, nie minie tydzień, a zostaną ponownie porwana? Głowa mnie boli od tych wszystkich „a co jeśli?”. A co jeśli mnie porwą? A co jeśli tym razem mnie zabiją? A co jeśli skrzywdzą mojego ojca lub Lynn?

Abigail siada obok mnie na werandzie. Wie, że to jedno z moich ulubionych miejsc, często tu przebywam, zatapiając się w myślach.

– Uwielbiam patrzeć, jak góry odbijają się w wodzie. Cóż za przepiękna feeria barw. – Jest dla mnie dobra, nigdy nie próbuje mnie zmuszać do mówienia. Po prostu wypełnia ciszę, kiedy ta staje się dla niej zbyt dokuczliwa.

Zauważam, że Logan i York spacerują wzdłuż granicy posiadłości.

– Wzmocnienie środków bezpieczeństwa – odpowiada Abby, jakbym zadała jej pytanie.

Kiwam głową i przyglądam im się dalej.

Po kilku minutach wzdycha.

– Dobry człowiek z tego Logana. Nigdy nie był żonaty, nie umawia się na randki. Twierdzi, że nie ma czasu. Mężczyźni. – Śmieje się.

Uśmiecham się lekko. Rzeczywiście wygląda na to, że jest pracoholikiem.

– Zawsze znajdzie jakąś wymówkę, byle by tylko nie stracić czujności.

Wiem, że niekoniecznie chciała mi to mówić, ale czuję w brzuchu coś dziwnego, kiedy jej słucham. Wiem, że muszę zacząć komuś ufać albo przez resztę życia będę czuć się samotna. Ale zaufać ludziom... ta myśl wciąż mnie przeraża.

*

Po kolacji siadam na podłodze przed kanapą w salonie i delektuję się ciepłem bijącym z kominka. Kot o imieniu Scoot, jak się okazuje mają tu kota, najwyraźniej nie ma nic przeciwko dzieleniu się ze mną przestrzenią. Najprawdopodobniej dlatego, że łączy się to z drapaniem go po brzuchu. Jest małym tłuszczoszkim z nastawieniem w stylu „mam wszystko i wszystkich w dupie”, co wydaje mi się dość zabawne. Wielu tutejszych facetów ubiera się na czarno i przysięgam, że Scoot ociera się o nich tylko po to, by ich wkurzyć. Wiem już więc, skąd biorą się futrzaste białe kulki.

Nikt nie zwraca na mnie zbyt dużej uwagi. Wszyscy są uprzejmi, ale nigdy nie mówią więcej, niż muszą. Jak na razie bardzo mi to odpowiada.

– Szkoda, że nie widziałeś Cole’a. Podrzucił spluwę i wypalił facetowi w twarz, łamiąc mu nos i rozbryzgując krew dookoła – słyszę, jak za mną jeden mężczyzna relacjonuje drugiemu. – Potem wali go w szczękę, a gość turla się w dół po schodach. Ten szcurzy bobek próbował chwycić za broń, ale Cole władował mu trzy kulki dokładnie między oczy. Tamten nawet się nie zorientował, co się dzieje.

Jasna cholera! Wyobraziłam sobie tę scenę i prawie puszczam pawia. Kim jest ten Cole?

– Nie mogę uwierzyć, że to przegapiłem – jęczy jego kumpel. – Więc to już jego trzydziesty czwarty?

– Trzydziesty piąty – poprawia go naoczny świadek wyczynów Cole’a. – Nie wspominając o sześciu, których zabił gołymi rękami. Stary, on jest jak pieprzony Rambo.

Czuję dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił o zabijaniu tak otwarcie i zwyczajnie. Czy ten Cole często tu przychodzi? Nie mam ochoty na spotkanie z zimnym jak gład zabójcą. Przeraża mnie sama myśl o odebraniu komuś życia, a co dopiero... ile razy to zrobił?

Scoop zaczepia mnie łapką. Najwyraźniej przestałam go drapać.

– Przepraszam, kiciu.

Od razu mu to wynagradzam, zabierając się do porządnego smyrania jego brzuszka.

– Tylko zgaduję, ale myślę, że merlot rocznik dwa tysiące czwarty sprawi, że to drapanie po brzuchu stanie się trochę bardziej znośne. – Uśmiecha się do mnie jakiś facet, podając mi lampkę czerwonego wina.

Kiwam głową na znak zgody, odwzajemniam uśmiech i sięgam po kieliszek.

Nieznajomy siada na podłodze naprzeciwko mnie, opiera się o drugą kanapę i wyciąga przed siebie nogi. Przeczesuje palcami brązowe włosy, odgarniając je z zielonych oczu. Wygląda na to, że to jego nawyk. Scoot nie lubi przerw w pieszczotach, więc koncentruję się na nim ze zdwojoną energią. Mały zachłanny sierściuch.

Mój nowy towarzysz pochyla się do przodu i wyciąga do mnie rękę.

– Mark Lopez.

Patrzę na jego dłoń, po czym ostrożnie podaję mu swoją, ale szybko ją wycofuję.

– Ty jesteś Savannah Miller – stwierdza. – Już się poznaliśmy, ale byłeś wtedy tak jakby trochę nieobecna.

Wpatruję się w niego, próbując przypomnieć sobie jego twarz. Jest Latynosem, dość wysokim, chociaż wszyscy tutaj wydają mi się wysocy, bo sama mam niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu.

– Siedziałem na przednim siedzeniu pasażera, ale cały czas miałem zasłoniętą twarz, więc masz prawo mnie nie pamiętać. – Uśmiecha się figlarnie.

Patrzę na trzymany w ręku kieliszek. Upijam łyk, ale nie połykam od razu, tylko pozwalam, by wino *wirowało wokół języka*. O rany, smakuje bosko.

Naprzeciwko nas na kamiennej półce przed kominkiem siada milczący Logan. Wygląda na zmęczonego i chyba sączy coś mocniejszego. *Coś mocniejszego?* Słowa te zabierają mnie myślami do

restauracji tamtego wieczoru z Joe Mightem. Czuję napływające łzy. Moje dawne życie wydaje się tak odległe. Joe prawdopodobnie z początku pomyślał, że jestem niesłowną gówniara przez to, że nigdy nie dostarczyłam mu obiecanych dokumentów.

– Hej – zagaduje mnie ostrożnie Logan – wszystko w porządku? – Jego szczerzy ton sprawia, że gdzieś głęboko czuję rozlewające się ciepło.

Szybko kiwam głową, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

– Lopez, możesz dać nam chwilę?

– Pewnie – odpowiada Mark i wstaje. – Pogadamy później, Savannah. – Uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi.

Nagle orientuję się, że jest mi z tym dobrze. Wow, jakie to dziwne uczucie. Naprawdę nie sądziłam, że jestem jeszcze zdolna do czegoś takiego.

Logan siada tam, gdzie przed chwilą siedział Mark.

– Widzę, że zaprzyjaźniłaś się z najbardziej humorzystą istotą w tym miejscu. – Pochyla się i drapie Scoota za uchem.

Kot mruczy w odpowiedzi, a uśmiech Logana robi się coraz szerszy. Coś czuję, że tych dwoje prawdopodobnie często umiła sobie czas. Upijam kolejny łyk wina, nie wiedząc, jak się zachować.

Jest tak przystojny, że patrzenie na niego jest niemal bolesne. Ciemne oczy idealnie współgrają z kruczoczarnymi włosami. Koszula opina szeroką klatkę piersiową, podkreślając jego wysportowaną sylwetkę.

Muszę zająć czymś ręce, żeby nie gapić się na niego bezmyślnie, więc przeczesuję palcami włosy.

– Tak więc jutro mija tydzień od naszej rozmowy. Słyszałem, że nie zrobiłaś żadnych postępów z doktorem Robertsem. To rozczarowujące.

Odwracam wzrok.

– Naprawdę musisz z kimś porozmawiać, Savannah. Doktor Roberts już nieraz udowodnił, że potrafi zdziałać cuda. Jestem pewien, że jeśli dasz mu szansę, poczujesz się znacznie lepiej. To znaczy, jeśli zdecydujesz się tu zostać. – Przerzywa i bierze łyk ze swojej szklanki. – Musisz w końcu otworzyć się na ludzi. Jesteś teraz bezpieczna.

Bezpieczna. Ciągle wszyscy mi to powtarzają.

Nagle odwraca głowę i patrzy na mnie.

– Przepraszam. – Wzdycha, po czym zrywa się na równe nogi.

Siedzę i myślę o tym, co właśnie powiedział mi Logan, nie szczędząc jednocześnie wysiłków wobec wymagającego Scoota. Z zamyślenia wrywa mnie rozmowa dwóch gości siedzących przy oknie. Jeden cały czas opowiada o tym, jak to Cole „wystrzelił temu szczerzemu bobkowi w twarz”. Drugi zaczyna opisywać kolejne popisy Cole’a tak szczegółowo, że nie pozostaje mi nic innego tylko wstać i wyjść z pokoju. Myślę, że usłyszałam wystarczająco dużo, poza tym najwyższa pora położyć się spać.

*

Doktor Roberts spogląda na mnie znad okularów. Mija czterdzieści minut naszej prawdopodobnie ostatniej sesji. Toczę ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu opowiadam się po jednej ze stron. Biorę głęboki wdech i decyduję się zaryzykować. W tym momencie nie mam nic do stracenia, a może przeciwnie – uda mi się coś zyskać.

– Fioletowy – mruczę pod nosem.

Doktor Roberts unosi wzrok znad tabletu i patrzy na mnie *przymrużonymi oczami*.

– Przepraszam, co?

– Moim ulubionym kolorem jest fioletowy. – Z zakłopotaniem wykręcam palce dłoni, nie jestem pewna, czy podjęłam dobrą decyzję.

– Cóż, to ładny kolor. – Zastanawia się przez chwilę. – Gdybyś miała użyć trzech wyrazów do opisanego tego, jak się dzisiaj czujesz, to jakie to byłyby słowa?

Tylko trzy? Zastanawiam się nad tym, starannie dobierając w myślach słowa, po czym odchrząkuję i odpowiadam.

– Przestraszona, zdeorientowana, przytłoczona.

– To zupełnie normalne po tym, przez co przeszedłeś. – Kiwa głową ze zrozumieniem. – Jak ci się tu podoba?

Wzruszam ramionami.

– Jest w porządku.

– Co najbardziej ci się podoba?

To akurat trudne pytanie, bo zaskakująco wiele rzeczy. Komu nie spodobałyby się takie widoki dookoła, konie, jezioro i czyste powietrze?

– Sporo rzeczy.

Znowu kiwa głową, gryzmołąc coś na tablecie.

– Zechciałabyś wymienić jedną z nich?

– Scoot.

Moja odpowiedź go rozśmiesza.

– Dobry, stary Scoot. Słowo daję, jak dla mnie to on rządzi w tym domu. Co ci się w nim podoba?

Przez chwilę przyglądam się terapeutce, próbując odgadnąć, dokąd zmierza ten jego cały psycho-bełkot.

– Jest, jaki jest.

– To prawda, zwierzęta nie oceniają tak, jak ludzie. Są godnymi zaufania, lojalnymi towarzyszami. – Przechyla głowę. – Czy tam, gdzie byłeś przetrzymywana, były jakieś zwierzęta?

Włoski na karku stają mi dęba.

– Albo coś, co przynosiło ci jakąś pociechę?

– Nie – odpalam szybko, przypominając sobie, że rozpaczliwie pragnę z kimś porozmawiać, z kimś, komu mogłabym zaufać, z przyjacielem. Do diabła, pragnę kogoś lub czegoś do odwzajemnienia miłości.

– No dobra. – Opiera głowę na dłoni, przyglądając mi się.

Widzę, jak jego klatka piersiowa powoli unosi się i opada.

Usta ma zaciśnięte, ale w końcu się odzywa.

– Czy możesz mi opowiedzieć o wieczorze, kiedy cię porwano?

W głowie słyszę trzaśnięcie drzwiami.

– Czas minął, doktorku – oświadczam, zrywając się na równe nogi.

Nie chcę przywoływać tamtych wspomnień. Nie mogę tam iść. Nie chcę.

On też wstaje, odkładając tabletki na krzesło.

– Savannah. – Zatrzymuję się w połowie kroku. – Robię to od trzydziestu lat. Miałem do czynienia z wieloma pacjentami i słyszałem wiele historii. Potrzebujesz mojej pomocy, inaczej przepadniesz. Jeśli teraz odejdziesz, ciągle będziesz spoglądała przez ramię, w jakimś obłąkańczym wyczekiwaniu, aż te potwory znowu cię porwą. Tak się nie da żyć. Skorzystaj z oferty Logana. Zostań, zadbaj o swoje bezpieczeństwo i odzyskaj własne życie. Tylko ty możesz dokonać wyboru, ale do tego potrzebna jest wola walki. Nie pozwól, żeby to oni wygrali.

Wycieram mokre od łez policzki. Nawet nie wiem, kiedy zaczęłam płakać. Jego słowa mnie zraniły. Ale doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że wszystko, co mówi, jest prawdą.

– Przemyśl to jeszcze – rzuca, a następnie otwiera mi drzwi.

Wychodzę i kieruję się w stronę najbliższej łazienki, gdzie udaje mi się ochłonać. Gdy widzę swoje czerwone, zażawione oczy w lustrze, wiem, co powinnam zrobić. Poprawiam zielony sweterek z odkrytymi ramionami, tak by ładnie układał się na legginsach. To zabawne, że akurat teraz przypomniała o sobie obsesyjna potrzeba schludnego wyglądu na wypadek kontaktu z mediami. Zastanawiam się, co jeszcze z czasem powróci.

Rozdział czwarty

Savannah

Okej, okej, dasz radę. Przygryzam wargę, pukam do drzwi i czekam. Po chwili słyszę głos mówiący „wejść”, więc kładę dłoń na klamce w kształcie rękojeści, ściskam ją i popycham drzwi.

Logan siedzi na kanapie, pochylając się nad stolikiem i uważnie wpatrując się w laptopa. Czekam, podczas gdy moja dłoń wciąż spoczywa na klamce, co daje mi jakieś poczucie wsparcia. Nie wiem, od czego w ogóle mam zacząć tę rozmowę.

– Logan? – szepczę.

Podnosi głowę, a kiedy orientuje się, że to ja, otwiera szerzej oczy i jego spojrzenie łagodnieje.

– Czy mogę zamienić z tobą słówko?

Zamyka laptopa, jego usta rozciągają się w uśmiechu.

– Oczywiście, Savannah. Wejdz, usiądź. – Wskazuje na kanapę przed sobą. – Jak było u doktora Roberta?

– Interesująco.

– Właśnie widzę. Podjęłaś decyzję, czy chcesz zostać, czy wrócić do domu?

Biorę głęboki wdech. Dobra, miejmy to z głowy.

– Myślę, że chciałabym zostać.

Jego mina mówi sama za siebie. W zasadzie to nie rozumiem, dlaczego tak bardzo go to obchodzi. Kim ja dla niego jestem, jak nie jakąś zwykłą świruską?

– Słuszna decyzja, Savannah. – Podchodzi do regału z segregatorami, wyciąga kilka dokumentów i kładzie je przede mną. – Tak jak mówiłem wcześniej, jeśli chcesz tu zostać, musisz podpisać kilka rzeczy. To jest umowa o zachowaniu poufności.

Kiwam głową, zerkając na papiery.

– To dokument stwierdzający, że przebywając w tym domu oraz po jego opuszczeniu, nigdy nie zdradzisz nikomu jego lokalizacji. Nigdy nie będziesz rozmawiać z kimkolwiek spoza tego domu o tym, dlaczego tu jesteś. Wychodząc poza teren nieruchomości, będziesz pod eskortą przez cały czas. To dla twojej, jak i naszej ochrony. Ktoś może cię śledzić i trafić tu za tobą. Możesz odejść w dowolnym momencie, ale nie będzie wtedy powrotu. Nie uratujemy cię po raz drugi. Myślisz, że poradzisz sobie z tym wszystkim, żyjąc pod tak ścisłą ochroną? Z tyłoma zasadami? Zostaniesz całkowicie odcięta od swojego dawnego życia.

– Straciłam siedem miesięcy przez tych drani. Jeśli w ten sposób mogę je odzyskać, to niech tak będzie – stwierdzam, a potem czytam wszystko uważnie, by zrozumieć każde słowo. – Poproszę o długopis – mówię po chwili.

Logan podaje mi pióro, które trzymał w kieszeni na piersi. Kreślę nim swój podpis nad czarną linią – Savannah Miller.

Wyciąga do mnie rękę.

– Witaj w naszym domu.

Podaję mu dłoń, zauważając, jak mała wydaje się w porównaniu z jego.

Coś nieokreślonego przemyka po jego twarzy, cofa rękę, odsuwa się i prostuje.

Wstaję, nie chcąc zajmować więcej jego czasu. Muszę zaczerpnąć powietrza. Czuję się, jakbym właśnie wypisała się z własnego życia. Zatrzymuję się przy drzwiach.

– Logan, dziękuję za uratowanie.

Uśmiecha się, a jednocześnie uśmiechają się też jego oczy.

– To była czysta przyjemność, Savannah.

*

Znajduję Abigail w pralni. Jest bardzo zajęta i wygląda na przeładowaną obowiązkami. Kilku facetów zadaje jej jednocześnie milion pytań, więc zostawiam ją w spokoju. Nie musi mnie już niańczyć. Znam dom i teren wokoło na tyle dobrze, że mogę sama swobodnie się po nich poruszać.

Idę nad jezioro i spaceruję wzdłuż brzegu. To jedno z moich ulubionych miejsc. Panuje tutaj taka cisza. Ale nie „głucha” cisza jak w tamtej celi. Ta jest inna. To przyjemne, spokojne miejsce. Dzięki wszystkim cudownym, łagodnym dźwiękom, które mnie otaczają, nie czuję się samotna. To zabawne, że taka cisza wcale nie jest cicha. Świadomość, że między drzewami kryje się ochrona, również zapewnia mi poczucie komfortu. Bardzo tęsknię za ojcem, a jeszcze bardziej za Lynn. Brakuje mi nawet pracy. Ale myślę, że życie w ciągłym strachu zniszczyłoby mnie jeszcze bardziej niż niewola, której doświadczyłam. Tak, pozostając tutaj, dokonałam właściwego wyboru – przynajmniej mam taką nadzieję.

*

Kiedy wracam kilka godzin później, biedna Abigail wciąż zмага się z praniem. Wygląda na wyczerpaną, więc postanawiam jej pomóc. Wchodzę do kuchni, otwieram zamrażarkę i wyciągam górę steków. Patrzę na kalendarz, który Abigail codziennie sprawdza i widzę, że na dzisiejszej kolacji ma być piętnaście osób. Czekając na rozmrożenie mięsa, biorę się za inne rzeczy. Zawijam duże ziemniaki w folię aluminiową i siekam tyle marchewek, że można by nimi wyżywić małą armię. Odcinam końcówki szparagów, skrapiam je oliwą, a potem doprawiam solą i pieprzem. Gdy piekarnik się nagrzewa, obieram i siekam jabłka, po czym wrzucam je do trzech dużych naczyń żaroodpornych, dodaję cynamon, cukier i odrobinę masła, a wierzch posypuję pokruszonymi płatkami owsianymi.

Nie powinno mnie dziwić, że grill jest tak ogromny – co takie nie jest w tym domu? Ale mimo to czuję się dość onieśmielona, kiedy mam go rozpać. W końcu udaje mi się, i to bez podpalenia domu, więc mogę zacząć opiekać ziemniaki.

W ciągu godziny po kuchni zaczyna rozchodzić się piękny aromat. Wyciągam z piekarnika ciasto i odstawiam je na bok do ostygnięcia.

– Co tak pachnie? – słyszę, jak ktoś woła, po czym rozlega się odgłos ciężkich kroków. – Dobry Boże, moje usta dosłownie są zalane śliną! – Mark Lopez, facet z poprzedniego wieczoru, wychodzi zza rogu. – Cześć, Savi. – Uśmiecha się, rozglądając po kuchni. – Coś gotujesz? Błagam, powiedz, co to za niebiański zapach. – Siada na stołku przy wyspie naprzeciwko mnie.

– Ciasto jabłkowe – oznajmiam, wskazując na deser na ladzie.

– O, ja pierdolę... ona mówi. – Unosi żartobliwie brew.

– Ona mówi – odpalam z uśmiechem. Udaje mu się mnie rozbawić.

– Tak, tak, coś wymyślę. Może zamówię pizzę... – Abigail przerywa, kiedy wchodzi do kuchni i odkłada słuchawkę. – Savannah? – Wygląda na zaskoczoną.

O cholera. Chyba przesadziłam. Może nie powinnam była się wtrącać. Gotowanie to jednak jej działka.

– Przepraszam.

Na twarzy Abigail pojawia się uśmiech.

– Savannah przemówiła – informuje Mark, uśmiechając się do niej.

Abigail przechodzi obok niego, klepiąc go żartobliwie w tył głowy. Rozgląda się po kuchni i ze zdumieniem patrzy na jedzenie. Po chwili jej wzrok przeskakuje na mnie.

– Ty to zrobiłaś? – pyta.

– Tak, przepraszam, jeśli niepotrzebnie się wtrąciłam. Byłam...

– Przepraszam? Kochanie, ależ nie ma za co. – Jej twarz zalewa rumieniec. – Dziękuję, że to zrobiłaś. To miło z twojej strony. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że ktoś zauważył, że potrzebuję pomocy. – Pochyliła się nade mną i mocno mnie przytuliła.

Na początku stoję sztywno, ale nie potrafię wzbraniać się przed uczuciem sympatii, jakie w stosunku do niej odczuwam. Moje ramiona powoli obejmują ją, poddają się temu uczuciu. Czuję, jak od mojego serca odrywa się kawałek cementu.

– Jeśli potrzebujecie побыć same, mogę wyjść – śmieje się Mark.
To takie typowe dla mężczyzn: żartować z doświadczanych emocji.
– Idź się umyć. Wiem, chłopcy, że dopiero co wróciliście z treningu. – Wygania go z kuchni.
Mark macza palec w jabłkowym sosie i oblizuje go.
– Mniam!
– Nie zmuszaj mnie, żebym pokazała ci, gdzie raki zimują. – Posyła mu surowe spojrzenie.
Mark śmieje się całą drogę, kiedy przemierza korytarz.
Wygląda na to, że Abigail jest tutaj jak darzona przez wszystkich szacunkiem matka.
*

Kiedy siadamy do kolacji, zaczynam czuć się nieswojo. Wszyscy chwalą mnie za wspaniałe jedzenie, kiedy dowiadują się, że to ja je przygotowałam. Wszystko ułożone jest na talerzach na środku stołu, każdy coś komuś podaje.

Do jadalni wchodzi Logan i siada przy stole, przepaszając za spóźnieniem.

Po chwili pojawia się York i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Puszczą do mnie oko, siadając na krześle. Chryste, ależ on jest dziwnie niepokojący. Niektórzy rozmawiają, głównie o wieczornym meczu hokejowym. Ja skupiam się na jedzeniu. *Małymi kroczkami*, powtarzam sobie. Trącam widelcem kawałek ziemniaka. Wiem, że muszę więcej jeść, ale mój żołądek najwyraźniej skurczył się do wielkości ziarenka grochu.

– Burke nie był psychopatą – woła York, wyklócając się ze swoim kumplem po drugiej stronie stołu.

Od razu wiem, o czym mówią.

– Kogo to obchodzi? To tylko film.

– Tommy DeSimone był psychopatą – wtrącam się, sprawiając, że wszyscy przy stole milkną wpatrzeni we mnie.

York dziwne mi się przygląda.

Tak, zgadza się, kretynie. Umiem mówić.

– Tommy był szalony, nie Burke. – Patrzę na gościa, z którym kłócił się York. – I tak naprawdę to książka była pierwsza, zatytułowana *Chłopcy z ferajny*, napisana przez reportera śledczego Nicholasa Pileggiego, a opublikowana w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Pięć lat później został nakręcony film pod tym samym tytułem. – Wciągam powietrze. Nie powiedziałam tyle naraz od bardzo dawna. Wspaniałe uczucie.

– O cholera! – Mark śmieje się, celując nożem w Yorka. – Ale cię zjechała!

Cały stół wybucha śmiechem. York bacznie mnie obserwuje. Ja sama wciąż nie mogę uwierzyć, że w końcu się odezwałam, i to przy tylu osobach.

– Co do tego nie było wątpliwości. Jimmy mógł kogoś zatłuc, i to równie łatwo, jak podać mu rękę. Nie robiło mu to różnicy. Przy obiedzie potrafił być najlepszym facetem na świecie, ale potem, na deser, mógł cię zniecka załatwić¹. – York cytuje fragment książki, najwyraźniej chcąc mi pokazać, że zna ją na pamięć. Po cichu zastanawiam się, czy to ukryta groźba za to, że go zawstydziłam.

– Rozdział drugi, akapit dwudziesty czwarty – odcinam mu się. – Aha, a na deser mamy ciasto jabłkowe. Gdybyś więc mógł się jednak na chwilę powstrzymać i wysadzić mnie w powietrze troszeczkę później, to byłabym wdzięczna.

Logan pierwszy wybucha śmiechem. Za chwilę dołącza do niego reszta.

– Jest dobra – woła Logan, próbując przekrzyknąć ryk śmiechu.

York odchyła się, krzyżuje ramiona i mi się przygląda. Jego wzrok przyprawia mnie o dreszcze. Hałas przy stole cichnie, słychać tylko, jak kilku chłopaków zmiata z talerzy resztki jedzenia. York znów się odzywa. Najwyraźniej myślał intensywnie nad tym, co ma powiedzieć.

– Savannah, nie wyglądasz na kogoś, kto czyta tego rodzaju powieści – mówi, wbijając widelec w ostatni kawałek steka.

Wzdrygam się, co bardzo mi się nie podoba. Jestem pewna, że stwarzam w ten sposób nieprzyjemną atmosferę. Nie pozostaje to niezauważone, ponieważ na twarzy Yorka pojawia się złośliwy

uśmieszek.

– Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ostatnio widziałem tę książkę. – Ostentacyjnie stuka palcem w stół. – A tak, zgadza się, leżała na stoliku w twojej celi.

Moja ręka zaczyna drżeć, widelec głośno pobrzękuje o talerz.

– York. – Logan podnosi wzrok znad posiłku.

Kiedy wpatruję się w swoje ręce, z głębi mojego umysłu wypelza na powierzchnię niechciany widok i przed oczami staje mi obraz celi.

– Mały drewniany stół, prawda, ze stołkiem? – dodaje, a mój żołądek skręca się boleśnie.

– Przestań, York – ostrzega go Logan. Jego głos ma szorstki ton.

Wstaję, desperacko próbując wydostać się z tej sytuacji, ale ciepła dłoń Logana obejmuje moją.

– Savannah, proszę zostań.

Patrzę na niego. Nie mogę znieść tych wszystkich wpatrujących się we mnie oczu. Orientuję się, że masuję swój brzuch, czując narastające torsje. Logan patrzy na Yorka i kiwa głową w kierunku drzwi. Ten krzywi się, odstawia piwo, po czym odchodzi od stołu, mamrocząc coś pod nosem.

– John – odzywa się Abigail, przełamując napięcie, jakie zapanowało w jadalni. Mężczyzna naprzeciwko niej podnosi głowę. – Wybierasz się jutro do miasta?

Logan wciąż trzyma moją rękę. Zabieram ją. Czuję, że tutaj nie pasuję.

– Przepraszam, nie chciałam wszczynać żadnej kłótni – szepczę, bo nie chcę, żeby ktoś inny mnie usłyszał.

Kąciki jego ust lekko się unoszą.

– Żartujesz? To cudowna odmiana móc zobaczyć, jak ktoś stawia się Yorkowi. Czasami potrafi być prawdziwym dupkiem. – Znowu sięga po moją rękę i szarpie ją lekko. – Proszę usiądź. – Opadam z powrotem na krzesło.

– Abigail, kolacja była pyszna.

– Jej podziękuj, to Savannah wszystko zrobiła.

Logan kieruje wzrok na mnie.

– Ty to wszystko przygotowałaś? – pyta zaskoczony.

Przytakuję.

– Jest jeszcze deser – dodaje Mark. – *À propos...* – Sięga do stolika pod ścianą i bierze naczynie z ciastem, a następnie stawia je przed nami, po czym zanurza w nim widelec.

– Robi wrażenie. Myślę, że jeszcze wiele musimy się o tobie dowiedzieć. – Logan uśmiecha się i nakłada dla siebie porcję.

Tak, coś mi mówi, że przeprowadzona przez nich weryfikacja tożsamości nie obejmowała moich umiejętności kulinarnych. Pomimo małej sprzeczki z Yorkiem jestem z siebie zadowolona. Pomogłam Abigail, kiedy tego potrzebowała, i chyba każdemu smakowała kolacja. Wszyscy mi dziękują, wstając od stołu.

*

– Dzień dobry, Savannah. – Doktor Roberts wita mnie przy wejściowych drzwiach, kiedy zmierzam do jego gabinetu na poranną sesję terapeutyczną. – Pomyślałem, że może moglibyśmy przenieść dzisiejszą sesję na zewnątrz?

– Pewnie.

Idę za nim przez trawnik do zadaszonej huśtawki ogrodowej. Siada obok. Dziwnie się z tym czuję, bo zwykle zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

Siedzimy w milczeniu, obserwując ośmioosobowy wojskowy kajak sunący po jeziorze. Zastanawiam się, kto na nim jest. Mark, Logan, a może nawet York? Poranne słońce grzeje, ale chmury otulające góry zwiastują, że to nie potrwa długo. Idealna pogoda na Halloween, jak sądzę. Nieoczekiwanie ziewam, lekarz poprawia się na huśtawce. Wiem, że cisza ma się ku końcowi.

– Jak spałaś?

– Dobrze – kłamię.

Spogląda na mnie i czeka.

– Kiedy zasypiam, to tak, jakbym wracała do tamtej celi.

– I co się dzieje, gdy tam jesteś?

Drżę i zamykam oczy.

– Znowu jestem sama. Zimno mi. Mam na sobie brudną, białą koszulę nocną i brązowy sweter, który jest na mnie zdecydowanie za duży. Czuję pleśń i gnijące jedzenie. Skręca mnie od tego w żołądku.

– Masuję się po brzuchu. – Czasami budzę się i wymiotuję, innym razem nie mogę się obudzić, a jak w końcu mi się to udaje, czuję niepokój i nie mogę ponownie zasnąć.

– Co noc jest ten sam sen, czy to się zmienia?

– To był ten sam sen aż do ostatniej nocy. Ten tłścioch...

– Jose Jorge? – dopytuje, bo nie chce, żeby mu coś umknęło.

– Tak, Jose. Pojawia się z tacą z jedzeniem. – Przerywam na chwilę, przyciskając język do podniebienia. Mam ochotę krzyknąć i zakląć, ale powstrzymuję się, bo przecież nie jeden raz już to robiłam. – Napawał się władzą, jaką miał nade mną. Był prawdziwym tyranem. Nie znajduję lepszego określenia.

– Hmm – mruczy, kiwając głową.

– Co?

– Myślisz, że sen zmienił się na skutek wczorajszego zajścia przy kolacji?

Patrzę na niego zdeorientowana. Skąd o tym wie?

Wzrusza ramionami, uśmiechając się pod nosem.

– Zrobiłaś spore wrażenie na chłopakach. Lubią cię.

Patrzę na jezioro w oddali. Miło usłyszeć coś takiego.

– Być może – zgadzam się.

– Mogę ci coś dać na...

– Nie, dziękuję – przerywam mu.

Nie chcę, aby cokolwiek zakłócało mi odzyskane poczucie wolności.

– Cóż, daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

Terapeuta nie zadaje więcej pytań na temat mojego uwięzienia, a ja sama też nie spieszę się udzielać mu dalszych informacji. Ponowne przeżywanie tego koszmaru jest dość bolesne.

– Opowiedz mi o swoim ojcu, Savannah. Jaki on jest?

Podciągam kolana do piersi, czując jak bardzo brakuje mi ojcowskiego wsparcia. Między nami nie zawsze było dobrze i to jemu zawdzięczam wiele mentalnych blizn, ale to jednak mój tata.

– Jesteśmy dość blisko. – Przetykam głośno ślinę. – Robiliśmy typowe rzeczy, które robi się z pracującym rodzicem. Kiedy byłam młodsza, łowiliśmy ryby i chodziliśmy po górach. Kiedy zagłębił się w świat polityki, nie widywaliśmy się już tak często, ponieważ był zajęty i pod ciągłą presją. Moje zachowanie też nie pomagało mu obniżyć poziomu stresu.

– Co masz na myśli?

– Nie mogłam przyzwycząić się do rozgłosu, jaki mi towarzyszył jako córce burmistrza. Nienawidziłam tego. Zresztą nadal tak jest. Nigdy nie byłam typem imprezowicza czy osobą, która pakowała się w kłopoty, a mimo to za każdym razem, kiedy gdzieś wychodziłam, dopadali mnie paparazzi i fotografowali w kompromitującej pozycji, po czym snuli te swoje żenujące historie. Trafiałam na pierwsze strony gazet, a mój ojciec musiał sobie radzić z reperkusjami. Zdarzało się to tak często, że w ogóle przestałam wychodzić. Pewnego razu przewróciłam się przez pijanego faceta w pubie, a historia głośniła, że byłam pijana i powinnam uczęszczać na spotkania AA. Myślałam, że umrę, kiedy mój ojciec zaczął wierzyć w te kłamstwa. I zwyczajnie przestałam próbować żyć własnym życiem. – Milknę i ponownie z trudem przetykam ślinę. – Minął rok, odkąd byłam ostatni raz w pubie czy barze, aż pewnego popołudnia znajomi z pracy nalegali, abym do nich dołączyła i uczciła pozyskanie nowego klienta. Zgodziłam się i świetnie się bawiłam. Tak dobrze było znowu gdzieś wyjść. Następnego dnia, w dniu, w którym zostałam... – urywam, nie mogąc wypowiedzieć tego słowa.

– Porwana – kończy za mnie.

– Tak. Moja przyjaciółka Lynn wpadła do mnie z egzemplarzem „Us Weekly” z moim wypiętym tyłkiem na okładce. Zdjęcie zostało oczywiście *sfotoszopowane*. Sukienka nie była aż taka krótka. Byłam

wściekła, że po tak długim czasie media nadal miały mnie za niechlujną pijaczkę. Ja prawie w ogóle nie piję, naprawdę! – Kręcę głową. – Oczywiście mój ojciec się wkurzył i powiedział mi, że porozmawiamy o tym podczas kolacji następnego wieczoru. Do spotkania nie doszło. – Gęsia skórka powoli pokrywała moje ramiona. Biorę głęboki wdech, próbując opanować emocje. – Nie mogę pogodzić się z tym, że podczas ostatniej rozmowy z moim ojcem czułam, że znów jest mną rozczarowany.

Lekarz podaje mi chusteczkę.

– Trudno jest być w centrum uwagi, zwłaszcza jeśli nigdy się o to nie zabiegało – stwierdza. – Smutne, że ludzie bardziej interesują się celebrytami niż tym, co dzieje się w ich własnym kraju. Oddziały wysyłane do walki o naszą wolność nie interesują mediów tak bardzo jak rodzina Kardashianów. – Wstaje i prostuje nogi. – Dobrze się dzisiaj spisałaś, Savannah. Spróbuj teraz odpocząć. Widzimy się jutro. Ciesz się słońcem, póki jest.

– Dziękuję.

*

Moja stopa oparta jest o mały stolik, dzięki czemu mogę się delikatnie kołysać. Odchylam głowę i czuję nadchodzący deszcz. Od strony gór dobiega niski łoskot, ostrzegając przed nadciągającą burzą. Minęło dużo czasu, odkąd miałam okazję oglądać pokaz siły matki natury. Kiedy siedziałam w zamknięciu, strasznie tęskniłam za zmieniającymi się porami roku, jakich doświadcza się w Nowym Jorku. Tamten czas bez okien był okropny.

– Mogę się dosiąść?

Podnoszę głowę i widzę Logana stojącego obok huśtawki. Ma ze sobą koc, termos i dwa kubki.

– Pewnie. – Siadam prosto, żeby zrobić mu miejsce.

Jestem zaskoczona jego troską, ale jednocześnie zadowolona. Wiem, jaki jest wiecznie zajęty.

– Uwielbiam burzę – mówi, odkręcając termos. – Abby powiedziała mi, że lubisz kawę. Wygląda na to, że coś nas łączy. – Podaje mi kubek, a ja ściskam go palcami, aby je ogrzać.

– Dziękuję.

Odchyła się na oparcie i okrywa mi kolana kocem.

– W Montanie o tej porze roku temperatura potrafi szybko spaść.

Zaraz, zaraz, że niby gdzie?

– Montana?

Poprawia się na huśtawce, przez co ta zaczyna się kołysać.

– Przepraszam, ale chyba nie podpisałaś jeszcze umowy poufności.

– Podpisałam, więc co jeszcze mi powiesz? – Uważam, że mam prawo zapytać.

Wypuszcza długo powietrze.

– A co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko – odpowiadam bez wahania. – Możesz zacząć od wyjaśnienia mi, kim jesteście. – Pokazuję ręką teren dookoła. – Abigail trochę mnie wprowadziła. Powiedziała, że jesteście najlepiej wyszkolonymi zawodowcami, a niektórzy są nawet z sił specjalnych.

Logan upija łyk kawy.

– Wszyscy jesteśmy żołnierzami sił specjalnych – poprawia mnie. – Mój dziadek był założycielem tej grupy. Nazywamy się Shadows. Rząd Stanów Zjednoczonych potrzebował grupy wysoko wykwalifikowanych specjalistów, którzy mogliby wjeżdżać do Meksyku i wyjeżdżać z niego niezauważeni i zbierać informacje na temat karteli, takich jak *Los Sirvientes Del Diablos* i kilku innych, trudniących się narkotykami i porwaniami. Na początku zajmowaliśmy się tylko tym, potem zaczęli nas wykorzystywać do odbijania zakładników i bezpiecznego przeprowadzania ich przez granicę. To wtedy powstało to miejsce. Potrzebowaliśmy jakiegoś bezpiecznego lokum, do którego moglibyśmy przywozić odbite osoby i dopiąć wszystko na ostatni guzik. Lubimy nazywać ich naszymi „gośćmi”. Kiedy robi się bezpieczne, wracają do domu i dawnego życia, a my bierzemy się za następcą robotę.

– Dlaczego Montana? Dlaczego nie gdzieś bliżej granicy jak Teksas czy Kalifornia?

– Bo właśnie tam by najpierw sprawdzali. A komu wpadłoby do głowy, żeby szukać nas na tyłach gór Montany? Poza tym tutaj mamy całkiem niezłą przewagę, jeśli zostaniemy zaatakowani. – Gestem

wskazuje okolicę. Dookoła nas teren widoczny jest na wiele kilometrów.

Ciągle zastanawiam się, jak się tutaj dostałam, ale niezmiennie pamiętam tylko kabinę samolotu, a potem obraz się zamazuje. Myślę o innych ludziach, którzy byli tu przede mną, i o tym, jak oni się tu czuli.

– Byli tacy, którym się nie udało? No wiesz, po powrocie do domu.

Kiwa głową.

– Tak. Niektórzy nie chcieli naszej pomocy i wrócili, zanim zrobiło się bezpiecznie, więc zostali ponownie porwani lub zabici. Niektórzy nie mogli poradzić sobie z tym, przez co przeszli, i sami dokończyli dzieła.

Cudownie.

Chyba musiał zauważyć moją minę.

– Mamy wysoki wskaźnik skuteczności, Savannah. Osiemdziesiąt pięć procent ocalonych wiedzie normalne życie.

– Kto był waszym ostatnim „gościem”?

Patrzy na mnie uważnie.

– York wspomniał coś o tym, że ta ostatnia nie była tak ładna.

Przewraca oczami.

– York – mamrocze pod nosem. – Kobiet nie mieliśmy tu zbyt wiele. Głównie bogatych biznesmenów. Były dwie kobiety po pięćdziesiątce, jakieś żony ważnych gości. Jesteś pierwszą, która jest młoda i... no... ładna.

Rumienię się na ten niespodziewany komplement.

Logan odchrząkuje.

– Nie muszę też dodawać, że wszyscy ucieszyli się, że zdecydowałaś się zostać. – Nie unoszę wzroku. – Poza tym, masz w dupie Yorka, a to dla nas po prostu czysta frajda móc oglądać, jak ktoś się z nim drażni.

– Jestem tutaj jedyną ofiara... – *nie znoszę tego słowa* – taką osobą? Są jeszcze inni?

– Póki co tylko ty.

Kiwam głową, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. Nad nami zaczynają kłębić się chmury. Spektakularne widowisko. Liczne odcienie szarości zmieniają kolor jeziora. Obejmuję się ramionami, wyczuwając zmianę nastroju.

– Wywołuje we mnie jakiś niepokój – wyznaję.

Logan spogląda na mnie.

– Kto?

– York.

– Naprawdę?

Przytakuję.

– Savannah, spójrz na mnie, proszę. – Odrywam wzrok od ziemi i napotykam jego spojrzenie. – Jeśli zrobi lub powie coś, co sprawi, że poczujesz się nieswojo, powiedz mi od razu, dobrze?

– Jestem pewna, że to nic takiego.

Kręcę głową. Głupio mi, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Nieważne, po prostu powiedz mi. Mów, jeśli przez kogoś z nas czujesz się tutaj nieswojo.

Głośny grzmot sprawia, że podskakuję, prawie rozlewając kawę. Odkładam kubek na stół i naciągam na siebie koc. Podciągam kolana do piersi, jak miałam w zwyczaju, kiedy słyszałam ten okropny dźwięk, dźwięk przekręcanego klucza w zamku, licząc, że w ten sposób mogę się jakoś ochronić.

Z nieba zaczyna lać, jakby ktoś odkręcił kran do oporu. Oboje przesuwamy się w kierunku środka huśtawki, chowając się przed ściekającą z daszku wodą. Ramię Logana spoczywa na oparciu za mną, jest tak ułożone, że wygląda to, jakby mnie osłaniał. Robi to chyba instynktownie. Ten niewielki gest sprawia, że w środku czuję rozlewające się ciepło. *Też mi coś.*

– Widzisz ich? – Wpatruję się w drzewa i odpycham od siebie uczucie, które przed chwilą się pojawiło.

– Tak, bo wiem, gdzie patrzeć. To jedno, poza tym wyszkolono mnie, żebym był czujny na jakikolwiek ruch.

– Czyli niby tu tak sobie ze mną tylko siedzisz, ale cały czas wiesz, gdzie są?

Kiwa głową, spoglądając na prawo ode mnie i wskazując na gęsto zalesiony obszar.

– Jeden jest tam.

Mrużę oczy, ale nikogo nie widzę.

– Tam. – Wskazuje głową w prawo. – Dwóch na plaży.

– Nie no, nabijasz się ze mnie? – pytam, robiąc sceptyczną minę.

Uśmiecha się, wyciąga małe radio i przełącza kanał.

– Beta Seven, pokaż się. – Rzeczywiście, z mojej prawej, dokładnie tam, gdzie wskazał Logan, wychodzi facet ubrany w kamuflujący strój. – Możesz wrócić na stanowisko. – Mężczyzna odwraca się i znika wśród drzew.

– Dobra, miałeś rację – mówię, szcękając zębami. Zaczyna robić się bardzo zimno.

Wstaje i podaje mi rękę.

– Idziemy do środka. Zmarzłaś.

*

Biorę gorący prysznic, wkładam suche ubrania i idę do salonu, aby zająć ulubione miejsce przed kominkiem. Ledwie siadam, a znikąd pojawia się Scoot i wskakuje mi na kolana. Wciska się pod rozpięty sweter i owija wokół mojej talii – widocznie jest mu zimno albo naznacza mnie swoim zapachem. Tak czy inaczej, łaskocze mnie i sprawia, że wybucham głośnym śmiechem.

– Nooo, to dopiero cudowny dźwięk. – Logan uśmiecha się, siadając na kanapie naprzeciwko mnie. Przebrał się w dżinsy i czarną koszulę z długim rękawem. Wygląda na jakieś trzydzieści lat. Jego koszula podkreśla wysportowaną sylwetkę. Co do tego nie ma wątpliwości – tutaj wszyscy ciągle coś trenują.

– Całkiem przyjemny – przyznaję, ale nie nawiązuję kontaktu wzrokowego. Scoot usłyszawszy głos Logana, wychyla głowę. Przez tego małego drania mój różowy podkoszulek na dole zrobił się cały biały. – Hej – klepię go po łebku – myślałam, że dogadaliśmy się w sprawie futra. – Patrzy na mnie i miauczy.

Pokój wypełnia jasne światło, po czym słychać grzmot, który wstrząsa oknami. Deszcz zaczyna walić o szyby. Scoot zeskakuje z moich kolan i chowa się pod krzesłem. Miałabym ochotę zrobić to samo. Wstaję, czując niepokój. Robi się ciemno, mimo że jest dopiero druga po południu.

Patrzę przez okno na las i myślę o kryjących się tam mężczyznach.

– To miejsce jest cały czas monitorowane, prawda?

– Tak. – Logan podchodzi do okna i staje za mną. – Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– To dlaczego nie zawołasz chłopaków do środka? Pada deszcz. Nie za zimno im tam? W ogóle jedli jakiś lunch?

W odbiciu okna widzę, jak się uśmiecha.

– Mają miejsce, gdzie mogą się schronić i odpowiedni sprzęt przeciwdeszczowy. To nie są ochroniarze z centrów handlowych – naśmiewa się. – Dla nich burzowa noc to jak spacer po parku. Poza tym to ich praca, którą zresztą dobrze wykonują.

– Ale nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, prawda? To znaczy, powiedziałaś, że tylko garstka ludzi wie, gdzie jesteśmy, więc po co ta ochrona...?

– To, że nie widzimy niebezpieczeństwa, nie oznacza, że ono nie istnieje – wyjaśnia, przerywając mi. Krzyżuje na piersi ręce i staje obok mnie. – Mężczyźni, którzy cię porwali, należą do karteli, które bez najmniejszego problemu zabijają własnych ludzi w biały dzień na środku ruchliwej ulicy. Policja nie ma nad nimi żadnej kontroli. Shadows, nasza grupa, działa od prawie trzech pokoleń... pomyśl tylko, ilu ludzi wkurzyliśmy. – Spogląda na mnie przez ramię, a jego spojrzenie łagodnieje. – Nie martw się. Pilnuję, aby byli odpowiednio karmieni, poza tym ich zmiana kończy się za dwie godziny.

Kiwam głową, czując się trochę lepiej, jeśli chodzi o chłopaków, ale już nie tak bardzo z powodu tego, co właśnie powiedział.

– Abigail wspomniała, że aktualizujesz sprzęt. To tylko zwyczajowa część protokołu bezpieczeństwa, czy robisz to ze względu na mnie i nadbagaż, jaki za sobą wlekę, czyli tych, którzy na mnie polują?

– Jedno i drugie.

Skoro tak ochoczo odpowiada na moje pytania, postanawiam z tego skorzystać i zadać mu jeszcze jedno, które zżera mnie żywcem, odkąd tu przyjechałam.

– Czy to mój ojciec kazał wam mnie uratować?

Huk grzmotu sprawia, że zacinam się na ostatnim słowie.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – oświadczam. – Przykro mi.

– Kiedy będę mogła z nim porozmawiać?

– Wkrótce, kiedy będziemy pewni, że to bezpieczne.

– I znowu to samo słowo – bąkam, podskakując na dźwięk kolejnego grzmotu. Chryste, mam nerwy w strzępach! Nie znoszę, kiedy zamieniam się w kłębek nerwów. Czuję, że wzbiera we mnie złość od nadmiaru targających mną emocji. – Ile ci dranie chcieli za mnie dostać? No mów, ile jestem warta?

– Savannah – Logan odwraca się do mnie – nie myśl w ten sposób.

Patrzę mu prosto w oczy. Teraz wiem, że jestem wściekła.

– Pięćdziesiąt tysięcy – mamrocze.

Czuję, jak mój żołądek zapada się i przewala niczym kula tocząca się po drewnianej podłodze.

– Miło wiedzieć, że siedmiomiesięczna tęsknota za dawnym życiem jest warta tylko pięćdziesiąt tysięcy! Czyli to wychodzi... około siedmiu tysięcy miesięcznie. – Kręcę głową. – Nic dziwnego, że ledwo mnie karmili. – Jestem rozgoryczona, zła i smutna. Próbuję powstrzymać łzy, ale bez powodzenia.

Logan dotyka mojego ramienia i delikatnie je ścisną. Czuję, że coś go jeszcze gryzie. Chodzi pewnie o podanie mojej łącznej wartości netto.

Nagle to do mnie dociera.

– Jeśli jestem warta tylko pięćdziesiąt tysięcy, to dlaczego mój ojciec nie zapłacił? Dlaczego musiałam gnić w tej celi prawie rok?

– Savannah, to nie takie proste, to nie jest tak, że ot tak wręczasz komuś pieniądze i po sprawie. Zawsze towarzyszą temu jakieś sztuczki i machlojki. W wielu przypadkach ofiara ginie na długo przed tym, kiedy rodziny zgodzą się zapłacić okup. Porywacze nagrywają wideo mające potwierdzić, że ofiara żyje lub robią zdjęcia, zanim ją zabiją, i wykorzystują te zdjęcia czy nagrania podczas negocjacji.

Krew odpływa mi z twarzy, gdy w głowie wyświetla się kolejna retrospekcja.

Logan kładzie dłoń na moich ramionach, podtrzymując mnie.

– No, no, już. Powinnaś usiąść.

Kręcę głową, nie słuchając.

– To dlaczego darowali mi życie? Dlaczego mnie nie zabili? Tylko mnie przetrzymywali. To nie ma sensu.

– Właśnie próbujemy to rozgryźć. Kiedy po ciebie przyszlismy, podrzuciliśmy dowody, które miały wrobić brata Rodriga. W przeszłości było między nimi trochę złej krwi i mieliśmy nadzieję, że to zmyli ich trop. Wiedzieliśmy, że nie na długo, ale na chwilę powinno załatwić sprawę. Potrzebujemy więcej czasu, aby dokładnie zorientować się, co się dzieje.

Podrzucone dowody, nieprawdziwy dowód życia, pięćdziesiąt tysięcy dolarów – kręci mi się w głowie. Zanim się orientuję, co się dzieje, Logan sadza mnie na kanapie i każe wsadzić głowę między nogi.

– Oddychaj, Savannah. – Przesuwa silną dłoń po moich plecach. – Za dużo informacji naraz. Wiele przeszłaś, ciało i mózg potrzebują czasu, aby to przetrawić. Obiecuję, że w swoim czasie odpowiem na wszystkie twoje pytania, ale na razie wystarczy.

Ma rację, za dużo tego wszystkiego. Zaczynam płakać.

Przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. Czuję, jak otula mnie jego zapach. Minęły lata, odkąd trzymał mnie w ramionach jakiś mężczyzna, ktoś inny niż mój ojciec, i czuję się miło... prawie bezpiecznie.

*

Budzi mnie huk, który mógłby przywrócić bicie serca umarłemu. Leżę na kanapie, wpatrując się w ogień i próbuję złapać oddech. Pokój wypełnia światło błyskawicy, po czym następuje kolejny wstrząsający ziemią grzmot. Siadam i rozglądam się. Jestem sama w tym ogromnym domu w samym środku gwałtownej burzy, która przypomina starcie tytanów. Idę powoli do kuchni. Zapewne to Abigail zostawiła dla mnie włączone światło. Zegar wskazuje jedenastą. Patrzę w okno akurat, kiedy niebo przesywa błyskawica, oświetlając całe jezioro. Zaciskam powieki i zakrywam uszy, czekając na następną...

– Aaaa – wrzeszczę, gdy wokół mnie wszystko dudni jak pędzący pociąg.

To jest tak nieprzewidywalne. Nienawidzę tego! Słyszę głosy dochodzące z dołu, więc ruszam w ich kierunku, mając nadzieję, że to Abigail. Naprawdę przydałoby mi się teraz towarzystwo. Głosy stają się głośniejsze, kiedy dochodzę do pokoju rozrywki. Drzwi są uchylone. Biorę głęboki wdech i wchodzę do środka. Logan, Mark, York i trzech innych mężczyzn, których znam z widzenia, siedzą przy pokerowym stole i popijają piwo.

– Hej, co tam, Savi! – Mark posyła mi łobuzerski uśmiešek. – Obudziliśmy cię? – Wszyscy się odwracają i na mnie patrzą.

Kręcę głową i podskakuję, słysząc kolejny trzask pioruna.

– N-nie, nie obudziliście.

– Wyglądasz na ciut zdenerwowaną – odzywa się York, sącząc piwo i wpatrując się we mnie znad butelki.

– Przestań – ostrzega go Logan. – Wszystko w porządku?

– Mhm, tak. – Znowu podskakuję, moja twarz oblewa się rumieńcem. – Szukam tylko Abigail.

– Poszła spać jakiś czas temu.

– Aha – szepczę, czując coraz większy niepokój na myśl o powrocie do swojego pokoju. – Dzięki.

– Savannah, masz ochotę do nas dołączyć? – pyta Logan, kiwając na mnie głową.

Wiem, że po prostu stara się być miły.

– Nie, wszystko w porządku. Cieszcie się swoim towarzyszem... *Bum!* – Wzdrygam się, zamykając na chwilę oczy.

Mark wstaje, aby zrobić miejsce między nim a jednym z chłopaków.

Wzdycham i się poddaję. Kogo ja chcę nabrać? Pewnie i tak usiadłabym za drzwiami, byleby tylko słyszeć ich głosy.

– Dzięki.

Mark zaczyna nowe rozdanie i podaje mi zielone żetony. Mówi, że raz w tygodniu grają dla zabawy, a raz w miesiącu na pieniądze.

– Grałaś kiedyś w pokera? – pyta York, bawiąc się kartami.

– Kilka razy. – Mój dziadek grywał od czasu do czasu. Nauczył mnie podstaw, głównie blefowania. Rozglądam się wokół stołu i patrzę na trzech pozostałych graczy. – Cześć. – Głupio tak nie wiedzieć, z kim się siedzi.

– Savannah, to jest gość, który prowadził tamtej nocy, kiedy po ciebie przyjechaliśmy. – Mark wskazuje na mężczyznę obok mnie.

– John – przedstawia się. Lewą ręką strzepuje popiół z cygara, a drugą mi podaje.

– To Paul, siedział z tyłu. – Mark wskazuje, a Paul do mnie macha. – York siedział z przodu. – York posyła mi złośliwy uśmiešek. – A to jest Keith.

– Znany również jako Beta Seven. – Logan puszcza do mnie oko.

– A, tak!

Poznaję go. To jemu dzisiaj Logan kazał wyjść z za drzew i mi się pokazać.

Bum! Podskakuję – dlaczego ten dom musi mieć tyle okien? W porę powstrzymuję się, zszokowana, że mogłam w ogóle tak pomyśleć. Czyżbym tęskniła za murami mojego więzienia? W życiu! *Chryste, przestań, dziewczyno!*

– No cóż, myślę, że powinnam to powiedzieć wcześniej, mimo to bardzo dziękuję wszystkim za uratowanie mnie. Mam wobec was dług wdzięczności.

– Po prostu robimy, co do nas należy – mówi John, kiwając głową.

– Wiem, jak mogłabyś nam to wynagrodzić. – York znacząco porusza brwiami. Logan mocno uderza go łokciem w bok, na co ten stęka i głośno przeklina.

– Kurwa, sorry! Tak tylko się zgrywałem.

– Skoro o tym mowa, możemy grać dalej? – pyta Mark, rzucając żeton na środek stołu.

Rozgrywamy kilka rozdań. Dwukrotnie pasuję, głównie po to, by obserwować mowę ciała wszystkich siedzących przy stole. Logan i Mark są trudni do rozgryzienia, pozostałym przytrafia się kilka wpadek. Wydaje mi się, że do piątego rozdania jestem gotowa, aby pozostać w grze, rzucam dwie karty i kończę z parą dwójek. Do dupy! Ale nie poddaję się, przecież nie wiedzą, co mam. Poza tym jest fajnie. Wkrótce zostajemy tylko ja, Mark i York.

– Daj spokój, Savi – żartuje Mark – daruj już sobie tę pokerową twarz.

Pamiętam, co mówił mój dziadek. Uczep się czegoś strasznego, co wydarzyło się w twoim życiu, i myśl o tym. Zrób surową minę. Tak więc, robię to... co wcale nie jest trudne.

Mark zastanawia się przez chwilę, po czym rzuca karty.

– Dobra! Pasuję.

Świetnie. Jeden z głowy. Zerkam na Yorka, który bacznie mnie obserwuje. Rzucam jeszcze dwa żetony na stół, podbijając stawkę.

– Hmm – mruczy York, wpatrując się we mnie jeszcze przez chwilę. – Nie rozegrałaś jeszcze rozdania, więc myślę, że coś masz. – Patrzy na Marka. – Jej twarz wiele mówi. Trzeba się tylko dobrze przyjrzeć. – York kręci głową pewny siebie. – A pieprzyć to, pasuję.

Nie mogę w to uwierzyć. Rozgrywamy to rozdanie od prawie trzydziestu minut, a on tak po prostu pasuje. Myśli, że jest taki cwany. Co za dupek. Zaczynam rozglądać się po pokoju, zaglądam za krzesło Marka, potem pod stół.

– Czego szukasz? – pyta zirytowany York.

– Nie no niczego... znaczy... tylko twoich jaj.

Cały stół wybucha śmiechem. Paul prawie spada z krzesła. Mark odwraca karty Yorka, odsłaniając parę dziesiątek.

– A ty, co miałaś? – York warczy na mnie.

Nie muszę mu pokazywać kart, ale robię to, bo cała sytuacja staje się jeszcze przyjemniejsza. Odwracam karty i patrzę, jak rzędzie mu mina.

Gryzie wewnętrzną stronę policzka.

Przyłapuję Logana, jak mnie obserwuje. Uśmiecha się i najwyraźniej jest pod wrażeniem. Ja również i świetnie się bawię.

– W przyszły piątek o dziesiątej wieczorem zniszczę cię, mała. – Mark wskazuje na mnie palcem i zgarnia żetony do koszyka. – Jeszcze cię rozgryzę. – Śmieje się i wstaje.

Sama też się uśmiecham i naprawdę cieszę się z ich towarzystwa. Myślę, że chyba się zaprzyjaźnimy. Pomysł jest ekscytujący, ale jednocześnie mnie przeraża. Czy naprawdę zdołam tak szybko wrócić do normalnego życia?

– Dobranoc. – Macham im na pożegnanie, kiedy rozchodzą się do swoich sypialni.

Logan odprowadza mnie do pokoju i sprawdza czy wszystko jest okej. Wiem, że stara się, żebym czuła się bezpieczna.

– Ciekawe, ile jeszcze to potrwa? – Patrzę w stronę okna.

– Według prognozy to coś większego. Poradzisz sobie sama, czy zawołać Abigail?

Odwracam się i kręcę głową.

– Nie, nic mi nie będzie. – Patrzę, jak rozpala w kominku. – Logan, dzięki za dzisiejszy wieczór. Nie musiałeś mnie zapraszać.

Wrzuca zapałkę w płomienie i staje przede mną.

– Było zabawnie. Cieszę się, że do nas dołączyłaś. – Czeka, aż minie uderzenie pioruna. – Spróbuj się przespać. Pamiętaj, Abigail jest po drugiej stronie korytarza, a ja jestem dwa pokoje dalej, na prawo od twoich drzwi.

Kiwam głową.

– Ten dom to teraz najbezpieczniejsze miejsce, w jakim mogłaś się znaleźć. – Marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym patrzy mi głęboko w oczy.

Mam motyle w brzuchu.

Powoli zbliża się do mnie.

– Mogę coś zobaczyć?

Znowu kiwam głową, bo czuję się przy nim bardzo dobrze.

Odgarnia mi włosy z twarzy, przesuwa gorącymi palcami po mojej skroni i zatrzymuje się na policzku. Walczę ze sobą, by nie zamknąć oczu i pławić się w ciepłym uczuciu, które rozlewa się po moim ciele. Wypuszczam powoli powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech. Logan zamyka oczy. Wygląda, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale ostatecznie się powstrzymuje.

– Dobranoc. – Opuszcza rękę i kieruje się do drzwi, ale nagle przystaje. – Aha, i jeszcze jedno, Savannah. – Odwracam się, by na niego spojrzeć, wciąż czując na twarzy dotyk jego dłoni. – Proszę, mów mi Cole.

Czekaj! Co? Masz na imię Cole... Cole Logan?

Rozdział piąty

Savannah

Wiercę się i przewracam całą noc, znając wreszcie twarz pasującą do imienia, o którym tyle słyszałam. Śni mi się, że Cole „wbija trzy kule” w czoło spoconego mężczyzny. Jak ktoś tak miły i opiekuńczy może być jednocześnie zimnym jak lód zabójcą? Wiem, że zadaniem Shadows jest eliminowanie złych ludzi, ale sposób, w jaki pozostali z grupy mówią o Loganie sprawia, że odnosi się wrażenie, jakby był pozbawionym uczuć draniem. Jakby to były dwie osoby: Cole i Logan. Powinnam się domyślić, że Logan to jego nazwisko – tutaj wszyscy zwracają się do siebie po nazwisku. Abigail mówi o nim czule, a ona ma przecież złote serce. Gwałtownie pocieram twarz.

Dlaczego tak się tym przyjmuję? Dlaczego w ogóle mi na nim zależy? Jestem tylko złamaną ofiarą wartą mniej niż pieprzona zaliczka na dom! Nie potrafię już nawet zrozumieć samej siebie. Wreszcie poddaję się, zrzucam z siebie kołdrę i wpatrując się w sufit, czekam aż nadejdzie dzień.

Unikam Logano-Cole’a przez następne cztery dni, głównie przesiadując w swoim pokoju. Nie przeszkadza mi, że nie jestem wśród ludzi. Czasem tego chcę, innym znów razem nie. Poza tym uwielbiam swój balkon. Orientuję się, że jeśli usiądę dokładnie w prawym rogu pod ścianą, to nie widać, że tam jestem. Proszę Abigail, żeby przekazała doktorowi Robertsowi, aby na poniedziałkową sesję przyszedł do mojego pokoju. Nie wyjaśniam dlaczego, a ona nie pyta. Widzę, że jest zaniepokojona moją hibernacją, ale zapewniam ją, że po prostu potrzebuję trochę czasu na „przetworzenie” wszystkiego. W końcu tak właśnie żyłam przez ostatnie siedem miesięcy. Tym razem przynajmniej robię to z własnego wyboru.

Metodycznie pocieram kciukiem środkowy palec, przed oczami migają mi wspomnienia. Nagle znowu jestem tam i na nowo przeżywam każdą chwilę.

– Gdzie teraz jesteś, Savannah?

Słyszę słowa doktora, ale nie do końca je rejestruję.

– Gdzie jesteś? Jesteś bezpieczna?

Bezpieczna? Zastanawiam się, a po chwili powoli kręcę głową.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Jestem w miejscu, do którego mnie zabrali. Jestem przerażona. Bardzo boli mnie kolano. Ciągłe pulsuje, jest ciepłe i lepkie, więc wiem, że krwawię. – Przerzywam, dygocząc. – Jest tu jakiś Amerykanin, który rozmawia z innymi po angielsku. – Przetykam rosnącą w gardle kulę. – Ktoś mnie popycha i upadam. Uderzam kolaniem o podłogę. Jest twarda, chyba ceglana albo kamienna. Ręce mam związane z tyłu, więc kiedy ląduję, uderzam twarzą w posadzkę. Płócienny worek, który założyli mi na głowę, ciągle zasysam ustami, próbując oddychać. Podciągają mnie na kolana. Widzę poruszające się przede mną cienie. Ciągłe na siebie krzyczą.

– Okej, świetnie ci idzie, Savannah. Słyszysz, o czym mówią?

– A-amerykanin krzyczy coś o dowodach, potrzebnym potwierdzeniu. – Mój oddech przyspiesza, a głos zaczyna drżeć. – Jeden z mężczyzn krzyczy: „*Es ella!*”. Wiem, co to znaczy. To znaczy: „To ona!”. Amerykanin mu nie wierzy, więc zdejmują mi z twarzy worek. – Płaczę, ale nie potrafię powstrzymać tej retrospekcji... jestem bezradna wobec przerażenia, które mnie ogarnia. – Jest ciemno. Widzę tylko małe światełka, wszystko inne jest niewyraźne. Ktoś świeci mi latarką w twarz. Chwytają mnie za podbródek, żeby mnie unieruchomić.

– Widzisz tego Amerykanina?

– Jestem przerażona. Serce bije mi tak mocno, jakby za chwilę miało mi wyskoczyć z piersi. Ledwo mogę oddychać. Światło przesuwa się na chwilę w bok i wtedy go widzę.

– Amerykanina?

– T-tak – wykrztuszam w końcu. – Jego twarz pokrywa cień, ale czuję, jak się we mnie wpatruje. Robi krok do przodu, ten inny mężczyzna puszcza mój podbródek. Amerykanin staje przede mną. Moja twarz jest na wysokości jego paska. Pachnie znajomo, ale nie potrafię powiedzieć czym. Pyta mnie, czy nazywam się Savannah Miller. Patrzę na niego i widzę, jak unoszą się kąciki jego ust: uśmiecha się do mnie. Błagam, żeby mi pomógł, ale on tylko się śmieje. Widzę, że zaciska dłonie. Spodziewałam się, że uderzy mnie pięścią, ale zamiast tego mnie policzkuje. Nie mając możliwości uchylecia się, upadam i ponownie uderzam głową o twardą posadzkę. W słabym świetle widzę jego błyszczące buty. Są bardzo charakterystyczne.

– A co w nich takiego szczególnego?

Kręcę głową i wybucham płaczem.

– Zostawiają mnie tak i kontynuują rozmowę, zupełnie jakbym nie istniała. Płaczę i błagam, żeby mnie puścili, ale mnie ignorują. – Teraz już zawodzę na całego, wydając urywane dźwięki i zachłystując się powietrzem. – Kim są ci ludzie, dlaczego mnie zabrali? Czemu?

– Savannah. – Doktor Roberts wyciąga do mnie rękę, gdy pochylam się do przodu. – Wróc do mnie. Jesteś bezpieczna.

Patrzę na jego przyjazną twarz.

– Jesteś już bezpieczna, Savannah. Już cię tam nie ma. – Zerka przez moje ramię i na coś kręci głową, ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby się tym przejmować.

– To dlaczego czuję się, jakbym cały czas tam była? – wykrzykuję. – Za każdym razem, gdy zamykam oczy lub pozwalałam myślom błądzić, wracam do tamtego piekła. Tyle mi odebrali. Jak mam stamtąd wrócić? Nienawidzę ich! – Zwijam się w swój ochronny kłębek. – Jak można traktować człowieka w ten sposób? Byłam dla nich niczym więcej niż kupą mięsa, ludzkim odpadem.

– Savannah, nie jesteś żadnym odpadem. Jesteś silną kobietą. Przeżyłaś tam siedem miesięcy i nie dałaś im się złamać.

– Nie chciałam już żyć, doktorze... chciałam umrzeć – przyznaję, chwytając się za krzesło i oddychając głęboko. – Po prostu chciałam to wszystko przerwać, więc postanowiłam się zagłodzić. To była jedyna rzecz, którą... – wskazuję na swoją klatkę piersiową – ...mogłam kontrolować. – Wycieram oczy rękawem, próbując się uspokoić. – Proszę mi powiedzieć, panie doktorze, co to znaczy, kiedy ktoś gotów jest się poddać i umrzeć? Nawet teraz, po tym, jak zdarzył się cud i zostałam uratowana, nadal nie mogę jeść. Kiedy jem, czuję się winna, jakbym się zdradzała – syczę.

Zdejmuje okulary i czyści szkła.

– Jak myślisz, co to oznacza?

Przewracam oczami.

– Odpowiedzieć pytaniem na pytanie. Jakie to typowe, doktorze.

Odchyła się i krzyżuje nogi.

– Powiedziałbym, że znalazłaś się na samym dnie, więc złożyłaś sobie obietnicę, której zamierzałaś dotrzymać. Potem zostałaś uratowana, stało się coś, o czym nawet nie myślałaś, że może się zdarzyć, a kiedy opuściłaś tamten pokój, być może została w nim jakaś część ciebie. – Zastanawia się przez chwilę. – Savannah, jesteś wolna dopiero od trzech tygodni. Daj sobie szansę do powrotu do zdrowia, twój mózg potrzebuje czasu, by nadażyć za tym, co się stało. Z czasem wszystko wróci do normy. Może nie wszystko będzie dokładnie takie samo jak kiedyś, ale ta nowa normalność wcale nie musi być gorsza.

Kiwam głową, męczona przez czkawkę.

– Nie uwierzyłybyś, jakich historii się nasłuchałem, odkąd zacząłem pracować dla Shadows. Wielu ludzi zrozumiało, że choć nigdy nie będę w stanie wyobrazić sobie, przez co przeszli, to i tak mogą pomóc im odnaleźć powrotną drogę do nich samych. – Pochyla się do przodu. – Najciekawsze jest to, że czasami taki powrót oznacza konieczność cofnięcia się. Niektórzy uważają, że rozpoczęcie nowego życia w innym miejscu stanowi ich przepustkę do wolności. – Unosi rękę, by podrapać się w szczękę. – Pozwól, aby to miejsce cię chroniło i uleczyło. Masz duże szczęście. To przywilej, jaki nie każdemu był dany. Po prostu nie przestawaj sobie powtarzać, że jesteś wolna, masz prawo głosu i masz wybór.

– Dobrze – szepczę. Jego słowa na chwilę przytępiają mój ból.

– No cóż – wstaje i podnosi swoją torbę – nasza sesja trwała dzisiaj trochę dłużej. – Zerkam na jego zegarek. Rozmawiamy od dwóch i pół godziny. – Miałaś już okazję wybrać się na konną przejażdżkę? Jeśli nie, to powinnaś to zrobić. To piękna wieś i jest tu mnóstwo rzeczy do obejrzenia. Ciesz się resztą dnia. Widzimy się jutro.

*

Cole

Cole spogląda na zegarek po raz piąty w ciągu sześćdziesięciu sekund, czekając niecierpliwie, aż doktor Roberts zakończy sesję z Savannah. Nie ma czasu do stracenia, musi wiedzieć, co kochany doktorek zdołał z niej dziś wyciągnąć. Mark Lopez, jego najlepszy przyjaciel i jeden z najbardziej zaufanych ludzi, przysłuchiwał się ich rozmowie z tarasu. Według niego Savannah była naprawdę zdenerwowana, więc pomyślał, że może doktor dokonał małego przełomu. Cole chciał sam to sprawdzić i upewnić się, że nic jej nie jest.

Nie widzieli się od tamtej burzowej nocy, kiedy chciał jej powiedzieć, co czuje. Ale jak zwykle jego duma stanęła mu na drodze i nie potrafił tego zrobić. Oczywiście wiedział, że lepiej nie przekraczać ustalonych granic i to z „gościem”. To byłoby nieprofesjonalne i zupełnie do niego niepodobne. Wiedział, że Savannah go unika, chociaż Abigail zapewniała go, że po prostu potrzebuje trochę czasu dla siebie. Ofiary porwań zwykle robiły jeden krok do przodu i dwa kroki do tyłu, więc dał jej spokój, ale kiedy Mark do niego przyszedł, nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, jak ona się czuje i czy wszystko u niej w porządku.

Przemaszerował korytarzem i wpadł do pokoju Savannah. Z perspektywy czasu cieszył się, że była na balkonie. Ten brak finezji z jego strony sprawił, że poczuł się jak jakiś neandertalczyk. Podszedł do otwartych drzwi balkonowych i usłyszał jej szloch. Lekarz napotkawszy jego spojrzenie, pokręcił głową na znak, żeby jej nie przerywać. Cole, kiedy zobaczył, że Savannah ogólnie ma się dobrze, skinął tylko i wyszedł z pokoju.

Co ta kobieta z nim wyrabia? Żeby rzucał wszystko i biegł do niej w samym środku spotkania? Przebywanie z dwoma pokoleniami żołnierzy sił specjalnych wykreowało w nim pewien styl życia. Uporządkowany, zajmij-się-swoją-robotą-i-rób-to-dobrze styl życia, bez żadnych pierdół. Owszem, w jego życiu były jakieś tam dziewczyny, ale nigdy nie miał dla nich zbyt wiele czasu, bo pochłaniała go praca. Niektórym z nich nie podobało się to, że nie potrafił się przed nimi otworzyć albo to, że zniknął na kilka dni. Nie zależało mu na nich aż tak bardzo, więc nie miał zamiaru niczego zmieniać. Łatwiej było trzymać je na dystans, zwłaszcza po tej ostatniej. Ohyda!

Z Savannah jest inaczej. Od chwili, gdy jego wzrok napotkał jej oczy, nie mógł pozbyć się uczucia troski, jaką odczuwał w stosunku do niej. Z jękiem opiera czoło o ścianę. Jego ojciec mówił, że pewnego dnia tak się może zdarzyć, ale Cole nie chciał w to wierzyć. Po prostu nie był typem faceta, którego interesują stałe związki, jego miłością była praca. *Chryste, weź się w garść, człowieku!*

Odpycha się od ściany – nie pozwoli, by jakieś durne uczucie naruszyło jego zasady. To tylko kolejna ładna buźka, która potrzebuje pomocy. Cole długo i spokojnie wypuszcza powietrze. *Przestań o niej myśleć!* Przez tę cholerną babę nie śpi po nocach. Musi się od niej uwolnić i to natychmiast.

Nagle drzwi jej sypialni się otwierają. Robi krok do przodu, gotów rzucić się na doktorka, ale zamiast niego z pokoju wychodzi – wycierając oczy chusteczką – ona.

– O, cześć. – Patrzy na niego dużymi, zapłakanymi oczami.

Cholera.

– Wszystko w porządku?

Co tam właśnie sobie mówiłaś?, kwęka w duchu.

Savannah kiwa głową, zmuszając się do uśmiechu. Coś jej jest? Zachowuje się dość nerwowo.

– Tak... mhm, po prostu potrzebuję zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jasna cholera, nie no, jest zdenerwowana, wszystko na to wskazuje. Podnosi rękę, żeby ją

zatrzymać, ale wychodzi doktor Roberts, przeglądając swoje notatki. Dziewczyna omija go i biegnie korytarzem. Ale z niej śliska diablica. Terapeuta kręci głową. Prawdopodobnie jest rozdrażniona po sesji.

– Cole. – Doktor Roberts unosi swój dyktafon. – Musimy porozmawiać.

*

– Czyli nie wiadomo, jak wyglądał ten Amerykanin, wiemy tylko, że tam był i że potwierdził, że Savannah jest tą, którą mieli porwać. – Cole wyłącza dyktafon i podłącza go do kabla USB. Wcisną klawisz i zgrywa sesję na swój komputer.

– I że miał krzykliwe buty – dodaje lekarz. – Szczerze, moim zdaniem, ona nic nie wie. Musiałaby być piekielnie dobrą aktorką.

Cole podziela jego opinię. Nie żeby zaraz uważał, że Savannah jest podejrzana – po prostu dobrze, że ktoś myśli podobnie jak on.

– Wow. – Kręci głową. – To już trzeci przypadek z tym sukinsynem. Zastanawiam się, jaki ma z tym związek.

Doktor Roberts pociera twarz w zamyśleniu.

– Nie wiem, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego jej nie zabili, tylko trzymali tyle czasu. Dlaczego nie doszło do wymiany? Jasne, pięćdziesiąt kawałków to nędzne grosze, ale mieli siedem miesięcy, żeby podbić stawkę do miliona. Karmienie jej też ich trochę kosztowało, nawet jeśli nie jadła zbyt dużo.

Żołądek Cole'a skręca się na wspomnienie tego, co powiedziała o złożonej sobie obietnicy.

– Nie rozumiem. Jakby specjalnie zwlekali. Na co czekali? Myślę, że chodzi tutaj o coś więcej, niż to widać na pierwszy rzut oka – kontynuuje doktor Roberts.

Cole stuka długopisem w poręcz krzesła.

– Myślę, że masz rację. Potrzymamy jeszcze trochę jej ojca w niepewności. Nie wierzę, że dałoby się to zachować w tajemnicy. Wszędzie są przecieki. Zbyt wiele osób go obserwuje.

– Tak, poza tym jej ojciec naprawdę kocha media – mruczy lekarz.

– A tak ogólnie, jak oceniasz to, jak ona się tutaj odnajduje? – Cole musiał zapytać. Musi wiedzieć, co ją tak rozdrażniło. Dzisiejsza sesja czy coś innego?

– Powiedziałbym, że całkiem nieźle. Już sam fakt, że zaczęła mówić po czternastu dniach, robi wrażenie. To interesująca kobieta. Kojarzy o wiele więcej, niż się wydaje. Zwróć uwagę, jak funkcjonuje w grupie. Obserwuje, jak zachowują się ludzie, a kiedy czuje, że ich rozumie, zaczyna się z nimi zaznajamiać. Podejrzewam, że jej zaufanie do ludzi było często testowane, gdy była przetrzymywana, a i wcześniej mogło tak być. – Sięga po swoją torbę. – Coś mi się zdaje, że już niedługo dojdzie do siebie, ale nie daj się zwieść jej zadziornemu zachowaniu. To może być tylko fasada. Używa jej jako tarczy, aby trzymać na dystans tych, przez których odczuwa dyskomfort. Chociaż, jeśli zajrzysz do jej teczki, to przekonasz się, że czasami bywa trochę wredna. – Wstaje, poprawiając krawat. – Zgadza się z lekarzem, który ją badał, co do tego, że nie została zgwałcona. Nie nosi śladów napaści na tle seksualnym.

Cole opada na swoje krzesło. *Całe, kurwa, szczęście!*

– Mając na uwadze powyższe, nasuwa to cały szereg pytań.

– Tak, na pewno. – Cole pochyla się i ścisną dłoń terapeucie. – Dobra, do zobaczenia jutro.

Cole wstaje, a następnie wygląda przez sięgające od podłogi po sufit okno. Wkłada ręce do kieszeni i patrzy na unoszące się nad górami chmury. Nie jest w stanie tego ogarnąć – żadnego wykorzystywania seksualnego, żadnego milionowego okupu. Trzymali ją przy życiu przez ponad siedem miesięcy, a jednak ogólnie, pomimo uszczerbku na zdrowiu psychicznym, ma się dobrze. To się po prostu nie trzyma kupy. Trzeba zacząć układać elementy tej układanki. Tamci nie zrezygnują z niej tak łatwo.

*

Savannah

Postanawiam wybrać się nad jezioro zamiast na przejażdżkę konną i poszukać jakiegoś wolnego kajaka. Nie umiem jeździć konno i wcale nie mam ochoty się teraz tego uczyć. Miałam zbyt emocjonujący dzień, żeby jeszcze spadać z siodła i lądować gdzieś w krzakach.

Ostrożnie wchodzę do kajaka, balansuję z rękami po bokach, po czym ostrożnie odpycham się od pomostu. Wiosło ślizga się po wodzie i powoli oddalam się od domu. Nie chodzi o to, że nie chcę tu być – chcę – po prostu muszę się wyrwać na chwilę i oczyścić głowę. Po dzisiejszej sesji czuję się emocjonalnie rozbita, poza tym jest kilka rzeczy, które chciałabym przemyśleć, no i mam ogromną potrzebę się gdzieś schować, aby móc się wyciszyć.

Jezioro jest duże i zanim się orientuję, dom robi się malutki, chociaż wiem, że co jak co, ale malutki to on nie jest. Nie tak dawno z nudów naliczyłam szesnaście sypialni, dwie kuchnie i aż osiem grillów. Kontynuowałabym swoją eksplorację, ale wpadłam na Keitha, znanego również jako Beta Seven, który akurat przygotowywał się do objęcia zmiany. Pokazał mi część swojego sprzętu i powiedział, że pogoda w Montanie to nic w porównaniu z upałem i burzami piaskowymi, jakich doświadczyli w Afganistanie. Zastanawiałam się, czy nie zapytać go o to, jak tam było, ale wyraz jego twarzy skutecznie odwiódł mnie od tego pomysłu.

Odsuwam wiosło, odchylam się do tyłu, a potem kładę się na dnie kajaka z nogami opartymi na siedzeniu. Wpatruję się w chmury, rozkoszując się samym faktem, że mogę to zrobić. Dryfuję przez długi czas. Dostrajam się do słyszanych dookoła dźwięków. Czuję, jak zbroja wokół mojej klatki piersiowej powoli się rozluźnia, a dzisiejsze napięcie zaczyna ustępować. Zamykam oczy. Tak, właśnie tego potrzebuję – ja i natura.

*

Otwieram oczy, ponieważ dochodzi do mnie zupełnie nowy dźwięk. Jakby coś bulgotało na powierzchni jeziora. Słyszę odgłos wypuszczanych bąbelków powietrza. Podciągam się do pozycji siedzącej i rozglądam dookoła. Sześć par oczu wpatruje się we mnie przez czarne gogle. Maski tlenowe zakrywają usta sześciu mężczyznom, a na wodzie spoczywa sześć masywnych karabinów. Jasna cholera! Otwieram usta i z mojego gardła wydobywa się przeraźliwy krzyk, który odbija się echem od gór. Kiedy jedna z osób zaczyna się do mnie zbliżać, zrywam się na równe nogi. Kajak kołysze się i wpadam do wody. Zimna woda wywołuje szok w moim organizmie. Jest lodowata. Oddech zostaje wyssany z płuc z głośnym świstem i nie mogę ponownie nabrać powietrza. Czuję, że ktoś owija ręce wokół mojej talii i wyciąga mnie na powierzchnię. Uderzam w jego ramiona i kopię z całej siły. Krzyczę i dżgam go łokciem, więc mnie puszcza. Płynę do kajaka, a kiedy go dopadam, słyszę, jak ktoś wykrzykuje moje imię.

– Savannah!

Moje zmarznięte dłonie desperacko drapią o drewno, ale nie mogę się złapać. Ręce zrobiły się sztywne, a serce bije jak oszalałe.

– Savannah, przestań, to my!

– Zostawcie mnie! – krzyczę. – Nie wrócę tam!

– Savannah, to ja, Mark.

Wreszcie poznaję jego głos. *Co?*

Podpływa do mnie, trzęsącej się jak osika.

– Już dobrze – szepcze, w jednej ręce trzyma broń, a drugą unosi na znak, że nie stanowi zagrożenia. Zdejmuje maskę, powoli ukazując swoją twarz.

Zamykam oczy i próbuję się uspokoić.

– Przepraszam. Nie chcieliśmy cię przestraszyć.

Kiwam głową. Mój umysł powoli zaczyna rejestrować oddalający się strach.

– Chodź. Musisz się ogrzać.

Nagle pojawia się motorówka i wsiadamy na nią Mark, ja i ktoś jeszcze. Mark owija mnie kocem, a drugi facet siada za kierownicą. Nie zdejmuje gogli. Słyszę tylko jak wypuszcza powietrze ustami.

*

Mark wpycha mnie do środka przez drzwi, których wcześniej nie widziałam. Dostrzegam Abigail, która zabiera mnie do mojej łazienki, gdzie zdążyła już napuścić wody do wanny. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdążyłam nawet odezwać się do Marka.

Gorąca woda parzy moje przemarznęte ciało. Wciąż jestem wstrząśnięta tym, co się stało, i głupio mi trochę, że tak to wszystko wyszło, ale jednocześnie jestem zła na Marka i pozostałych za to, że tak mnie wystraszyli i zepsuli mi relaksującą wyprawę kajakiem.

Abigail próbuje zagadywać, kiedy siedzę zanurzona w pianie. Przygląda mi się i w końcu oświadcza.

– Będziemy mieli dzisiaj gości. Miło, że zawita do nas na kolację ktoś nowy. Może wybierzesz na wieczór coś z lewej strony szafy? – To oznacza coś bardziej ekstrawaganckiego. Abigail nie przestaje paplać. – Wyglądałabyś ślicznie w tej dzianinowej sukience. Może ją przymierzysz? – Nadskakuje mi, ale wiem, że się o mnie martwi.

Posyłam jej uspokajający uśmiech.

Po wyjściu z wanny podchodzę do szafy i wpatruję się w ubrania. Dziwnie jest mieć garderobę, w której kompletowaniu nie brało się udziału. Ubrania są w moim stylu. Ktoś mógłby się dziwić, ale ja wiem, że to wszystko stanowi wynik sprawdzenia mojego dawnego życia. Zresztą każdy może przecież mnie wygooglować i pojawią mu się tysiące zdjęć.

Google... Dawno nie myślałam o korzystaniu z internetu. Zastanawiam się, czy uda mi się zdobyć jakiś laptop.

Suszę włosy, a potem czeszę je tak, by fale swobodnie opadały na plecy. Robię delikatny makijaż oczu, który ma dopełnić mój strój, czyli dopasowaną dzianinową sukienkę w kolorze czerwonego wina, sięgającą nieco poniżej połowy uda. Tak właśnie ubrałabym się na kolację ze współpracownikami. Sukienka jest skromna, ale z delikatnym pazurem. Przyglądam się dekolтови w szpic. Kiedyś nie zastanawiałabym się nad czymś takim, ale teraz zaczynam się wahać. Jest zbyt głęboki, choć gustowny. Abigail powiedziała, żebym wybrała coś z lewej strony i wspomniała o dzianinowej sukience.

Odchodzę od lustra i wracam do szafy po buty. Na jednej z półek zauważam pudełko z biżuterią. Otwieram je i znajduję trzy piękne srebrne bransoletki. Wsuwam je na nadgarstek, a następnie sięgam po parę czarnych szpilek.

Dobra, Savi, dość guzdrania się. Schodząc po schodach, otrząsam się ze zdenerwowania.

*

Cole

Cole nie może uwierzyć w to, co wydarzyło się dziś po południu. Nie słyszał krzyków Savannah, ponieważ rozmawiał przez telefon ze swoim ojcem, który poinformował, że zamierza wpaść dziś wieczorem na kolację. Cole szybko dał znać Abigail, żeby przygotowała ulubione danie jego ojca, czyli żeberka w miodowej glazurze, a chłopakom, że powinni się odpowiednio ubrać na wieczór. Jego ojciec nadal pełni funkcję dyrektora generalnego firmy. Jest tutaj bardzo lubiany. Mówiąc ogólnie, potrafi być czarujący. Matka Cole'a długo mu się opierała, ale w końcu i ją przekonał. Cole żałował, że sama nie przyjdzie dziś wieczorem, ale miała już wcześniej umówione sprawy – dlatego też ojciec ma trochę wolnego czasu.

Ma nieodparte przeczucie, że za tą wizytą kryje się określony powód. Może ojciec ma jakieś wieści odnośnie do Amerykanina.

Wszyscy zbierają się w salonie w oczekiwaniu na kolację. Jego ojciec zagłębił się w poważną dyskusję z Keithem, więc Cole wykorzystuje ten czas i przyciąga do siebie przechodzącego Marka, by usłyszeć z pierwszej ręki, co, do cholery, wydarzyło się na jeziorze.

– Dopiero co zaczęliśmy musztrę, kiedy zauważyliśmy, że na jeziorze dryfuje kajak. Nikogo w nim nie było. Popłynęliśmy, żeby sprawdzić, co się stało, bo zawsze był przywiązany do brzegu.

Zbliżyliśmy się do niego ostrożnie. I nagle podnosi się Savannah i nas zauważa. Mogę sobie tylko wyobrazić, co działo się w jej głowie. Wiem, jak wygląda nasz sprzęt. W każdym razie podskoczyła i wyglądała – oczy Marka mrugają kilkakrotnie ponad ramieniem Cole'a – niesamowicie...

Cole odwraca się i podąża za wzrokiem przyjaciela. Gdyby jego usta nie były już otwarte, to pewnie jak diabli, że by się rozdziawiły.

O słodki Boże, masz przerąbane. Marne szanse, żeby dziś wieczorem udało ci się wymazać z pamięci ten widok.

Patrzy, jak Savannah wchodzi do pokoju. Wszyscy rzucają w jej kierunku ukradkowe spojrzenia. Przynajmniej są pełne szacunku.

– Wiesz, są chwile, kiedy naprawdę lubię swoją pracę – żartuje Mark.

Cole przygląda się Savannah, gdy Keith podaje jej kieliszek wina. Nadal wygląda na zdenerwowaną. Co on do cholery zrobił? Może jednak przesadził, muskając jej policzek. O Boże, jakim on czasami potrafi być durniem. Nie, to ten cały głupi magnetyzm, który go do niej przyciąga. Bierze duży łyk brandy, odwraca się i widzi uśmiechającego się do niego ojca. O cholera. Jeszcze tego mu potrzeba, ojca na karku.

Mark zauważa Abigail przechodzącą z tacą nadziewanych ciasteczek i szybko ulatnia się w jej kierunku.

Ta, dzięki, stary.

Cole rusza w stronę kominka, byle by tylko coś ze sobą zrobić. Rzuca okiem na Savannah, która rozmawia z Paulem. Po raz pierwszy widzi ją w sukience i ma nadzieję, do diabła, że to ostatni raz, ponieważ nie może powstrzymać się od mierzenia wzrokiem jej długich, szczupłych nóg. Widok sukienki otulającej jej ciało i długich fal opadających kaskadą na ramiona przyprawia go o mrowienie w żołądku. *Niech szlag trafi tę kobietę!*

– Całkiem niezła ta mała, co? – szepcze mu ojciec przez ramię.

Przyłapany na gorącym uczynku.

– Tak, jest niebrzydka – bełkocze do szklanki.

Jego ojciec uśmiecha się, stając przed synem.

– Córka burmistrza – mówi, tym samym przyznaje, że wie, kim ona jest. – Jej ojciec zrobił niezłą burzę w mediach. Czy kiedyś w końcu nauczą się trzymać gębę na kłódkę?

– Obawiam się, że cała ta sprawa to jest tylko czubek góry lodowej – odpowiada cicho Cole. – Poza tym w jej porwanie jest zamieszany Amerykanin. – Jego ojciec wzdryga się prawie niezauważalnie na tę ksywę. – Więc wiesz, co to oznacza.

– Cholera, tak. Nie odpuści, dopóki jej nie znajdzie. – Kołysze szklanką z drinkiem. – Biedna dziewczyna, jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Wiesz, czy ją przeniosą?

Cole czuje ucisk w żołądku.

– Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby tu została. Dobrze się przystosowuje. Ci z programu ochrony świadków mogliby przydzielić jej ochronę.

– Mhmmm. – Logan senior kaszle, próbując ukryć uśmiech. – No cóż, zobaczę, może uda się pogadać z Frankiem i coś załatwić. Może za jakiś czas zdołamy znaleźć dla niej jakąś posadę albo sama dorwie jakąś pracę w mieście. Załatwię jej nowe papiery.

*

– Savannah, to jest Daniel Logan – oznajmia Cole.

Jej wzrok przeskakuje z jednego mężczyzny na drugiego i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że stoi przed nią ojciec Cole'a.

– No tak. – Na jej twarzy pojawia się uśmiech. – Miło pana poznać, panie Logan. – Wyciąga rękę, żeby uściśnąć mu dłoń, ale on chwyta ją i całuje jej wierzch.

O, Panie, zlituj się...

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę, mów mi Daniel.

Jej wzrok przenosi się na Cole'a, po czym wbija w podłogę.

Co jest, do diabła? Chryste, miałby ochotę zaciągnąć ją do kąta i dowiedzieć się, dlaczego

zachowuje się przy nim tak dziwnie.

– Kolacja gotowa – obwieszcza Abigail. Mark rusza z kopyta do stołu. – Chłopcy – ponagla wszystkich z uśmiechem.

– Idziemy? – pyta Daniel Savannah, podając jej ramię.

Dziewczyna uśmiecha się do niego. Poddając się jego urokowi, wsuwa drobną rękę pod jego ramię i kierują się w stronę jadalni.

– Abigail, znowu przeszłaś samą siebie – komplementuje ją Daniel, unosząc żeberko. – Pyszne.

– Dziękuję, Danielu. Cała przyjemność po mojej stronie. – Jej twarz robi się czerwona, co przykuwa uwagę zebranych.

Do stołu zasiada jeszcze kilku maruderów. Westchnienie Savannah zwraca uwagę Cole'a. Unosi głowę znad talerza i widzi Yorka z podbitym okiem.

– Witam wszystkich – mamrocze York, siadając. Teatralnie skłania głowę. – Cześć Savannah.

Dziewczyna zakrywa dłońmi usta i zaczyna się trząść. Chwilę później wybucha śmiechem. Wyciąga rękę i chwyta Marka za ramię, by się wesprzeć, po czym ten też zaczyna się śmiać. Serce Cole'a przyspiesza. Uwielbia jej śmiech. Ale czyżby coś przegapił?

– Co was tak śmieszy? – York unosi brew, wyraźnie niezadowolony.

– Ja-ja... – Savannah próbuje coś powiedzieć, ale nie potrafi skleić pełnego zdania. Wreszcie, trzymając się za brzuch, udaje jej się opanować. – Przepraszam – mówi do wszystkich. – Nie spodziewałam się tego. – Wskazuje na Yorka.

Mark wyciera załzawione ze śmiechu oczy.

– Stwierdziłem, że to najlepszy sposób, abyś się o tym dowiedziała.

– Dziękuję. Tego mi było trzeba.

Uśmiecha się, jej oczy błyszczą. Wygląda na zrelaksowaną. Czy tak wyglądała, zanim została porwana?

– Czy ktoś ma zamiar nam to wyjaśnić? – pyta Daniel, wyraźnie licząc na dobrą historię.

– Cóż... – Mark uśmiecha się znacząco. – Dzisiaj podczas musztry mieliśmy małe spotkanie z Savi i kajakiem. York próbował jej pomóc, kiedy wpadła do wody, ale spanikowała i trafiła go w oko.

– Ślepy traf – mruczy York.

– Tak jak wygrana w pokera z parą dwójek? – ripostuje Savannah.

– Ha! – Daniel wybucha śmiechem. – Boże, synu, szkoda, że nie powiedziałeś mi o niej wcześniej. Wygląda na to, że ominęła mnie tu niezła zabawa, co?

– Przepraszam, York, naprawdę – mówi Savannah, gdy śmiechy cichną. – Nie wiedziałam, że to ty, a kiedy mnie złapałeś, cóż... – Odchrząkuje.

– Spoko, nic się nie stało – bąka pod nosem York, gryząc żeberka.

– Oj, wiele bym dała, żeby móc to zobaczyć – naśmiewa się Abigail.

Savannah otwiera usta, chcąc coś powiedzieć. York przewraca oczami. A czego się spodziewał? Skoro zachowuje się jak dupek, to niech się nie dziwi, że tak go tutaj traktują.

Rozdział szósty

Savannah

Siedzę przy stole w jadalni i obracam nóżkę kieliszka między palcami, obserwując, jak czerwone wino podpływa do krawędzi szkła, a po chwili krwawą strużką spływa z powrotem na jego dno. Słyszę, że chłopcy żartują w kuchni, zmywając naczynia. Abigail rozmawia przez telefon ze swoją siostrą, podekscytowana jej rychłą wizytą. Odpycham nawiedzające mnie myśli o ojcu. Tak bardzo chciałabym go zobaczyć. Jego i Lynn.

– Jak ci się tu podoba, Savannah? – Pytanie Daniela wrywa mnie z zamyślenia.

Mężczyzna siada obok mnie.

– Wszystko jest – biorę głęboki wdech – trochę surrealistyczne. Nie zrozum mnie źle, jestem niesamowicie wdzięczna. Po prostu najpierw wyrwano mnie z mojego starego życia, potem trafiłam do tamtej celi, a w końcu znalazłam się tutaj. – Kiwa głową. – Czuję się, jakbym dryfowała na wodzie, pozbawiona korzeni, które utrzymywałyby mnie w bliskim mi miejscu. Naprawdę nie wiem, gdzie ono teraz jest.

– Cóż – pociera podbródek – nie jesteś pierwszą osobą, która to mówi. – Posyła mi pocieszający uśmiech. – Udało ci się z kimś zaprzyjaźnić?

– Hmm, zaprzyjaźnić? No cóż, Mark wydaje się dość przyjazny.

– Tak, Mark jest tutaj już od jakiegoś czasu. Porządny z niego gość. Ktoś jeszcze?

– Może Paul, John i Keith. – Kiwa głową, zgadzając się ze mną. – York to... interesująca postać.

– Tak, York jest nietypowy.

– Uwielbiam Abigail. Jest jak matka i siostra w jednym. – Milknę, wiedząc, na co czeka Daniel.

– A Cole? Jest dla ciebie miły?

O rany. Biorę długi łyk wina, odwlekając odpowiedź. Tak naprawdę nie wiem, co do niego czuję. Wiem, że historie, które o nim słyszałam, przerażają mnie bezgranicznie, ale jednocześnie jest pierwszym mężczyzną od dwudziestu siedmiu lat, za sprawą którego czuję w brzuchu przyjemne ciepło. W przeszłości miałam chłopaków, ale odkąd mój ojciec został burmistrzem, chyba bardziej obchodziła ich towarzysząca takiemu związkowi sława niż ja sama.

Zerkam na Cole'a, który jest w kuchni. Przystojny z niego facet. Kolejny raz podziwiam jego wysoką, szczupłą sylwetkę i oczy, w których można przepaść bezpowrotnie. Dlaczego, do jasnej cholery, wciąż musi wprawiać mnie w zakłopotanie. Rumienię się, kiedy jego ojciec odchrząkuje. Najwyraźniej właśnie zostałam przyłapana na gorącym uczynku. Daniel uśmiecha się pod nosem.

– Cole jest...

Troskliwy, miły, szanujący ludzi, wyrozumiały, bardzo atrakcyjny. Och, Jezu, Savi, weź się w garść!

– ...światny – odpowiadam, czując się jak idiotka. Coś słaba ta moja odpowiedź. – Jest bardzo gościnnie. – Kręcę głową, próbując wygrzebać z głowy odpowiednie słowa. – To znaczy... dzięki niemu czuję się tu mile widziana i bezpieczna po raz pierwszy od... no cóż, od dłuższego czasu. – Wzruszam ramionami, starając się wyjaśnić jak najlepiej, o co mi chodzi. – Ja... ja już nawet nie pamiętam, jak to jest czuć się bezpiecznie, ale on, cokolwiek to jest, sprawia, że czuję się dobrze. – Daniel uśmiecha się do mnie... *o cholera*. – Ale przecież to jego praca, więc... tak, myślę, że całkiem nieźle mu to wychodzi. – *O Jezu, niech mnie ktoś zastrzeli!* Dlaczego nie mogłam po prostu powiedzieć, że Cole jest w porządku, i się zamknąć?

Daniel znowu uśmiecha się znacząco, a ja zamykam oczy, w myślach klepiąc się w czoło. Ale ze mnie kretynka!

– Tak, Cole zawsze był bardzo dobry w swoim fachu. Jego matka martwi się, że czasami chyba

zbyt mocno angażuje się w to, co robi. Ma wrażenie, że chowa się za swoją pracą. Lubi trzymać ludzi na dystans. Wiesz, ta praca potrafi dać się we znaki. Cole świetnie czuje się w siłach specjalnych, jest do tego wręcz stworzony, ale nieraz potrafią udupić tam człowieka. – Przerzywa swój wywód. – Przepraszam. Wybacz mi. Czasami gadam jak nakręcony.

– Nie, w porządku. Prawdę mówiąc, dobrze jest dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach z sił specjalnych. – *Zwłaszcza o Cole'u*, ale tego już nie mówię na głos.

– A więc, Savannah, powiedz mi, co robiłaś w Nowym Jorku, żeby się rozerwać?

– Rozerwać? – Prawie parskam śmiechem. Rozrywka nie widniała w rozkładzie mojego dnia od bardzo dawna, zresztą nawet przed porwaniem nie było jej dużo. – Słuchanie muzyki na żywo w lokalnych pubach. Uwielbiam bluesa.

– Tak? – Oczy zaczynają mu błyszczeć. – Wiesz, w mieście jest kilka lokali z muzyką na żywo.

– W mieście? – Patrzę na niego zdziwiona. – Nie wiedziałam, że jesteśmy blisko jakiegoś miasta.

– Redstone. Jest jakieś piętnaście mil stąd. Powinnaś się tam wybrać. Tutaj czasami można dostać świra.

No proszę.

– Myślę, że gdyby tu zostać na dłużej, to na pewno tak by się stało. – Obserwuję jego twarz, doszukując się jakiegoś znaku, czegokolwiek, co wskazywałoby, że zabawię tu jeszcze przez jakiś czas. Daniel upija łyk drinka, niestety jego twarz niczego nie zdradza. – Z tego, co mówisz, wnioskuję, że powinnam zapaść tu korzenie, zawrzeć kilka przyjaciół i poznać okoliczne nocne życie.

Jego spojrzenie kieruje się na Cole'a i Marka, którzy rozmawiają ze sobą.

– Nieprędko wrócę do domu, prawda, Danielu?

Nie patrzy na mnie.

– To pytanie, na które nie jestem w stanie ci teraz odpowiedzieć, Savannah.

Czuję ucisk w żołądku.

– Ależ właśnie to zrobiłeś – szepczę.

*

Cole

Cole siedzi przy biurku i przegląda materiał z ostatniej obserwacji Amerykanina przekraczającego trzy dni temu granicę Teksasu z Meksykiem. Odchyła się na krześle i pociera twarz. *Więc Amerykanin wrócił na meksykańską ziemię, kiedy my jedliśmy spokojnie kolację.* Zastanawia się, gdzie znajdował się ten gość, kiedy przywieźli tutaj Savannah. Choć to bardzo mało prawdopodobne, to zawsze istnieje możliwość, że ktoś ich śledził. Odkąd opuścili lotnisko w Północnej Dakocie, dwa razy zmieniali samochody. Raz na granicy i kolejny raz, zanim wjechali na górskie drogi w Montanie.

Z zamyślenia wyrwa go dźwięk nowej wiadomości. Otwiera e-mail od Franka, jego głównego kontaktu w armii. Kiedy klika w załącznik, otwiera się film z którymś już z rzędu przekazem medialnym burmistrza Douga Foxa na temat Savannah. Cole przewraca oczami, naciskając przycisk odtwarzania.

– To kolejny zimny dzień w Nowym Jorku, kiedy budzę się i nie mogę zadzwonić do mojej córki. Minęło osiem miesięcy, odkąd ostatnio słyszałem jej głos, przytuliłem ją, powiedziałem, że ją kocham. – Jego podbródek drży, gdy milknie na chwilę, by nabrać powietrza. – Proszę, oddajcie mi moją słodką Savannah. – Zakrywa usta dłonią. Do mikrofonu podchodzi kobieta i dziękuje mediom za przybycie. Roztrzęsiony burmistrz przeciska się przez otaczający go tłum.

Cole przełącza z powrotem na nagranie z Amerykaninem. Coś mu się tu nie zgadza. Amerykanin normalnie zajmował się wysoko postawionymi mężczyznami, a nie młodymi kobietami. *Dlaczego córka burmistrza? Dostaliby więcej pieniędzy, gdyby porwali burmistrza. Wzbudziłiby wówczas też większe zainteresowanie w mediach. Kartele uwielbiają demonstrować swoją siłę. Ale nie można powiedzieć, burmistrz odwala znakomitą robotę w swoim departamencie.* Cole nachyla się nad biurkiem, wypuszczając powoli powietrze.

– Cole? – Podnosi głowę i widzi stojącą w progu Savannah. – Przepraszam, drzwi były otwarte.

– Dziewczyna rozgląda się po jego biurze. – Przychodzę nie w porę?
Praktycznie nie widywał jej od kolacji z ojcem trzy dni temu.

– Nie. – Zdejmuje dłonie z biurka i próbuje się rozluźnić. – Wejdz.
Wchodzi do środka i staje przed krzesłem. Jej drobne palce zaciskają się na jego oparciu.

– Co mogę dla ciebie zrobić?
– Mogę? – Wskazuje na krzesło.
– Proszę.

Siada i krzyżuje nogi, przeczesując palcami włosy i odrzucając je na bok. Do jego nosa dochodzi zapach jej perfum, z nutką jabłka. Musi się ogarnąć.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać. – Odchrząkuje, a Cole czuje, jak zaciska mu się żołądek.

– Pewnie zauważyłeś, że cię unikam. Pomyślałam, że powinnam się wytłumaczyć.
Nie spodziewał się tego. Czeką, aż zacznie mówić dalej.

– Kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, nazywałam cię w myślach moim wybawcą, bo nim właśnie dla mnie byłeś. Potem usłyszałam, że Abigail zwraca się do ciebie po nazwisku, że mówi Logan. Któregoś wieczoru, kiedy byłam w salonie, byłam świadkiem, jak dwóch chłopaków rozmawia o mężczyźnie o imieniu Cole, o tym, jak to on... – urywa, nerwowo wykręcając palce.

– Jak on co? – Jest bardzo ciekawy, do czego zmierza.
– Jak zabił jakiegoś człowieka, posyłając mu trzy kulki między oczy.
Cole na chwilę przymyka powieki.

– Ci dwaj rozmawiali o nim, ilu zastrzelił i ilu zabił gołymi rękami. Bałam się go spotkać, tego całego Cole’a. Ale przy tobie zaczynałam czuć się pewniej. Podobało mi się to, jak robiłeś... – Rumieni się, zaciskając usta.

Cole pochyła się do przodu na krześle, gorąco pragnąc dowiedzieć się, co jej się tak podobało.

– Byłam zaskoczona, kiedy powiedziałeś mi, jak masz na imię. Nie mogłam uwierzyć, że Cole to ty. Ale przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że chyba niesłusznie cię osądziłam, bo przecież nie znam cię na tyle dobrze, żeby w ogóle cię oceniać, i za to chciałam cię przeprosić.

Przygląda jej się uważnie. Zdaje sobie sprawę, jak dużo musiało kosztować ją przyjście tutaj i opowiedzenie mu tego, co ją dręczyło, ale jednocześnie jest lekko poirytowany. Odchyła się na krześle.

– Rozumiem, że musiałaś się niezłe przestraszyć, kiedy usłyszałaś coś takiego. Niestety z czasem dowiesz się od nich jeszcze więcej szczegółów. Możesz chcieć zrozumieć to, co robimy, albo nie. Nie powiem, że jest mi przykro, że zabiłem tamtych. To byli źli ludzie. W tym fachu są źli goście i są dobrzy goście. Nie ma nic pomiędzy. To jest czarno-białe.

– Jasne – odpowiada cicho.

I znowu to samo. To jest właśnie ten problem, jaki ma z ludźmi. Nie rozumieją jego świata. Osądzają go i uciekają. Czuł, jak rośnie w nim gniew, ale zdusił w sobie to uczucie. Czy ona jest w stanie zrozumieć, jak wygląda jego życie?

– No to wyjaśniliśmy sobie wszystko, chyba że jest coś jeszcze? – pyta, powoli się uspakajając.
– Właściwie tak. Znam zasady, ale czy mogłabym skorzystać z internetu?
Sztynnieją mu plecy. Internet zawsze stwarza problemy.

– Poproszę Abigail, żeby zaprowadziła cię do gabinetu, w którym możesz skorzystać z komputera. Pamiętaj tylko, że wszystko jest monitorowane.
Savannah podnosi się energicznie.

– Świetnie. Dziękuję. – Jej wzrok pada na jego biurko, marszczy brwi. – To ja?
Cole spogląda na blat i widzi przed sobą jej akta. Cholera! Szybko zatrząskuje teczkę, ale udaje jej się wcześniej wyciągnąć artykuł prasowy o jej zniknięciu.

– To zdjęcie zrobiono w dzień, kiedy mnie porwano. – Przesuwa palcem po zdjęciu. – Pamiętam tę sukienkę. – Mruży oczy, jakby coś sobie przypominała. – Hmm.

– Co? – Wstaje i podchodzi do niej, by spojrzeć przez ramię na zdjęcie. – Pamiętasz coś?
Savannah odrzuca włosy i znowu roznosi się woń jabłek.
Cole zatrzymuje się na chwilę, pozwalając sobie nacieszyć się tym zapachem. W końcu spędza

z mężczyznami w zasadzie trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Nie trzeba dodawać, że Savannah pachnie niesamowicie. O, Jezu, znowu się zaczyna. Musi skupić uwagę na czymś innym.

– Bo widzisz – dziewczyna odwraca się, by spojrzeć na niego przez swoje wątle ramię – byłam na drinku z Joe Mightem w takim małym pubie. Był tam barman, a w kącie siedział jakiś staruszek. Wiem, bo byłam bardzo czujna, wypatrując cholernych paparazzi. Ale to ujęcie zostało zrobione zza pleców Joe. Widziałabym ich... czekaj. – Przygląda się fotografii. – Widać kawałek czyjejś ręki. Szkoda, że zdjęcie jest takie niewyraźne. Nie da się tego jakoś wyostrzyć?

– Mhm, mam to zdjęcie na mailu. Otworzę je na komputerze i powiększę. – Siada na krześle, po czym otwiera pocztę. Savannah idzie za nim i staje obok. Cole normalnie nie pozwala nikomu zaglądać do swojego komputera, ale cieszy się, że Savannah się go nie boi. Szybko otwiera załącznik i powiększa kadr. Ręka staje się trochę wyraźniejsza.

– Patrz. – Dziewczyna pochyła się nad nim i wskazuje na ekran. Jej włosy muskają jego szyję. Czuje, jak przeszywa go dreszcz. – Widać srebrną bransoletkę z serduszkami.

Cole drukuje zdjęcie, aby mieć kopię do wglądu.

Savannah odwraca się do niego twarzą i opiera się o biurko. Unosi rękę, żeby pomasaować skroń.

– Coś tam jest, po prostu to wiem. Jakby na krawędzi pamięci.

Wygląda tak słodko i zarazem poważnie, kiedy stara się sobie coś przypomnieć. Cole czuje, jak jego mur zaczyna się kruszyć. W tej chwili nie pragnie niczego więcej, jak tylko przyciągnąć ją do siebie, usadzić sobie na kolanach, przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zamiast tego sięga po jej dłoń. *Ty, głupi ośle.* Na szczęście nie odsuwa się od niego, jej wzrok wędruje z ich dłoni do jego oczu. Jego palce zginają się, zaciskając jej dłoń odrobinę mocniej. O, tak... jedno szarpnięcie i byłaby na jego kolanach. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo tego chce.

– Z czasem wszystko sobie przypomnisz. Twój umysł ma wiele do przetworzenia.

– Mówisz jak doktor Roberts – żartuje. – W każdym razie dzięki. – Nie odsuwa się od niego, on też się nie rusza.

W brzuchu kotłuje mu się, jakby ktoś fikał w nim koziołki. *Jezu, ale grzęzną. Weź się w garść!*

Przez drzwi wpada York, będąc w środku jakiejś tyrady. Zatrzymuje się, gdy widzi Savannah przy biurku. Przekroczyła zakazaną linię Cole'a.

Dziewczyna puszcza dłoń Logana, pozostawiając go z poczuciem straty.

– Hej, Savi, nie wiedziałem, że wezwano cię do biura dowódcy – sarka York.

– Cześć, York. – Kiwa głową, odwracając się w jego stronę. – Jak twoje oko?

– Abigail powie ci co i jak – zwraca się Cole do Savannah – Daj mi znać, jeśli coś sobie przypomnisz.

– Tak zrobię. Dzięki. – Uśmiecha się, a potem patrzy na Yorka. – Uważaj na siebie. – Wychodząc, puka się w oko.

Boże, jak on uwielbia na nią patrzeć. Uśmiech Cole'a znika, gdy kieruje swój wzrok na Yorka, który kręci głową.

– Czego chcesz?

– Nie, mój przyjacielu, myślę, że pytanie brzmi, czego ty chcesz? – York wskazuje głową w stronę zamykających się za Savannah drzwi.

*

Savannah

Kąciki ust rozciągają mi się w uśmiechu, próbuję się go pozbyć, ale to trudne. W Cole'u Loganie jest coś takiego, co sprawia, że wszystkie moje zmysły stają na baczność. Nie mogę uwierzyć, że nie wzdrygnęłam się, kiedy złapał mnie za dłoń. Czułam się dobrze, ale na razie odpycham tę myśl na bok. Teraz muszę znaleźć Abigail.

Po tym, jak Abigail przedstawiła mi listę zablokowanych witryn, takich jak Skype, Facebook czy

skrzynka mailowa, w końcu zostaję sama. Wchodzę w przeglądarkę Google i wpisuję nazwisko ojca. Wyskakuje z miliard linków, więc wybieram najnowszy. Czuję skręt żołądka, kiedy klikam na wideo i widzę, jak ojciec wykrwawia się emocjonalnie przed kamerą z powodu mojego porwania. Oglądam kolejne nagrania z newsami, aż w końcu mam dość. Ocieram oczy z łez, następnie wpisuję w wyszukiwarce swoje imię i nazwisko. Zalewają mnie zdjęcia i artykuły. Klikam na grafikę i pojawia się fotka, na której Lynn i ja idziemy razem po plaży. Świetnie się czułyśmy po spędzeniu tamtego dnia na słońcu. Moja Lynn. Tęsknię za nią tak bardzo, że aż odczuwam fizyczny ból. Drukuję zdjęcie.

Następnie wbijam w Google'a moje nazwisko i datę porwania. Na okładce „New York Timesa” pojawiło się moje zdjęcie z podpisem „Córka burmistrza znika – czy to jej krzyk rozpacz?” Kręcę głową i czytam dalej. Śledzę moją historię w „Timesie” oraz innych gazetach i magazynach, które zbierały coraz więcej informacji na temat mojego porwania. Lynn udzieliła nawet wywiadu na temat naszego ostatniego wspólnego dnia, na koniec prosząc media, aby dały jej już spokój. Moja biedna Lynn.

Czytam, że uciekłam z gangiem motocyklowym, którego tatuś nie pochwałał, że mieszkam z kuzynem w Kanadzie, a niektórzy twierdzą, że przebywam w Kalifornii na odwyku. Zaczyna mnie mdlić. Czytając to wszystko, ktoś mógłby pomyśleć, że sama jestem sobie winna. W końcu opublikowano raport i oświadczenie porywaczy z żądaniem okupu. Pomimo tego wszystkiego moja historia nie gościła zbyt długo na pierwszych stronach gazet.

– Coś ci przyniosłam, kochanie. – Abigail stawia obok mnie tacę. – Proszę, zjedz chociaż trochę.
– Dziękuję, Abigail.

Wyciągam rękę i biorę łyk zielonego smoothie. Uśmiecha się, wychodząc z pokoju.

Wracam do artykułów o moim ojcu. Zauważam, że nie komentuje okupu tak często, jak fakt, że chce mnie po prostu odzyskać. Może nie chcieli zwracać na to uwagi. Przeglądam kilka zdjęć i szukam jakiegoś z ojcem, które mogłabym wydrukować. Potrzebuję wspomnień, aby nie zapomnieć, kim nadal jestem... czy też byłam.

Trafiam na jedną fotografię z jakiejś zbiórki pieniędzy, na której widać tatę uśmiechającego się do kogoś, kto jest poza kadrem. Trąca się z tą osobą kieliszkiem szampana. Nagle coś wpada mi w oko. Dłoń trzymająca drugi kieliszek jest kobieca, na jej nadgarstku wisi srebrna bransoletka z serduszkiem. Ja pierdole! Zaczynam klikać jak szalona w kolejne fotografie, próbując znaleźć lepsze ujęcie i móc przyjrzeć się tej kobiecie. Uświadamiam sobie, że zdjęcia pochodzą ze zbiórki pieniędzy dla chorych na raka piersi, którą wpieramy co roku. Robiliśmy to dla mamy. Wzdrygam się na wspomnienie matki, która musiała poddać się chemioterapii. Pod koniec życia nie przypominała już samej siebie.

Ojciec uśmiechał się tak zaledwie cztery miesiące po moim porwaniu, ale i tak miło go takiego zobaczyć, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie. Dobrze przekonać się, że nie wygląda na zestresowanego, przynajmniej w tamtym momencie, ale ta kobieta ze zdjęcia przyprawia mnie o skurcz żołądka. Kim ona, u diabła, jest? Odnajduję numer organizacji charytatywnej, która organizowała zbiórkę, i zapisuję go w nadziei, że uda mi się do nich zadzwonić. Omówię to później z Cole'em.

Wbijam też w wyszukiwarce *Los Sirvientes Del Diablos*. Drukuję ich historię z Wikipedii, a także historię grupy karteli, do których należą. Myślę, że powinnam wiedzieć, z czym mam do czynienia. Czytam o innych ofiarach porwań, które uciekły i przeżyły, a teraz opowiadają swoje historie. Wszystkich łączy jedna rzecz, której w moim przypadku zabrakło – bardzo wysoki okup. W większości przypadków żądano pół miliona. Zaczynam spisywać podobieństwa i różnice między moim porwaniem a porwaniami innych. Włączam lampę. Nie obchodzi mnie, jak jest późno, tak bardzo jestem pochłonięta poszukiwaniami. Byłam przetrzymywana znacznie dłużej niż inni. Wychodzi na to, że *Los Sirvientes Del Diablos* nie lubią przetrzymywać swych ofiar zbyt długo. Mnie z pięć razy robili zdjęcia i kręcili filmiki, które miały być potwierdzeniem tego, że żyję. Tymczasem czytam relacje innych ofiar, które twierdzą, że ich porywacze robili to tylko dwa razy. Więc dlaczego mnie trzymano dłużej? Jakiemu celowi to służyło, zwłaszcza że wyceniono mnie na zaledwie pięćdziesiąt tysięcy? Ta kwota niezmiennie wywraca mi kiszkę do góry nogami.

– Savannah? – W drzwiach staje Abigail. – Dołączysz do nas na kolację?

Zerkam na godzinę na komputerze. Siedzę tu od prawie pięciu godzin.

– Tak, przepraszam. Straciłam rachubę czasu. Zaraz zejść. – Wstaję i zbieram swoje notatki.

Mózg mi dosłownie paruje. Dawno nie siedziałam tyle przed komputerem. Ale musiałam ogarnąć kilka spraw. Zostawiam swoje rzeczy w moim pokoju, po czym schodzę na dół.

Abigail krząta się w kuchni. Proponuję, że jej pomogę, ale twierdzi, że wszystko ma pod kontrolą, więc idę do salonu i wyglądam przez okno. Wzdłuż ogrodzenia biegają konie, w oddali widać, jak się błyska, zwiastując nadchodzącą burzę. Kolejny błysk wywołuje lawinę wspomnień.

*

– *Wstawaj! Chica apurate!*² – wrzeszczy na mnie grubas.

Zrywam się na równe nogi, kiedy do pomieszczenia wchodzi dwie kobiety i pchają wannę na kółkach wypełnioną wodą. Mają wiadro, w którym jest szampon, mydło i duża gąbka.

– *Co się dzieje?* – pytam, czując narastającą panikę.

– *Czas na kilka fotek – mruczy, stojąc w drzwiach z dużą wojskową bronią. – ¡Apurate!*³ – krzyczy do kobiet, po czym znika za drzwiami.

Obie zbliżają się do mnie, jedna z nich posyła mi słaby uśmiech.

– *Musimy zdjąć ci ubranie – szepcze kobieta. – Szybko.*

Jestem zdezorientowana, ale tak szczęśliwa, że widzę tu inną kobietę, że nie protestuję. Pomaga mi wejść do wanny i zaczyna mnie myć. Koncentruje się głównie na moich dłoniach, szyi i twarzy. Druga kobieta nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, tylko zaczyna byle jak i bez wycucia myć mi włosy. Miałabym ochotę krzyknąć, że to boli, ale nie robię tego, bo liczy się tylko to, że w końcu będę czysta. Zanim się orientuję, wyciągają mnie z wanny i wycierają ręcznikiem. Kiedy na chwilę wychodzi ta druga, nachylam się do tej miłszej.

– *Proszę, powiedz mi, jak masz na imię?* – Rozgląda się, gdy jej dłonie bawią się moimi włosami.

– *Proszę, jestem taka samotna. Jesteś pierwszą osobą, która jest dla mnie miła, odkąd tu przyjechałam.*

– *Maria – ledwo szepcze. – Rób, co ci każą! Nie walcz z nimi, bo cię zabiją.*

Syczący dźwięk sprawia, że obie podskakujemy. Druga kobieta wróciła, trzyma w ręku sukienkę i ze złością spogląda na Marię. Zakłada mi ubranie przez głowę, szarpiąc mnie przy tym niemilosiernie. Sukienka sięga mi do kolan. Cuchnie, choć wygląda czysto. Ktoś zawiązuje mi opaskę na oczach. Zaczynam panikować. Czy to już koniec? Czyjaś ręka chwyta mnie za ramię, robię kilka kroków, wychodzę z mojej celi i – pchnięta – upadam na kolana. Po zdjęciu opaski widzę kamerę. Skierowane na mnie jasne światło prawie zupełnie mnie oślepia. Odwracam głowę w bok i dostrzegam nogi kilku mężczyzn, po bokach mają pistolety. Nie widzę ich twarzy, ale jest ich z dziesięciu. Wciskają mi w ręce gazetę.

– *Sonria – krzyczy mężczyzna zza statywu, na którym umieszczona jest kamera.*

– *Powiedz, jak masz na imię – syczy grubas. Spoglądam w kamerę i widzę czerwone światelko. – ¡Nombre!*⁴

– *Savannah Miller – szepczę, a potem ktoś robi zdjęcie.*

– *Kurwa! Ma być widać datę! Jak ma na imię twój tatuś i czym się zajmuje?*

Mój żołądek skręca się, kiedy oblizuję suche usta.

– *Doug Fox, jest burmistrzem Nowego Jorku.*

– *Wstań!*

Jeden z mężczyzn chwyta mnie za ramię, a drugi zawiązuje ponownie opaskę na oczy. Kiedy wywlekają mnie z pokoju, słyszę huk pioruna.

*

– *Aaaa!* – krzyczę, wróciwszy do teraźniejszości. Krzyczę ponownie, gdy czuję, że ktoś dotyka mojego ramienia i mnie przytrzymuje. Kiedy zdaję sobie sprawę, że to Cole, ściskam jego biceps, szukając w ten sposób jakiegoś oparcia.

– *Hej! Co się dzieje?* – pyta cicho. – *Jesteś blada jak ściana*

– *Przepraszam. – Kręcę głową, próbując odegnać wspomnienie. – Po prostu coś sobie przypomniałam. – Biorę głęboki wdech, próbując się nie rozplakać.*

– *Jadłaś lunch?*

– Nie, nie jadła. – Abigail kręci głową, stając w drzwiach. – Znalazłam twoją kanapkę w koszu. Zamykam oczy, czuję się okropnie.

– Przepraszam, po prostu nie byłam głodna.

Abby wzdycha i oznajmia, że kolacja jest gotowa.

– Savi, musisz jeść regularnie. – Cole wciąż trzyma mnie za ramiona.

Spoglądam na niego i widzę, że jest naprawdę zaniepokojony.

– Cole, muszę z tobą o czymś porozmawiać...

– Wow, to już drugi raz w ciągu jednego dnia. Ludzie zaczną gadać. – York parska, podchodząc do nas i unosząc zawadiacko brew.

– Ty jak zwykle masz idealne wyczucie czasu, York – mruczy Cole, patrząc na mnie. – Chodźmy coś zjeść, okej?

Sączę lemoniadę i udaje mi się zjeść połowę mojej porcji. Nie angażuję się w rozmowę. Pograżam się w myślach o kobiecie z bransoletką. Kim ona jest? Dlaczego mnie śledzi? Skąd zna mojego ojca? Wow, wszystko zaczyna się bujać. Nagle zaczyna mi się kręcić w głowie. Moja ręka wystrzela w powietrze, chwytając krawędź stołu.

– Nie wyglądasz za dobrze, Savi – zauważa siedzący obok mnie Mark.

– Przepraszam, muszę na chwilę wyjść.

Pokój lekko wiruje, ale udaje mi się wyjść na zewnątrz. Otulam się swetrem i przechylam przez balustradę werandy. Tak, to była zdecydowanie dobra decyzja – wyjść na zewnątrz. W powietrzu wyraźnie czuć zbliżającą się burzę. To tylko kwestia czasu, zanim lunie. Między szczytami gór przetaczają się ciemne chmury, przez co niebo wygląda, jakby było wściekłe. Opuszczam głowę, czując ponownie zawroty głowy.

Przed oczami mam twarz Marii. Uśmiecha się, a mnie zbiera się na płacz. Myślałam, że zostanie moją przyjaciółką. Zakradała się nocą do mojej celi, siadała na podłodze pod ścianą i rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Trwało to tylko kilka dni, ale kurczowo trzymałam się myśli o jej kolejnych odwiedzinach. Pewnej nocy zwierzyłam się jej, że znalazłam nóż myśliwski, który jeden z mężczyzn upuścił podczas wnoszenia wanny do celi. Planowałam użyć go do ucieczki. Chciała go zobaczyć, a kiedy jej go pokazałam, wyrwała mi go, przytknęła do twarzy i zawołała Jose. Zwyczajnie mnie wykorzystywała, żeby zdobyć informacje. Złamało mi to serce. Naprawdę lubiłam Marię i myślałam, że i ona mnie lubi. Pobili mnie drewnianym wiosłem tak mocno, że w uszach dzwoniło mi przez dwa dni, ale tamtej nocy nauczyłam się czegoś ważnego.

Nie ufać nikomu.

– Będzie nieźle walić.

Podskakuję, ale się nie odwracam. Mój żołądek skręca się, jakby walczył z kolacją.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

– No jasne – odpalam.

Obok stoi York i spogląda na mnie tymi swoimi szarymi, wilczymi oczami.

– Powiem to wprost, Savannah, skoro w końcu jesteśmy tylko ty i ja.

Robię kilka szybkich wdechów i wydechów, próbując zwalczyć zawroty głowy.

– Słyszałem, że w twoje porwanie zamieszany był Amerykanin.

– Amerykanin? – Tak go nazwałam. – Czy on nie ma imienia?

– Obserwujemy go od sześciu lat i jak do tej pory nikt nie był w stanie go zidentyfikować. Jest nieźły. Obraca się wśród karteli, dobrze go chronią. Nikt nie był w stanie się do niego zbliżyć. Musisz spróbować przypomnieć sobie każdy szczegół spotkania z nim. To cholernie ważne.

– Próbowałam...

– Niewystarczająco! – dogryza mi.

Odwracam głowę i przez chwilę patrzę na niego. Zaczynam widzieć podwójnie.

– Niewystarczająco!? Przepraszam, ale czy to ty byłeś przetrzymywany przez siedem miesięcy i traktowany jak pies? Nie, nie byłeś. Wspomnienia wracają i odpływają. Czasami coś je wyzwala, innym razem nie. Nie mam na to wpływu. – Przybliżyłam się do niego. – Wciąż próbuję to wszystko przetworzyć. Wszystko jest takie popieprzone, York! Więc nie mów mi, że nie staram się wystarczająco. – Zataczam

się, czując mdłości.

Chwyta mnie mocno za łokieć i ze złością odciąga poza pole widzenia pozostałych.

– Rozumiem, że próbujesz, Savannah, ale teraz, gdy wiemy, że Amerykanin jest w to zamieszany, to zasady gry uległy zmianie. Jemu nikt nie ucieka. Nigdy. – Zniża głos. – Jego nazwisko jest teraz powiązane z tobą i twoim zniknięciem, więc skoro udało ci się wydostać z łapsk *Los Sirvientes Del Diablos*, stajesz się jego priorytetem. Więc rozumiesz, dlaczego mówię ci, żebyś wysiliła mózgownicę i wszystko sobie przypomniała? Właśnie dlatego. Możesz to wszystko spieprzyć. – Zamaszystym gestem wskazuje posiadłość. – Kurwa, żałuję, że nie wiedzieliśmy więcej o tobie i całej tej sytuacji, zanim się zdecydowaliśmy cię stamtąd wyciągnąć. Jebany Cole.

Okej, teraz już wszystko wiruje. Wyciągam rękę w kierunku krzesła, szukając jakiegoś oparcia.

– Twierdzisz... mówisz, że moglibyście po mnie nie przyjechać?

Robi groźną minę. Widać, że jest wkurwiony.

– Mówię, że powinien zająć się tym wtedy, i teraz zresztą też, program ochrony świadków. Przez ciebie mamy kłopoty i możemy stracić wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy.

– Nie prosiłam o to, York – wypływam defensywnie. – Cholera, myślisz, że da się dostać do wspomnień zamkniętych w mojej głowie za pomocą jakiejś pieprzonej zasuwki?

– Myślę, że powinnaś stąd odejść – odpowiada bez wahania.

Po tym, co mi powiedział, nie mogę złapać tchu. Odwracam się na pięcie i schodzę po schodkach na trawnik. Nie chcę wracać do środka i musieć rozmawiać ze wszystkimi. Jeśli tak rzeczywiście jest, jak mówi York, to może nie tylko on uważa, że narażam to miejsce. Idę na pomost, powłócząc nogami. Czuję trwogę. Opadam na krzesło ogrodowe, próbując zwalczyć mdłości. Jezu, co ja zjadłam? Otwieram i zamykam oczy. Wszystko przesuwają się w prawo. Zbliżam dłoń do twarzy i widzę tylko rozmytą tęczową smugę. Padam na czworaka, moim ciałem wstrząsają torsje, żołądek się skręca. Przykładam policzek do chłodnego drewna, wpatruję się w jezioro i obserwuję przesuwaną się w moim kierunku kurtynę deszczu. Krople odbijają się od mojej twarzy, zmywają pot z czoła i przyjemnie je chłodzą.

Nie wiedzą, kim jest Amerykanin? Wiedzą tylko, że będzie mnie szukał wszędzie, pod każdym kamieniem w Ameryce, dopóki mnie nie znajdzie? Wow, mam niezmiernie przejebane. Jakim cudem, a raczej dlaczego to mi się przytrafia? O Boże, a co jeśli naprawdę rozwalę im to wszystko? Trzy pokolenia Loganów, które uratowały niezliczone istnienia. Pochylam się do przodu, ponownie opróżniając żołądek. Czuję się paskudnie. Opadam z powrotem na deski pomostu. Nie mam siły się ruszyć. Moje ubranie jest kompletnie przemoczone, nie czuję nic poza ostrym bólem brzucha. O nie! Przewracam się i kontynuuję obrzydliwy akt opróżniania żołądka, chociaż niewiele już tam pewnie zostało. Zamykam oczy i obiecuję sobie, że porozmawiam z Cole'em o wyjeździe.

– Savannah? – słyszę Keitha, którego głos przedziera się przez deszcz. – Co ty robisz?

Nie ruszam się.

– Daj mi chwilę – udaje mi się coś powiedzieć z trudem.

– Może najpierw zabiorę cię z tego deszczu... – Opada na kolana przede mną, rondo jego kapelusza ocieka wodą. – Jezu, Savi, wyglądasz okropnie. – Łapie mój nadgarstek i sprawdza puls. Słyszę skrzypienie jego przeciwdeszczowej kurtki, kiedy sięga do radia i coś mamrocze. Nie rozumiem ani słowa, wszystko robi się szare, zamglone. – Muszę cię zabrać do środka.

Próbuję go odepchnąć, ale moja ręka ląduje przed nim z plaśnięciem. Czuję się, jakbym była z ołowiu. Nie ma mowy, żeby dał radę mnie podnieść. Jeśli to zrobi, chyba stracę przytomność.

– Nie – szepczę, koncentrując uwagę na jakimś kamieniu. Potrzebuję jakiegoś punktu, na którym mogę się skupić, a który się nie rusza.

Keith przygląda mi się przez chwilę, po czym wstaje. *O Boże. Proszę, zostaw mnie w spokoju.*

Rozdział siódmy

Cole

Popijając brandy, Cole słucha opowieści Johna o tym, jak to wracając do Stanów z akcji odbicia w Meksyku, złapał gumę, kiedy kątem oka zauważył Marka. Ten macha do niego, dając znak, aby przyszedł do kuchni. Wygląda na zdenerwowanego.

– Keith chce z tobą gadać – mówi, podając mu radio. Cole patrzy na niego zaintrygowany. To Mark ma dzisiaj zmianę, więc jeśli woła go Keith, to znaczy, że to coś ważnego. – Masz.

– Raven One do Beta Seven.

– Raven One, musisz przyjść na przystań. Mamy problem.

– Zaraz tam będę.

Mark ze zmartwioną miną wręcza mu płaszcz przeciwdeszczowy.

Biegnie trawnikiem, jego buty zatapiają się w mokrej, śliskiej trawie. Keith zatrzymuje go kilka metrów od przystani.

– Chodzi o Savannah. – Cole czuje ucisk w dołku. – Znalazłem ją leżącą na pomoście. Wygląda na naprawdę chorą, ma przyspieszony puls. Nie pozwala mi się ruszyć. Nie chciałem robić nic na siłę. – Rzuca spojrzenie Cole'owi. Wszyscy tutaj wiedzą, że „gości” lepiej do niczego nie zmuszać. Z ofiarami porwania należy obchodzić się wyjątkowo delikatnie. – Pomyślałem, że tobie pozwoli się zabrać. – Keith chwyta go za ramię, zbliżywszy się do niego. – Cole, ona nie wygląda dobrze.

– Zabierz mnie do niej.

Kierują się na pomost, na którym leży przemoczona, półżywa Savannah. Delta Six trzyma nad jej głową parasol. Serce Cole'a ścisiska się, gdy podbiega do niej i pada na kolana, zszokowany tym, jak bardzo jest blada. Sprawdza jej puls – tętno jest galopujące.

– Hej, Savi. – Próbuje zachować spokój. Zauważa, że jej spojrzenie jest wbite gdzieś w linię horyzontu. – Co tu robisz?

– Powiedz Cole'owi, że wyjadę – szepcze z trudem.

Wyjadę? Spogląda na Keitha, który ponuro kręci głową. Savannah najwyraźniej majaczy. Pochyla się, żeby przyjrzeć się jej źrenicom i zauważa, że są rozszerzone. Daje Keithowi znak, żeby posłał po lekarza.

– Tu Keith, kod jeden – melduje szybko.

Savannah pojękuje i trzyma się za brzuch.

– Dlaczego miałabyś stąd wyjechać? – Cole próbuje odwrócić jej uwagę, gdy zauważa, że zbiera jej się na wymioty.

– Amerykanin, jest powiązany ze mną, a on nigdy nie traci swoich zakładników.

Co do cholery? Skąd ona to wie? To są poufne informacje.

– Muszę stąd wyjechać, zanim... – Nie sposób zrozumieć, co mówi. W jej oczach widać wyczerpanie. – Powiedz Cole'owi, żeby się nie martwił. Wyjadę.

Prędzej zdechnie, niż ta kobieta opuści to miejsce.

– Savi, teraz cię podniosę.

– Nie – łka, próbując go odtrącić. – Niedobrze mi.

Ignoruje jej protesty i bierze ją na rękę. Jest tak osłabiona, że jej ciało przypomina rozwodnioną papkę.

– Keith – woła przez ramię – moje drzwi.

Keith biegnie i otwiera tylne drzwi zarezerwowane tylko dla Cole'a. To bezpośrednie przejście do jego pokoju. Kiedy wchodzi do środka i znajdują się już w korytarzu, odwraca się do Keitha.

– Idź po Abigail, ale nikomu o tym nie mów. Zadzwon do kogoś, żeby wziął dzisiaj twoją zmianę.

Idź się wysusz, a potem przyjdź do mnie.

Keith kiwa głową i zanim wychodzi spogląda na Savannah.

Cole jest zadowolony, że to Keith ją znalazł, a nie któryś z pozostałych chłopaków. Mogliby ją przenieść do domu, myśląc, że tak będzie najlepiej.

Otwiera drzwi do swojej sypialni i kładzie ją na łóżku. Nieruchomieje, kiedy chwyta go za kurtkę. Savannah ma zamknięte oczy, ale Cole wie, że dziewczyna ledwo się trzyma. Jęczy i puszcza go, po czym znowu chwyta się za brzuch, a on sięga po kubeł na śmieci.

Wow, naprawdę jest z nią źle.

– O mój Boże, Savannah. – Abigail wpada do pokoju z domową apteczką. Wyciąga termometr i przykładą go do ucha dziewczyny. Savannah znowu jęczy i przyciska kolana do brzucha, jej oddech staje się płytki. – Nie ma gorączki. Cole, może powinniśmy przenieść ją do jej sypialni?

– Nie, zostaje tutaj, dopóki nie dowiemy się, co jej jest.

– Lekarz powinien być lada chwila – wtrąca Keith.

– Dobrze, chłopcy, dajcie mi pięć minut, żebym mogła ją przebrać w coś suchego.

Cole wyciąga czarny T-shirt i podaje go Abigail, po czym wychodzi z Keithem na prywatny korytarz.

– Keith, nie mów nikomu o tym na razie.

– Jasne.

– Coś ci powiedziała?

– Ciągle powtarzała, że musi odejść. – Kręci głową. – Wcześniej z kimś rozmawiała, ale nie widziałem z kim. Ktokolwiek to był, zrobiło się między nimi gorąco. Zwróciłem uwagę, bo Savannah coś krzyczała. Widziałem, jak schodzi z tarasu i kieruje się w stronę pomostu na przystani. Potknęła się, gdy doszła do krzesła ogrodowego. Pomyślałem, że może za dużo wypila, więc dałem jej spokój. Ale potem zobaczyłem, że się pochyla i upada. Kiedy dotarłem na pomost, wymiotowała jak kot i była biała jak prześcieradło. Przepraszam, że jej nie zabrałem, ale...

– Nie, dobrze zrobiłeś. – Cole myśli przez chwilę. – Koniecznie muszę wiedzieć, z kim wtedy rozmawiała, więc jeśli czegoś się dowiesz, daj mi natychmiast znać. – Ciekawe kto nie trzymał swojej pierdolonej gęby na kłódkę.

– Jasne – mówi Keith, po czym znika w głębi korytarza.

*

– Kiedy pojawiły się objawy? Ktoś zauważył? – pyta doktor z poważną miną.

– Wszystko było z nią w porządku, kiedy przyniosłam jej w południe lunch. – Mówiła, że jest po prostu zmęczona. – Abigail wygląda blado.

– Jak przyszła porozmawiać ze mną około jedenastej też wyglądała okej – dodaje Cole, zachodząc w głowę i próbując przypomnieć sobie, czy wyglądała jakoś inaczej. – Podczas kolacji też raczej nic jej nie było. Niewiele zjadła.

– Coś piła? Jakiś alkohol?

– Nie, nie pije zbyt dużo – mówi Cole, krzyżując ramiona.

Lekarz pobiera jej krew, a następnie ostrożnie wkłada fiolkę do swojej torby.

– Myśli pan, że to grypa? – pyta zaniepokojona Abigail.

– Nie, nie sędzę. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym raczej, że to albo zatrucie pokarmowe, albo jakiś inny rodzaj zatrucia.

Abigail robi gwałtowny wdech, a Cole zaciska dłonie w pięści i mocno przyciska je do boków.

– Nikomu poza nią nic nie jest. – Abigail wygląda na przerażoną. – Wszyscy jedliśmy to samo. Sama przygotowywałam kolację.

Cole ściska jej ramiona. Nigdy nie pomyślałby o Abigail inaczej, jak tylko w samych superlatywach.

– W takim razie może coś wypila. – Lekarz podłącza kroplówkę do nadgarstka Savannah. – Ktoś mógł jej czegoś dolać do picia.

Savannah cicho jęczy, gdy igła wbija się w jej skórę.

– W porządku, skarbie. To cię nawodni. – Cole walczy z chęcią pocieszenia jej.

Lekarz spogląda na Cole'a.

– Macie może nieotwartą wodę w butelce?

– Tak.

Szybko podchodzi do mini lodówki i podaje mu małą butelkę. Patrzy, jak lekarz rozpuszcza w niej łyżkę aktywnego węgla.

– Za jakieś – lekarz spogląda na zegarek – piętnaście minut powinien zadziałać zastrzyk przeciwwymiotny, który jej zrobiłem. Każ jej to wszystko wypić. – Wstaje i stawia buteleczkę na stole. – Zabiorę próbkę krwi do laboratorium. Na razie jej stan jest stabilny, ale jeśli pogorszy się, zanim wrócę, od razu do mnie dzwoń.

– Kiedy będą wyniki, doktorze Rice? – pyta Abigail, podchodząc do Savannah i delikatnie masując jej ramię.

– To jest super pilne, doktorze. – Cole rzuca mu spojrzenie z drugiego końca pokoju.

– Jak zawsze, Logan. Powinny być za kilka godzin.

– Proszę dzwonić na moją prywatną komórkę. – Ktoś mógłby ich podsłuchiwać. Cole woli nie ryzykować. Zbyt wiele jest tutaj pytań bez odpowiedzi.

Abigail odprowadza lekarza tylnym wyjściem.

Cole siedzi na krześle i patrzy na śpiącą Savannah. Wydaje się taka mała w jego wielkim podwójnym łóżku. Na próżno próbuje odepchnąć okropne myśli z cyklu „A co jeśli...?”. A jeśli nikt by jej tam nie zauważył? Co jeśli...

Widział ludzi w znacznie gorszym stanie, ale tu chodzi o Savannah, to coś innego. Każda część jego ciała pragnie położyć się obok niej, wdychać jej zapach i mocno ją przytulić. Chciałby zapewnić jej spokój, na jaki zasługuje. Pociera twarz, odchylając się na krześle. Spogląda na zegarek, po czym sięga po szklankę.

Siada na skraju łóżka, następnie delikatnie odgarnia włosy z jej twarzy.

– Savannah – mówi cicho, odwracając ją na bok. – Otwórz oczy.

Dziewczyna pojękuje, próbując wykonać polecenie.

– Masz, wypij to. Pomoże ci na żołądek. – Jej usta lekko się rozchylają, więc wsuwa słomkę między jej wargi i prosi, żeby wszystko wypić. – Dobra robota. Teraz możesz spać.

Zasypia.

Cole zrywa się na równe nogi, kiedy rozlega się pukanie do tylnych drzwi. Kiedy je otwiera, widzi przed sobą Keitha z butelką brandy i dwoma szklankami.

– Pomyślałem, że może miałbyś ochotę. – Keith wzrusza ramionami, wchodząc do pokoju. – Co powiedział doktor?

– Prawdopodobnie trucizna. Wkrótce powinny być wyniki.

Keith wygląda na zszokowanego. Napełnia szklanki alkoholem.

– Czego się dowiedziałeś?

– York z nią rozmawiał.

Keith krzywi się, widząc jak twarz Cole'a tężeje.

Cole bierze długi łyk, próbując zapanować nad gniewem.

– Tłumaczył jej, że musi przypomnieć sobie wszystko o Amerykaninie. Jest na ciebie wkurzony...

– On na mnie? – wykrzykuje Cole.

Oboje spoglądają na Savannah, która się poruszyła.

– Tak, mów, że nie powinniśmy jej tu przywozić. Że program ochrony świadków to byłby lepszy wybór. – Keith unosi rękę, powstrzymując Cole'a przed wygłoszeniem kolejnej tyrady na temat tego programu. – To wszystko, co wiem. W każdym razie, mówiąc to, był ze mną szczery. Nie wydaje mi się, żeby coś ukrywał. Powiedziałem, że kazałeś mu wziąć moją wieczorną zmianę. – Keith uśmiecha się. – Nie był zadowolony, ale się zgodził.

– No raczej – syczy Cole, sącząc drinka.

Przez chwilę siedzą w milczeniu i wsłuchują się w uderzający o szybę deszcz.

*

– Cole? – W progu stoi Abigail. Żaden z mężczyzn nie usłyszał, jak otwierają się drzwi. – Przyszedł doktor Rice.

Cole spogląda na zegarek, zdziwiony, że minęły już trzy godziny.

– Witam doktorze. Nie lepiej było zadzwonić?

Doktor sprawdza stan Savannah. Wszystko wydaje się w porządku.

– Postanowiłem wpaść i przekazać ci wiadomości osobiście – stwierdza, wyjmując wenflon z dłoni Savannah.

Kiedy lekarz dalej dogląda pacjentki, Cole'a dosłownie rozsadza w środku w oczekiwaniu na to, co ten powie.

– To było zatrucie tetrahydrozoliną.

– Co? – Abigail spogląda na Cole'a pytającym wzrokiem.

– Krople do oczu – odpowiada. – Każdy z chłopaków ma je tu przy sobie. Tutejsza aura nie jest zbyt łaskawa dla oczu. Ile miała tego w organizmie?

– Sporo – odpowiada lekarz.

Nagle Cole'a ogarnia mroczne uczucie. Musi chwycić się oparcia krzesła.

– Doktorze Rice – głos Cole'a jest niski – proszę natychmiast usunąć wyniki testów ze swojej bazy danych.

– Oczywiście. Już dzwonię do laboratorium – mówi, po czym wymyka się na korytarz.

– Co o tym sądzisz? – pyta Keith.

– Nie wiem, ale nie podoba mi się to i myślę, że powinniśmy zachować w tajemnicy wszelkie szczegóły na temat tego, co się wydarzyło. – Cole dopija drinka jednym haustem.

– Nie rozumiem, Cole. – Abigail krzyżuje ramiona. – Jakim cudem została otruta? Żaden z naszych chłopaków nie mógł tego zrobić.

– Ja też nie chcę nawet o tym myśleć, ale ktoś to zrobił. Sama by tego nie zrobiła.

– A czemu chcesz to wymazywać z bazy danych? – pyta zdezorientowany Keith.

– To jest dość nietypowe zatrucie, więc kiedy to trafi do bazy danych w laboratorium, komuś, kto tam pracuje, może to się wydać dziwne. Coś takiego odstaje na tle innych wyników, a my nie potrzebujemy, żeby ktoś się tym zainteresował. Mam tylko nadzieję, że laboratorium nie wprowadziło jeszcze wyników do bazy online.

– O, mój Boże! – wykrzykuje Abigail. Obaj mężczyźni spoglądają na nią. – Ona lubi moją lemoniadę. Wczoraj rano zrobiłam jej dużą porcję i wstawiłam do lodówki. Stała tam cały dzień. Każdy mógł coś do niej dodać.

Cole wypuszcza długo powietrze i odwraca się do Keitha.

– Sprawdź nagrania z monitoringu. Zobaczmy, czy coś tam znajdziemy.

Keith ściska dłoń Savannah, po czym wychodzi.

– Abigail, mogłabyś mi przynieść trochę tej lemoniady? Chciałbym dać ją do przebadania – pyta doktor Rice z za ich pleców. – Cole, jutro przyjdę sprawdzić, jak się czuje Savannah. Powinna dojść do siebie. Zareagowaliśmy szybko, a poza tym nie spożyła tego wystarczająco dużo, by... – Przerzywa, widząc minę Cole'a. – Po prostu potrzebuje odpoczynku.

Cole z westchnieniem opada na krzesło. Cała ta sytuacja wydaje się surrealistyczna. Sama myśl, że wśród jego zaufanych ludzi mógłby być zdrajca, przyprawia go o mdłości. W tym biznesie lojalność to podstawa. Musi jak najszybciej o wszystkim opowiedzieć ojcu. Naprawdę potrzebuje rady swojego staruszka.

Zastanawia się, jak postąpić z Yorkiem. O czym, do diabła, on myślał, kiedy zdecydował się jej wszystko powiedzieć? Savannah nie musi wiedzieć, że jej życie nigdy nie będzie takie jak kiedyś, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła wrócić do domu, zwłaszcza ze względu na to, co Cole podejrzewa, że się dzieje.

Wypija kolejną szklaneczkę brandy, mając nadzieję, że to pomoże mu się wyluzować, a potem odchyła się do tyłu i spogląda na zegar. Za dziesięć druga w nocy. W końcu przebiera się w suche

ubranie, po czym opada z powrotem na krzesło, nie chcąc zostawić Savannah samej, na wypadek gdyby się obudziła. On też czuje się skonany...

*

– Nie, nie, proszę.

Usłyszawszy krzyk, Cole gwałtownie otwiera oczy, podnosi głowę i widzi szamoczącą się we śnie Savannah.

– Już nie! Przepraszam.

Zrywa się i podchodzi do łóżka.

– Savannah – szepcze – obudź się.

– Nieee.

Szturcha ją, aż wreszcie dziewczyna otwiera oczy.

Zaskoczona patrzy na niego. Jej klatka piersiowa faluje, a po policzkach spływają łzy.

– Coś ci się śniło – mówi. – Jesteś w bezpiecznym miejscu.

Powoli kręci głową i ponownie zamyka oczy.

– Nie zostawiaj mnie – mruczy, kładąc dłoń na jego dłoni.

– Nie zostawię. Obiecuję.

Nie zastanawiając się, czy robi dobrze, ściąga buty i kładzie się obok niej. Opiera plecy o skórzane wezglowie i łapie ją za rękę, gdy ta zasypia. Tak, zdecydowanie owinęła go sobie wokół małego palca. Cholera.

– Pachniesz jak on – mruczy przez sen.

– Jak kto?

– Cole.

Czuje, jak jego serce przyspiesza, po czym następuje wybuch radości. Wie, że nie powinien wykorzystywać tej sytuacji, ale kogo on chce oszukać...

– To dobrze?

Savannah wzdycha.

– Bardzo.

Okej, wchodzi w to. Stawia wszystko na jedną kartę. Ona musi być jego. Teraz, gdy ma potwierdzenie, że jest nim zainteresowana, może opuścić gardę. Przytłaczający instynkt opiekuńczy, którego doświadcza, odkąd przybyła, runął na niego jak osuwisko. Tak, stało się, zakochał się w tej kobiecie na zabój. I jest tym śmiertelnie przerażony.

*

Zapach jabłek wypełnia jego zmysły. Upajające ciepło rozlewa się po całym jego ciele aż po koniuszki palców u stóp. Napawa się tą półśenną chwilą, dopóki nie słyszy, jak ktoś odchrząkuje. Mruga gwałtownie i jego oczom ukazuje się uśmiechnięta Abigail.

– Dzień dobry – wita się, kierując wzrok na bok.

Cole przeciera oczy i spogląda na wtuloną w niego Savannah. Nie jest pewien, jak się zachować, więc tylko uśmiecha się głupio do Abigail. Jego mózg potrzebuje chwili, aby przypomnieć sobie wszystkie szczegóły poprzedniej nocy.

– To ja położę to tu. – Kiedy kładzie na stole tacę ze śniadaniem, Cole zauważa, że są dwie porcje.

– Dopilnuję, aby nikt wam nie przeszkadzał i abyście mieli cały poranek dla siebie.

– Abby... – mamrocze, próbując zmusić głowę do myślenia.

– Nie. Nie. – Unosi ręce i cofa się do drzwi. – Zostań tam, gdzie jesteś. – Nadal uśmiecha się szeroko.

Dzięki Bogu, że to Abigail. Wie, że może jej zaufać, że dochowa tajemnicy. Ale właściwie, kogo on chce nabrać? Kręci głową. Jak nic dzwoni teraz do jego matki, informując ją o wszystkich szczegółach.

Savannah przytula się do niego. Rękę kładzie na jego brzuchu, a głowę opiera na jego klatce piersiowej.

Cole czeka, aż jej oddech stanie się spokojny i miarowy, a potem obejmuje ją ramieniem i przysuwa trochę bliżej siebie. Uwielbia, kiedy tak dopasowuje się do jego ciała. Wie, że powinien wyslizgnąć się z łóżka, zanim się obudzi – prawdopodobnie będzie spanikowana, jeśli obudzi się w jego ramionach – ale po prostu nie jest w stanie się ruszyć. Jego rozum i serce toczą walkę. W końcu wyłącza myślenie i pływając się w ciepłej leżącej obok niego dziewczyny, ponownie zasypia.

*

Wibrująca komórka wyrywa go ze stanu zamroczenia. Zaczyna się podnosić, ale zdaje sobie sprawę, że wciąż oplata go ciało Savannah. Sięga jakoś po telefon i czyta SMS od Marka, który pyta, gdzie się podziwia. Przełącza komórkę na cichy tryb, po czym odkłada ją ostrożnie na szafkę nocną.

– Cole? – odzywa się cicho Savannah.

– Tak? – W brzuchu czuje narastający niepokój. O Boże.

Dziewczyna odsuwa się i próbuje usiąść, ale jej się nie udaje.

– Wszystko w porządku, Savannah – zapewnia ją. – To nie tak, jak myślisz.

– Co ja tutaj robię, w łóżku z tobą?

W myślach wali się po pysku. Idiota! Nie pozostaje mu nic innego, jak powiedzieć prawdę.

– Bo mnie o to poprosiłaś.

Bo nie mogę zostawić cię samej.

Savannah znowu próbuje wstać, tym razem udaje jej się uklęknąć na łóżku.

Nagły brak kontaktu cielesnego z nią wywołuje w Cole’u poczucie straty. Natychmiast zaczyna za nią tęsknić.

– Co się stało? – Patrzy na koszulkę, którą ma na sobie, i wzdycha, szybko zakrywając nią nogi. Nie to, żeby musiała, dla niej jest jak sukienka. – Jak się tu znalazłam? I dlaczego tak strasznie łupie mnie głowa? – Siada i opiera się o zagłówek.

– Jesteś w moim pokoju, ponieważ to najbezpieczniejsze miejsce w całym domu. Poza tym ma dodatkowe tylne wejście. Pamiętasz coś z zeszłej nocy?

Dziewczyna rozgląda się po pokoju, trzymając rękę na brzuchu. Bez wątpienia nadal czuje się okropnie.

– Pamiętam, że zrobiło mi się niedobrze. I Keitha.

– Ktoś próbował cię otruć, Savannah. Podejrzewamy, że ktoś mógł dodać coś do twojej lemoniady.

Jej twarz robi się trupio blada. Przypomina sobie. Łzy zbierają się w jej pięknych ciemnych oczach, co łamie mu serce.

– Co? Kto chciałby mnie otruć? – wykrzykuje, próbując zrozumieć, co się stało. Ociera wierzchem ręki policzek, ścierając łzę. – Ja... ja muszę iść. – Przesuwa się na drugą stronę łóżka.

Cole zrywa się na równe nogi i próbuje ją złapać, gdy ta traci równowagę i upada na podłogę.

– Nie, zostajesz tutaj.

Podnosi ją, a następnie kładzie z powrotem na łóżku.

– Nie, nie rozumiesz... – Szarpie się, ale on przygniata ją swoim ciałem do materaca.

Próbuje go odepchnąć, ale jest zbyt słaba, by dłużej z nim walczyć.

– Rozumiem. Wiem, że rozmawiał z tobą York. – Patrzą sobie w oczy. – Wiem, że powiedział ci o Amerykaninie i o tym, że jemu nikt nigdy nie ucieka. I że będzie cię szukał, dopóki cię nie znajdzie. Ale, Savannah, obiecuję ci, że to się nie stanie. Nie pozwolę na to.

Jej usta drżą, a łzy spływają po jej policzkach. Wygląda na przerażoną.

– Proszę, zostań i pozwól mi cię chronić. – Jego twarz jest kilka centymetrów od jej. Delikatnie osusza kąciki jej oczu prześcieradłem. – Musisz mi zaufać.

– Ja... dobrze – szepcze bez wahania.

Mężczyzna zamyka oczy, wzdychając z ulgą.

– Cole? – Otwiera oczy na dźwięk jej miękkiego głosu. – Byłeś przy mnie całą noc?

Kiwa głową, bojąc się odezwać. Jej zaufanie znaczy dla niego więcej, niż przypuszczał.

– Dziękuję – mówi, a potem unosi głowę i delikatnie całuje go w policzek, pokryty

kilkudniowym zarostem.

Jej usta są jak aksamit. Każdy nerw w jego ciele staje na baczność. Ta kobieta rozbudza w nim takie miejsca, o których istnieniu nie zdawał sobie sprawy. Powoli zsuwa się z niej, wiedząc, że nie może jej tak przygniatać w nieskończoność. Podciąga ją za sobą i oboje siadają.

– Jak myślisz, kto próbował mnie otruć? – pyta, znowu owijając podkoszulek wokół nóg.

Cole odchrząkuje.

– Nie wiem. Keith sprawdza nagrania z monitoringu. – Patrzy, jak ona pociera głowę. – Dobrze się czujesz?

Potakuje skinieniem głowy, ale Cole widzi, że nie mówi prawdy.

– Potrzebny mi prysznic i szczoteczka do zębów – mruczy z lekkim grymasem. – I coś przeciwbólowego.

Cole odsuwa szufladę nocnego stolika i podaje jej dwie tabletki przeciwbólowe oraz butelkę wody.

Savannah waha się, czy ją wziąć.

– Nie bój się. Woda jest z mojej lodówki. Nikt tu nie wejdzie bez kodu zabezpieczającego, a znamy go tylko Abigail i ja.

– Znalazłam coś... wczoraj coś znalazłam. Muszę ci to pokazać.

– Okej, Savi, ale najpierw zaprowadzę cię do twojego pokoju i poproszę Abigail, żeby pomogła ci wziąć prysznic. A potem mi to pokażesz.

– Dobrze.

Cole zdejmuje koszulkę, a następnie odsuwa szufladę komody, z której wyjmuje czysty T-shirt. Łapie jej spojrzenie odbite w lustrze. Widzi, że przygląda się tatuażowi na jego ramieniu.

– Co oznacza De Oppresso Liber?

Zrobił go po pierwszym roku w siłach specjalnych. Przedstawia orła trzymającego dwie strzały owinięte w amerykańską flagę i napis w kształcie podkowy. Nie jest zbyt duży, mniej więcej wielkości krążka hokejowego. Większość facetów z sił specjalnych ma ogromne tatuaże, jakby chcąc w ten sposób zmanifestować coś innym, ale on zrobił go tylko dla siebie.

– Uwolnić uciśnionych – odpowiada, wkładając przez głowę czystą koszulkę. – W porządku, a teraz idziemy na górę.

Pomaga jej wstać z łóżka, a kiedy Savannah staje na podłodze, Cole upewnia się, czy da radę sama utrzymać się na nogach. Obejmuje ramieniem jej talię, pozwalając, aby dziewczyna się na nim oparła. Czuje się przy nim tak dobrze.

*

– Gdzie jesteśmy? – pyta, rozglądając się.

– Tylne wyjście, przez które można opuścić dom. Specjalne środki ostrożności na wypadek, gdybyśmy zostali zaatakowani – odpowiada Cole. Czuje, jak Savannah drży, kiedy idą korytarzem.

– Co tam jest?

Cole podchodzi do otwartych drzwi i pozwala jej zajrzeć do małego pokoju, w którym widać mnóstwo książek na półkach i całą stertę pluszowych poduch na podłodze.

– O, jak przytulnie – stwierdza zachwycona.

– Moja mama urządziła ten pokój, kiedy ojciec pracował przez wiele godzin, a po domu zaczęło się kręcić zbyt wiele ludzi. Zamykała się tutaj całe dnie, zatapiając się w lekturze książek. – Uśmiecha się na wspomnienie chwil, kiedy zwił ją obok niej w kłębek, a ona czytała mu Moby Dicka. – To tutaj. – Otwiera drzwi i pomaga jej przejść.

Jest zaskoczona, że część ściany jej pokoju to w rzeczywistości drzwi.

– Mogę dostać się stąd do tego korytarza? – pyta, spoglądając na drzwi, gdy Cole zamyka je za nimi.

– Tak.

To wszystko, co może jej teraz powiedzieć, a ona nie naciska, żeby zdradził coś więcej.

Sadza ją na łóżku, a następnie woła Abigail. Czuje, jak zmienia się jej nastrój, gdy rozgląda się

po pokoju i łapie się za brzuch.

– Coś nie tak? – pyta, klękając przed nią.

– Po prostu czuję... – Jej ciemne oczy wpatrują się w jego. – W twoim pokoju czuję się... –

Znowu się zacina.

– Bezpieczna? – pyta z nadzieją, że się nie myli.

Kiwa głową, po czym ją opuszcza.

Odgarnia jej włosy za ramię.

– Osiem-dziewięć-osiem-sześć – szepcze.

Patrzy na niego zdziwiona.

– Panel do wbijania kodu jest tam, gdzie drzwi stykają się z drewnianą ramą. – Kod to osiem-dziewięć-osiem-sześć. A osiem-dziewięć-osiem-siedem to kod do moich drzwi, jeśli byś się czegoś przestraszyła.

Z jej oczu znika napięcie, zarzuca mu ręce na szyję i przyciąga go do siebie.

Jego ciało reaguje natychmiast, obejmuje ją i zanurza twarz w jej włosach. O Boże, jak ona niesamowicie pachnie.

Savannah opiera głowę na jego ramieniu.

– Przepraszam. – Uśmiecha się do niego. – Pewnie strasznie cuchnę.

– Nie – odpowiada zachrypniętym głosem.

Dziewczyna opiera obie ręce na jego ramionach, aby się podtrzymać. Cole nadal jest zaklinowany między jej nogami, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadza. Jej wzrok ześlizguje się na jego usta. Logan chce, żeby to ona zrobiła pierwszy krok, wzięwszy pod uwagę to wszystko, co jej się przydarzyło, nie jest pewny, jak by zareagowała, gdyby stało się na odwrót.

Boże dopomóż mu, gdyż traci kontrolę. Jeśli przesunie się o kilka centymetrów do przodu, będzie tam, gdzie pragnie być. Patrzy, jak jej język oblizuje dolną wargę, z jego ust wydobywa się jęk.

– Cole, nigdy nie czułam...

– Już jestem, Savannah! – Do pokoju wpada Abigail i zatrzymuje się w pół kroku, gdy ich zauważa. – O, bardzo przepraszam.

Savannah opuszcza ręce i siada z powrotem na łóżku. Cole zamyka oczy, w duchu przeklinając intruzkę.

– Zobaczmy się za niedługo, Savi... jak już się umyjesz i trochę odpoczniesz.

– Dzięki.

Rozdział ósmy

Savannah

Po dwugodzinnej drzemce i prysznicu czuję się zdecydowanie lepiej. Zagląda do mnie doktor Rice, bada mnie i mówi, że miałam szczęście, że Keith w porę mnie znalazł. Informuje mnie również, że rzeczywiście ktoś dolał do lemoniady krople do oczu Visine. Najwyraźniej mogą bardzo zaszkodzić, jeśli się je wypije. Gdybym zdecydowała się na drugą szklankę lemoniady, byłabym w o wiele gorszym stanie. Bywają nawet przypadki śmiertelne. Doceniam wyjaśnienie lekarza, ale jest to co najmniej przygnębiające.

Biedna Abigail jest wściekła na całą tę sytuację i ciągle mnie przeprasza. Poprawia mi poduszkę z sześć razy, po czym pyta, czy coś mi przynieść. Zapewniam ją, że nic mi nie jest. Chcę tylko wstać i rozprostować nogi. Dostaję zielone światło od Abigail, ale muszę jej obiecać, że coś zjem, a jeśli poczuję się zmęczona, że odpocznę, zamiast z tym walczyć. Daję słowo, bardziej ze względu na nią niż na mnie. Błysk w jej oczach w drodze do kuchni jest tego wart.

– Może płatki owsiane z siekanymi migdałami? Są zdrowe i lekkostrawne.

– Brzmi nieźle. Dzięki – mówię, siadając na stołku przy barze, przy którym zwykle jadamy śniadanie.

– Nie martw się, kochanie. Cole kazał wyrzucić całe jedzenie i kupić nowe, więc wszystko powinno być w porządku.

Opada mi szczęka.

– Całe jedzenie? Żartujesz? Tego było tyle, że można by wyżywić całą armię!

– Jesteśmy armią – wcina się Mark, ignorując moje przewracanie oczami. Przygląda mi się. – Jak bardzo było źle?

– Powiedzmy, że czułam się, jakbym zastukała do wrót śmierci. – Wzdrygam się na samo wspomnienie. – Ale już mi lepiej.

– Cieszę się. – Pochyla się i skubie winogrono z miski, po czym ścisza głos. – Cole, Keith, Mike i ja jesteśmy jedynymi, którzy wiedzą, co się stało, i chcemy, żeby tak zostało, dopóki nie dowiemy się, z czym mamy do czynienia. Okej?

– Okej, jasne. A kto to jest Mike?

– Delta Six. Keith kazał mu cię pilnować, gdy wyjaśniał Cole’owi szczegóły.

– Aha. Poznałam go? – Staram się sobie przypomnieć.

– Nie, ale teraz już go zapamiętasz. – Uśmiecha się. – Powiedzmy, że cieszę się, że to on cię wtedy pilnował. Jest przerażająco wyglądającym skurwy...

Chlast! Mark zostaje zdzielony kuchenną ścierką w twarz.

– Cóż to za język? – Abigail krzywi się, celując w niego drewnianą łyżką, a potem śmieje się, gdy stawia przede mną miskę z płatkami owsianymi i szklankę soku pomarańczowego.

*

Cole nie wyściubia nosa przez resztę wieczoru. Jestem rozczarowana, bo wciąż nie powiedziałam mu o tym, co znalazłam, ale zdaję sobie sprawę, że nie jest to aż tak ważne w ogólnej perspektywie. Czuję się dość zmęczona, więc kładę się spać około siódmej. Budzę się dopiero o ósmej następnego ranka. Dowiaduję się, że doktor Roberts musiał wziąć wolne, więc terapię wznowimy dopiero po jego powrocie. Tymczasem wyznaczono osobę pod telefonem, gdybym potrzebowała z kimś porozmawiać. Nie potrzebuję.

Następny dzień spędzam wylegując się w swoim pokoju pod czujnym okiem Abigail. Nie pozwala mi na nic innego poza leżeniem. Wiem, że chce mieć pewność, że wszystko ze mną w porządku.

Nazajutrz moje ciało jest zdecydowanie gotowe na powrót do codziennej rutyny.

– Hej, Savi. – W kuchni pojawia się Mark. – Co dzisiaj robisz?

– No wiesz, mam spotkanie o jedenastej, lunch z klientem w południe i prezentację o drugiej.

Dzień jak co dzień.

– Jesteśmy znudzeni, co?

– Przydałoby mi się trochę ruchu. – Wgryzam się w jabłko.

– Mamy dzisiaj musztrę w górach. Ubieramy się w uniformy, biegamy w górę i w dół i strzelamy do siebie kulkami do paintballa, więc nie podbijaj znowu nikomu oczu, dobra?

– Nie mogę nic obiecać – żartuję.

– Jeśli masz ochotę, to strzel któregoś gościa z czerwoną opaską. Ja jestem w zielonych. –

Puszczaj do mnie oko.

*

Idę zobaczyć konie. Wybieram ścieżkę pod górę. Lubię tę trasę. Jest dłuższa, ale po drodze jest miejsce, z którego roztacza się przepiękny widok na jezioro. Szkoda, że nie mam aparatu. Będę musiała zapytać Abigail, czy wie, gdzie mogłabym sobie jakiś załatwić. Może w mieście.

Siadam na trawie i wdycham chłodne górskie powietrze. Kładę się na ziemi, po czym zamykam oczy. Uwielbiam, gdy w oddali wieje wiatr, wydając miękkie, delikatny dźwięk, i to, jak się intensyfikuje, gdy się zbliża.

– Savi. – Zaciskam powieki. Nie, nie zepsują mi tej uroczej chwili kontemplacji. – Savannah. –

Mark ponownie wykrzykuje moje imię.

– Nie słyszę cię – syczę w odpowiedzi.

Podczołguje się do mnie.

– Umiesz strzelać? – Otwieram oczy i widzę jego niebieski hełm, który zsunął mu się na twarz.

– Chcesz się trochę zabawić?

– No jasne, jak cholera.

*

Zanim się orientuję, co się dzieje, mam na sobie granatowe moro Johna. Na szczęście włożyłam ciemne buty trekkingowe, ale w sumie to i tak bez znaczenia, bo spodnie Johna zakrywają je niemal całkowicie. Rozumiem, dlaczego dali mi akurat jego ubranie – jako jedyny z chłopaków jest ode mnie niewiele wyższy. Zauważam, że na plakietce na piersi znajduje się napis „Agent Black”.

– Nadal trenujecie? – pytam, gdy John wciska mi pistolet w rękę.

Cholera, ale to ciężkie.

– Gotowe. Teraz czas na zabawę. Potrzebujemy kogoś, kto zmieści się w tym rowie i w dziurze w stodole. – Wskazuje na budynek. Nie nazwałabym go stodołą. – Kiedy już tam wejdiesz, musisz wziąć flagę i wetknąć ją tutaj. – Wskazuje na kieszeń w kamizelce. – Następnie biegnij z powrotem do mnie ile sił w nogach, żebyśmy mogli donieść ją do bazy jako pierwsi.

– Poważnie, armia amerykańska gra w zdobywanie flagi. To jest wasz trening? – Śmieję się.

– To świetna metoda szkoleniowa. Zaufaj mi, sama zobaczysz. – Trzyma pistolet przy moim oku.

– Widzisz to coś? Ustaw to w jednej linii z celem, a następnie strzel. – Ustawiam cel w jednej linii z puszką i naciskam spust. *Trzask! Trzask!* Trafiłam! Podskakuję, przybijając sama ze sobą piątkę. Mark uśmiecha się. – Dobra robota. W sumie to trochę przerażające, że trafiłaś za pierwszym razem.

– Gram sporo w gry wideo. – Wzruszam ramionami.

– Jeśli zostaniesz postrzelona, idziesz do pomieszczenia w głębi budynku, gdzie czekasz pięć minut, po czym zostaniesz wypuszczona bocznymi drzwiami. Jeśli tak się stanie, spotkamy się tutaj.

– O rany, sporo do zapamiętania. – A kto jest jeszcze w naszej drużynie? – pytam, mając nadzieję, że to będzie Keith.

– Jesteśmy zieloni. Nikt z nas nie będzie do ciebie strzelać. Pochyl głowę.

Tak... to zielona drużyna. A co z czerwonymi? Mark zgarnia moje włosy i zakłada hełm.

– Wiedzą, że ja to nie John? – Zaczynam się czuć nieswojo.

Mark opuszcza przyłbicę mojego hełmu.

– Nie, i tak będzie lepiej. Po prostu trzymaj się mnie. – *Czekaj! Co?* – A, i Savi, nie daj się trafić.

John pokazuje mi kciuki w górę, po czym odbiega.

Mark chwyta mnie za ramię i ciągnie w dół wzdłuż ścieżki.

– Cokolwiek się stanie, nie zdejmuj hełmu.

Kiwam głową, wiedząc, że za cholere go nie zdejmę.

Daje mi szybko kilka instrukcji, a następnie wskazuje dziurę w budynku.

– Uwaga na głowę i nie strzelaj do zielonych. – Klepie mnie po plecach i wprowadza przez otwór.

Na początku jest mi trochę ciężko wgramolić się w całym rynsztunku, ale w końcu udaje mi się wejść.

Jasna cholera! To wcale nie jest stodoła. Właśnie weszłam do sali treningowej dla pieprzonego oddziału zielonych беретów. Padam na ziemię za metalową osłoną. *Dobra, Savannah, możesz albo stchórzyć, albo trochę się zabawić. Nie ma paparazzi, ani tatusia, którego byś zawiodła. Może uda ci się trafić Yorka.* O tak, to by załatwiło kilka spraw między nami.

Klękam i rozglądam się dookoła. Widzę flagę, ale widzę też faceta z pomarańczową opaską, który spuszcza się po rynnie na przeciwległej ścianie. *Serio? Po rynnie?* Dobry Boże, mam kłopoty, no i Mark nie wspomniał o trzeciej drużynie. Opieram broń o brzeg tarczy, niezgrabnie celując w pomarańczowego, a następnie strzelam. *Kurde!* Trafiłam go tuż nad ramieniem.

Gość zeskakuje na ziemię z wysokości jakichś pięciu metrów i turla się pod stos skrzynek.

Chowam się, licząc, że mnie nie zauważył. *Dobra, pomyśl.* Dostrzegam jakąś stertę złomu i ruszam w jej kierunku. Słyszę strzały, ale żaden pocisk mnie nie trafia. *Nie zatrzymuj się, Savi.* Przebiegam wzrokiem bajzel i zauważam długą cementową rurę. Podbiegam do niej i zaglądam do środka. Miga mi czyjeś ramię, czekam i obserwuję w starym kołpaku rozmazane odbicie sylwetki. Widząc, jak zaczyna się przemieszczać, zbieram się w sobie i wyskakuję z ukrycia.

Witaj, Czerwoniaku. Uśmiecham się szeroko, podnoszę pistolet i posyłam mu dwie kulki w plecy.

Odwraca się z niedowierzaniem, unosi broń i znika mi z oczu.

O tak! Co za emocje! Serce tłucze mi się w piersi. *Okej, wracamy do gry, Savi!* Czołgam się wzdłuż ściany, trzymając nisko głowę. Słyszę serię głośnych wystrzałów. Spoglądam w górę i widzę pomarańczowe rozpryski. Zatrzymuję się i zakrywam głowę rękami. *Cholera, cholera, cholera, cholera!* Na szczęście hałas i hełm tłumią mój krzyk. Otwieram oczy i widzę przed sobą parę czarnych butów. O cholera! Wpatruję się w lufę pistoletu. Walczę z retrospekcją, która nadchodzi z pełną mocą. Nagle słychać trzask i mój przeciwnik zostaje trafiony w ramię. Wypada z gry. Z radości prawie wybucham śmiechem. Macham mu na pożegnanie. Gdy odchodzi, zauważam, że jest z czerwonej drużyny.

Spogląda przez ramię i pokazuje mi środkowy palec.

Czyli mamy załatwionych dwóch czerwonych i jednego pomarańczowego, który wystrzeliwuje dziewięć kul na ścianę. Idę dalej. Oglądam się za siebie i widzę, że znajduję się dosłownie kilka metrów od flagi. A, pieprzyć to! Zrywam się i biegnę w jej stronę. Skaczę, a kiedy moje palce ocierają się o materiał, czuję trzy uderzenia w dolną część brzucha. *Nieeee!* Upadam na ziemię, wdzięczna za strój ochronny. Czuję, że dostałam, ale nie sprawia mi to bólu. Szybko wstaję; musi to wyglądać, jakbym wiedziała, co jest grane.

O nie. Powinnam wiedzieć, dokąd iść. *Niech to szlag!* Z lewej strony dociera do mnie czyjś śmiech. *Dzięki Bogu.* Podążam za głosami i wchodzę do pomieszczenia. Widzę innych z podniesionymi przyłbicami, dowcipkujących na temat tego, jak zostali trafieni. Usadawiam się pod ścianą i walczę z chęcią skrzyżowania nóg. Rozglądam się, po czym siadam jak oni. Rozkładam nogi i opieram się na łokciu. Czuję się idiotycznie, to wcale nie jest wygodne. Ktoś z drużyny pomarańczowej podchodzi do mnie i siada obok, jego ramię oraz pierś ociekają zieloną farbą. Zastanawiam się, czy to Mark go trafił. Wyciąga do mnie pięść. *A, jasne. Żółwik.* Przybijam z nim żółwika, kiwając głową. Widzę, że on też nie podniósł przyłbicy. Chciałabym wiedzieć, kim jest, niestety jego identyfikator zachlapany jest zieloną farbą. Zerkam na ekran, na którym odliczane są czasy poszczególnych graczy. To naprawdę fajne miejsce. Straszne jak diabli, ale cholernie fajne.

– Black, dobrze się bawiłeś zeszłej nocy? – Pomarańczowy wbija mi łokieć w żebra, wskazując na Keitha.

Kiwam głową, licząc, że nie zada mi kolejnego pytania.

Keith dziwnie mi się przygląda, po czym wzrusza ramionami i wstaje.

– Uwaga, chłopaki. Lopez mówi, że widział Savannah przy stajniach. – Zamieram w bezruchu.

– Więc nie zapuszczajcie się w tamte rejony.

Wszyscy przytakują, więc robię to samo. Cieszy mnie, że się o mnie tak troszczą.

– Ma dziś na sobie sukienkę czy spodnie? Muszę wiedzieć, czy mam być wysoko, czy nisko – woła York, a ja znów się spinam.

– Kiedy to do ciebie dotrze, York? Ona po prostu nie jest tobą zainteresowana – odpowiada Keith z westchnieniem. – Zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju.

Zrywam się na równe nogi, gdy widzę, że mój czas postoju się skończył. Wybiegam z pomieszczenia, żeby nie słyszeć dalszego ciągu. Kiedy kucam pod jakimś stołem, rozlega się donośny dźwięk syreny, a z budynku zaczynają wychodzić pozostali.

*

Wychodzę na zewnątrz i od razu rozumiem, dlaczego wyje syrena. No nie! Widzę, że ktoś z pomarańczowych macha flagą. Wszyscy z tej drużyny krzyczą z radości, wznosząc do góry piwo.

Pozostali podchodzą do nich i zdejmują hełmy. Prawie tracę panowanie nad sobą, widząc siedzącego tuż obok mnie gracza z pomarańczowej drużyny z zieloną plamą na ramieniu i klatce piersiowej. To Cole.

– Gra skończona, Black – krzyczy York. – Hełm. – Puka mnie w głowę.

O cholera, o cholera, o cholera. W końcu podchodzi do mnie Mark z Johnem. Wszyscy nieruchomieją i patrzą na mnie, potem na Johna i znowu na mnie...

– Zrekrutowałem jeszcze jednego gracza.

Mark śmieje się i szturcha mnie, żebym zdjęła hełm. Odpinam go, ściągam powoli, a wtedy moje rozczochrane włosy opadają mi na ramiona. Ich miny są bezcenne.

– Cześć. – Posyłam im promienny uśmiech.

– Czekaj. – Keith wskazuje mnie palcem – To ty leżałaś na ziemi tuż przed tym, jak mnie trafiono?

Uśmiecham się i macham mu w ten sam sposób, co wtedy.

– O mój Boże. – Zaczyna się śmiać, ale przestaje, gdy widzi minę Cole'a.

– To nie było zbyt mądre, Mark – warczy Cole. – Później o tym pogadamy.

Mark staje przede mną, blokując spojrzenie Cole'a.

– Taką ma robotę. Nie martw się, nie jest zły na ciebie. – Uśmiecha się szeroko. – Ja pierdołę, ale była zabawa, co?

– To bez porównania lepsze od ślęczenia w biurze. – Śmieję się, przybijając mu piątkę. – Ale muszę przyznać, że miałam ochotę cię zabić, kiedy zobaczyłam wewnątrz tej „stodoły”. Wysłałeś mnie na istną wojnę!

– Ale było całkiem fajnie, co?

Znowu wybucham śmiechem.

– Tak, to było coś, czego nigdy nie zapomnę. Po prostu, no wow. Dzięki, Mark. Chyba potrzebowałam czegoś takiego.

– Nie ma za co. No dobra, idę się pokajać.

Podaje mi piwo, po czym odchodzi, by uderzyć się w pierś przed Cole'em.

Kiedy podchodzi do mnie Keith, pytam go:

– Mark wpakował się po same uszy?

– Cole i Mark się przyjaźnią. Normalnie dostałby tylko nocną wartę, ale tym razem... – urywa.

– Może za to beknąć.

– Czemu?

Niezdarnie majstruję przy kapslu od butelki. Chyba to nie ten odkręcany. Keith sięga po portfel i wyciąga z niego srebrną kartę. A nie, to chyba otwieracz do butelek. Fajny. Z uśmiechem otwiera piwo.

– Poręczna mała rzecz – mówi i zanim ją schowa, udaje mi się zauważyć wygrawerowaną na nim literę „S”. Zastanawiam się, czy wszyscy tu mają coś takiego. Czekam, aż piwo przestanie się pienić, po

czym podaje mi je z powrotem.

– Dzięki.

– Złamaliśmy zasady – odpowiada na moje pytanie, wzruszając ramionami.

– No tak, rozumiem. Ponieważ wystawiam się Amerykaninowi. – Keith krzywi się. –

W porządku, Keith. Rozumiem, że będę tu przez jakiś czas i zajmuję pierwsze miejsce na liście „najbardziej poszukiwanych osób” tego całego Amerykanina. – Wzdycham, a następnie pociągam łyk piwa. – Coś wiadomo o tej truciznie?

– O tym to już pogadaj z Colem. Przepraszam, Savannah, ale mamy pewne reguły.

*

Rozmowa podczas kolacji jest dziś całkiem interesująca. Cole jeszcze do nas nie dołączył.

Abigail jest zbulwersowana, że brałam udział w „bitwie”, jak to nazywają.

– I myślisz, że to było mądre, Mark? – Patrzy na niego przymrużonymi oczami.

– Warto było, nawet za cenę poniesionej kary. – Puszczam do mnie oczko.

Cieszę się, że Mark zaprosił mnie do gry i mogłam się trochę rozerwać. Muszę mu to jakoś wynagrodzić. Słyszałam, że wziął na siebie całą odpowiedzialność, tak by John uniknął kłopotów.

– A tak w ogóle, to co dostałeś? – pyta Keith, przeżuwając bułkę.

– Trzy nocki na wygwizdowie. – Wzrusza ramionami.

– Gównianie – odpowiada Keith.

– Na wygwizdowie? – pytam zdezorientowana.

– To najgorsze stanowisko do przydzielenia, cholernie zimne wzgórze, zresztą zwykle zarezerwowane dla nowych – wyjaśnia Keith. – Zwłaszcza o tej porze roku, kiedy wieje i leje. Na samą myśl bolą mnie już gnaty.

– Mark, przykro mi.

– Niepotrzebnie. Myny chłopaków po tym, jak zdjęłaś hełm, są warte każdej minuty na tej górze.

– Podnosi butelkę z piwem. – Za agenta Blacka, do którego nie można się odwracać plecami. – Patrzy na Paula, którego trafiłam dwa razy w plecy. Wznoszą za mnie toast i wszyscy zaczynamy się śmiać.

– Więc kiedy następna bitwa? – Tylko żartuję, ale zapada cisza. – Daj spokój, przecież mówiłeś, że umiem strzelać.

Do stołu zasiada Cole, nie wyglądając na zbyt zachwyconego.

– Przepraszam za spóźnienie, Abigail. Kolacja wygląda wspaniale. – Patrzy na zebranych. – Nie musicie przerywać, mówcie dalej.

– Powiedz mi, Savi, jak udało ci się strzelić mi w plecy? – pyta Paul.

– Kołpak. Odbijałeś się w nim, więc widziałam, gdzie się kierujesz.

– Imponujące. – Uśmiecha się pod nosem.

– Paul – Cole ociera usta serwetką – powiedz Savannah, jak zraniłeś się w szyję.

Paul głośno wzdycha. Chyba nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

– Keith spadł na mnie z wysokości sześciu metrów i wybił mi dysk. Boli jak diabli, kiedy pada.

– A ty, opowiedz jej o swoim kolanie. – Cole zwraca się tym razem do Keitha.

– Zaorał we mnie Mike. Oboje spadliśmy z belki z wysokości trzech metrów i Mike wylądował na moim kolanie.

Cole wskazuje na Marka.

– Lewe ramię.

Mark odwraca się, podciąga koszulkę na ramieniu i odsłania bliznę z postrzępioną tkanką.

Biorę gwałtowny wdech i zakrywam usta. Wygląda okropnie.

– Upadłem na metalowy hak i zostałem przeciągnięty kilka metrów. Ochraniacze zostały przebite na wylot.

Cole skupia uwagę z powrotem na mnie.

– Chodzi mi o to, Savannah, że to wszystko wydarzyło się podczas paintballowego treningu. Dzisiaj nie wiedzieliśmy, że miałaś na sobie uniform Blacka. Każdy z nas mógł cię poważnie zranić. Nie będziesz już więcej brała udziału w bitwach.

Rozdział dziewiąty

Cole

Cole patrzy, jak po kolacji wszyscy rozchodzą się do siebie. Chyba nikt dzisiaj nie ma ochoty na spotkania towarzyskie. Jemu to nie przeszkadza. Wciąż jest wstrząśnięty tym, co wydarzyło się na treningu.

Pojawia się John, rzuca swoją torbę podróżną pod drzwi obok Cole'a i sygnalizuje, że jest gotowy.

Cole kiwa głową, a następnie kieruje się w stronę schodów, wiedząc, że to, co zamierza powiedzieć, nie będzie łatwe – przynajmniej dla niego.

Drzwi Savannah są otwarte. Zagląda do środka i widzi ją siedzącą przed kominkiem, blask płomieni rzuca cienie na jej twarz. Włosy ma niedbale upięte w koczek, przytrzymywany przez ołówek. Z luźnego upięcia wydostało się kilka pasemek. Wygląda seksownie, gdy pochyla się nad zdjęciem, chcąc mu się bliżej przyjrzeć.

– Savi – mówi cicho, nie chcąc jej przestraszyć.

Dziewczyna podnosi wzrok i posyła mu zmysłowy uśmiech.

– Mogę wejść?

– Jasne.

Wchodząc, rzuca okiem na rozłożone przed nią papiery i zdjęcia.

– Czy to chciałaś mi wcześniej pokazać?

– Tak, coś znalazłam. – Podaje mu fotografię, której się właśnie przyglądała. Widać na niej jej ojca na imprezie charytatywnej. – Zobacz, z kim wznosi toast. – Wskazuje na bransoletkę. – Czyli musi znać tę dziewczynę, która zrobiła mi zdjęcie w pubie.

Cholera, naprawdę coś znalazła.

– Zrobiono je cztery miesiące po moim porwaniu. Muszą być ze sobą blisko, bo mój ojciec do nikogo się tak nie uśmiecha.

Hmm... interesujące.

Savannah zakłada kosmyk za ucho.

– Znalazłam numer do koordynatora tej imprezy. Poznałam go kiedyś. Pomyślałam, że mogłabym do niego zadzwonić.

– Nie, Savi...

– Nie podam swojego nazwiska ani nic takiego, ale mogłabym poprosić o listę gości. Byłam na takich spotkaniach wiele razy, więc wiem, kto jest kim. Mogłabym rozpocząć proces eliminacji.

– Załatwię ci tę listę – mówi nieco ostrzej, niż zamierzał.

– Dobrze – zgadza się, ignorując jego ton.

– Co to jest? – pyta i podnosi artykuł o porwanej kobiecie.

– Szukałam coś na temat *Los Sirvientas Del Diablos* i znalazłam historie kilku ofiar, którym udało się wyjść z tego bez szwanku. Szokujące, jak niewiele ich było – mówi, masując się po brzuchu. – Żądali ogromnych okupów, po kilka milionów. Jedną kobietę przetrzymywali tylko miesiąc, a dostali za nią półtora miliona. – Wzdycha. – Cole, okup za mnie po prostu nie ma sensu. Ich sposób postępowania zmienił się w moim przypadku, ale dlaczego? Nie mogę tego rozgryźć. Dlaczego Amerykanin jest zamieszany w moją sprawę?

– Dobra, przystopuj trochę. To, co znalazłaś jest bardzo cenne – komentuje, podnosząc zdjęcie i przyglądając mu się. – Zadzwonię i zdobędę listę gości. To jedna wielka łamigłówka i można oszaleć, zadając tyle pytań naraz. Musisz wybrać jedno i od niego zacząć. Jeśli zaprowadzi cię w ślepy zaułek, zostaw je i weź się za inne. Wkrótce ukaże ci się ścieżka, a potem zaczniesz formować się cały obraz.

Udało ci się przypomnieć coś jeszcze?

Przygryza wargę, zastanawiając się, czy mu powiedzieć.

– Pamiętam, jak nagrywali pierwszy film – szepcze w końcu. – Wtedy poznałam Marię. – Widać, że czuje się nieswojo. Pochyliła się, podnosząc skrawek papieru. – To jest numer organizacji charytatywnej. – Jej twarz jest zarumieniona, a oczy załamane. – Nazywa się Gary. Jest naprawdę miły.

– Hej, co się dzieje? – pyta, przysuwając się do niej.

Savannah tylko kręci głową i podaje mu gazetę.

– Niektóre wspomnienia są wyjątkowo trudne. – Wzdycha głęboko.

Zanim zdąży zapytać o coś więcej, w drzwiach ukazuje się głowa Johna.

– Hej, Savi. – Uśmiecha się. – Logan, śmigłowiec będzie za piętnaście minut. Jesteśmy gotowi – oznajmia i od razu znika.

– Wyjeżdżasz? – Dziewczyna podnosi wzrok na Cole'a, wyraźnie zaskoczona.

– W *Tijuanie* trafiliśmy na trop, który musimy sprawdzić.

Kręci głową i odsuwa się od niego. Cole nie lubi, kiedy to robi.

– Kto jeszcze leci?

– John, Paul, Mark i ja.

– Jak długo was nie będzie?

Nie wygląda na szczęśliwą, raczej zdenerwowaną.

– Od trzech do góra czterech dni.

Jej oczy rozszerzają się na jego słowa.

– Savannah, to...

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał – wyrzuca z siebie, a jemu zatyka dech w piersiach. – Ja-ja nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Cole.

Wyciąga rękę, żeby przyciągnąć ją do siebie, a ona ochoczo wpada w jego ramiona.

Dziewczyna drży, gdy go obejmuje. Cole bierze głęboki wdech. Czuje klucie w sercu, kiedy do jego nosa trafia jabłkowy zapach jej szamponu.

– Nie jedź – szepcze.

– Savi, nie chcę, ale muszę – mruczy w jej włosy.

– To niebezpieczne. A co jeśli...

– Nie ma u nas czego takiego jak „co jeśli”. Meldujemy się dwa razy dziennie. Jedna odprawa rano, druga wieczorem. Wracam za kilka dni.

– Obiecuj mi, że wrócisz – mówi, odsuwając się nieco, żeby na niego spojrzeć.

Wie, że nie powinien. Wcześniej nie zrobiłby czegoś takiego, ale teraz kiedy patrzy jej w oczy i ze względu na to, co czuje, słowa same wychodzą mu z ust.

– Obiecuję.

Savannah zamyka oczy i opiera głowę na jego klatce piersiowej.

Sięga do jej włosów, wyjmując z nich ołówek, następnie przeczesuje je palcami.

– Nie masz pojęcia, jak cholernie trudno mi teraz cię zostawić.

– Więc zostań.

O Boże, ona mnie dobija. W głowie kotłuje mu się tyle rzeczy, ale tylko jedna się liczy. Unosi głowę, tak jakby słyszała jego myśli.

– Cole.

– Tak?

– Pocałuj mnie.

Nachyla się, po czym przyciska usta do jej miękkich warg.

Obejmuje ramionami jego szyję i napiera całym ciałem na niego. Jej pierwsze muśnięcie językiem zachęca go, by wepchnął swój głębiej, na co ona jęczy z rozkoszy, rozpluwając się w jego ramionach.

Nie może się nią nasycić. Smakuje tak słodko. Jego ręka przesuwa się w dół do jej talii. Palce suną po jej aksamitnej skórze, czuje, jak miękną mu kolana. Wydaje się taka drobna w jego ramionach. Musi pamiętać, że ma być delikatny. Jego dłonie wędrują na jej plecy, a potem w dół na tyłek i mocno

go ściskają.

Kiedy Savannah przygryza jego dolną wargę, Cole czuje, że jego członek twardnieje.

– Cole. – szepcze Savannah, odchylając się do tyłu i przesuując dłonie w dół jego brzucha.

Drży, przyciągając ją z powrotem do swoich ust. Musi jej jeszcze zasmakować.

– Logan, śmigłowce już tu są – woła John w korytarzu.

Savannah nie przerywa pocałunku, więc Cole całą siłą woli zmusza się, by się od niej oderwać.

Zostawia ją oszołomioną.

– Do zobaczenia za kilka dni.

Całuje ją jeszcze raz, tym razem szybko, nie mogąc dłużej zwlekać z odejściem. Wie, że musi od niej uciec. Ona jest jak wir, zasysający go w siebie.

– Bądź ostrożny – słyszy jej szept.

Cholera. Odwraca się, posyła jej uśmiech, a potem odchodzi.

Przekroczyłeś zakazaną granicę, dupku! Uśmiecha się jednak pod nosem, bo kiedy zbiega po schodach, na języku wciąż czuje jej smak. Jego umysł dryfuje, gdy zmierza w kierunku helikoptera. Wrzuca torbę do środka i wskazuje na siedzenie.

Mark unosi pytająco brew, po czym uśmiecha się, jakby właśnie zorientował się, co przed chwilą robił jego przyjaciel.

Cole zamyka oczy i przez chwilę rozkoszuje się minionymi dziesięcioma minutami.

*

Savannah

Padam na łóżko i wpatruję się w sufit. Chce mi się śmiać, płakać i krzyczeć – moje całe ciało aż iskrzy. Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie całował – a może nigdy wcześniej nie czułam czegoś podobnego do mężczyzny? Tak czy inaczej, to jest niesamowite. Teraz Cole ma cztery dni, żeby się nad tym zastanowić. A co jeśli stwierdzi, że to była pomyłka? Teoretycznie jestem jego klientką. *Nie, nie myśl w ten sposób, Savi. Ciesz się tą euforią.* Krzyżuję ręce nad głową i czuję jego zapach na moich ubraniach. Potem zamykam oczy i zasypiam.

*

Bal Jesienny, Manhattan, 2014. Wciskam enter i stukam palcami w blat biurka. Postanowiłam, że moim pierwszym zadaniem będzie dowiedzieć się, kim jest kobieta ze srebrną bransoletką, dlaczego zrobiła mi zdjęcie i dlaczego mnie śledziła. Każdy jest podejrzanym, więc zastanawiam się, czy to rzeczywiście przypadek, że kobieta była tam tego samego dnia, w którym mnie porwano. Mam zamiar poszukać w internecie wydarzeń, w których normalnie uczestniczyłyby mój ojciec. Bal Jesienny odbył się kilka dni temu. Klikam na grafikę, przeglądam sześć różnych fotografii, zanim dostrzegam na którejś ojca. Na jednym zdjęciu ściska dłonie kilku osobom, na innym stoi na podium, a na kolejnym jest z szefem policji, który wygłasza przemówienie.

Oglądam i oglądam, co szybko staje się dość nużące, ale nie przestaję. Gdy już mam się poddać i spróbować innej taktyki, coś przykuwa moją uwagę. Pochylam się, żeby lepiej się przyjrzeć. Klikam na zdjęcie, aby je powiększyć, a następnie drukuję. Zabieram je z drukarki i trzymam pod światło. Po prawej stronie uchwycony jest stolik mojego ojca. Tata siedzi obok jakiejś kobiety. Zasłania ją, ale widzę jej nadgarstek. No proszę – znowu ta bransoletka. Drapię się w głowę, próbując ogarnąć to, co mam przed oczami. Ta kobieta nie tylko zrobiła mi zdjęcie, ale, jak widać, była też na dwóch różnych imprezach z moim ojcem, odkąd zostałam porwana. Co jest, do cholery?

Muszę zrobić sobie przerwę, żeby pozbierać myśli. Wiem, że coś tu jest nie tak, i nie jestem do końca pewna, co o tym wszystkim sądzić. Potrzebuję czasu, żeby to poukładać. Zapisuję numer koordynatora imprezy, po czym wychodzę z pokoju.

*

Jestem w kuchni i odmierzam składniki na słynne ciasteczka czekoladowe mojej mamy. Potroiłam ilość składników, bo wiem, że inaczej nie wystarczyłoby dla wszystkich. Uwielbiam piec. Uwielbiam, jak mój mózg przechodzi wówczas w tryb bezczynności i pozwala moim rękom wykonać całą robotę.

– Chłopaki coś tam napomknęli, że ładnie pachnie, ale ja myślę, że po prostu umarłem i trafiłem do nieba. – Keith bierze jedno ciasteczko ze stojaka, na którym się studzą, i wkłada je do ust. – Mmmmm, nie ma jak ciepłe ciastko.

Śmieję się i nalewam mu szklankę mleka.

– Dzięki. – Bierze łyk. – Cholera, dobre są, Savi – przyznaje, sięgając po kolejne.

– Dzięki. Uwielbiam piec.

– A ja uwielbiam to, że uwielbiasz piec. – Uśmiecha się szeroko.

Wyjmuję ostatnie dwanaście ciasteczek do ostygnięcia.

– Jakies wieści od chłopaków? – pytam od niechcienia, nie patrząc na niego.

Kiwa głową i stawia pustą szklankę w zlewie.

– Zameldowali się dziś rano. Przekroczyli granicę i teraz kierują się do ustalonego miejsca.

– Cole mówił, że meldują się dwa razy dziennie – mówię, bo chcę, żeby wiedział, że Cole ze mną o tym rozmawiał.

– Tak, zameldują się ponownie, kiedy wrócą do swojej kryjówki. – Przerywa, przyglądając mi się. Udaję, że tego nie widzę, a Keith odchrząkuje. – Powinni to zrobić około siódmej naszego czasu. – Sięga po kolejnych kilka ciastek. – Muszę zrobić jeszcze parę rzeczy. Na razie.

*

Przy stole w jadalni widzę kilka nowych twarzy. Zakładam, że są tu w zastępstwie grupy Cole'a. Zauważam, że York zajmuje miejsce Logana u szczytu stołu. Chyba nie on tu dowodzi pod jego nieobecność, prawda? Na samą myśl robi mi się niedobrze.

– Savi – zwraca się do mnie York, ton jego głosu jest wyniosły – poznaj Delta Two, Delta Three i Delta Four. – Wykonuje gest w kierunku nowych osób.

Delta Two przewraca oczami.

– Mamy też imiona. Jestem Al, to jest Dell, a to Quinn. Miło cię wreszcie poznać. Słyszeliśmy o tobie same dobre rzeczy.

– Tak, również to, że wymiatasz w paintballa – mówi Quinn, puszcżając do mnie oko. – Ale słyszałem, że Cole się wściekł.

– Fajnie było. – Uśmiecham się na wspomnienie bitwy. – Wkurzył się, ale już mu przeszło.

– Nie boisz się go, co? – pyta zdumiony Al.

Nie chcę udawać, że znam historie o wyczynach Cole'a. Wiem, że jest kimś więcej niż jakimś zwykłym bandytą.

– Cole'a? Nie, dlaczego miałabym się go bać?

Al odkłada widelec.

– Widziałem, jak raz skręcił kark przechodzącemu obok niego gościowi i nawet się przy tym nie spocił. – Zamykam oczy, słysząc ten opis. – Ciepły i mięciutki misio to on raczej nie jest.

– Spędziłam siedem miesięcy z facetami, którzy kazali mi błagać o jedzenie i bili mnie tak, że ledwo mogłam chodzić. Więc nie, Cole w ogóle mnie nie przeraża. Jest dla mnie bardzo miły.

– I wszystko jasne – kwituje szybko Al. – A tak w ogóle, twoje ciasteczka są naprawdę pyszne. Bardzo mi smakują.

Uśmiecham się. York wygląda na odrobinę zirytowanego, ale go ignoruję.

– Dzięki. Więc czym się zajmujecie?

– Zazwyczaj jesteśmy w rozjazdach i rzadko tutaj wpadamy – wyjaśnia Dell. – To miła odmiana.

Wkraczamy, gdy wzywają grupę Blackstone.

Blackstone.

– Często ich wzywają? – pytam, sącząc wino.

– Zależy. W Shadows są najważniejsi, to drużyna Alpha. Zajmują się sprawami wysokiego ryzyka i są wzywani... no może raz lub dwa razy w miesiącu. – Dell bierze łyk piwa. – Aktualnie mamy poziom piąty przez wzgląd na twoją sprawę. Na granicy sytuacja jest trochę napięta. *Los Sirvientes Del Diablos* robią dużo dymu, odkąd zniknął im z radaru.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego jestem dla nich tak ważna. Raczej powinni ograniczyć straty i dać sobie ze mną spokój. Chryste, to tylko pięćdziesiąt kawałków.

– Nie, Savannah, jesteś dla nich warta o wiele więcej niż tylko pięćdziesiąt tysięcy. Oni szantażują...

– Dell! – warczy York.

Wzdrygam się i przewracam pustą szklankę po wodzie. *Co, do cholery?*

– Przepraszam. Quinn... widziałeś mecz wczoraj wieczorem? – Dell niezdarnie próbuje zmienić temat.

– O nie. – Wskazuję palcem na Yorka. – Nie możesz go tak uciszyć. Ta sprawa dotyczy mnie i chcę usłyszeć wszystkie szczegóły. Dell, dokończ, co zacząłeś.

– Ani słowa, Dell – ostrzega go York.

– Przestań, York – syczę. – Kogo szantażują? Mojego ojca? Lynn? Czemu? Czym?

Dell kręci głową.

– Przykro mi, Savannah, naprawdę, nie powinienem był nic mówić...

– Właśnie, do cholery. Ale powiedziałeś!

– Savannah, wystarczy. – York wstaje, opiera dłonie o blat stołu i wpatruje się we mnie z góry.

Też podnoszę się z miejsca i patrzę mu prosto w oczy. Moje ręce aż drżą ze złości.

– Zamknij się – nakazuje mi.

Abigail nagle odchodzi od stołu.

– Słucham? – Przy stole zapada cisza. – A co cię tak zezłościło? Bo Dell nie zatrzymał mnie na tarasie, żeby powiedzieć mi to na osobności?

York patrzy na mnie spod przymkniętych powiek, zaciskając pięści.

– Zamknij się albo sam cię uciszę – cedzi, akcentując każde słowo.

Unoszę brodę, czując, jak kotłują się we mnie emocje. Muszę zdobyć się na wielkie kłamstwo.

– Nie. Boję. Się. Ciebie. – mówię, patrząc mu prosto w oczy.

– Może powinnaś.

Kilku chłopaków wstaje, gotowych zareagować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Uśmiecham się słodko.

– Nigdy nie będziesz w stanie go zastąpić. – Rzucam serwetkę na stół. – Wybaczcie, chłopaki.

Idę korytarzem. Moja buta szybko zostaje zastąpiona przez strach, z powodu tego, co powiedziałam, a czego nie powinnam była mówić. Spoglądam w dół na moje trzęsące się kolana i wtedy wpadam na coś twardego. Odbijam się, ale po chwili znowu wpadam w ramiona największego, najstraszniejszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek widziałam. Jego ręce są ogromne, wygląda, jakby wykapał się w sterydach. Jest cały wytatuowany, od gładko ogolonej głowy do, jak sądzę, palców u stóp. *Matko Boska. Kurwa mać.*

– Eee... – To wszystko, co jestem w stanie z siebie wydusić, zanim odzyskuję głos. – Naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że to ty jesteś Mike.

Uśmiecha się szeroko i pomaga mi dojść do ładu.

– Ta. Powiedzieli mi, że York znów się ciebie czepia.

Przewracam oczami.

– Facet mnie nienawidzi. Założę się, że jakby mógł, to sam wysłałby mnie do Amerykanina.

Mike śmieje się głośno.

– Naprawdę zaszłaś mu za skórę, co zresztą wszystkich nas bardzo cieszy. – Robi poważną minę.

– Groził ci?

Spoglądam w dół. Nie chcę, żeby to dotarło do Cole'a. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

– No wiesz, trochę się poprzytykaliśmy. Przejdzie mu. Jutro też jest dzień.

Widzę, jak się zastanawia.

– Wiesz, że Cole może z każdego miejsca, w którym się znajduje, oglądać nagrania z monitoringu w tym domu, prawda?
– Niech się lepiej skupi na tym, co robi. Nie ma powodu, żeby się dekoncentrował. Kiwa głową, najwyraźniej się ze mną zgadzając.
– W kuchni przy domofonie jest intercom. Wciskając nasze numery, uzyskasz z nami bezpośrednie połączenie. Delta Seven to Keith, a ja jestem Delta Six. Potrzebujesz nas, dzwoń. Zgoda?
– Okej, zgoda. Dzięki, Mike.

*

Następnego dnia unikam Yorka na tyle, na ile jest to możliwe. Słyszałam, że Cole razem z chłopakami w końcu zameldowali się wieczorem o jedenastej. Rano spotykam w kuchni Keitha. Po jego tonie wnioskuję, że nie wszystko idzie zgodnie z ich planem. On i Abigail wyglądają na zestresowanych, chociaż zapewniają mnie, że wszystko jest w porządku. Nie naciskam. Abigail i ja postanawiamy zjeść dzisiaj kolację w pokoju rozrywki i obejrzyć któryś z naszych ulubionych filmów.

– Kiedy przyjeżdża twoja siostra? – pytam, dźgając widelcem kawałek sałaty.

– Za dwa dni. Przyjeżdża na Święto Dziękczynienia i zostanie kilka miesięcy. Zawsze tak robi. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko.

Przypominam sobie o Lynn. Szybko jednak odsuwam to wspomnienie na bok.

– Rodzice Cole’a też przyjadą, więc poznasz jego matkę, Sue. Jest uroczą, serdeczną i niezwykle mądrą damą. Jest bystra i nic nie umknie jej uwagi.

– W tym miejscu inaczej się nie da – żartuję. – Abigail, jak to się w ogóle stało, że zaczęłaś tu pracować? To znaczy, przecież nie szukali kogoś do pracy, zamieszczając ogłoszenie w lokalnej prasie.

– Nooo... nie, zdecydowanie nie – śmieje się. – Zaczęłam pracować dla Loganów, kiedy Cole miał sześć lat. Gdy dorósł i nie potrzebował już niani, przenieśli mnie tutaj. Kocham to, co robię. Ci chłopcy są dla mnie jak moje dzieci, których nigdy nie miałam.

– Mark jest twoim ulubieńcem, prawda? – pytam, choć wiem, że tak jest.

– Mam do niego słabość, głównie dlatego, że on i Cole przyjaźnią się ze sobą od jakichś dwudziestu trzech lat. Matki Marka nie było przy nim zbyt często, a jego ojciec odszedł tuż po jego urodzeniu, więc zawsze to we mnie widział matkę. – Odkłada talerz na kanapę, a następnie odwraca się do mnie z uśmiechem. – Potrafisz dochować tajemnicy?

– Oczywiście.

Jestem podekscytowana perspektywą babskich pogaduszek.

– Niedawno Mark poznał dziewczynę. Rozmawiali przez chwilę. Nazywa się Melanie. Pracuje w mieście, więc pewnego dnia postanowiłam ją sprawdzić. No wiesz, upewnić się, że jest wystarczająco dobra dla mojego chłopca. No i cóż, okazało się, że pracuje w kawiarni. Jest wysoka, szczupła i ma rude włosy. Słodka, miła osóbką. No i coś zrobiłam. – Milknie, a na jej twarzy maluje się poczucie winy.

– Co?

Nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się, co takiego zrobiła.

– Przedstawiłam się jej. Skończyło się na tym, że po jej zmianie rozmawialiśmy przez dwadzieścia minut. Zaprosiłam ją na świąteczną kolację. – Zakrywa usta dłonią. – On mnie zabije!

– O mój Boże. – Wybucham śmiechem. – Klasyka! Myślisz, że przyjdzie?

– Tak. – Ociera łzę. – O Panie Najświętszy, i co ja mam zrobić, Savi?

– Może Mark ją gdzieś potem zaprosi, a tobie się upieczce.

– Wspomniała, że zasugerował, żeby...

– Czeka! Wróć. – Kręczę głową. – Nie rozumiem, wolno ci zaprosić kogoś do domu na kolację?

– A, nie, przepraszam. Najlepszy przyjaciel Daniela, Zack, ma w mieście restaurację i bar. Podają tam świetne jedzenie. Poza tym to dla mnie też okazja, żeby zrobić sobie wolne.

– Rozumiem. Cóż, możemy zrzucić winę na Johna.

Obie wybuchamy śmiechem. Biedny John. I tak siedzi po uszy w szambie przez akcję z paintballem. Mark chyba jednak nie wziął na siebie całej winy.

– Może. – Jej wyraz twarzy nagle się zmienia. – Ci chłopcy naprawdę ciężko pracują i robią coś,

czego przeciętny człowiek nie zdołałby zrobić. Jakiegokolwiek są to święta, duże czy małe, to staram się, abyśmy je obchodzili, ponieważ oni zasługują na chwilę odpoczynku i na to, żeby przez chwilę mogli być po prostu sobą. – Patrzy na mnie, unosząc brew. – Myślę, że właśnie dlatego zaprosiłam Melanie. Chcę, żeby Mark miał kogoś, do kogo będzie mógł wracać po pracy. Więc po prostu odrobinę mu w tym pomogę. – Chichocze. – Czy nie tak robią rodzice?

– Według mnie to naprawdę słodkie.

Po prostu kocham Abigail i nie mogę się doczekać, kiedy spotkam jej siostrę June.

Rozdział dziesiąty

Savannah

Pulsujący ból głowy budzi mnie z kamiennego snu. Zwlekam się z łóżka, czując zawroty głowy. Idę do kuchni, gdzie Abigail w szafce nad kuchenką trzyma w zapasie tabletki przeciwbólowe. Połykam trzy, popijając dwoma szklankami wody, po czym opadam na krzesło i opieram głowę na rękach. Kątem oka dostrzegam po mojej lewej stronie jakiś ruch i automatycznie przytomnieję.

– A któż to, jeśli nie sama Savannah Miller, sprawa numer dwa-dwa-pięć-siedem-jeden? – sarka York.

Stoi przy ścianie, trzymając w dłoni piwo. Od razu widać, że to nie pierwsze. Nie jestem w nastroju na jego towarzystwo, więc wstaję i kieruję się w stronę korytarza, ale on przesuwa się w moim kierunku, zmuszając mnie do zmiany trasy. Idę więc do salonu.

– Jakaś strasznie milcząca jesteś, co, ślicznotko? – Idzie za mną, a następnie zastępuje mi drogę. Nie chcę go dłużej wymijać, więc ruszam w stronę schodów i wchodzę na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nie wiem dokąd idę, po prostu nie chcę zostać z nim sama. Wślizguję się do pierwszego napotkanego pokoju i już prawie zamykam za sobą, kiedy York wsuwa but między drzwi i otwiera je z trzaskiem. – No co jest, Savi? Już nie jesteś taka odważna?

– Przesuń się, York – rozkazuję.

Unoszę brodę i prostuję ramiona. Podchodzi do mnie, popijając piwo.

– Bo co? Ważysz tyle co mokra kura. Można cię przewrócić jednym dmuchnięciem. – Podnoszę ręce w geście obronnym. Czuję, jak kant biurka wciska się w moje uda. – Już nie jesteś taka odważna, kiedy nie masz przy sobie twojego rycerzyka, co?

– Nie wiem, o czym mówisz – szepczę, czując się jak idiotka. *Co za głupi tekst.*

– Więc mówisz, że ty i Cole się nie pieprzycie? – Wzdrygam się, słysząc ton jego głosu. – No cóż, to w takim razie wszystko zmienia.

Zanim orientuję się, co się dzieje, York jednym szarpnięciem przyciąga mnie do siebie i wpija się w moje usta.

Mieszanka piwa i jego wody kolońskiej sprawia, że kolacja podchodzi mi do gardła. Odpycham go, uderzam pięściami i kopię, próbując go od siebie oderwać, ale jestem przez niego przyszpilona. Jego dłonie zaczynają sunąć po moim ciele. *O cholera.* Podciągam kolano i pakuję mu je w krocze, przygryzając mocno jego dolną wargę. Krzyczy, upadając do tyłu. Przeskakuję nad nim, a następnie rzucam się w kierunku korytarza, ale nie udaje mi się pokonać nawet metra, kiedy York łapie mnie w talii i ciska mną o ścianę. Siła uderzenia sprawia, że w płucach brakuje mi powietrza.

Chwyta mnie mocno za ramiona, unosząc nad podłogę. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Z wargi kapie mu krew. Nieźle go dziabnęłam.

– Jesteś łatwym celem, Savannah. Nie było tu jeszcze kobiety takiej jak ty, młodej i takiej śliczniutkiej. Nawet mi się podobasz. – Krzyczę, bo ściska mnie mocniej, ale to tylko sprawia, że jeszcze bardziej *zacieśnia uścisk*. – Myślę, że mogę śmiało uznać cię za moją.

Że co? Serio? Nienawidzimy się!

– Zabierz te łapska! – warczę. Śmieje się, gdy opuszcza mnie na podłogę i wciska swoją erekcję w mój brzuch. – Odwal się, York! – Uderzam go mocno w klatkę piersiową, ale on rozdziera mi koszulę i przytrzymuje moje ramiona, po czym powoli przesuwa wzrokiem po moim ciele. Cieszę się, że akurat dzisiaj nie zdjęłam stanika do spania. York puszcza jedną rękę, by odpiąć pasek. – Przestań! Nie, York! – Zaczynam płakać, kiedy zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście zamierza posunąć się dalej. – Proszę, York, nie. Nie rób tego.

Guzdrze się przy sprzączce, bluzga i krzyczy na mnie, żebym się zamknęła. Korzystam z okazji

i znowu kopię go kolanem w krocze. Tym razem zatacza się do tyłu i wpada na ścianę. Biegnę po schodach, przez salon, a następnie do drugich schodów w przedpokoju. Owijam wokół siebie podartą koszulę. Kiedy zbliżam się do korytarza z sypialniami, słyszę, jak otwierają się drzwi Abigail. Udaje mi się dopaść do drzwi mojego pokoju, zanim ona lub ktokolwiek inny mnie zauważy, zamykam je za sobą z trzaskiem i szybko przekręcam klucz w zamku. Osuwam się na podłogę, szlochając i próbując złapać oddech. Nie potrafię jasno myśleć, kompletnie nie wiem, co robić. Ostatnim razem byłam tak przerażona, kiedy przypominał mi się pobyt w celi.

– Nie – syczę, zaciskając powieki.

Nie teraz. Nie wracaj tam. Trzymaj się terazniejszości!

– Savannah – szepcze zza drzwi York. Otwieram oczy, serce wali mi jak młot. – Otwórz. – Szarpie za klamkę. – Słyszę, jak oddychasz. – Jego głos jest dziwnie spokojny, biorąc pod uwagę, że dostał dwa mocne ciosy w krocze. – Wiesz, że potrafisz otworzyć ten zamek w mgnieniu oka.

Zrywam się z podłogi, wstaję i gorączkowo szukam drewnianego panelu do wbicia kodu. Ponowne szarpnięcie klamki. W końcu znajduję panel i dwukrotnie wbijam kod osiem-dziewięć-osiem-sześć, zanim zrobię to poprawnie. Drzwi otwierają się i wślizguję się w ciemność.

Drżącymi palcami dotykam ściany. Pewnie jest gdzieś tutaj włącznik światła, ale nie chcę ryzykować, że ktoś mnie zobaczy. Odnajduję pokój matki Cole'a. Kiedy zamykam za sobą drzwi, widzę niewielką poświatę bijącą od lampki stojącej w kącie. Opadam na poduszki, zwijam się w kłębek i płaczę w poduszkę, aż w końcu zasypiam.

*

– Ałć – skomle, gdy przewracam się na plecy.

Moje oczy powoli przyzwyczajają się do delikatnego blasku. Są suche i opuchnięte. Złote linie tworzą piękny indyjski wzór na suficie. Gwałtownie nabieram powietrza, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie jestem w swoim pokoju, i gdy wracają wspomnienia minionej nocy. Kiedy unoszę ręce, żeby zakryć twarz, czuję ból w ramionach. Patrząc na parę czarnoniebieskich odcisków dłoni, po jednym na każdym ramieniu, nie mogę uwierzyć, że mu uciekłam. Cholera! Staram się stanąć na drżących nogach. Kręci mi się w głowie i zbiera na wymioty. Czekam chwilę, aż miną zawroty głowy, po czym wymykam się z biblioteki i staję przed drzwiami mojego pokoju. Przykładam do nich ucho, nasłuchując, czy ktoś jest w środku. Nic nie słychać, więc wbijam kod i wślizguję się do środka.

Wszystko wygląda w porządku. Nic się nie zmieniło, niepościelone łóżko przypomina mi o tym, co prawie się wydarzyło. Mój żołądek ściska się, gdy orientuję się która godzina – dziesiąta trzydzieści! O Boże, mam nadzieję, że Abigail jeszcze nie przyszła, żeby sprawdzić, co u mnie. Biorę z szafy niebieski podkoszulek oraz szary sweterek wiązany z przodu i biegnę pod prysznic. Przez bolące ramiona nie daję rady wysuszyć włosów suszarką. Będą musiały wyschnąć same. Staję przed drzwiami, próbując zmusić się do zejścia na dół i dołączenia do wszystkich. Martwię się, że ktoś mógłby zobaczyć nagranie z monitoringu. Muszę coś wymyślić.

– Dzień dobry, Savannah. – Dell uśmiecha się, sięgając do lodówki po sok pomarańczowy. – Przepraszam za wczoraj.

– Nie masz za co, Dell – zapewniam go. – Gdzie są wszyscy?

– Jeśli masz na myśli Yorka, cały ranek był w gabinecie Cole'a. Myślę, że leczy kaca, dzisiaj zapewne cierpi. – Śmieje się. – Dobrze mu tak. Upaja się władzą, ilekroć Cole gdzieś wyjeżdża.

Dobrze. Mam nadzieję, że jaja spuchły mu do rozmiarów grejpfruta.

– Tak, na pewno – mamroczę. – Słuchaj, masz może coś przeciwbólowego, ale coś mocniejszego?

Dell zastyga w połowie kęsa.

– A co? Coś ci się stało?

Odwracam wzrok, nie chcąc kłamać. Problem w tym, że naprawdę bolą mnie ramiona.

– Czy w tym domu nie ma cholernego lodu? – W głębi korytarza drze się York.

Mój żołądek się skręca – dopada mnie strach.

– Wiesz co? Nieważne.

Idę na górę do mojego pokoju. Zamknawszy drzwi, zaczynam się trząść. Jak mam z nim przebywać pod jednym dachem? Wpełzam na łóżko i koncentruję się na oddechu.

*

– Savi. – Abigail potrząsa moim ramieniem.

– A! – krzyczę i otwieram oczy, widząc jej zdziwioną minę.

– Przepraszam, ale czas na kolację.

Odwracam się, krzywiąc się z bólu.

– Nie jestem głodna.

– Savannah Miller – zaczyna matczynym tonem – wiem na pewno, że nic dzisiaj nie jadłaś. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale w tej chwili masz zejść ze mną na kolację, inaczej się stąd nie ruszę.

Wzdycham i szybko się podnoszę, zanim znów mnie dotknie.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – dopytuje, gdy idziemy korytarzem.

– Nie bardzo. – Naciągam mocniej sweter. – Przepraszam.

Czuję się źle, nie mówiąc jej o tym, co zaszło, ale to wciąż jest zbyt świeże i Bóg raczy wiedzieć, co by zrobiła, gdyby się dowiedziała.

Wchodzimy do salonu, gdzie Dell i Quinn rozmawiają z Cole'em. Moje serce skacze z radości. Wrócili! Abigail puszcza do mnie oko, gdy przechodzi obok. O rany, niezła jest. Niestety wraz z rosnącą ekscytacją, rośnie też moje zdenerwowanie.

– Cześć. – Mark nachyla się i całuje mnie w policzek, po czym wręcza mi martini. – Wyglądasz, jakbyś potrzebowała dzisiaj czegoś mocniejszego niż wino.

Upijam duży łyk niebiańskiego napoju.

– Chyba miałem rację – zauważa Mark.

– Kiedy wróciliście? – pytam, wpatrując się w plecy Cole'a, który nadal mnie nie zauważył.

– Pół godziny temu. – Kręci głową. – To była ciężka podróż. Cieszę się, że mogliśmy wrócić do domu wcześniej.

– Ciężka?

– Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć.

Pewnie ma rację. Prawdopodobnie nie chcę.

– Daj spokój. – Ciągnie mnie za ramię, więc się wzdrygam.

Kiedy prowadzi mnie do Della, Quinna i Cole'a, skanuję wzrokiem pokój w poszukiwaniu Yorka.

Cole wygląda na zmęczonego, ale gdy mnie zauważa, na jego twarzy pojawia się uśmiech, który rozgrzewa mnie od środka.

– Hej. – Patrzy na mnie *roztańczonym wzrokiem*.

– Witaj w domu.

– Tak jak obiecałem – mówi na tyle cicho, że tylko ja go słyszę.

Biorę łyk drinka i nie mogę powstrzymać uśmiechu, który po prostu wymyka mi się niepostrzeżenie.

– Ty. – Keith wskazuje na mnie palcem, podbiegając do nas. – Zechcesz mi wyjaśnić, gdzie się podziewałaś dzisiaj rano?

Kurwa! Kręcę nerwowo głową i się rozglądam. Na szczęście każdy jest zajęty sobą. Abigail włączyła muzykę, która zagłusza Keitha. Cole patrzy na mnie, potem na Keitha.

– Ja-ja wstałam wcześniej i poszłam na spacer nad jezioro.

– Savi, beznadziejna z ciebie kłamczucha.

– Słuchaj, możemy to odłożyć na później?

Patrzę na niego błagalnym wzrokiem, licząc na to, że odpuści. Czuję, że w oczach zbierają mi się cholerne łzy. Naprawdę, czy ktoś nie mógłby mi rzucić jakiegoś pieprzonego koła ratunkowego?

– Masz szczęście, że Dell powiedział nam, że cię widział, w przeciwnym razie cała ekipa ruszyłaby na poszukiwanie twojego zadka. – Nagle robi krok do przodu i niespodziewanie mnie przytula.

– Nie znikaj tak więcej, bo wszczępię ci w ramię chip śledzący. – Wypuszczam z ulgą powietrze, a on

odsuwa się, przyglądając mi się, po czym prychna i odchodzi.

– Wygląda na to, że przegapiliśmy jakąś akcję, kiedy nas nie było – wtrąca się Mark. Spoglądam na Cole'a, który uważnie mi się przygląda.

– Nie domyślasz się nawet połowy z tego, co się działo – mruczy Quinn.

Kręcę głową, patrząc na niego. Boże, czy nie mogą rozmawiać o czymś innym?

– Hej, chłopcy – woła Abigail – moglibyście mi pomóc?

Cole zostaje. Podchodzi do mnie, a potem pochyla się tak, że jego usta są tuż przy moim uchu.

Jego gorący oddech przyprawia mnie o dreszcze.

– Nie było chwili, żebym o tobie nie myślał, Savannah. Jesteś jak cholerny narkotyk, przez który wiotczeją mi kolana. – Wstrzymuję oddech, moje serce wystukuje radosny rytm. – Muszę się cholernie starać, żeby nie stracić samokontroli i cię teraz nie pocałować.

– Nie opierałabym się – mówię, zanim zdążę pomyśleć.

Odsuwa się z uśmiechem na ustach i kręci głową.

– Cole, muszę z tobą...

– Słyszałem, że gdzieś się nam na chwilę zapomniałaś, Savi. – Głos Yorka mrozi mi krew w żyłach. – Możesz wyjaśnić, gdzie byłaś? – Całe moje ciało jest zablokowane. Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to wgapić się w swojego drinka.

– A tobie co się stało? – pyta Cole, kierując uwagę na Yorka.

– Potknąłem się. Pieprzony kot.

Ha! Mam ochotę jeszcze raz kopnąć go w jaja za to, że zwała winę na biednego Scoota, ale zdradzona przez własne ciało, stoję nieruchomo, słuchając jego kłamstw.

– Jak sobie radziliście, kiedy nas nie było?

– To samo gówno co zwykle, prawda, Savi? – Obejmuje mnie ramieniem, a następnie przyciąga do siebie z niemałym trudem, uśmiechając się. – Mieliśmy jedną z naszych małych sprzeczek, ale już się pogodziliśmy. Co nie, moja piękna?

Jego słowa przyprawiają mnie o dreszcz obrzydzenia.

– To dobrze. – Cole popija brandy, ale widzę, że przygląda mu się podejrzliwie. – Cieszę się.

Próbuję się odsunąć, ale palce Yorka wbijają się w moje biodro.

– Cole – woła Mike – masz chwilkę?

– Zaraz wracam – mówi Cole i idzie do Mike'a.

O nie! Nie chcę tu być. Chcę wrócić do swojego bezpiecznego miejsca w bibliotece.

York pochyla się nade mną.

– Piśniesz choć słówko o tym, co wczoraj się wydarzyło, a osobiście oddam cię w ręce karteli. –

Całuje mnie w skroń i odchodzi.

Dopijam resztkę alkoholu i krzyżuję ręce na brzuchu.

Pojawia się Mark, który podaje mi kolejnego drinka. Patrzy, jak wypijam połowę jednym haustem.

– Mark – szepczę – wiadomo ci coś o tym, kiedy znowu wyjedziecie?

– W przyszłym tygodniu, ale na razie to nic pewnego.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Chyba nie będę mogła tu dłużej zostać.

Mark nachyla się do mnie tak, że nasze oczy znajdują się na tym samym poziomie.

– Co? Jak? O czym ty mówisz? – Próbuje złapać moje spojrzenie, ale odwracam wzrok. Czuję się odrętwiała. Zamykam się w sobie.

– Kolacja gotowa – ogłasza Abigail.

Odwracam się i zmierzam do stołu.

*

Wszyscy są pogrążeni w rozmowie. Paul opowiada o facetach, na których natrafili w domu, którym mieli się zająć.

Ja z kolei próbuję nie zwracać uwagi na Yorka, siedzącego naprzeciwko mnie.

Cole w końcu do nas dołącza, zajmując miejsce po mojej prawej stronie. Abigail, jak zwykle, jest po mojej lewej.

Mark podaje mi kolejnego drinka.

Kręci mi się w głowie – brak jedzenia i dwie porcje martini sprawiają, że zaczynam trochę odpływać.

– Który to już? – pyta York, wskazując na mój kieliszek.

Oblizuję suche usta, podnoszę kieliszek i pociągam długi łyk, wpatrując się w niego, a w myślach mówię mu, żeby się walił.

Cole patrzy na nas, próbując zrozumieć, co się dzieje. Jest na tyle bystry, że nie pyta mnie o to przy wszystkich.

– Abigail, o której przyjeżdża jutro ciocia June? – pyta Mark.

– O siódmej. – Abby się ożywia. – Pojedziesz po nią na przystanek autobusowy, prawda?

Kiwa głową.

Mam ochotę zapytać, czy nie mogłabym pojechać z nim, ale postanawiam nie nadużywać szczęścia, biorąc pod uwagę, że wieczorem wybieramy się do miasta na świąteczną kolację. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć miasto. Do diabła, pragnę po prostu wyrwać się za tę cholerną bramę.

– Dobrze się czujesz? – Cole pochyla się, kiedy podnoszę wzrok. – Nie tknęłaś jedzenia.

Patrzę na swój talerz.

– Jestem po prostu zmęczona – kłamię, podnoszę widelec i wkładam do ust zieloną fasolkę.

Po sprzątnięciu stołu wszyscy przenoszą się do salonu. Widzę Della, który stoi sam i robi sobie drinka. Chcę zapędzić go w kozi róg i zdobyć więcej szczegółów na temat mojego okupu, o którym zaczął mówić, ale na drodze staje mi Mark.

– Możesz powiedzieć, co się dzieje?

– Nie bardzo.

– Dobra, mów, co się stało, gdy nas nie było? – Czeka, ale nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię wymyślić żadnego sensownego kłamstwa. Łapie mnie za rękę i ciągnie do gabinetu Cole'a, zamykając za nami drzwi, po czym puszcza mnie i krzyżuje ramiona. – Mam całą noc.

Auc!

– Nie chcę już tu być – wypalam.

– Gówno prawda – rzuca w odpowiedzi.

– Nie czuję się tu bezpiecznie.

– Wcale nie. – Patrzy na mnie, jego oczy się zwężają. – Przynajmniej tak było, dopóki nie wyjechaliśmy. Więc co się stało, kiedy nas nie było?

Kręcę głową. Nie wiem, co mam robić.

– Savannah, czy ktoś cię skrzywdził?

Zakrywam usta dłonią, tłumiąc szloch. Chciałabym to z siebie wyrzucić, ale się boję.

Staje przede mną, po czym chwyta mnie za ramiona.

Wzdrygam się i odwracam wzrok.

– Wszyscy w tym domu są częścią zwartej grupy. Musimy sobie ufać. Jeśli jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć, to koniecznie musisz nam o tym powiedzieć, zanim przyprawimy tutaj kolejne osoby.

Co robić, Boże? Zaczynam mocniej płakać.

– Powiedział mi, że odda mnie w ręce karteli, jeśli komukolwiek powiem. – Słowa same wychodzą z moich ust.

– I myślisz, że Cole by na to pozwolił? Jest jak mój brat. Przyznam się, że jeszcze nigdy nie widziałem go tak zakochanego. Wpadł po uszy.

Czuję, że się rumienię.

– Cole to twardy gość, zna wielu niebezpiecznych ludzi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie stanąłby mu na drodze.

Kiwam głową, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że York pewnie by się odważył.

– Okej, więc mówię ci, że... – Jego głos nagle się zmienia. – Kto cię skrzywdził?

Biorę głęboki wdech.

– Powiem ci, ale musisz mi pomóc pozbyć się nagrania z monitoringu. Nie chcę, żeby Cole to zobaczył.

– Nie ma mowy, Savi. Wywaliliby mnie za to.

Zaczynam się irytować.

– Więc pokaż mi, gdzie są, i sama to zrobię.

– Nie dam ci zajrzeć do jego komputera. Poza tym Cole ma najlepszy system bezpieczeństwa, jaki można dostać, i absurdalną liczbę haseł.

No tak, w to akurat jestem skłonna uwierzyć.

– Nie chcę, żeby Cole mnie zobaczył. Może nie chceć... – przerywam, kręcąc głową.

– Savannah. – Mark chwyta mnie za ramiona i tym razem krzyczę z bólu. Puszczam mnie, mrużąc oczy. Próbuje zsunąć mój sweter szarpnięciem, ale się cofam. – Savannah. – Wyciąga rękę i odsłania moje ramiona. Próbuje zasłonić sińce, ale Mark odpycha moje ręce. – O ja pierdole! – wrzeszczy, tracąc panowanie nad sobą.

Odwraca mnie, żeby lepiej przyjrzeć się idealnym odciskom dłoni, po czym odsuwa się. Przeczesuje włosy palcami, następnie zakrywa usta i się zastanawia. Po chwili podchodzi do komputera Cole'a i wstukuje coś na klawiaturze.

– Proszę, Mark – błagam go – nie rób tego. – Naciągam sweter na ramiona i szybko rzucam się do biurka. Wiedziałam, że zna te wszystkie hasła. – Mark! – Nie słucha mnie. – Proszę, proszę, proszę, przestań.

I nagle widzę, jak rzędzie mu mina. Jestem przerażona. Jakbym widziała pociąg pędzący na samochód pełen ludzi, z którego nie mogą się wydostać. Wiem, że ogląda część, w której York ciska mną o ścianę, bo krew odpływa mu z twarzy. Powoli wstaje od biurka i rusza w kierunku drzwi. Podbiegam do nich i blokuję mu przejście.

– Mark, proszę, obiecuję, że powiem Cole'owi. Ale poczekajmy z tym do jutra.

– Savannah, przesuń się. – Jego ton jest upiorny.

Wpatruję się w mężczyznę o wzroście metr osiemdziesiąt osiem, który z łatwością mógłby mnie podnieść i odstawić na bok. Ale nie robi tego, tylko prosi mnie, abym się przesunęła. Kładę ręce na jego ramionach, tak jak on zrobił to przed chwilą ze mną.

– Mark, Abigail tak bardzo się cieszy, że zobaczy siostrę. Jak powiesz o tym Cole'owi, to popsuje cały nastrój w domu, a ja też jestem już zmęczona tym, że cała uwaga skupiana jest na mnie. Proszę, nie rób nic do świątecznej kolacji. Zrób to dla Abigail i reszty. Zaslugują na chwilę spokoju.

Zaciska powieki i zastanawia się przez moment.

Spodziewam się, że się nie zgodzi, ale otwiera oczy i widzę, że mnie rozumie.

– Masz czas do jutrzejszego wieczora. Jeśli do tego czasu mu nie powiesz, ja to zrobię.

O, dzięki Bogu. Spuszczam głowę.

– Okej, tak zrobię. Dziękuję.

– Zrobił ci coś jeszcze? Cokolwiek?

Wygląda na tak zdenerwowanego, że mam ochotę go przytulić.

– Nie, przysięgam. – Ocieram łzy z policzków i staram się go uspokoić. – Ścisnął mnie tylko za ramiona. Był pijany.

– Więc nie potknął się o Scoota i nie przygryzł sobie wargi – mówi bardziej do siebie niż do mnie.

– Nie. Myślisz, że rzeczywiście oddałby mnie w ręce karteli?

Przesuwa dłonią po karku.

– Piętnaście minut temu powiedziałbym: „Nie, do diabła”, ale teraz, po obejrzeniu tego nagrania, sam już nie wiem.

– Boże.

Robi mi się niedobrze.

– York zna wszystkie tajniki tej pracy. Wie, których granic nigdy się nie przekracza. Nie obchodzi mnie, czy był pijany. Nie mógł być aż tak pijany, bo zdołał rzucić tobą o ścianę i sklecić całe

zdanie.

– Czekaj? Na nagraniu słycać, co mówimy?

– Nie ma dźwięku, ale wszyscy tutaj potrafimy czytać z ruchu warg. Byłem w stanie zrozumieć co nieco.

Staram się to wszystko ogarnąć.

– Co się z nim stanie?

Mark cofa się i siada na kanapie, tymczasem ja stoję, niepewna, czy mam odejść, czy zostać. Kurwa, jestem taka rozdarta!

– Cóż, jeśli Cole go nie zabije, a podejrzewam, że to zrobi, zostanie odesłany do kwatery głównej armii na badania psychologiczne. Będą chcieli przejrzeć nagranie, żeby przekonać się, czy są podstawy ku temu, żebyś mogła wnieść oskarżenie.

Po kręgosłupie przebiega mi zimny dreszcz. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Chcę po prostu, żeby stąd zniknął.

– To będzie wielki cios dla wszystkich, ale zawsze wiedziałem, że z tym sukinsynem jest coś nie tak.

– Nie rozumiem, dlaczego zdecydował się zaryzykować swoją karierę. Wie, że kamery są w całym domu.

– Cole modernizował cały system bezpieczeństwa. Tuż przed naszym wyjazdem pracowali nad kamerami na dole. Mieli problemy z połączeniem się z serwerem, więc były offline przez sześć godzin. York pewnie myślał, że dalej nie działają. Kurwa, mam ochotę urwać mu łeb.

Rozlega się pukanie do drzwi i oboje podskakujemy. Zza drzwi wychyla głowę Keith.

– Odbywa się tu jakaś imprezka, o której nie wiem? – Kiedy widzi moją minę, wchodzi i zamyka za sobą drzwi. – Okej, co jest?

Rzucam spojrzenie Markowi, na co ten wstaje.

– Nic, co nie mogłoby poczekać do jutra – mówi, odprowadzając mnie do drzwi.

Keith nie kupuje tego, ale też nie naciska, więc cała nasza trójka wraca do salonu, w którym po kolacji zostało tylko kilka osób.

Kiedy Cole widzi, że zbliżamy się do niego, jego twarz rozluźnia się w uśmiechu.

– Hej, dokąd to uciekliście?

– Tak pogadać. Straciliśmy poczucie czasu – wyjaśnia Mark, rozglądając się po pokoju.

O Boże, parę kroków ode mnie stoi York.

Dosłownie wyczuwam wściekłość narastającą w ciele Marka, gdy obserwuje Yorka. Zaczynam się jeszcze bardziej denerwować, kiedy zauważam, że Cole też mu się przygląda. Muszę coś szybko wykombinować.

– Jestem naprawdę szczęśliwa, że wróciliście. – Tylko coś takiego byłam w stanie wymyślić? *Slabo, Savi*. Cole spogląda na mnie i się uśmiecha. Cóż, mój dumny tekst jest wart jego uśmiechu. Czuję motyle w brzuchu. – Założę się, że jesteście skonani.

– I to jak. – Cole dopija resztę drinka.

– Ja też.

– Chodź. Odprowadzę cię na górę.

Mówimy wszystkim dobranoc.

Mark przytula mnie nadzwyczaj długo i delikatnie.

*

Wchodzimy po schodach w milczeniu. Dopiero gdy jesteśmy sami, Cole kładzie mi rękę na plecach. Taki zwyczajny gest, a czuję się o wiele lepiej. Jak zawsze sprawdza mój pokój i rozpala w kominku. Zamykam drzwi i dołączam do niego. Patrzy na mnie z uśmiechem, który przypomina mi, że jestem kobietą i mam swoje potrzeby.

– Jesteś taka piękna – szepcze, po czym zakłada mi włosy za ucho.

– Dziękuję, że dotrzymałeś obietnicy.

Zamykam oczy i czuję, jak jego ręka przesuwana się po mojej szyi.

Wsusza dłoń na tył mojej głowy i przechyla ją na bok.

– Jeśli będę wracał do czegoś takiego – jego gorące usta całują mnie w szyję, tuż pod uchem – to zawsze będę ci to obiecywał.

Moje ciało wiotczeje, gdy jego słowa docierają do mnie.

Przyciska usta do moich ust, wsuwa język i kręci nim, śmiejąc się między pocałunkami.

– Serce bije ci jak szalone.

– Sama nie wiem dlaczego – wzdycham.

Wsuwam dłonie pod jego koszulę i muskam palcami jego brzuch. Mój umysł nie rejestruje już bólu na ramionach.

Jego oddech przyspiesza, dodając mi tak potrzebnej odwagi.

Moje palce zaczynają eksplorować jego ciało. Jezu, ten człowiek nie ma ani jednej fałdki tłuszczu. Przesuwam paznokciami po jego plecach, a on syczy z rozkoszy.

– Teraz wystawiasz na ciężką próbę moją samokontrolę.

Uśmiecham się szeroko, zadowolona, że mięknie przy mnie tak samo, jak ja przy nim.

Obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie.

– Nie chcę tego schrzanić. Przekroczyłem granicę, której nie powinienem przekraczać. Może uznasz, że jestem słaby, ale przyciągasz mnie jak magnes. Nigdy wcześniej się tak nie czułem.

Chyba zaraz stracę kontrolę, ale tym razem nie bez powodu.

– Ja też nie – szepczę i odsuwam się nieco. – To, co czułam, kiedy wyjechałeś i potem, kiedy zobaczyłam cię na dole... Nigdy wcześniej... To znaczy, rozumiem, że ryzykujesz swoją reputację, będąc tutaj ze mną, i uszanuję twoją decyzję co do tego, że, no... że nie chcesz tego upubliczniać.

– Problem polega na tym – przyciąga mnie do siebie i unosi, a ja oplatom go nogami w pasie – że chcę, aby wszyscy wiedzieli, że jesteś moja.

Uśmiecham się i unoszę brew.

– A jestem?

Kąsa mnie w szyję, a następnie długo i namiętnie całuje.

Moje ciało wije się z pożądania, uda zaciskają się wokół jego talii. Cole odchyła się, pozostawiając mnie bez tchu.

– Chcę, żebyś była.

Jego *ciemne oczy wpatrują się w moją twarz.*

– A ja chcę być tylko twoja – wyznaję, czując zawroty głowy.

Opieram głowę o ścianę, a on liże moją szyję. Jęczę, przechylając głowę na bok, po czym mocniej zaciskam nogi, czując między nimi jego erekcję.

Przyciska mnie biodrami i pomrukuje, wsysając się w miejsce między szyją a ramieniem.

– O ja pierdolę, Savi. – Wydaje jęk, gdy powoli opuszcza mnie na ziemię. Potem przybliżyła moją dłoń do ust i delikatnie ją całuje. – Prześpij się teraz, kochanie.

Cała aż się rozpływam. Ten facet zdecydowanie owinął mnie sobie wokół palca i to za sprawą jednego uśmiechu. Boże, czy naprawdę jestem gotowa na ten związek? Może powinnam przestać tyle myśleć i po prostu cieszyć się życiem...

Rozdział jedenasty

Savannah

Przebieram się i zaczynam krążyć po pokoju. Nagle czuję się winna, że nie powiedziałam Cole'owi, co zrobił York. Potrzebuję jeszcze jednego dnia. Boże, mam nadzieję, że Mark dotrzyma słowa. Przystaję, kiedy słyszę kroki za drzwiami i widzę cień na podłodze. Ciche pukanie przyprawia mnie o dreszcz. A co jeśli to Cole? Może też nie może spać. Jestem na to gotowa? Powoli podchodzę i otwieram drzwi.

Wpatruje się we mnie para błyszczących oczu.

Cholera!

Jego spojrzenie prześlizguje się po mojej koszuli nocnej.

– Wieczór – mruczy, gdy próbuję zatrzaskać drzwi, ale wsuwa między nie stopę.

– Zabierz nogę, York! – syczę, próbując opanować uczucie strachu.

Czyjeś kroki na schodach na chwilę odwracają jego uwagę, więc odpycham go, zatrzaskuję drzwi i przekręcam klucz w zamku.

Pieprzyć to! Biorę koc z krzesła, po czym wślizguję się do tylnego korytarza.

*

Cole

Cole'a budzi walenie do drzwi, po czym te gwałtownie się otwierają.

Abigail biega po jego pokoju jak obłąkana. Cole mruży oczy, próbując zorientować się, co się dzieje.

– Gdzie ona jest? Powiedz mi, że jest z tobą! – Mówi z prędkością karabinu maszynowego, pędząc do łazienki.

– Kto?

– Savannah! Nie spała w swoim łóżku. Nigdzie nie mogę jej znaleźć!

To go budzi na dobre. Podbiega do komody, wyciąga džinsy i czarny T-shirt i ubiera się w trzy sekundy.

Biegną do pokoju Savannah, który rzeczywiście jest pusty. Słyszając głosy dochodzące z dołu, Cole wyskakuje na korytarz. Z Abigail depczącą mu po piętach, zbiega po schodach do kuchni.

– Wow, gdzieś się pali? – Paul podnosi kubek z kawą.

– Widziałeś Savannah? – pyta zdyszana Abigail.

– Tak, jest na patio. – Dell wskazuje na zewnątrz. – Wszystko okej?

Cole nie odpowiada. Przechodzi przez jadalnię, w brzuchu czując zaciśnięty węzeł. Oto ona, ubrana w biały sweter i jasnoróżowe obcisłe spodnie, popija kawę. Falujące pukle opadają jej na ramiona. Chryste, ta dziewczyna zapiera mu dech w piersiach. Musiała wyczuć, że ktoś ją obserwuje, bo się odwraca. Patrzy na niego, w jej oczach widać błysk, który szybko gaśnie, kiedy dostrzega coś przez jego ramię.

– Tym razem wszczepimy tej dziewczynie w szyję cholernego chipa! – krzyczy Keith, wpadając do jadalni. – Cole, już drugi raz nam to zrobiła – narzeka.

– Uspokój się, Keith – mówi Abigail.

Savannah otwiera drzwi na patio. Przygryza wargę, wzrok ma spuszczoney.

– Dlaczego krzyczymy? – Mark wygląda, jakby spał zaledwie dwie godziny.

– Słodkie gatki, stary. – Cole wskazuje na bieliznę z Iron Manem, w odpowiedzi na co Mark pokazuje mu środkowy palec.

– Savannah, ostrzegłem cię.

Keith wskazuje na nią palcem. Dziewczyna kieruje wzrok na Marka. Ten łapie jej spojrzenie i nagle robi się bardziej czujny.

– Przepraszam. Zasnęłam w pokoju rozrywki. Wcześniej nie mogłam usnąć.

– Zła odpowiedź, Savi. Widziałem nagranie.

Savannah przeczesuje palcami włosy, Mark odzwierciedla jej ruchy. Keith spogląda raz na nią, raz na niego, ewidentnie zmieszany.

– Keith, jestem tutaj. Nic mi nie jest. – Znowu zaczyna się wiercić, nerwowo odwracając wzrok ku kuchni.

– Nie tak tutaj funkcjonujemy.

– Keith – szepcze Mark – odpuść jej, ten ostatni raz, co?

Keith kręci głową.

– Ostatni raz, Savi, przysięgam na Boga. – Unosi rękę, odwraca się i wychodzi, mamrocząc coś do krótkofalówki.

– Zostało ci czternaście godzin, pięknooka – szepcze Mark.

– Ktoś może mi wyjaśnić, o co chodzi? – pyta Cole, krzyżując ramiona i opierając się o krawędź stołu. Oboje wpatrują się w podłogę i nic nie mówią. – No tak, twój problem, Mark, jest taki, że unikasz ze mną kontaktu wzrokowego, kiedy tylko coś ukrywasz. Zachowujesz się tak, odkąd byłeś dzieciakiem, a ty Savi... – Dziewczyna spogląda na niego, przeczesując palcami włosy. – Robisz właśnie to – wskazuje na jej rękę – kiedy nie jesteś ze mną szczerą albo czegoś się boisz. – Wzdycha, kiedy Savannah i Mark wymieniają spojrzenia. – Więc... do czego zostało czternaście godzin?

– Cole. – Savannah podchodzi bliżej, unosząc rękę. – Nie tak dawno mówiłeś mi, że mam ci zaufać, i tak zrobiłam. Czy ty też mógłbyś mi trochę zaufać, kiedy cię o to proszę? Mógłbyś? – pyta, patrząc mu przez chwilę prosto w oczy.

Boże, ależ ona go w sobie rozkochuje. Ale ten ich sekret, jak nic, źle się to skończy.

– To nic dobrego, co? – mówi Cole. Savannah rumieni się, patrząc na Marka. – Czy mam się martwić o czyjeś bezpieczeństwo?

Savannah krzywi się na te słowa.

– Póki co, ogarniam to – mówi Mark. – Savannah ma swoje powody, by milczeć, i chociaż nie do końca się z tym zgadzam, uszanuję to, że chce poczekać z wyjaśnieniami do wieczora. Jeśli dzisiaj ci nie powie, ja to zrobię.

Okej, zrobiło się poważnie.

– Mark, dasz nam chwilę? – Cole czeka, aż zostaną sami, po czym odchyła się tak, by zasłonić plecami kamerę. Savannah nerwowo bawi się świeczką na stole. – Maleńka – szepcze – nie będę naciskał i wypytywał, o co chodzi. Wygląda na to, że Mark już się tym zajął, ale musisz mi powiedzieć, dokąd wymykasz się w nocy. – Odstawia świecę, obracając ją między palcami. – A jeśli coś się stanie i będę musiał po ciebie pójść? Dziś rano Abigail o mało nie umarła przez ciebie ze zmartwienia.

Savannah kiwa głową.

– Do biblioteki twojej matki – mówi cicho. – Tam czuję się bezpiecznie.

Wypuszcza z ulgą powietrze, trochę zaskoczony, że przez chwilę miał pewne wątpliwości. Nie wiedział, co mu powie. Przez chwilę myślał, że chodzi o pokój kogoś innego, a teraz od razu poczuł się winny, że w ogóle przyszło mu coś takiego do głowy.

– Przepraszam, że korzystam z tylnego przejścia, ale naprawdę czuję się tam bezpieczna – powtarza. – Ostatnie dni były ciężkie. Po prostu tam zasnęłam. Miałam nadzieję, że wejdę i wyjdę niezauważona. Naprawdę mi przykro, Cole.

Sięga po jej dłoń i kładzie na niej swoją.

– Nie przepraszaj. Po prostu ulżyło mi, że nie chodzi o pokój kogoś innego. Cieszę się, że czujesz się tam bezpiecznie. Korzystaj z biblioteki, kiedy tylko chcesz.

– Prawdę mówiąc – przysuwa się do niego trochę bliżej – chciałam pójść do twojego pokoju. –

Cole bierze głęboki wdech, gdy jej wzrok napotyka jego. – Położyć się w twoim łóżku, czuć twój zapach.

Wygłąda cholernie seksownie, gdy tak szepcze, unosząc kąciki ust. Stoi przed nim i się uśmiecha. Cole, przesunawszy się do niej bliżej, czuje, jak ogrania go uczucie gorąca. Zaciska palce na krawędzi stołu. Ta dziewczyna cholernie go podnieca.

Savannah staje między jego nogami, pochyla się w bok i sięga po kubek z kawą, po czym mówi dalej.

– Spać w twoim T-shircie...

Jej oddech na jego szyi sprawia, że zaciska palce na blacie stołu z siłą imadła.

Odsuwa się od niego, chichocząc w kubek. O, tak, jest w tym dobra, wie doskonale, że on zaraz pęknie.

– Savi – mruczy – T-shirty są w lewej górnej szufladzie.

Savannah śmieje się, zmierzając w stronę kuchni.

– Te zagrywki na nic ci się nie zdadzą. – Uśmiecha się przez ramię, idąc kołyszącym krokiem.

Jasna cholera, co za tyłek.

*

Usłyszawszy krzyk dobiegający z przedpokoju, Cole zrywa się i biegnie do jadalni.

– Aaa! Nie mogę uwierzyć, że w końcu jesteś! – krzyczy Abigail do siostry.

Cole kręci głową, pocierając klatkę piersiową. O co chodzi z tymi wrzaskami, gdy witają się dwie baby?

– Coley! – Ciotka June bierze jego twarz w dłonie i całuje prosto w usta. – Jak się miewa mój młody przystojny mężczyzna?

Krzywi się na to, jak go nazywa.

– Dobrze, dzięki.

– Tak słyszałam. – Mruga do niego. – No, no. – Spogląda mu przez ramię. – A ty musisz być Savannah.

– Tak, to ja. Miło mi.

June przyciąga do siebie Savannah i mocno ją przytula. Dziewczyna wzdryga się na obcy dotyk. Szybko bierze się w garść, ale Cole i tak zdążył to odnotować.

Ciotka cofa się, żeby móc dobrze jej się przyjrzeć.

– Założę się, że twój widok stanowi dla chłopaków miłą odmianę, co?

Twarz Savannah robi się czerwona.

– June, zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju. Chodź, Savi. Poszukajmy ci czegoś ładnego na wieczór – mówi Abigail, po czym bierze Savannah pod ramię i ciągnie ją w stronę schodów.

– Ten uśmiech to chyba za sprawą jakiejś dziewczyny.

Cole uśmiecha się, kiedy June wbija mu łokieć w zębra. Nie ma zamiaru jej okłamywać. *Zresztą i tak nie dałaby się nabrać*, myśli cierpko.

– Tak, to prawda.

Cioteczka June jest jak zawsze niebywale spostrzegawcza.

*

Cole siada przy biurku. Nie zdążył nawet otworzyć maila, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Spogląda na drugi monitor i widzi Keitha.

– Wejdz.

– Słuchaj, musimy pogadać o tym całym znikaniu Savannah...

– Wymyka się do biblioteki mojej matki – przerywa mu, patrząc w ekran komputera.

– Co? Skąd o niej wie?

– Zobaczyła ją, kiedy przenosiłem ją do jej pokoju po zatruciu.

– I nie masz nic przeciwko temu?

– Coś się wydarzyło, kiedy nas nie było. Zdenerwowała się, więc poszła tam, gdzie czuła się bezpiecznie. Zna tylko kod do swojego pokoju. – Cole pomija fakt, że kod do jego pokoju też zna. –

Może wałęsać się po wszystkich korytarzach, ale nie wejdzie do żadnego pomieszczenia, nie znając jego kodu. Przecież wiesz.

– A jeśli znajdzie drzwi na parterze?

Cole odchyła się na krześle. Nie lubi być tak przepytywany.

– Wtedy zobaczy drzwi, które wyglądają jak wszystkie inne. Nie ma kodu, nie ma wejścia.

Keith kiwa głową i siada.

Cole wzdycha. To będzie długi dzień.

– Wiesz coś o tym, co się stało?

– Wiem tylko, że ona i York ścięli się przy kolacji – odpowiada Keith. – Savannah rozmawiała z nowymi chłopakami. Dell dał ciała, mówiąc jej, że *Los Sirvientes* kogoś szantażują.

Cole zaciska zęby. Musi zamienić słowo z Dellem.

– Savi chyba się tym zdenerwowała i nalegała, aby powiedzieć jej coś więcej, ale York za bardzo wczuł się w rolę wszystkowiedzącego szefa i oboje dali się ponieść emocjom.

– Aż tak bardzo? – dziwi się Cole.

– Wystarczająco. York w zasadzie jej groził.

Cole czuje, jak natychmiast wybucha w nim gniew. *Chryste, York musi nad sobą panować.*

– Padło jeszcze kilka słów, a potem Savannah wyszła – kontynuuje wyjaśnienia Keith. – Przyszła Abigail, a po niej zjawił się Mike z Savi. Wpadła na niego w korytarzu. Śmiertelnie przestraszył biedaczkę. Była trochę zdenerwowana, ale poza tym nic jej nie było. Więc nie wiem, czy to przez tę sprawę z szantażem czy kłótnię przy kolacji. Po prostu była jakaś inna. Zabunkrowała się gdzieś i nie pokazywała się, dopóki nie wróciliście do domu. – Keith wstaje. – Słuchaj, Dell czuł się okropnie przez to, co powiedział. Nie bądź dla niego zbyt surowy. To przez Yorka i te jego jazdy, które koniecznie trzeba ukrócić. Ten człowiek jest jak tykająca bomba, która jak nic rozsądzi Savi.

– Na to wygląda.

– W każdym razie wszystko jest na monitoringu, więc możesz to zobaczyć na własne oczy.

Cole pociera dłońmi twarz.

– Najpierw muszę skończyć i wysłać ten raport.

– To nie zawracam ci już głowy.

*

Cole przegląda się w lustrze i bez coś poprawia. Woli moro i swoje buciory niż garnitur i krawat, ale taką mają tradycję, że na Święto Dziękczynienia chodzą do restauracji Zacka, więc wypada ubrać się elegancko. Zack pracował dla Shadows wiele lat temu. Kiedy przeszedł na emeryturę, nie chciał nigdzie wyjeżdżać, więc razem z młodszym bratem otworzył w okolicy restaurację i bar. Ojciec Cole'a i Zack mieszkają teraz dwa domy od siebie. Najlepsi przyjaciele, od dziecka przywiązani do siebie niczym syjamskie bliźnięta. Abigail droczy się z nim, że jego przyjaźń z Markiem jest taka sama. I ma rację. Cole śmieje się w duchu. Nie wyobraża sobie, żeby w pobliżu nie było Marka.

Zwykle „goście” przebywający w domu trzymani są na dystans. Nawiązanie relacji takiej jak jego z Savi po prostu się nie zdarza. A z pewnością nigdy nie zabierają „gości” na świąteczny obiad na mieście. Zack nie zamyka wtedy swojej restauracji dla innych klientów, ale biorąc pod uwagę liczbę agentów, którzy będą dziś wieczorem, Cole nie martwi się zbytnio tym, że Savannah będzie w miejscu publicznym.

– Chociaż nigdy za dużo ostrożności – komentuje pod nosem, chowając pistolet do kabury na biodrze.

Nakłada kurtkę i przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Ma na sobie czarny garnitur i czerwony krawat, włosy nażelował i zaczesał do tyłu. Kręci głową.

– Wyglądam jak pieprzony adwokacina z Wall Street. Kurwa!

Wie, że nie zniósłby życia w mieście. Zastanawia się, czy Savannah tęskni za mieszkaniem w Nowym Jorku. A co jeśli zwiążą się na stałe i będzie chciała tam wrócić? Myśl jest zbyt niepokojąca, więc odsuwa ją na bok.

Schodzi na dół, gdzie czekają na niego Keith i Mike. Kiedy wychodzą na zewnątrz, zauważa, że

temperatura znacząco spadła. Według pogodynki w komórce są tylko trzy stopnie.

Paul otwiera drzwi samochodu i Cole wsiada do środka.

Savannah siedzi już z tyłu. Cole kieruje się prosto do niej, celowo ignorując dwie uśmiechnięte ciotki. Dopiero kiedy siada obok Savannah, mówi:

– Moje panie, ślicznie wyglądacie.

– I ty również, Logan. – June puszcza do niego oko.

Uśmiecha się szerzej na widok Savannah. Jej drobną sylwetkę otula długie, białe futro. Przez kręcone włosy pobłyskują kolczyki, a wokół niej unosi się ten cudowny zapach jabłek.

– Pani Miller, wygląda pani olśniewająco.

– Naprawdę? Dziękuję. – Uśmiecha się, patrząc na niego wesołym wzrokiem. – Z ciebie też niezły przystojniak.

– To przez ten krawat – bąka pod nosem, poluzowując go nieco.

Jadą w konwoju złożonym z czterech aut – dwóch SUV-ów i dwóch samochodów zwiadowczych. Cole nie lubi jeździć nocą po górskich drogach. Jest tam zbyt wiele miejsc, w których mógłby czaić się snajper. Patrzy na Savannah i zdaje sobie sprawę, że dziewczyna ma podobne odczucia. Sięga po jej dłoń i przeplata palce z jej palcami, dochodząc do wniosku, że skoro są z tyłu, to nikt tego nie zauważy. June rozmawia z Paulem i Markiem z przodu. Savannah odwzajemnia jego uścisk, ale i tak jest niespokojna. Cole to czuje. Wskazuje palcem wolnej ręki.

– Widzisz tamte światła? To miasto. Jest niedaleko.

– Jesteś zdenerwowany – szepcze Savannah.

– Nie zdenerwowany, tylko czujny. – Pochyliła się i muska ustami jej ucho. Savannah ścisza go mocniej, a on wdycha jej zapach. – Wolę, kiedy jesteś schowana tam na górze, gdzie wiem, że jesteś bezpieczna.

Nadal wygląda na zaniepokojoną, ale zanim Cole zdąży ją o to zapytać, jego telefon zaczyna wibrować.

– Logan.

– To ja Keith. Jesteśmy w restauracji i na swoich pozycjach. Jest sporo osób, ale Zack jest gotowy i na nas czeka. Twój rodzice i ich przyjaciele też już tu są.

Spogląda na zegarek.

– Rozumiem, będziemy za sześć minut.

Rozłącza się i skinieniem głowy daje Paulowi znak, że wszystko jest gotowe.

– Savi, co powiesz, jeśli podejdzie do ciebie ktoś, kogo nie znasz? – pyta Mark z przedniego siedzenia.

– Nazywam się Nicole i jestem tu z rodziną na urlopie. Przyjechaliśmy na narty.

– Świetnie. A jeśli poczujesz się nieswojo lub zdenerwujesz się czymś, to co mówisz, żebyśmy wtedy wkroczyli?

– Blackstone.

Cole spogląda na nią i widzi, że Mark też się odwraca.

– Okej, Blackstone – stwierdza Mark i patrzy zdziwiony na Cole'a.

Cole wysiada z auta, po czym najpierw skanuje wzrokiem parking, a potem pomaga wszystkim wysiąść. Trzyma Savannah blisko siebie, gdy wchodzi do restauracji. Jego rodzice siedzą przy długim stole z Willem, facetem, z którym dorastał – wspaniale go widzieć – a kiedy wszyscy się ze sobą witają, jego matka trąca go, patrząc na Savannah. Dobry Boże, czy wszyscy już wiedzą o tym, co czuje do tej kobiety? Chyba że Abigail znowu wisiała na telefonie.

Cole pomaga Savannah zdjąć futro, a kiedy ta staje przed nim, mężczyzna z trudem łapie oddech. Ma na sobie czarną sukienkę, która jest tak obcisła, że przypomina drugą skórę. Sięga nieco poniżej połowy uda, rękawy kończą się tuż nad łokciami i ma głęboki dekolt w szpic. Patrząc spode łba na Abigail, która unika jego spojrzenia, zdaje sobie sprawę, że wciąż ścisza futro Savi. Próbuje z powrotem ją nim okryć.

– Lepiej, żebyś to miała na sobie. Zamarzniesz.

– Nie, tak jest dobrze, dzięki. – Macha ręką i siada przy stole.

Cole sarka, wieszając futro na wieszaku. Siada obok niej, obserwując, jak faceci przy stole cieszą oczy jej pięknem – czy też raczej jej biustem. York też się gapi. Cole musi walczyć ze sobą, żeby nie objąć ramieniem jej krzesła i nie zademonstrować, że ona należy do niego.

Podają drinki. Ojciec Cole'a wstaje, by wznieść świąteczny toast. Po kolacji wszyscy zagłębiają się w różne sprawy i rozmowy.

– To kiedy wracacie do *Tijuany*? – pyta Kyle.

Jest jednym z przyjaciół Cole'a z dzieciństwa, z którym razem wstąpił do armii.

– Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu. – Wzdycha, widząc, jak Mark spogląda na Savannah.

– Ale... jeszcze nie jestem pewien, czy pojadę. – Chce zobaczyć, kto ich słucha.

– Jeszcze chyba tak nie było, żebyś nie skorzystał z okazji skręcenia komuś karku – komentuje York, odgryzając kawałek indyka.

– York! – syczy matka Cole'a. – Twój komentarz jest zupełnie nie na miejscu.

York wzrusza ramionami, ignorując jej uwagę.

– To chyba nie jest żadna tajemnica, że zabijasz więcej niż ktokolwiek z nas.

Jego matka wymownie spogląda na Savannah, która dopija resztkę wina. Cole nie wierzy własnym uszom. Wskazuje na niego palcem.

– Jeszcze jedno takie słowo i wracasz do domu. – Nie krzyczy, ale jego surowy ton nie pozostawia żadnych złudzeń. Wszyscy są dobrymi kumplami, ale w jego grupie wciąż obowiązuje hierarchia i niech go szlag, jeśli pozwoli Yorkowi o tym zapomnieć.

Cole kręci głową, odwracając się do Kyle'a.

– Mam dużo do nadrobienia. Frank siedzi mi na karku.

– Jasne, rozumiem. – Kyle kieruje swoją uwagę na Savannah. – To powiedz mi coś o sobie.

Savannah pochyła się do przodu i opiera przedramiona na stole, jej bransoletki wydają przyjemny dźwięk, gdy obijają się o siebie. Odgarnia ciemne włosy z ramienia, pokazując smukłą szyję, której język Cole'a desperacko chciałby zasmakować.

– A co chciałbyś wiedzieć?

Wzrusza ramionami.

– Coś, o czym żaden z tych facetów jeszcze nie wie.

Cole skinieniem głowy daje jej do zrozumienia, że może śmiało mówić. Wszyscy jego ludzie podpisali umowy o zachowaniu poufności.

Savannah zaciska usta, zastanawiając się przez chwilę.

– Kocham bluesa. Pokaż mi lokalny pub ze śmieciowym jedzeniem, muzyką na żywo, a będę szczęśliwą dziewczyną. – Uśmiecha się na wspomnienie. – Moja przyjaciółka Lynn i ja chodziłyśmy w każdy piątek wieczorem do małej spelunki w Queens tylko po to, by posłuchać gościa znanego jako Flat Street Tony. Grał na wiolonczeli i miał głos, od którego dusza tańczyła. – Znowu się uśmiecha. – Pewnego wieczoru Tony podszedł do nas i dał nam jeden ze swoich pierwszych winyli z autografem. Powiesiłam go... – przerywa – ...powiesiłam go w moim salonie. – Wykrzywia usta, patrząc na swoje palce. – Żadnych paparazzi, żadnego tatusia, którego mogłabym zawieść, nikogo nie obchodziło, kim jestem. To był mój kawałek nieba. – Podnosi wzrok i widzi, że cały stół słucha jej historii. – Więc, odpowiadając na twoje pytanie, lubię bluesa. – Kładzie dłonie na kolanach.

– Dziewczyna, która lubi chodzić do pubu, kiepskie jedzenie i łagodną muzykę. Jezu, Savannah, jesteś jak spełnienie marzeń każdego faceta. – Kyle śmieje się do swojej butelki piwa. – Nie wypuszczajcie jej z rąk.

– A to nie słyszałeś, Kyle? – Savannah pochyła się w jego stronę i ścisza głos. – Wskakuję na miejsce agenta Blacka.

Cole odwraca się do niej i widzi, jak uśmiecha się od ucha do ucha, jej oczy błyszczą. Dużo go kosztuje, żeby jej nie chwycić, przycisnąć do ściany i wziąć ją tu i teraz.

– Savi, chcesz wpakować mnie w jeszcze większe kłopoty... – Mark śmieje się, przerywając w pół słowa. – Melanie?

Savannah odwraca głowę do Abigail, która wygląda, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Kto to jest? – szepcze Cole i pochyła się w stronę Savannah, sądząc, że coś wie.

Odwraca się tak, że ich twarze prawie się stykają.

– Dziewczyna, którą poznał Mark.

Naprawdę? To wyjaśnia, dlaczego Mark tak ochoczo jeździł do miasta.

Melanie zwraca się do Abigail:

– Właśnie przyjechałam po coś do jedzenia i panią zauważyłam. Pomyślałam, że podejść i się przywitam.

– To miło z twojej strony, kochanie. I mów mi Abigail. Proszę, może do nas dołączysz?

June od razu wciska się między Marka i Savannah, robiąc miejsce dla nowego gościa. Mark rzuca Cole'owi spojrzenie i mówi bezgłośnie: „Zabiję Abigail”.

Savannah musi się do niego przysunąć. Na szczęście dla niego całe zamieszanie ma miejsce po jej stronie, więc teraz ma pretekst, żeby objąć ramieniem jej krzesło. Wygląda na to, że nie ma nic przeciwko. Gdy siada obok niego, przesuwa dłonią po jego udzie. Cole wypuszcza powietrze, próbując odegnąć dopadające go brudne myśli.

– Nie chciałabym przeszkadzać... – zaczyna mówić Melanie, ale Abigail wpycha ją na krzesło.

– Nonsens.

Cole napotyka spojrzenie ojca. Uśmiecha się do niego i Marka. Jego matka wręcz promienieje. Cóż, zdaje się, że przynajmniej ojciec nie ma żadnego problemu z jego ewentualnym związkiem z Savannah. Musi jednak z nim o tym porozmawiać.

– Pracujesz w mieście? – pyta Savannah.

– Tak, w Klifie. To kawiarnia, którą prowadzą moi rodzice. Pomagam im, kiedy nie jestem na uczelni. Robię dyplom z marketingu.

– O, ja mam dyplom z marketingu. Kiedyś pracowałam dla... – Łapie się na tym, co mówi. – To jak poznaliście się z Markiem?

Melanie najwyraźniej nie zauważa, że Savannah zmieniła temat.

– Właśnie, jak się poznaliście? – pyta Keith, wyraźnie zaintrygowany.

– Na miejsce agenta Blacka? – Cole szepcze ponad ramieniem Savannah, muskając ustami jej ciepłą skórę. Dziewczyna uśmiecha się lekko. Cole dobrze wie, że lubi się z nim droczyć. – Nie podoba mi się twoja sukienka.

– Właśnie, że ci się podoba.

Nie może pohamować uśmiechu. Diablica jest dobra, ale on też potrafi grać w tę grę. Rozgląda się, widząc, że większość skupiła uwagę na Marku i Melanie. W restauracji panuje duży ruch i jest głośno.

– Miałbym ochotę przesunąć dłońmi po twoich udach i sprawdzić, co masz pod tą absurdalnie obcisłą sukienką. – Savannah sztywnieje. Tak, w tej chwili to on ma nad nią władzę. – Przycisnąć cię do ściany, zanurzyć twarz w twojej szyi i pokazać ci, jak cholernie mam twardego przez tę twoją sukienkę. – Delikatnie kreśli kręgi wzdłuż wewnętrznej strony jej gładkiego uda. – Sprawdzić, czy jesteś równie mokra, jak ja twardy. – Savannah przełyka z trudem, na jej policzkach pojawia się rumieniec. – Chciałbym posmakować...

– Savannah, pójdiesz ze mną do baru? – pyta Abigail.

Ma ochotę znowu spiorunować ją wzrokiem, ale przecież Abigail nie wie, co właśnie robił.

Savannah odsuwa krzesło i pochyla się, udając, że wskazuje coś w odległym kącie.

– Nic – szepcze – odpowiadając na twoje pytanie. Pod spodem nie mam nic.

Puf! I znowu to ona przejmuje kontrolę. Cole otwiera szeroko oczy i przesuwa spojrzeniem po jej ciele.

– Przepraszam. – Posyła mu seksowny uśmiech.

– Nie wiem, jak udaje wam się cokolwiek zrobić, kiedy ona kręci się w pobliżu – żartuje Kyle.

– A czym się zajmujecie? – pyta Melanie Cole'a, który próbuje oderwać wzrok od Savi.

– Siły specjalne.

– Naprawdę? Słyszałam, że gdzieś w okolicy jest grupa, która trenuje, ale nigdy nie widziałam nikogo w mundurach. To wy?

– Tak, trenujemy w całym kraju.

– Cóż, miło wiedzieć, że jesteśmy tutaj jednak lepiej chronieni. Siedmiu policjantów to zdecydowanie za mało na całe miasto, zwłaszcza przy takiej liczbie turystów. Powinni ściągnąć tu więcej gliniarzy.

Cole się z nią zgadza. W mieście brakuje personelu, ale policja jest dobrze wyszkolona i ściśle współpracuje z jego firmą. Na szczęście żaden miejscowy nigdy nie natknął się na ich posiadłość. Chronią ją trzy oddalone od siebie o pięć kilometrów bramy z uzbrojonymi strażnikami. Aby przejść przez którąkolwiek z nich, trzeba mieć przepustkę najwyższego – piątego – stopnia. Mają ustalone, że jeśli ktokolwiek zauważyłby ich dom, rozgłoszą plotkę, że nieruchomość należy do niejakiego Kenta Cuttinghama, który dorobił się milionów na ekologii. Armia i jego ojciec mają wszystko pod kontrolą, jeśli chodzi o Shadows i ich siedzibę, więc jak dotąd nie było problemu.

– Cole – Abigail kładzie mu dłoń na ramieniu – albo ktoś poznał Savi, albo zyskała nowego wielbiciela.

Odwraca się i patrzy w stronę, w którą Abigail skierowała spojrzenie. Przy małym stoliku pod oknem siedzą trzech mężczyźni i kobieta.

– Granatowy sportowy płaszcz, blond włosy – mówi i szybko się uśmiecha, gdy zauważa, że Kyle ich obserwuje. – Rozmawia z June, więc nie chciałam jej nic mówić, ale gość obserwuje ją, odkąd podeszliśmy do baru. – Zauważyłam, że typek wskazuje na Savannah i mówi coś do swojego kumpla po lewej. Potem patrzyli w telefon i kiwali głowami.

– Kolejna rundka? – pyta radośnie Cole, wstając od stołu. – Mark, chcesz szkocką, czystą?

– Tak, brzmi nieźle. – Kiwa głową.

„Czysta szkocka” to ich kod na wypadek zagrożenia.

– Melanie?

– Nie, dla mnie nic. Prowadzę.

– Słusznie. – Cole odwraca się do Abigail. – Usiądź. Sprawdzę, o co chodzi. – Od niechcenia kieruje się w stronę baru, patrząc kątem oka na stolik przy oknie. Gdy przechodzi obok Zacka, łapie go za ramię. – Stolik, przy którym siedzi trzech mężczyzn i kobieta. Co to za ludzie?

– Nie stąd. Sądząc po akcencie, chyba z Chicago.

– Dobra. W porządku, możesz wy badać sytuację? Dowiedz się, o czym rozmawiają.

– Jasne – mówi Zack i odchodzi do kuchni.

Cole podchodzi do Savannah i staje za nią.

– Nicole, chcesz jeszcze coś?

Savannah wzdryga się, ale szybko się opanowuje.

– Tak. – Odsuwa na bok w połowie pusty kieliszek po winie. – Może tym razem martini.

Cole zamawia, a June kończy opowiadać swoją historię, po czym odchodzi, mówiąc, że musi ściągnąć Melanie.

– Proszę. – Cole podsuwa Savannah kieliszek. – Kochanie, po prostu zachowuj się normalnie.

– Trzęsą mi się nogi – szepcze.

Wyciąga drżącą rękę po martini, ale w połowie gestu zatrzymuje się i stara się uspokoić.

– Hej, stary – Cole zwraca się do faceta obok Savannah – mógłbyś przesunąć się o jedno siedzenie, żeby pani mogła usiąść?

– Tak, jasne.

Mężczyzna wstaje z miejsca, a Cole pomaga Savannah usiąść na wysokim stołku barowym.

– Dzięki. Myślałam, że zaraz upadnę.

– Nigdy bym do tego nie dopuścił.

Dziewczyna uśmiecha się, ale Cole widzi, że wciąż jest zdenerwowana.

– Skąd znasz Melanie? – pyta, mając nadzieję, że odwróci tym jej uwagę. W międzyczasie obserwuje stół z czwórką podejrzanych.

– Abigail zobaczyła, że Mark z nią rozmawia, więc przedstawiła się i zaprosiła ją na kolację. Myślisz, że Mark będzie zły?

– Nie – śmieje się Cole. – Tylko wcale mnie nie dziwi, że Abigail odgrywa Kupidyna. To nie jej pierwszy raz. Szalenie pragnie wnuków.

– Tak, też odniosłam takie wrażenie. – Savannah chichocze. Cole patrzy jej w oczy. – Pytała, czy biorę pigułki. – Opada mu szczęka. – Chociaż wie, że tak, bo to była jedna z pierwszych rzeczy, o których rozmawiałam z waszym lekarzem. Stwierdził, że to bardzo rozsądnie, skoro mieszkam w domu pełnym mężczyzn. – Śmieje się. – Tak, to było zabawne, kiedy załapałam, o co jej chodzi. Myślę, że będę musiała zacząć je przed nią ukrywać.

Cole też zaczyna się śmiać. Ta ich Abigail czasami jest odjechana.

– No tak, to, co powiem, powinno schlebić Savannah – mówi Zack cicho, pojawiając się nagle koło Logana. – Myślą, że jest Megan Fox. Według mnie, co najwyżej poproszą ją o autograf. Zamierzali do niej podejść, ale ty się pojawiłaś.

– Dobra, dzięki, Zack.

– Nie ma za co. – Spogląda na Savannah. – Mam nadzieję, że miło spędziłaś czas.

– O tak. Masz wspaniałą restaurację, Zack. Dziękujemy za zaproszenie.

Zack nachyla się do niej.

– Jesteś tu zawsze mile widziana. Niech Cole przyprowadzi cię do nas któregoś wieczora na kolację. Zarezerwuję wam stolik w kącie, żeby nikt wam nie przeszkadzał. Sam ugotuję dla was coś wyjątkowego.

– Rzeczywiście, oferta nie do odrzucenia. – Cole kiwa głową. – Będziemy musieli jeszcze obgadać szczegóły.

Wieczór sam z Savannah brzmi doskonale.

– Wspaniale! – Zack klaszcze w dłonie. – No dobra, muszę lecieć. Miłego wieczoru.

Cole patrzy, jak Savannah pije martini. Wydaje się trochę spokojniejsza. Patrzy na niego znad krawędzi kieliszka. Jej wzrok sprawia, że Cole głośno przełyka ślinę.

– Namierzyli mnie?

– Nie, myślą, że jesteś Megan Fox.

Krztusi się drinkiem, śmiejąc się.

– No cóż, w porządku. Dawaj ich tu. Możemy pogadać o transformersach, Optimus Prime i Autobot Drift to moi kumple.

Cole wybucha śmiechem. *Boże, ale ona jest zabawna.*

– Przykro mi, masz pecha. Nie podejda do ciebie, bo ja tu jestem.

Savannah unosi brew.

– Po moim trupie, skarbie.

Posyła mu figlarny uśmiech.

Dopóki nie zrobią jej zdjęcia, nie obchodzi go, co tamci myślą. Media społecznościowe to bura suka.

– Wracajmy do stołu.

*

– Do zobaczenia na śniadaniu, kochanie. – Matka Cole'a całuje go w policzek i wsiada do swojego land rovera.

– Jedź bezpiecznie – mówi Cole do ojca, zamykając za nią drzwi.

Potem wsiada do SUV-a. W środku są już Abigail i June, śmieją się z Marka z powodu wyrazu jego twarzy, kiedy zobaczył Melanie.

– Tak, tak, śmieć się. Cieszę się, że to, że mój żołądek walnął o podłogę i przeturlał się przez drzwi, tak bardzo cię rozbawiło – odzywa się Mark z przedniego siedzenia, co tylko jeszcze bardziej wszystkich rozśmiesza.

Savannah wygląda przez okno, myślami jest w swoim małym świecie.

Cole siedzi obok niej, poprawia nawiew klimatyzacji, tak by dmuchało na nią ciepłe powietrze.

– Coś zauważyłaś?

– Nie, tak tylko myślę.

Najwyraźniej myślami jest gdzieś bardzo daleko, więc zostawia ją w spokoju i daje znak Paulowi, aby ruszali.

– Paul, co powiesz na odrobinę muzyki? – pyta June.

Chłopak włącza radio i samochód wypełnia *Hey Jude* Beatlesów.

Ręka Savannah spoczywa na udzie Cole'a.

Dziewczyna wygląda na zaniepokojoną. Cole otacza ją ramieniem i przytula do siebie.

Ona obejmuje go w pasie i wzdryga się, gdy wyczuwa pistolet.

Cole całuje ją w czubek głowy, a potem mocniej przytula. Nie obchodzi go, czy Paul widzi go w lusterku, po prostu pragnie ją mieć blisko. Savannah ma mu dzisiaj powiedzieć coś ważnego i pewnie to ją tak stresuje. Był cierpliwy, ale widzi, że ona cierpi, i to mu przeszkadza.

Wtula głowę w jego szyję i trochę się odpręża.

W kieszeni wibruje mu telefon. Sięga po niego i czyta wiadomość od Keitha.

Keith: Zielony land rover. Odkąd wyjechaliśmy od Zacka. Rozdzielamy się. Zobaczymy, kogo śledzi.

– Paul – głos Cole'a wydaje się ostry w porównaniu z muzyką w aucie – trzymaj się kursu.

Paul kiwa głową, a następnie zerka w lusterko.

Savannah prostuje się, odwraca głowę i spogląda przez tylną szybę.

– Savi, proszę, patrz przed siebie.

Wpatruje się w niego, wyczuwając jakąś zmianę.

– Ktoś nas śledzi? – pyta drżącym głosem i zaczyna nerwowo pocierać dłonie o kolana. – Cole, powiedz coś, proszę.

– Oprócz bluesa jaką muzykę jeszcze lubisz?

– Nie mam pięciu lat, Cole. Obrażasz mnie tą prostacką próbą odwrócenia mojej uwagi. Mów, co się dzieje, bo inaczej panika, która zaraz wybuchnie, będzie twoim najmniejszym zmartwieniem.

Musi udawać, że kaszle, żeby stłumić śmiech. *Ale zdziorna.*

– Keith zauważył jadącego za nami land rovera.

– Może po prostu dokąds jadą?

– Nie tą drogą.

– Mamy towarzystwo – obwieszcza Paul.

Savannah sięga po dłoń Cole'a. Podoba mu się, że szuka u niego otuchy.

– Jak daleko jesteśmy od domu? – pyta Savannah.

– Dziesięć minut do pierwszej bramy – odpowiada Cole, jednocześnie odpisując Keithowi.

Gdy zbliżają się do zjazdu do pierwszej bramy, land rover zwalnia, a potem nagle przyspiesza i ich wymija.

Dopiero kiedy samochód się oddala, Paul odbija w bok. Kawałek dalej pokazuje swoją kartę strażnikowi i wjeżdżają na posesję.

Gdy brama zamyka się za nimi, Savannah przykładła dłonie do twarzy.

– Nienawidzę tego. – Jej głos jest stłumiony.

– Wiem.

Cole masuje jej plecy, żałując, że nie może zrobić nic więcej.

Wreszcie parkują na podjeździe i wszyscy wysiadają z auta. Savannah idzie prosto do domu, zanim Cole ma szansę upewnić się, czy wszystko z nią w porządku.

– Daj jej chwilę – mówi Abigail, obejmując ramieniem siostrę. – Dzisiejszy wieczór jest dla niej przedsmakiem czekającej ją rzeczywistości.

– Mamy numer rejestracyjny. Chodźmy to sprawdzić – stwierdza Mark i obaj mężczyźni kierują się do biura Cole'a.

Rozdział dwunasty

Savannah

Przebrawszy się w koszulkę i spodnie do jogi, opadam na łóżko i owijam się swetrem. Chcę poczuć się bezpiecznie. Powrotna jazda stłumiła emocje, które teraz szybko dają o sobie znać. Zamykam oczy i od razu zasypiam.

– Savi. – Kręcę się. – Savannah – mówi głośniejszym głosem Abigail. – Obudź się, proszę!

Otwieram oczy i widzę panikę wymalowaną na jej twarzy.

– Coś nie tak?

– Musisz zejść do biura Cole'a, zanim on go zabije!

Siadam prosto. Mam wrażenie, jakby pokój przechylił się w jedną stronę.

– O nie!

Wyskakuję z łóżka, wpadam na korytarz, a następnie zbiegam schodami po dwa stopnie naraz. Czuję, jak krew pulsuje mi w uszach, gdy otwieram drzwi do biura. Cole trzyma Yorka za szyję, przyciskając go do ściany. Mark coś krzyczy.

– Cole! Nie! – Podbiegam do niego. – Proszę, przestań.

– Jak mogłeś ją skrzywdzić? – Cole wydziera się na Yorka, zupełnie mnie ignorując.

York walczy o oddech. Wyciągam rękę i dotykam ramienia Cole'a – jest jak ze stali.

– Cole, proszę, spójrz na mnie! – błagam go.

– Savannah, wyjdź stąd! – rozkazuje mi Cole, ledwo panując nad emocjami.

Do pokoju wpada Keith.

– Co jest, kurwa?

– Nie, Cole – mówię, próbując zwrócić jego uwagę. – Spójrz na mnie. Nic mi nie jest. Nie jestem ranna.

– Mark! – Cole krzyczy tak głośno, że aż podskakuję.

Mark podchodzi szybko i ściąga mi sweter z ramion.

– Mark! – wrzeszczę. – Co ty robisz, do cholery?

Cole kieruje wzrok na mnie i dostrzega siniaki na moich rękach. Jego oczy natychmiast zasnuwa cień. Szaleje w nich gniew. York dostaje pięścią w brzuch i zgina się w pół. Upada, chwytając się za brzuch i próbuje złapać powietrze. Naciągam z powrotem sweter, łzy spływają mi po twarzy.

– Ufałam ci. Nie mogę uwierzyć, że mu powiedziałeś! – wydzieram się na Marka.

– Nie powiedział – mówi Cole lodowatym głosem. Wpatruje się w Yorka i stoi nieruchomo. Ani drgnie. – Widziałem nagrania.

– Savannah, powiedz Cole'owi, czym groził ci York – prosi mnie Mark, nie przejmując się moim komentarzem.

Co on robi? Chce pogorszyć sytuację?

– Mark, przestań.

Trzęsę się, emocje mnie rozsadzają. Niech to się już skończy.

– Savannah. – Ton głosu Cole'a wydaje się inny niż zwykle, a on sam jest przerażający.

Patrzę na Yorka, który rzuca mi nienawistne spojrzenie. Czuję suchość w ustach, drżącymi palcami przeczesuję włosy. Niedobrze mi.

York podciąga się i wstaje, jakby szykował się do walki.

Kręci głową, patrząc na mnie, więc mimowolnie się cofam.

Unosi dłoń do wargi i wyciera krew.

– Savi, między nami mogło być tak pięknie – szydzi. – Powinnaś trzymać swoją pierdoloną buźkę na kłódkę. Kiepskie posunięcie.

Śmieje się, a potem zaczyna kaszleć.

Mark podchodzi i staje za mną.

Kiedy stoję sparaliżowana, obejmuje mnie w talii i mocno ściska. *Co, do cholery?*

– Ten chory sukinsyn zagroził, że sam wyda ją kartelom, jeśli coś ci powie – wyjaśnia Cole’owi. Cole rzuca się na Yorka i z impetem przygważdża go do ściany.

– Nie! – Próbuję wyrwać się Markowi, ale ten obejmuje mnie drugą ręką. Miotam się, gdy tamci się biją. – Puść mnie! Keith, każ im przestać!

Keith kręci głową. Mam wrażenie, że oglądam film i nie mam kontroli nad tym, co widzę.

– Cole, przestań! Zabijesz go! On nie jest tego wart! – Nic do niego nie dociera. Trzęsę się tak gwałtownie, że zaczynam tracić ostrość widzenia. Nagle mnie olśniewa. – Blackstone – krzyczę na całe gardło i wszyscy zamierają w bezruchu.

Pięść Cole’a znajduje się kilka centymetrów od zakrwawionej twarzy Yorka. Cole oddycha ciężko i wygląda jak szalencie. Puszczą bezwładne ciało Yorka i odsuwa się o kilka kroków.

Żelazny uścisk Marka też się rozluźnia. Wyswobodzona, opadam na podłogę i zaczynam płakać.

– Zabierzcie go stąd – chrypi Cole.

Mark i Keith podnoszą z podłogi Yorka. Ten zanosi się delirycznym śmiechem.

– Miej oczy dookoła głowy, Savannah. – Nie widzę go, bo włosy opadają mi na oczy, ale czuję na sobie jego wzrok. Mark dźga go w żebra, aż ten krzyczy z bólu.

– Idźcie już! – rozkazuje Cole i cała trójka znika w tylnych drzwiach.

Wstaję na drżących nogach, mam wrażenie, jakbym miała zaraz zemdleć. W głowie mi się kręci z powodu tego, co się właśnie wydarzyło. Chcę otworzyć drzwi, ale Cole przytrzymuje je ręką.

– Savannah – w jego głosie słychać przygnębienie – proszę zostań.

Zdejmuję dłoń z klamki.

Cole wzdycha ciężko, bierze mnie za rękę i wyprowadza tylnymi drzwiami.

Jego pokój jest taki, jakim go zapamiętałam: duży i przestronny. Zdejmuje zakrwawioną koszulę i spodnie, nie mówiąc ani słowa. Potem znika na kilka minut w łazience.

Stoję jak słup, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Nagle Cole pojawia się przede mną i ściąga mi sweter. Przygląda się mojej skórze, a ja odwracam wzrok, czując się obnażona.

Pochyla się i delikatnie całuje siniaki na każdym ramieniu. Pada przede mną na kolana, obejmuje mnie w talii i przyciska głowę do mojego brzucha.

– Przepraszam, kochanie. Proszę, wybacz mi.

Jego słowa sprawiają, że jestem bliska płaczu.

– Nie przepraszaj. Nie skrzywdziłeś mnie.

Jest mi tak cholernie smutno, bo myśli, że jestem na niego zła.

– Gdybym tu był, mógłbym cię ochronić.

– Mówiłeś, że nie bawisz się w gdybanie. – Zakrywam twarz i zaczynam płakać. – Chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło, tyle że on nie zostawi mnie w spokoju.

Cole milczy.

Wycieram policzki i próbuję się opanować.

– Prawie go zabiłem. Chciałem to zrobić – wyznaje.

Opuszczam rękę z rezygnacją.

– Ja też.

– Dzięki, że mnie powstrzymałaś. – Podnosi wzrok i wpatruje się we mnie, po czym wstaje. – Nikt inny nie zdołałby tego zrobić.

Wzdycham wyczerpana.

– Chodź.

Prowadzi mnie do łóżka, po czym kładzie się i odchyła kołdrę, żebym mogła pod nią wejść. Obejmuje ramieniem mój brzuch i przyciąga do siebie. Jego klatka piersiowa opada, gdy powoli wypuszcza powietrze. Wiem, że martwi się tym, czego byłam przed chwilą świadkiem, więc biorę jego rękę z mojego brzucha i muskam ustami jego poobijane kłykcie. Cole pochyla się i całuje mnie w szyję.

– Kto ci powiedział o Blackstone? – pyta.

– Dell.

Bąka coś pod nosem, po czym wyłącza światło.

– Dziękuję, że mnie chronisz – mówię w ciemności.

– Zawsze tak będzie.

Jego słowa sprawiają, że serce zaczyna mi bić mocniej. Zakochuję się w tym mężczyźnie i to w błyskawicznym tempie. I jest to więcej niż przerażające.

*

Budzę się niczym w stalowej klatce – przez całą noc nie poruszyliśmy się ani o milimetr. Kręcę się, próbując się wyswobodzić z objęć Cole’a, a kiedy w końcu jego uścisk rozluźnia się, wstaję z łóżka i idę do łazienki.

– Ożeż ty...! – wykrzykuję z uśmiechem, kiedy wchodzę do chyba największej łazienki na świecie.

W całym pomieszczeniu dominuje odcień głębokiej czerwieni i szarości, aż po kafelki w ogromnym prysznicu, który pomieściłby cztery osoby naraz. Ma osiem dysz i trzy głowice prysznicowe. Duża owalna wanna znajduje się w rogu przy oknie z widokiem na góry. Jest zachwycający. W końcu przestaję się gapić, korzystam z toalety, a następnie myję zęby ukradzioną Cole’owi szczoteczką.

– Fuj!

Krzywię się na widok zaschniętej krwi na moich spodniach i rąbku koszuli. Prawdopodobnie należy do Cole’a, ale myśl, że równie dobrze może to być krew Yorka, sprawia, że zdieram z siebie ciuchy i wrzucam je do kosza. W ścianie dostrzegam podwójne drzwi szafy. Zdecydowanie potrzebuję czystego ubrania.

W środku ciągną się rzędy T-shirtów, gładkich koszul, grubych swetrów z dzianiny oraz spodni. Najwyraźniej to jego odzież militarna. Wszystko jest tak idealnie ułożone, że aż boję się czegokolwiek dotknąć. Zdaję sobie sprawę, że zbyt długo tak sterczę, więc sięgam po najbliższą koszulkę i wciągam ją na siebie. Jest ciemnozielona i ma napis ARMY z przodu oraz LOGAN z tyłu. Jest ogromna, sięga mi do kolan. Z jednej strony robię węzeł i wsuwam go pod spód, dzięki czemu nie wyglądam w niej jak ubrana w namiot.

Wracam do pokoju i widzę, że Cole już nie śpi. Siedzi oparty o wezglowie łóżka, czytając coś w telefonie. Wygląda seksownie z rozczochranymi włosami i kołdrą zakrywającą jedną nogę. Zerka na mnie, na chwilę opuszcza wzrok, po czym ponownie na mnie patrzy. Na jego ustach pojawia się leniwy uśmiech.

– Dzień dobry – mówi zachrypniętym głosem.

– Trochę mi to zajęło, ale skrzyłam w złą stronę – żartuję.

Śmieje się, prześlizgując po mnie wzrokiem.

– Przepraszam. – Patrzę w dół na jego koszulkę. – Na moich ubraniach była krew.

– Nie ma za co. Nigdy nie sądziłem, że koszulka może wyglądać na kimś tak seksownie.

Uśmiecham się, nie bardzo wiedząc, co mam teraz zrobić. Minionej nocy dużo się działo, towarzyszyło nam mnóstwo emocji.

– Chodź do mnie, skarbie. – Wyciąga rękę. Przyciąga mnie do siebie i nakierowuje mnie tak, że siadam na nim okrakiem. Przygląda się mojej twarzy, przeczesując palcami moje włosy. – O czym myślisz?

– Szczerze?

– Oczywiście.

– Denerwuję się, że to, co się wczoraj stało, może się na nas jakoś odbić.

– Jak to?

– Straciłeś jednego ze swoich ludzi, który był z tobą od... no właśnie, jak długo? Stworzyliście tutaj coś wspaniałego. Nie chcę, żeby przeze mnie stało się coś złego. – Miętolę rąbek koszulki. – Błagałam Marka, żeby skasował to nagranie. – Czuję, jak się wzdryga. – Powiedział mi, że nie może, bo straciłby pracę.

– Mądry gość – komentuje pod nosem.

– Widziałam, co malowało się na jego twarzy, kiedy to oglądał. – Podnoszę wzrok. – Nie chciałam widzieć tego samego na twojej.

W zamyśleniu okręca wokół palca kosmyk moich włosów.

– Będę z tobą szczerą. Przez to nagranie odjechałem, trafiłem w bardzo ponure miejsce, w którym nigdy wcześniej nie byłem. Mark z Yorkiem weszli do pokoju zaraz po tym, jak skończyłem oglądać to nagranie. Nie pamiętam nawet, kiedy moje ręce zacisnęły się na jego szyi ani jak przywaliłem go do ściany. – Ciężko przełykam ślinę na samo wspomnienie. – Moim zdaniem York miał gdzieś konsekwencje tego, co chciał zrobić. Niektórym z nas to się zdarza. W naszej branży widzimy różne rzeczy. Jednych to wzmacnia, inni radzą sobie z tym na swój sposób. Tyle że dało się zauważyć niepokojące znaki: te wszystkie jego odzywki pod twoim adresem, brak szacunku dla rangi. Przepraszam, że dotarło to do mnie dopiero wtedy, kiedy zrobiło się za późno.

– Naprawdę, nic mi nie jest.

– Teraz, ale wcześniej tak nie było, Savi. Grożono ci w miejscu, które powinno być bezpieczne. Zaufałaś mu, a on chciał cię skrzywdzić. – Zamyka oczy, zmagając się z nasuwającymi się na język słowami. – Chryste, on miał zamiar cię...

– Proszę... – Kładę ręce na jego nagim, twardym jak beton brzuchu. – Nie chcę już o tym mówić. Poza tym, że jestem trochę obolała i przestraszona, nic mi nie jest, a jego już nie ma. – Pochyliam się, pragnąc być bliżej niego. Całuję jego klatkę piersiową. – Tu czuję się bezpiecznie, twoich rąk pragnę na sobie, twoich ust chcę smakować...

Moje próby odwrócenia jego uwagi, przyprowadzają go o dreszcze.

– Savannah – wysapuje.

– Chciał mnie skrzywdzić, ale mnie uratowałeś.

Chwyta mnie za biodra, przewraca na plecy i wpija się w moje usta. Jego palce wędrują po moich udach i zataczają kręgi wokół pośladków.

Podciąga moje biodra i przyciska do siebie.

– Czujesz, jak na mnie działasz?

Czuję. Jego członek mocno się we mnie wbija.

– Mogę coś na to zaradzić.

Podnoszę się, zdejmuję koszulkę i odpinam stanik, a potem odrzucam obie rzeczy na bok. *Jej... cóż za odwaga i to z samego rana.* Potrzebuję coś poczuć, coś, co odsunie strach, który ciąży mi w głowie.

– Skarbie – jęczy, rozkoszując się widokiem.

Sunie dłońmi po talii, potem brzuchu i wreszcie piersiach. Przygryzam wargę, żeby zdusić krzyk. Minęło zbyt dużo czasu, odkąd ktoś mnie pieścił.

– Jesteś zajebiście piękna, Savannah. – Jego język zostawia gorące ślady na moim ciele. Wsuwam palce w jego włosy i przyciągam do siebie, przez co całuje mnie mocniej. – Mmm, smakujesz tak słodko. – Wsuwa dłoń w moje wilgotne majtki i przesuwając palcem po moim wrażliwym miejscu.

Wyginam plecy w łuk, błagając o więcej.

Cole zamyka oczy.

– Uwielbiam, jak reaguje twoje ciało na mój dotyk.

Kiedy jego palec rozkosznie zanurza się we mnie, rozlega się pukanie do drzwi. Oboje aż podskakujemy.

– Nie teraz – krzyczy między pocałunkami.

– Logan, właśnie przyjechali twoi rodzice, poza tym Dan cię szuka – informuje Paul, natychmiast psując całą zabawę.

Cole zaciska powieki, przeklinając.

– Okej, w porządku, dzięki.

Siadam i go odpycham. Muszę iść do siebie i wziąć zimny prysznic. Sięgam po koszulkę z napisem ARMY i ubieram się szybko.

– Zupełnie zapomniałem, że mają przyjechać.

Wzdycha, stojąc z rękami na biodrach. Wspinam się na palce i całuję go figlarnie.
– Ciąg dalszy nastąpi – droczę się, klepiąc go w tyłek i uśmiechając się szeroko.
Oplata moją talię i przyciąga mnie z powrotem, a następnie odwraca twarzą do siebie.
– Na pewno nic ci nie jest?
Przesuwam dłońmi po jego ramionach.
– Na pewno.
Pochyla się i całuje mnie namiętnie.
*

Skubię czekoladową babeczkę i wkładam kawałek do ust, słuchając Sue – matki Cole’a – która opowiada o swoich bożonarodzeniowych planach.

– Savannah, powinnaś zobaczyć, jak wygląda nasze miasto na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Wszyscy dekorują swoje lokale i co wieczór przez pięć dni odbywa się w którymś impreza świąteczna – wyjaśnia rozpromieniona Sue.

– To naprawdę nie byle co, jeśli twój lokal zostanie wybrany na organizatora jednej z imprez – dodaje Abigail. – Oczywiście wybrano Zacka. Jak co roku.

W drzwiach prowadzących na patio pojawia się Mark.

– Savi, czy mogłabyś pójść po Logana? Sam bym to zrobił, ale... – Wskazuje na swoje przemoczone buty.

No tak, cały ranek padało.

– Oczywiście.

Wstaję od stołu, żeby poszukać Cole’a.

– Mark, nie włącz mi tu. Właśnie umyłam podłogi – ostrzega Abigail, gdy ten, śmiejąc się, udaje, że wsuwa do środka stopę.

Idę korytarzem w stronę biura. Kiedy się zbliżam, słyszę głosy.

– Gdzie on teraz jest? – krzyczy Daniel.

Zastygam przed drzwiami.

– Na dole – odpowiada Cole.

York nie wyjechał! Na dole to znaczy gdzie?

– Do nikogo się nie odzywa. Powiedział, że tylko z nią będzie gadał.

Czuję jak skręca mi się żołądek.

– Nie ma mowy. Przekroczył granicę, z której nie ma już odwrotu – przerywa mu Daniel. – Savannah wie cokolwiek o swoim ojcu?

Podchodzę bliżej drzwi, mając gdzieś, że podsłuchuję.

– Nie. I nie ma powodu, aby jej cokolwiek mówić, dopóki nie będziemy absolutnie pewni, że mamy rację.

Czuję, jak jeżą mi się włosy na karku.

Daniel odchrząkuje.

– Cole, nie jest dobrze. Nie tylko naraził na szwank reputację tego miejsca, ale zna też szczegóły jej sprawy. Z łatwością mógłby nastąpić przeciek...

O podłogę szura krzesło, więc nie słyszę, co dalej mówi Daniel. Cholera!

– ... plus szantaż, a już nie daj Boże, żeby Amerykanin wiedział, gdzie się znajduje. Porwą ją tak szybko, że tym razem nie będziemy mieli pieprzonej szansy na jej odzyskanie. I zważywszy, na co go stać, odeśle ją z powrotem w kawałkach, kończy na końcu, przekazując to do wiadomości lokalnej stacji informacyjnej, tak jak było z tą ostatnią.

Ściany zaczynają się przesuwać, kiedy przetwarzam usłyszane słowa. Nagle otwierają się drzwi i wpatruje się we mnie przerażony Daniel.

– Savannah!

Za nim pojawia się Cole.

– Mark – mam wrażenie, jakbym doświadczała pozacielesnego stanu – szuka Cole’a. – Mój głos to zaledwie szept.

Odwracam się na pięcie i idę korytarzem, każdy krok wydaje się coraz cięższy. W głowie tłuką mi się słowa Daniela „w kawałkach, kończy na po kończy”. Było coś jeszcze, coś o przecieku. O co w tym chodzi?

Docieram do jadalni i opadam na krzesło przy stole.

– Kochana, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. – Sue wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni. – Jesteś zimna jak lód.

– Savannah. – Odwracam się na dźwięk głosu Cole’a. Jest wyraźnie poruszony. – Możemy pogadać?

Mark zagląda przez drzwi.

– Hej, Logan, potrzebuję...

– Savi, proszę – przerywa mu Cole.

Wszyscy się we mnie wpatrują. Potrzebuję chwili na przetrwanie tego, co właśnie usłyszałam. Czuję, że zamykam się w sobie, wokół mnie na powrót wznoszą się ściany.

– Mark cię teraz potrzebuje.

W tym momencie nie jestem w stanie spojrzeć na niego... ani na kogokolwiek innego.

– A jeśli to ja cię potrzebuję? – odpowiada Cole.

Jego matka spogląda raz na mnie, raz na niego. Co on wyrabia? Ryzykuje swoją karierę i reputację?

– Synu, zajmij się Markiem. – Daniel kładzie dłoń na ramieniu Cole’a. – Daj jej chwilę.

Cole nie rusza się od razu, dopiero ojciec popycha go w stronę drzwi. Kiedy tylko za nimi znika, Sue patrzy na mnie i *pytająco* podnosi brew, na co ja wzruszam ramionami.

– Savannah – zaczyna Daniel, ale nie kończy, bo wstaje.

Muszę się przejść.

– Przepraszam.

Ruszam w stronę drzwi, po drodze biorę kurtkę i wychodzę na zewnątrz w strugi zacinającego deszczu.

Nie wiem, dokąd zmierzam, ale las wygląda zachęcająco. Idę przez chwilę, lawirując między drzewami. Odgłos deszczu kapiącego na liście koi ból głowy. Męczy mnie nieustająca walka ze śliskim gruntem – równiny nie są stworzone do wędrówek w deszczu. Kiedy dochodzę na małą polanę nad strumykiem, ulewa powoli ustaje. Wsuwam pod pupę kurtkę przeciwdeszczową i siadam pod drzewem. W końcu pozwalam, by mój mózg przeanalizował to, co usłyszałam, i już dłużej nie powstrzymuję się od płaczu.

*

Cole

Cole siedzi przy biurku i ogląda przekaz na żywo z celi Yorka. Siedzi na łóżku, bębniąc palcami po udach. Co się z nim stało? Każdy wie, że zachowuje się jak dupek, ale nigdy wcześniej nikogo nie skrzywdził. Kurwa, co by było, gdyby rzeczywiście zgwałcił Savannah? Taka myśl jest paraliżująca. Cole pociera twarz, jest wyczerpany.

– Zakochałeś się w niej, prawda? – pyta jego ojciec, stojąc w drzwiach.

Cole opuszcza dłonie.

– Nie.

Czyżby? Bardzo mu na niej zależy, ale czy się w niej zakochał?

Ojciec uśmiecha się i zamyka za sobą drzwi.

– Synu, miałem ten sam wyraz twarzy, kiedy zakochałem się w twojej matce.

– Znam Savi dopiero od niedawna, od jakiegoś miesiąca.

– Czasami wystarczy jedno spojrzenie, aby się zakochać.

– Ta, no cóż, nie powinienem nawet myśleć o niej w ten sposób.

Daniel wzdycha, przechodzi przez pokój i siada na krześle.

– Normalnie powiedziałbym, że się z tobą zgadzam, ale wiem, że nigdy nie przekroczyłbyś wyznaczonej granicy dla pierwszej lepszej. Zauważyłem, jak ona na ciebie patrzy. I to nie jest jednostronne uczucie. Chryste, nie widziałeś, jaka była odprężona, kiedy podczas wczorajszej kolacji objąłęś ramieniem jej krzesło.

Cole pochyła się do przodu i kładzie dłonie na biurku.

– Co mam robić? Uwielbiam z nią być. Jej zapach utrzymuje się na moich ubraniach i doprowadza mnie do szaleństwa przez cały dzień. Uwielbiam to, kim się staję, kiedy z nią jestem. Zeszłego wieczoru tylko ona zdołała do mnie dotrzeć. Gdyby jej tam nie było, pewnie zabiłbym Yorka. Jednym spojrzeniem potrafi mnie rzucić na kolana, a jej usta... – Milknie, gdy zauważa minę ojca.

– Witaj wśród zakochanych, synu – naigrywa się. – Życzę ci kurewsko dużo szczęścia.

Cole kręci głową. *Szlag. Mam przesrane.*

– Nawet jeśli to rzeczywiście miłość, to jak mam z nią być, mieszkając w tym domu? Moi ludzie stracą do mnie szacunek, jeśli zwiążę się z ofiarą. To znaczy z naszym „gościem”. To poważne pogwałcenie naszych zasad.

– Tak, ale jeśli naprawdę ją kochasz, musisz zaryzykować. Nie pozwól, aby praca zdominowała twoje życie. To jednak decyzja, którą tylko ty możesz podjąć. Jeśli chodzi o chłopaków, to zobaczą, że nie chodzi tylko o szybki numer, co z resztą nigdy nie było w twoim stylu, bo przecież wychowaliśmy cię na kogoś lepszego. – Śmieje się. – Oboje będziecie musieli się zmierzyć z ogromnym wyzwaniem, kiedy Savannah dowie się prawdy. To może zmienić wszystko. A jeśli będzie chciała wrócić do Nowego Jorku? To... – Wskazuje gestem na otoczenie. – To nie jest dla wszystkich.

– Wiem – odpowiada, ciskając długopis na biurko. – Po raz pierwszy zupełnie nie wiem, co powinienem zrobić.

– Nie spiesz się, zastanów się na spokojnie. O czymś takim nie decyduje się na chybcika. Masz teraz masę spraw do załatwienia, a ona nigdzie się nie wybiera.

Cole kiwa głową, podnosi krótkofalówkę i zmienia kanał na siódmy.

– Masz podgląd?

– Jest trzy koma osiem kilometra na zachód od domu.

– Mała z niej wędrowniczka – nabija się Daniel.

– Co robi? – pyta Cole, żałując, że jej nie widzi.

– Siedzi nad strumieniem. Od jakichś trzydziestu minut.

– W porządku, zostań z nią, ale zachowaj dystans.

– Przyjąłem.

Daniel wstaje i wkłada ręce do kieszeni.

– Chodź, sprawdźmy, gdzie jest twoja matka. Musi zobaczyć, że jej syn panuje nad sytuacją.

Cole wychodzi za nim z biura.

– Jutro przyjedzie Frank i paru innych, aby złożyć zeznania. Twierdzą, że York jest zamieszany w próbę otrucia, ale nie mają jeszcze wystarczających dowodów, aby wnieść oskarżenie.

– O której?

– O trzynastej.

– Może uda nam się namówić twoją matkę, żeby zabrała wtedy nasze panie do miasta i w ten sposób pomogła Savannah przejść przez to wszystko.

– Ta, pewnie.

Cole wzdryga się na myśl, że Savannah znowu opuści posiadłość, ale dobrze jej zrobi czas spędzony w babskim gronie.

*

Savannah

Ból rozsadza mi głowę, więc zamykam oczy.

Dlaczego szantażowali mojego ojca? Może był zamieszany w handel marihuaną? Jeśli tak, no to co? Kto nie jest? Chryste, większość ludzi ze świata polityki ma jakieś powiązania z półświatkiem.

Nie rozgryzłam jeszcze historii z Amerykaninem.

No i jest jeszcze York. Trzymają go gdzieś na dole, ale gdzie? Widziałam już wszystkie pomieszczenia na parterze. Naprawdę by mnie sprzedał? Chyba aż tak mnie nie nienawidzi, co? Może zrobiłby to dla pieniędzy? Tak czy inaczej, chciałabym z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co się dzieje w jego szalonym umyśle. Czy to on próbował mnie otruć? W końcu nie wiem, czy dowiedzieli się dlaczego, jak i kto to zrobił. Czuję, że mój organizm przełącza się w tryb spoczynku. Chciałabym móc wyłączyć myślenie, ale nie potrafię. Tak właśnie ze mną jest, gdy odczuwam emocjonalne przeciążenie. Walczę z tym, choć to bez sensu. W końcu czuję, że zasypiam.

Budzi mnie wzdrygnięcie mojego ciała. Zmarzłam na kość. Płatki śniegu kłują moje policzki jak małe igły, jedna po drugiej, wyrywając mnie z otępienia. Kiedy wyostrza mi się obraz, widzę, że zrobiło się późno.

Nie mam pojęcia, jak długo spałam. Mimo że tyle czasu zastanawiałam się nad tym wszystkim, wciąż jestem dezorientowana. Teraz rozumiem, że w tym, co mi się przydarzyło, chodzi o coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Problem polega na tym, że nie jestem pewna, czy chcę poznać wszystkie szczegóły. Prawda może odkryć przede mną jeszcze więcej kłamstw i boję się, że nie będę w stanie tego udźwignąć.

Z lewej strony słyszę szelest w krzakach. Spinam się w pierwszej chwili, ale zaraz się uspokajam.

– Kogo dzisiaj wysłał, żeby mnie niańczył? – wołam, opierając głowę o drzewo. Dźwięk łamanych gałęzi i ciężkie kroki stają się głośniejsze, aż w końcu staje przede mną. Przez płatki padającego śniegu widzę wysoką, ciemną postać. – A, nie, pewnie przyszedłeś wszczepić mi śledzącego chipa, co? – Na wpół żartuję, odrobinę odurzona emocjami.

– Chodź, Savi, zaczyna coraz mocniej sypać – prosi Keith, wyciągając do mnie rękę.

– Nie chcę jeszcze wracać.

– Zamarzniesz.

– Nie jest mi zimno.

Unosi brew, najwyraźniej nie wierząc w moje zapewnienia. Następnie wyciąga krótkofalówkę.

– Beta Seven do Logana – mówi i czeka z zadowoloną miną.

Przewracam oczami.

– Co tam, Keith? – dobiega mnie głos Cole'a.

Cały czas patrzę Keithowi w oczy. Nie boję się go.

– Panna Miller odmawia powrotu do domu, mimo że jest przemoczona i zaczyna sypać. Proszę o pozwolenie na użycie kodu czterdzieści pięć.

Czterdzieści pięć? A co to niby, kurde, ma być?

Przez chwilę panuje cisza, po czym krótkofalówka znowu trzeszczy.

– Daj mi ją.

Keith podaje mi krótkofalówkę. Wzdycham, wyrywając mu ją z ręki.

– Cześć, Cole – witam go opanowanym głosem.

– Savi, proszę wróć z Keithem, zanim zamarzniesz na śmierć.

– Podoba mi się to miejsce. Napawałam się panującą tu ciszą, zanim poszczułeś mnie swoim stróżującym psem – droczę się i patrzę na Keitha, szczerząc się do niego. – Bez urazy.

Keith próbuje się nie śmiać.

– Savannah, widzisz lewe ramię Keitha? Jeśli nie podniesiesz tyłka z ziemi i nie zaczniesz iść w kierunku domu, zostaniesz przerzucona przez to ramię i przyniesiona tutaj.

Opada mi szczeka, ale szybko zaczyna we mnie buzować z oburzenia. Oddaję krótkofalówkę

Keithowi, owijam ramiona wokół kolan i nie ruszam się z miejsca. Tak, czasami potrafię być upartym osłem.

– No i? – syczy Cole niecierpliwie.

– Proszę o pozwolenie na użycie kodu czterdzieści pięć – odzywa się Keith z uśmiechem.

Widać, że to uwielbia.

– Udzielam.

Wszystko się rozmywa, gdy Keith chwyta mnie, przerzuca przez ramię i zaczyna maszerować przez las. Próbuję protestować, uderzając go w plecy i wiercąc się, ale moje działania sprawiają, że jego stalowy uścisk jeszcze bardziej się zaciska. Po kilku minutach dociera do mnie, jak musimy wyglądać. Zaczynam pękać. Zanim się orientuję, parskam śmiechem. Śmieję się tak bardzo, że aż nie mogę złapać tchu. Kiedy docieramy na polanę, stawia mnie na ziemię. Potykam się i turlam po ziemi. Muszę trzymać się za brzuch, tak bardzo mnie boli od śmiechu. Keith dołącza do mnie i też o mało nie pęka ze śmiechu, kiedy pomaga mi wstać.

– Aż tak cię to rozbawiło?

– Tak, dzięki.

Przewraca oczami i zaczynamy kierować się w stronę domu.

– Wyprę się, jeśli to komukolwiek powtórzysz, ale naprawdę podoba mi się, jak odnosisz się do Cole’a. Nikt inny nie odważyłby się rozmawiać z nim w taki sposób.

– Już to słyszałam. Ludzie mówią, że są zaskoczeni, że się go nie boję. Powiedz mi, czego nie dostrzegam?

– Cole’a pochłania wyłącznie praca. Właśnie dlatego jest tak dobry w tym, co robi. Tego gościa i jego rodzinę wszyscy darzą wielkim szacunkiem. Jest wspaniałym przyjacielem. Bez wahania stanie na linii strzału, żeby cię ochronić. Ale widziałem, co się dzieje, jak ktoś mu stanie na drodze, i to nie jest ładny widok.

Spoglądam na niego, nieco zdenerwowana tym, co ma zamiar powiedzieć.

– To dlatego nie rozdzieliłeś go wczoraj z Yorkiem?

– Tak. York wiedział, jakie są konsekwencje zdrady Cole’a i tego domu. Nie miał szans. Gdyby cię tam wtedy nie było i nie powstrzymałabyś Cole’a, nie mam wątpliwości, że York opuściłby ten dom w czarnym worku.

Kręcę głową na tę myśl. Wiem, że ma rację.

Wzdycha.

– Czyli co, usłyszałaś, jak Dan rozmawia z Cole’em?

Na mojej szyi zaczyna się zaciskać supeł.

– Jest wiele rzeczy, których nie wiem o mojej... no... sprawie. Ale coś mi się wydaje, że nie byłabym zbyt zadowolona z tego, czego bym się dowiedziała, prawda?

Zaciska usta.

– Myślę, że nie – przyznaje po chwili. – Naprawdę przykro mi z powodu tego, co zrobił York. Szkoda, że mi nie powiedziałaś, ale Mark wyjaśnił mi dlaczego. To miłe, że myślałaś o innych.

Przez chwilę idziemy w ciszy. Słyszać tylko, jak pod naszymi butami skrzypi świeży śnieg.

– Keith. – Spogląda na mnie. – A co, jeśli nie będę chciała wrócić do Nowego Jorku, jak już to wszystko się skończy?

Przyciąga mnie do siebie.

– Wtedy zrobimy z ciebie naszego szefa kuchni – odpowiada z uśmiechem. – *À propos*, przywieźli Abigail świeżą dostawę jabłek. Myślisz, że dałabyś radę upiec znowu ten swój pyszny jabłecznik? W końcu musiałem opiekować się tobą przez cały dzień.

Żartobliwie dżgam go łokciem.

– Jasne.

Rozdział trzynasty

Cole

Cole rytmicznie stuka nogą w podłogę, czekając „cierpliwie”, aż Keith wróci z Savannah. Śnieg sypie coraz mocniej, pozostawiając na ziemi grubą warstwę. *Chryste! Dlaczego to tak cholernie długo trwa?*

– Widzę ich – woła Abigail, patrząc przez okno.

Cole biegnie do drzwi, po czym wychodzi na werandę. Jego rodzice idą za nim, Abigail i June zostają przy oknie.

Savannah obejmuje się ramionami, na dłoniach ma rękawiczki Keitha. Wygląda na zmarzniętą. Cole podchodzi do niej i widzi, jak jej sine, drżące usta mamroczą jakieś niezrozumiałe słowa.

– Musiałeś ją nieść? – pyta, spoglądając na Keitha.

– Tak – odpowiada ze śmiechem. – Śmiała się przez cały czas, więc skutek był odwrotny do zamierzonego.

– No i co, w końcu zmarł ci tyłek? – dopytuje się Cole. – Idź pod prysznic, zanim zamarzniesz na śmierć.

Buzuje w nim tyle emocji. Zdaje sobie sprawę, że wygląda, jakby był zły.

Savannah – bez wątpienia zdezorientowana jego tonem – kręci głową, po czym się oddala.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, Savi... – zaczyna mówić Keith, ale nim zdąży dokończyć, Cole zostaje uderzony śnieżką w plecy.

Cole odwraca się i widzi, że Savannah kuca w śniegu i szykuje kolejną. Dziewczyna wstaje, rzuca i trafia go w ramię, drobiny śniegu obryzgują mu twarz. Jego rodzice zakrywają usta dłońmi, czekając na jego reakcję.

– Nie bądź taki zrzęda, panie Logan – krzyczy przez wirujące płatki śniegu. – Widzisz lewe ramię Keitha? Jeśli się nie rozchmurzysz, zostaniesz przerzucony przez to ramię i przeniesiony nad jezioro, aby odświeżyć swój nieco zatęchły nastrój. – Przedrzeźnia go, po czym krzyżuje ramiona na piersi.

Keith wybucha śmiechem, podczas gdy Savannah odwraca się na pięcie i rusza w kierunku schodów, mówiąc coś do rodziców Cole’a, na co ci też zaczynają się śmiać.

– O rany, po prostu ją ubóstwiam – deklaruje jego matka.

Ta, Cole właśnie widzi.

– W porządku, Keith – mówi, walcząc z pchającym się na usta uśmiechem. *Chryste, nie ma drugiej takiej jak ona.* Nie spodziewał się takiej zadziorności. – Dzięki, że ją przyprowadziłeś. Możesz iść do środka.

Keith wykrzywia usta, starając się nie roześmiać.

– Wiem, że mówiąc to, przekraczam swoje kompetencje, ale, mój przyjacielu, ta dziewczyna jest dla ciebie po prostu idealna. – Po tych słowach klepie Cole’a w ramię i wbiega do środka.

*

Savannah

Siadam na kanapie i zakopuję się pod kocem, którym owinęła mnie Abigail. Podaje mi kubek kawy. Daniel pogrążył się w myślach, a Sue siedzi naprzeciwko i uśmiecha się do mnie.

– Przepraszam. – Sue chichocze. – Po prostu ciągle mam przed oczami twarz Cole’a po tym, jak dostał od ciebie śnieżką.

– To było całkiem zabawne – wtrąca się June, podsuwając mi pod nos talerz pełen ciastek brownie. – Spróbuj.

Biorę jedno i zatapiam w nim zęby.

– Wow. – Rozkoszuję się smakiem na języku. – June, są pyszne.

– Savannah, spotykałaś się z kimś wcześniej? – wypala nagle Sue.

– Nie.

– Dziwię się, że taka piękna kobieta jak ty nie jest mężatką z dzieckiem w drodze.

– Powiedzmy, że w moim starym życiu nie spotkałam Pana Właściwego.

Zerkam na June, a potem wpatruję się w kawałek brownie, który trzymam w ręce. Czekolada powoli zaczyna się rozpuszczać.

– Być może znajdziesz go w tym życiu – zauważa Sue z uśmiechem.

– Być może co? – pyta Cole, siadając obok mnie.

Obejmuje ramieniem oparcie kanapy za moimi plecami. Sue znowu promienieje.

– Takie tam babskie gadanie, skarbie – zbywa go matka.

Cole patrzy na swojego ojca.

– Tato, o co chodzi?

– Ta – wzdycha Daniel.

Zerkam na Cole'a.

– Nadal będziemy wdrażać kod czterdzieści pięć? A może twój podły nastrój już minął? – Uśmiecham się. Cole kręci głową, chwyta moją dłoń z ciastkiem i zabiera je pomiędzy moich palców.

– Hej! – krzyczę, śmiejąc się.

– Mmm, ciepłe ciasteczko – mruży, przewracając oczami.

– Może właśnie go znalazła – szepcze Abigail do Sue, ale i tak to słyszę.

– O, już stąd da się usłyszeć pękające serce Christiny – chichocze June.

– Ciociu June! – Cole nagle robi poważną minę.

– Kim jest Christina? – pytam, zastanawiając się, dlaczego o niej wspomniała.

– Jest zakochana w Cole'u, odkąd sprowadziła się do naszego miasteczka cztery lata temu. – Sue wzrusza ramionami. – Jest trochę stuknięta.

– Drogie panie, proszę nie zaczynajcie znowu – ostrzega Cole.

– Dlaczego miałyby pęknąć jej serce? – Już w momencie, kiedy wypowiadam te słowa, czuję, że się zbłądziłam.

– Bo nie jestem nią zainteresowany – odpowiada szybko Cole. – Jedna randka, a ona praktycznie snuła już ślubne plany i nadawała imiona naszym dzieciom.

– Przypomnij mi jeszcze raz, jakie imię chciała dać chłopcu? – zwraca się Abigail do siostry wielce rozbawiona.

– Fritter. – June uśmiecha się, zakrywając usta dłonią.

– Jak *apple fritter*⁵? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Dokładnie tak! – Sue i Abigail odpowiadają jednocześnie.

Spoglądam na Cole'a.

– Fritter Logan. Brzmi jak postać z *Władcy Pierścieni*!

Daniel wybucha śmiechem.

– O mój Boże, rzeczywiście!

– Za każdym razem to samo – wzdycha Cole, odchyłając głowę do tyłu i kładąc ją na oparciu kanapy.

– Ojoj. – Klepię go w udo, a wtedy jego dłoń ląduje na mojej i tak już zostaje.

– Oczywiście, gdybym wiedział, że taka z niej wariatka, w ogóle bym się z nią nie umówił. Ostatni raz dałem Markowi namówić się na randkę w ciemno.

– Przestań, stary, jest seksowna – upiera się Mark, siadając obok Abigail. Próbuję zdjąć rękę z nogi Cole'a, ale jego uścisk się zaciesnia. Nie patrzy na mnie. Zastanawiam się, o czym myśli. – Nie wiedziałem, że taka z niej pojebana świruska!

– Język. – Abigail żartobliwie trzepie go w ramię.

– Ja tam widziałem tylko zgrabny tyłeczek i ładną buźkę – stwierdza Mark, zaliczając tym samym kolejne dwa pacnięcia.

– Hej – żali się – zawsze mi powtarzasz, że mam być szczery, więc jestem. I co z tego mam? – Całuje Abigail w policzek. Widać, że uwielbia swoją przybraną matkę.

– Wczoraj wpadłem na Christinę – odzywa się Dell, dołączając do naszej rozmowy. – Cole, chyba zostawiłeś u niej płaszcz w czwartek.

W czwartek? Czy to nie wtedy wrócili z wyjazdu? Czuję dziwne ukłucie zazdrości, a co gorsza, Cole się wzdryga. Wyciągam rękę na tyle szybko, że tym razem nie może mnie powstrzymać.

– Dlaczego u niej jest tak cholernie gorąco? Przysięgam, że robi to tylko po to, żeby nosić te swoje kuse fatałaszkę. Nie zrozumcie mnie źle, nie narzekam...

– Dell – Sue wyciąga przed siebie kieliszek, chcąc przerwać ten potok słów – mogę prosić o dolewkę?

– Ależ oczywiście. – Bierze od niej szkło. – Ktoś jeszcze?

– Szkocka, czysta – wystrzela Cole.

Uśmiech Marka staje się nieco szerszy, przez co zastanawiam się, o co im chodzi.

– Savannah – zaczyna radośnie Sue – co byś powiedziała na babski wypad do SPA? Może jutro?

– Hmm... – Nie wiem, co powiedzieć. Mam mieszane uczucia jeśli chodzi o opuszczanie posiadłości, ale nie każdego dnia mam szansę na takie dogodzenie sobie. – Brzmi nieźle, dziękuję.

– Keith i Paul pojedą z wami – informuje matkę Cole.

– Oczywiście, synu. – Kiwa głową, przyzwyczajona do tego, że Cole zawsze tak mówi. – Zaopiekujemy się Savannah.

Wzdycham, bo chciałabym, żeby w końcu przestano mnie traktować jak dziecko. Cole zaczyna wodzić palcami po mojej szyi. Jestem oszołomiona taką demonstracją uczuć. Spoglądam na Daniela, który tylko się uśmiecha, a następnie odwraca wzrok. *Może nie mają nic przeciwko?*

Zastanawiam się, co sobie powiedzieli. Szkoda, że nie jestem na przykład muchą – mogłabym usiąść na ścianie i posłuchać, o czym rozmawiają.

Dell podaje Cole'owi drinka, a następnie przysiada na podłokietniku kanapy obok mnie.

Mark spogląda na zegarek i klaszcze w dłoń.

– Chłopaki, zaczyna się za pięć minut!

– Kto gra? – pyta Sue.

– Kings i Blackhawks – rzucam bezwiednie. Mark i Cole spoglądają na mnie. – No co? To przez moich kuzynów. Jestem przez nich spaczona. – Wzruszam ramionami. – Zawsze wiem o najważniejszych wydarzeniach i kto z kim gra.

– Twoja ulubiona drużyna? – pyta Mark, uciszając wszystkich.

Pochyliła się do przodu, wygląda bardzo poważnie.

– Penguins – odpowiadam, jestem bardzo lojalna wobec mojej ulubionej drużyny.

Z ust Marka wydobywa się okrzyk. Podskakuje radośnie, podciąga mnie z kanapy, a potem obejmuje.

– Słuchajcie wszyscy! – woła, trzymając rękę na moich barkach. – Miller jest fanką Penguins!

Wszyscy zaczynają gwizdać i krzyżeć. Śmieję się, kręcąc głową. Muszę przyznać, że w pokoju pełnym ludzi, którzy naprawdę mnie lubią, czuję się cholernie dobrze. Zanim zdążę z powrotem usiąść, Dell łapie mnie za rękę.

– Myślę, że właśnie się w tobie zakochałem – deklaruje ze śmiertelną powagą. – Wyjdź za mnie!

– Cóż za propozycja... A niech tam, tak, mój najśłodszy, wyjdę za ciebie – żartuję.

– Ale pod jednym warunkiem. – Wskazuje na mnie palcem. – Pobierzemy się w koszulkach Penguins.

– Och, Dell – mówię z pięknym południowym akcentem, wachlując ręką twarz. – To wszystko brzmi tak ekstrawagancko.

– Wiem – zgadza się i puszcza do mnie oko.

Nie trzeba specjalnie przekonywać chłopaków, żebym mogła do nich dołączyć i obejrzeć z nimi mecz. Siedzimy w dziewiątkę w pokoju rozrywki i oglądamy grę na siedemdziesięciocalowym

telewizorze. Głos komentatora dosłownie ryczy – naliczyłam sześć kolumn głośników. Siedzę z tyłu w rogu z Cole'em, po całym dniu czuję się nieźle, popijając przygotowanego mi przez Della mocnego drinka o nazwie Opowieść diabła.

– Chcę, żebyś wiedziała – Cole ściska moją dłoń pod kocem – że poszedłem do sklepu Christiny po prostu odebrać paczkę. Było gorąco, a ona kazała mi czekać, więc zdjąłem kurtkę i zapomniałem o niej, nic więcej.

– Cole, i tak nie byliśmy jeszcze wtedy parą – szepczę, wypijając resztkę drinka.

– Myślałem, że byliśmy.

– Logan, telefon – przerywa nam stojący w progu John. – Linia trzecia.

– Cholera. – Cole pociera twarz. – Muszę odebrać. Zaraz wracam. – Klepie mnie po dłoni i wychodzi.

– Jeszcze jeden, Savi? Pomoże ci zasnąć – zachęca mnie Dell i znowu puszcza do mnie oczko.

Kiwam głową, perspektywa snu zdecydowanie przypada mi do gustu.

Pamiętam, że pod koniec trzeciej tercji było 2-0 dla Kingsów. Odwracam się do Marka, który próbuje mnie dobudzić. Ale nic z tego.

– Tu mi dobrze – mruczę.

– No dalej, chodź – mówi Mark, podnosząc mnie.

– Nie musisz mnie nieść – bełkoczę. – Mogę... myślę, że mogę iść... nie, nie mogę... wssssszystko jest rozmyte.

– Język ci się płacze. – Śmieje się. – Z tymi swoimi ciemnymi oczami wyglądasz jak sycząca kobra.

Jego słowa sprawiają, że przed oczami staje mi obraz z celi.

– Kobra, kobra – ostrożnie wymawiam to słowo. – Widziałam złotą kobrę.

– Wow, naprawdę mało ci trzeba, żeby się upić, co?

– Dwie kobry... Po tym, jak uderzył mnie w twarz.

Mark przystaje.

– Kto cię uderzył w twarz?

– Amerykanin. – Głowa opada mi na bok. Jestem taka zmęczona. – Teraz pamiętam. Widziałam go wcześniej. – Mark sadza mnie na dole schodów. Wyciąga komórkę i dzwoni do kogoś. Opieram się o ścianę, patrząc, jak schody zlewają się ze sobą, i wtedy wraca kolejne wspomnienie. – Ma pierścień, który...

Zaczynam przechylać się do przodu, ale Mark w porę chwyta mnie za ramiona.

– Co piła? – Głos Cole'a rozbrzmiewa przede mną.

– Wieść – odpowiadam rzeczowo. – Nie, czekaj, to było coś innego.

– Dwa razy Opowieść diabła. – Mark przesuwa się i w polu widzenia pojawia się Cole.

– I widziałam dwie kobry – przypominam Markowi.

– Tak, Savi. Dwie złote kobry, tak?

– Mmhmmmm – przytakuję. – Z czarnymi oczami.

– Gdzie to widziałaś? – dopytuje Cole.

– Zaraz po tym, jak uderzył mnie w twarz. Bardzo bolało.

– Amerykanin – dodaje Mark. – Powiedziała, że widziała go już wcześniej, a potem coś o pierścieniu.

– Tak, pierścień – mrużę oczy, próbując przypomnieć sobie, na którym palcu go miał. Cole bierze moje dłonie w swoje.

– Gdzie jeszcze go widziałaś, Savi? Amerykanina.

W głowie zaczynają mi się przewijać wspomnienia. Wszystko przesuwa się tak szybko.

– Skarbie, spójrz na mnie.

Staram się skoncentrować. Nie znoszę, gdy przychodzą te retrospekcje; wzbudzają we mnie tyle emocji.

– W porządku, jestem tutaj – zapewnia mnie Cole.

– Raz w restauracji z Lynn. Był przy barze i mnie obserwował – mówię cicho, próbując się

skupić. – I w markecie. – Przechylam głowę na bok, gdy przypominam sobie jeszcze coś. – Jego buty wydawały taki dziwny dźwięk, jakby ktoś stuknął paznokciami o kafelki. – Jeszcze bardziej ściszam głos. – Przyszedł do mojej celi pewnej nocy. – Przełykam ślinę, przypominając to sobie. – Stał nad łóżkiem i wpatrywał się we mnie. – Podnoszę rękę do ust. – Wyszeptał coś po hiszpańsku, pocałował dwa palce i przycisnął je do mojego czoła.

– Pamiętasz, co powiedział?

– Tak. Powiedział: *Pronto serás mía, mi amor.*

Oczy Cole'a się rozszerzają, na jego twarzy pojawia się strach.

– Jesteś pewna, że tak powiedział? Zastanów się, Savannah.

Kiwam głową kilka razy.

– Tak, chciałam nawet później sprawdzić, co to znaczy, ale zupełnie o tym zapomniałam. Aż do teraz. – Odgarniam włosy z twarzy. – Myślę, że jestem pijana. Czekać, czekać! No to, co to znaczy?

– Powiem ci rano.

Bierze mnie na ręce i wnosi po schodach. Wszystko wokół *wiruje* jak na *diabelskim młynie*.

– Nie musisz mnie nieść! – Słyszę, jak się śmieje. Otwieram oczy i, marszcząc czoło, skupiam wzrok na jego twarzy. Ma popołudniowy zarost, który wręcz błaga, by *przesunąć palcami wzdłuż linii jego szczęki*. – Jesteś bardzo przystojny, wiesz?

– A ty jesteś bardzo piękna.

– Jestem zaręczona – żartuję.

– Skarbie, jedynym facetem, który wsunie obrączkę na twój palec, będę ja.

Serce zamiera mi w piersi – czy on naprawdę to powiedział? Postanawiam się upewnić.

– Mmm, Savannah Logan, brzmi nieźle. Nawet mi się podoba.

– Mnie też. – mówi, a następnie odsuwa narzutę i sadza mnie na swoim łóżku.

Wygląda na to, że mi się nie zdawało i chyba rzeczywiście tak powiedział.

– Jesteś bardzo pewny siebie – informuję go z uśmiechem.

– Jestem pewny siebie, kiedy wiem, że mam rację.

– Czekać, właśnie wniosłeś mnie do swojego pokoju i to nie tylnymi drzwiami. – Rozglądam się.

– Ktoś nas zobaczy!

– Nie obchodzi mnie to. Podnieś rękę do góry.

Podnoszę i zaczynam przechylać się do przodu.

– Chyba jestem naprawdę pijana, co nie jest wcale dobre, bo pijane dziewczyny niezbyt dobrze się prezentują.

Zdejmuje mi bluzkę i zakłada mi jeden ze swoich T-shirtów.

– A mnie się to nawet trochę podoba.

Uśmiecham się w odpowiedzi. Cole odchyła mnie lekko do tyłu i zaczyna rozpinąć mi spodnie, na co rozciągam usta w jeszcze szerszym uśmiechu i unoszę biodra.

– Znam to spojrzenie. – Odwzajemnia uśmiech. – Uwierz mi, skarbie, najbardziej czego teraz pragnę to zatopić się głęboko w tobie. Ale nie chcę, aby urwał ci się film w trakcie naszego pierwszego razu.

– Podoba mi się, że jesteś takim dżentelmenem.

Ściąga mi spodnie i patrzy na moje majtki.

– O tak... po prostu jest świetnie – ironizuje. Potem zamyka oczy i zamyśla się przez chwilę. –

Dalej, włącz pod kołdrę – mówi i otula mnie szczelnie pościelą.

– A ty ciągle w ubraniu... – stwierdzam, ziewając.

– Tak – wzdycha. – Mam jeszcze coś do zrobienia.

Cały pokój wiruje. Patrzę, jak Cole wciska mi do ręki dwie pigułki.

– Weź to.

Pomaga mi się unieść i napić wody. Zbyt słaba, żeby zapytać, co mi dał, zamykam oczy. Czuję, że głaszcze mnie po głowie.

– Przyjdiesz do mnie później? – mamroczę, powoli zasypiając.

– Oczywiście.

*

Cole

Cole nalewa sobie czwartą filiżankę kawy. Pada z nóg. Zdrzemnął się ze dwie godziny na kanapie w biurze, przeglądając raporty w sprawie Yorka. Frank ma przyjechać za dwadzieścia minut, więc musi pozbierać się do kupy. Za oknem widzi chłopaków wbiegających pod górę w ramach porannego treningu. Żałuje, że nie może do nich dołączyć i wypocić trochę napięcia.

Biegając korytarzem, sprawdza, która godzina. Ma nadzieję, że zdąży złapać Savannah, zanim ta wyjdzie do SPA. Znajduje ją w holu – właśnie zakłada kurtkę, rozmawiając z jego matką.

– Hej, myślałam, że trenujesz z chłopakami. – Uśmiecha się do niego.

– Chciałbym – mamrocze pod nosem. – Mogę z tobą przez chwilę porozmawiać?

Savannah podąża za nim do pokoju.

– Coś nie tak? – Przesuwa dłonią po jego porannym zarostcie. – Przespałeś się chociaż trochę?

– Masz być dzisiaj ze mną w stałym kontakcie – odpowiada, ignorując jej pytanie. – Moja mama ma telefon, więc wyślij mi z jej komórki SMS-a, jak tylko dojedziecie na miejsce, okej?

– Dobrze – mówi. – Ale, wiesz co, Cole? Trochę mnie jednak przerażasz.

– Po prostu nie podoba mi się, że będziesz jechała przez te góry beze mnie. Nie podoba mi się, że będziesz daleko ode mnie. I tyle – wyznaje.

– Mnie też.

Wzdycha. Cieszy go, że Savannah czuje podobnie.

– Mimo wszystko chcę, żebyś się dobrze bawiła, ale nie pozwól im zbyt się wtrącać. Mama cię uwielbia i będzie chciała dowiedzieć się o tobie wszystkiego.

Savannah uśmiecha się, patrząc mu w oczy.

– Powinam już iść – oznajmia, obejmując ramionami jego szyję i całując go namiętnie.

Cole przyciska ją do siebie, nie mogąc się zmusić, by wypuścić ją z objęć. W końcu dziewczyna odsuwa się od niego.

– Postaraj się trochę odpocząć, skarbie.

Rozczula go, że troszczy się o niego tak, jakby się znali od zawsze.

– Okej, idź, bo w końcu nigdy stąd nie wyjdiesz – mówi i jeszcze raz ją całuje.

Savannah

Czuję się, jakbym umarła i trafiła do nieba, kiedy coraz głębiej zanurzam się w brązowej mazi.

– Kto by pomyślał, że błoto może być takie niebiańskie? – June mruczy z rozkoszy, sącząc szampana.

– Kto by pomyślał, że dam radę temu – unoszę kieliszek – po wczorajszej szalonej miksturze Della? – Śmieję się, choć myślę o czymś innym. – Sue, czy Dell wskoczył na miejsce Yorka?

– Nie, tylko go zastępuje do czasu, aż nie przyjedzie ktoś inny.

– Drogie panie – przerywa nam Carlos – czas ruszać dalej.

Kolejne trzy godziny jesteśmy rozpieszczane do granic możliwości, dosłownie polerują nas na błysk. Dziewczyny zachęcają mnie, żebym zrobiła miodowe pasemka we włosach. Twierdzą, że poprawi mi to nastrój. Daję się namówić i jestem szczerze zdumiona efektem. Pasemka świetnie prezentują się na moich grubych luźno opadających lokach.

Po tych całych metamorfozach decydujemy się coś zjeść.

Czuję się niesamowicie. Kiedy zajmujemy miejsce w restauracji Zacka, cieszę się, że pora lunchu już minęła. Oprócz naszego zajęte są jeszcze tylko dwa stoliki.

– Moje panie! – woła Zack, spiesząc do nas. – Wyglądacie pięknie! – Odwraca się do kelnera,

cmokając językiem. – Adam, powinienes posadzić panie przy oknie. Przyciągnęłyby więcej klientów.

– To prawda.

Adam puszcza do mnie oczko, a ja się uśmiecham. Bawi mnie jego zuchwałość.

– Proszę, pozwólcie, że sam przygotuję wam coś wyjątkowego. – Wrywa nam menu i oddaje je Adamowi. – Po prostu usiądźcie i pozwólcie Zackowi się wami zająć. Wino. – Daje znak Adamowi.

– Dziękuję, Zack – mówi Sue, zanim ten się oddali. Abigail szczerzy się do mnie. – Wygląda na to, że nasza Savi komuś bardzo się spodobała.

Uśmiecham się, przekierowując uwagę na Abigail.

– A skoro mowa o podobaniu się komuś, może powiesz nam, co łączy cię z doktorem Robertsem?

June momentalnie się ożywia.

– Co? Ten psycholog?

– Tak, June – uśmiecham się – właśnie ten.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz. – Abigail bardzo się stara nie uśmiechać, ale to na nic z trzema osobami czekającymi na potwierdzenie obciążających ją dowodów. – Raz się pocałowaliśmy – mówi, skubiąc kawałek chleba.

– Co? – wykrzykujemy wszystkie trzy jednocześnie.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – warczy June na siostrę.

– Bo byś go o to wypytywała. A nie chciałam tego. Poza tym to była jednorazowa letnia akcja. Od tamtej pory nie wspominaliśmy o tym. – Macha ręką. – To nic takiego.

Kręcę głową.

– Siedzę przed tym mężczyzną godzinę dziennie. Widzę, jak na ciebie patrzy. Lubi cię. – zapewniam ją.

Abigail uśmiecha się do mnie.

– Zaprośmy go na kolację w tym tygodniu – proponuję.

– Tak! – przytakuje June.

Uśmiecham się do niej, a potem odwracam się i widzę, jak Abigail się rumieni.

– Nie pozwól, aby ktoś tak dobry wyslizgnął ci się z rąk, Abby. Zaslugujesz na szczęście.

– *À propos* zasługiwania na szczęście. – Sue odchyła się na oparcie krzesła i kieruje wzrok na mnie. – Co jest między tobą a moim synem?

O cholera. Pochylam się i nalewam sobie więcej wina. Sue się śmieje.

– Drogie panie, *bon appetit* – mówi Zack, gdy z Adamem podają nam lunch. – Souvlaki z kurczaka z pieczonymi ziemniakami i grillowanymi szparagami – obwieszcza uroczyście.

Pachnie niesamowicie. Wszystko na talerzu wygląda tak idealnie, że aż żal tego dotykać.

Adam pochyla się nade mną i szepcze:

– Chyba przyszedłeś prosto ze SPA... pięknie pachniesz wanilią.

Kiwam głową, walcząc z rumieńcem, który i tak pojawia się na moich policzkach.

– Podać coś jeszcze?

Zauważam, że pytanie kieruje tylko do mnie.

– Nie, dziękuję. Nie trzeba.

Zerkam na Sue, która uśmiecha się pod nosem.

Zapada cisza, kiedy zaczynamy jeść. Mam nadzieję, że nie będą mnie znowu zagadywać o Cole'a, choć wiem, że to bardzo mało prawdopodobne.

– Jeśli chodzi o twoje dawne życie, to za czym najbardziej tęsknisz, Savannah? – wystrzela nagle June.

– Nie... nie jestem pewna – jąkam się. – To znaczy, tęsknię za wieloma rzeczami, ale tamto życie było zupełnie inne. – Odchyłam się, aby Adam mógł zabrać mój talerz. – Nie było dokładnie tak, jak bym chciała. Przez paparazzi zaczęło mnie coraz mniej łączyć ze światem zewnętrznym. Tak bardzo starałam się być tym, kim mój ojciec chciał, żebym była, i tak bardzo nie być tym, kim byłam w oczach prasy, że całkowicie się pogubiłam i już sama nie wiedziałam, kim naprawdę jestem.

June kiwa głową.

– Więc kim jest prawdziwa Savannah i czego chce od tego życia?

– Hmm... – Tak naprawdę nie myślałam o tym. – Chyba wciąż zastanawiam się nad tym, kim jestem. Jeśli chodzi o to, czego chcę od życia, to chcę znaleźć kogoś, kto pokocha mnie dla mnie samej. – Przechyliłam głowę, zastanawiając się. – Kogoś, do kogo można się przytulić w burzliwą noc i trwać tak dopóki nie minie. Kogoś, kto bez względu na wszystko całuje mnie na dzień dobry i na do widzenia. – Myślę o Cole'u. – Kogoś, kto jednym spojrzeniem potrafi stopić moje serce i sprawić, że uginają się pode mną kolana, gdy wypowiada moje imię. Kogoś, przy kim zapiera mi dech w piersiach, kiedy wyciąga do mnie rękę, by mnie dotknąć. – Podnoszę głowę i widzę trzy kobiety, które wpatrują się we mnie rozmarzonymi oczami, jakbym śpiewała jakąś miłosną balladę. Odchrząkuję i wszystkie się prostujemy. – Jestem zmęczona wiecznym odkładaniem życia na później. Chcę być po prostu szczęśliwa. Wiem, że mam przed sobą długą drogę i jeszcze dużo przeszkód do pokonania, ale fakt, że będę to robiła z wami, nieco ułatwia sprawę – wyznaję.

– Pięknie powiedziane, kochanie. – Sue sięga po moją dłoń i ściska ją delikatnie.

Boże, jak miło jest móc otworzyć się i wpuścić kogoś do swojego świata, nawet jeśli odbywa się to małymi kroczkami. Uśmiecham się do siebie.

Nagle coś innego przychodzi mi do głowy i sprawia, że czuję się szczęśliwa.

– Pianino, June. – Zerkam na Abigail, która mruga do mnie. To naprawdę wiele dla mnie znaczy, że nikomu nie powiedziała o tym, że grałam na pianinie, wtedy, zaraz po moim przyjeździe. Wiem, że zrozumiała, że to była dla mnie bardzo osobista chwila. – Grałam tylko dwa razy, odkąd zmarła moja mama, a tak uwielbiam grę na pianinie.

– W salonie jest pianino, kochanie – mówi June. – Będziesz musiała coś dla nas zagrać.

– U nas też jest pianino! – wykrzykuje Zack, podchodząc do stołu.

Jak, do diabła, nas usłyszał?

– Chciałabyś zagrać?

– Nie, nie, jestem zbyt zardzewiała. – Podnoszę rękę. – Może innym razem.

– Okej, ale trzymam cię za słowo – mówi z uśmiechem. – Moje panie, mam nadzieję, że smakował wam lunch. Liczę, że wkrótce zobaczymy się ponownie, prawda?

– Oczywiście – odpowiada Sue, po czym wstaje i go przytula.

Żegnamy się i zacieramy w kierunku wyjścia. Adam podbiega, aby otworzyć nam drzwi.

– Miłego popołudnia – mówi, kłaniając się. – Mam nadzieję, że wkrótce znów cię zobaczę, Nicole.

– No na pewno – naigrywa się June w drodze do SUV-a.

Keith rozmawia z kimś przez telefon. Przygląda mi się, gdy podchodzę do samochodu.

– Nic jej nie jest. Zaraz wracamy do domu. Okej.

Uśmiecha się.

– Przyprawiłaś szefa o ból głowy, bo nie wysłałaś do niego wiadomości.

– O nie! – Wałę się dłonią w czoło. – Zapomniałam.

– Spoko.

– Przepraszam.

Rozdział czternasty

Savannah

Abigail i June siedzą z przodu, ja i Sue za nimi. June papla o doktorze Robertsie, domagając się wszystkich pikantnych szczegółów. Sue milczy pogrążona w myślach. Jest dla mnie niebywale wielkoduszna i troskliwa, więc postanawiam, że w sumie mogę jej powiedzieć coś więcej o mnie i Cole'u.

– Bardzo zależy mi na twoim synu, Sue – mówię cicho, żeby chłopcy z przodu mnie nie usłyszeli. – Nigdy wcześniej się tak nie czułam. To dla mnie trochę nowe i trochę przerażające. – Spuszczam wzrok na swoje dłonie. Nagle zastanawiam się, czy mój bagaż doświadczeń nie okaże się zbyt ciężki dla jej syna. – Może nie jesteśmy idealnie dopasowani, ale kiedy jestem z nim, czuję, że żyję.

– Savannah – zaczyna Sue – ty i Cole idealnie do siebie pasujecie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam mojego chłopca tak szczęśliwego. – Jej oczy błyszczą. – Jemu też bardzo na tobie zależy, wiem, co mówię.

– Tylko powiedz, że chcesz mieć dzieci – syczy Abigail przez ramię, a ja zakrywam twarz rękami.

– Chcemy małego Frittera! – żartuje June.

– No cóż, nie wiem, czy to będzie „Fritter” – precyzuję – ale tak, zawsze chciałam mieć dzieci. Abigail i June odwracają się, by na mnie spojrzeć.

– Nie pogrywaj z nami, Savannah. – Abigail unosi brew. – Nasi chłopcy muszą mieć dzieci. Czekamy cholernie długo, zbyt długo.

– O rany! – śmieję się, gdy Sue kiwa głową na znak, że się z nimi zgadza.

Później, przygotowując z Abigail kolację, zdaję sobie sprawę, że nie widziałam Cole'a od rana. W domu panuje jakieś napięcie. Mark i John również wyglądają na zdenerwowanych.

– Jak minął dzień? – zagaduję, próbując ich wyczuć.

– Bywało lepiej. – Mark wyciąga piwo z lodówki i otwiera kapsel otwieraczem, jednym z tych, co wygląda jak karta kredytowa, tym z literą „S”. – Chyba będziecie musiały przygotować więcej jedzenia. Wygląda na to, że cała firma zjawi się na kolację.

– Firma? – pytam zaskoczona. – Ktoś przyjechał?

– Po prostu nie rozumiem, olej i woda się nie mieszają – narzeka John.

Mark ignoruje moje pytanie i rzuca mu piwo.

– Oj nie, zdecydowanie nie! – Abigail przestaje mieszać zupę i kręci głową. – Kiedy Dell wyjeżdża?

– Już wyjechał. – Mark wzrusza ramionami, widząc, jak rzednie mi mina. – Tak to tutaj działa.

Szkoda, że nie zdążyłam się z nim pożegnać.

– Niech mnie diabli, jeśli on dołączy do Blackstone. Nie ufam temu człowiekowi.

– Uwierz mi, nie jestem zainteresowany dołączeniem do Blackstone – zapewnia go wysoki facet z krótkimi brązowymi włosami, wchodząc do kuchni. – Im mniej będę musiał oglądać Logana, tym lepiej. – Staje przede mną, blokując mi dojście do sałatki, którą przygotowuję. – Ty na pewno jesteś Savannah Miller.

– Tak, to ja.

Czekam, aż się ruszy. Nie podoba mi się sposób, w jaki wypowiada się o Cole'u.

– Jestem Derek Rent. – Wyciąga rękę, szybko ją ściskam i omijam go. – Wygląda na to, że będziemy współdomownikami.

– Tak słyszałam. – Staram się, aby mój głos brzmiał przyjaźnie, ale jeśli Cole, John i Mark nie lubią tego faceta, to musi być jakiś ku temu powód. – Witamy.

– Nie słuchaj ich – sugeruje, siadając przy wyspie i kradnąc cząstkę jednej z posiekanych do sałatki pieczarek. – Nikt nie lubi nowych.

– Z tego, co mówisz, można by wywnioskować, że nic o tobie nie wiemy, ale niestety tak nie jest – zauważa Mark, popijając piwo.

– Czyli co, Mark, dalej ta sama stara śpiewka?

– Gdzie jest Cole? – pytam, zmieniając temat. Wolałabym, żeby tu był.

– Rozmawia z Frankiem w swoim biurze – odpowiada Derek z długim westchnieniem. – Zrobiło się trochę gorąco.

– Wszystko w porządku? – dopytuję, wrzucając pieczarki do miski.

– Nie było, kiedy wychodziłem z jego biura.

Nie zasiadamy dzisiaj do kolacji w stałym składzie. Mark, Paul, John i Derek są już przy stole. Kiedy ja zajmuję swoje miejsce, Keith siada po mojej lewej stronie i informuje nas, że zaraz dołączą Cole i jego ojciec oraz mężczyzna o imieniu Frank Brandon.

Abigail, June i Sue próbują rozładować napięcie.

– Nadal uważam, że widok Keitha, kiedy Carlos próbował namówić go na okład z wodorostów, był bezcenny – żartuje June. – Twoja mina, Keith...

– To było połączenie konsternacji z obrzydzeniem – kończę za nią i wszystkie wybuchamy śmiechem.

– Po co owijać się czymś, co się je w sushi lub czego się unika w oceanie? – Keith kręci głową.

– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego kobiety robią pewne rzeczy.

– Amen. – Mark unosi swoje piwo.

– Przepraszamy za spóźnienie. – Daniel nachyla się i całuje Sue w policzek.

– Savannah – mówi Cole. – To jest Frank Brandon.

Wstaję, żeby uścisnąć mu dłoń. Zielone spodnie moro, czarny sweter z grubej dzianiny, wyraziste, ciemne oczy i włosy ostrzyżone na jeża sprawiają, że wygląda jak podręcznikowy „żołnierz”.

– Miło cię poznać.

Uśmiecham się do niego, jednocześnie zauważam, że Cole i Daniel wyglądają na wyczerpanych.

– Miło mi wreszcie panią poznać, pani Miller.

Obchodzi stół i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Siadam z powrotem na krześle i przyglądam się twarzy Cole’a. Coś jest nie tak.

– Więc, pani Miller, zdążyła się pani tu zaaklimatyzować? – pyta Frank, nabijając na widelec zapiekane ziemniaki.

– Proszę, mów mi Savannah. Tak, dziękuję. Czuję się tutaj bezpiecznie, choć nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę mogła się tak poczuć.

Kiwa głową, przeżuując jedzenie.

– Miło to słyszeć. Savannah. Byłaś kiedyś w Waszyngtonie?

Cole wstaje, głośno szurając krzesłem o podłogę, i wychodzi z jadalni.

– Hmm, tak, kiedyś, kiedy byłam dzieckiem. Ale nie pamiętam zbyt wiele – odpowiadam, gdy Cole wraca z kieliszkiem brandy – więc proszę, nie odpytuj mnie z atrakcji turystycznych.

Śmieje się.

– Nie będę. – Patrzy w stronę pań. – Jak udała się dzisiejsza wycieczka do miasta?

Według mnie trochę to dziwne, że wie, że nie było nas w domu.

– To był bardzo relaksujący czas, dobrze jest czasami tak się dopieścić. Dorzucimy do tego babskie pogaduchy i otrzymamy cudowny dzień – odpowiada Sue.

– Ładnie wyglądają twoje włosy – komplementuje mnie Cole.

Uśmiecham się do niego, szczęśliwa, że zauważył.

– Adam był tego samego zdania – mówi Abigail, śmiejąc się. – Poszliśmy na lunch do Zacka, a ten biedny chłopak dosłownie wychodził z siebie, byle by tylko ją dobrze obsłużyć.

– Wyobrażam sobie – mamrocze Cole.

– Chyba nie można go za to winić? – Derek uśmiecha się do mnie i wzrusza ramionami.

– Wykonywał tylko swoją pracę – protestuję, patrząc gniewnie na Abigail. – To nic takiego.

Kiedy sprzątam naczynia po kolacji Frank pyta mnie, czy dołączę do niego w salonie na drinka. Spoglądam na Cole'a, żeby upewnić się, czy też pójdzie. Kiwa głową i idzie z nami, a za nim podążają Mark i Daniel. Zauważam, że Keith i Paul też kręcą się w pobliżu. Zdecydowanie coś jest nie tak.

Scot wskakuje na moje kolana, domagając się zwyczajowego drapania po brzuchu. Weiska się między Cole'a a mnie i rozkłada się bezwstydnie. Zaczynam drapać kota, kiedy dostaję drinka, specjalność Marka, co mnie nieco niepokoi, bo doskonale wie, jaka byłem po nim wczoraj wstawiona. Coś mi mówi, że prawdopodobnie nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

– Savannah, musimy porozmawiać o twojej sprawie. – Frank siedzi na kanapie, pochylony do przodu. – Ale najpierw chcę, żebyś mi powiedziała, co wydarzyło się między tobą a Yorkiem.

No i się zaczyna.

Podaję mu tyle szczegółów, ile jestem w stanie, i odpowiadam na mnóstwo pytań, w tym na kilka niezbyt dla mnie przyjemnych.

– Czyli nie dałaś mu żadnych powodów, które skłoniłyby go do takiego zachowania względem ciebie?

– Nie! – wykrzykuję ze złością. – Już mówiłam, że nie dogadywaliśmy się od samego początku.

– Możemy przejść do następnych pytań? – proponuje zirytowany Daniel.

– Czy York był zamieszany w sprawę mojego zatrucia? – Chcę wiedzieć.

– Naprawdę nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. – Frank wierci się na kanapie.

– No cóż, w takim razie myślę, że ja naprawdę nie mogę odpowiedzieć na więcej twoich pytań.

Krzyżuję ramiona na piersi, czując, jak narasta we mnie gniew.

Scot trąca łapą moją rękę, więc Cole przejmuję drapanie go po brzuchu, żebym mogła skupić się na rozmowie.

Frank ciężko wzdycha, zaciska usta i myśli.

– Tak, uważamy, że był w to zamieszany.

Kiwam głową, czekając, aż dotrze do mnie to, co usłyszałam.

– Dlaczego? Nic mu nie zrobiłam. Dlaczego chciał mnie zabić?

– On nie próbował cię zabić...

– Przecież tak twierdzicie.

– Próbował dać Amerykaninowi znać, gdzie jesteś. Gdybyś trafiła do szpitala, twoje dane wprowadzono by do systemu online, więc każdy, kto wie, gdzie szukać informacji w przypadku zatrucia tetrahydrozoliną, mógłby je bez problemu odnaleźć. Na szczęście Logan w porę się zorientował i powstrzymał lekarza, zanim ten wprowadził informacje do systemu.

Odwracam się do Cole'a.

– Już drugi raz uratowałeś mi życie.

Na jego twarzy maluje się niepokój, aż mam ochotę zapytać go, co jest nie tak, ale nie mogę.

– Savannah, mamy problem – stwierdza bez ogródek Frank. – Kiedy dowiedzieliśmy się, że Amerykanin jest zamieszany w twoje porwanie, było niewesoło, ale teraz, kiedy dowiedzieliśmy się, że jest w tobie zakochany, to...

– Co... co? – Odstawiam drinka na stół. – O czym ty mówisz?

– *Pronto serás mía, mi amor.*

Patrzę na Marka, potem na Cole'a, przypominając sobie wczorajszą rozmowę.

– Wkrótce będziesz moja, kochanie – mówi.

Ciśnienie spada mi gwałtownie, czuję nagły chłód. Niezdarnie przysiadam na kamiennej półce kominka.

– Przepraszam, myślałem, że wiesz, co to znaczy – wyjaśnia Frank z uwagi na moją reakcję.

– Nie. – Kręcę głową zmieszana.

– Byłaś roztrzęsiona, więc nie chciałem ci mówić, co to znaczy – tłumaczy Cole z zaniepokojoną miną. – Nie chciałem ryzykować, że znowu znikniesz nam gdzieś w lesie.

– Savannah – Frank skupia z powrotem moją uwagę na sobie – wiemy, że York skontaktował się z kimś, kto jest powiązany z Amerykaninem. Jest szansa, że na razie odpuścił. Ale według mnie najlepiej będzie, jeśli pojedziesz ze mną do Waszyngtonu, dopóki tego nie wyjaśnimy.

Tyle myśli przewala mi się w głowie. Jedyne, co mogę zrobić, to przeczekać, dopóki mózg nie przetworzy wszystkiego.

– Wiem, że jest ci tu dobrze, ale jeśli Amerykanin jedzie tutaj...

– Więc nie masz pewności – udaje mi się wyszeptać.

– Nie. York nie chce z nami gadać. – Mark podchodzi do mnie. – Mówi, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

– Mark! – wybucha Cole, a ja aż podskakuję.

– Zrobię to.

– Nie! – wykrzykuje ponownie Cole.

– Gdzie on jest, Mark? – pytam.

– Na dole.

Cole zrywa się na równe nogi i rzuca się na Marka, przez co Scoot z sykiem daje nura pod kanapę. Daniel podbiega i staje między nimi.

Na dole! Gdzie?

– Cole, usiądź! – Daniel odpycha syna w tył.

– Nawet gdybyśmy pozwolili ci z nim porozmawiać, nie miałyby to znaczenia. Musimy cię stąd zabrać – stwierdza Frank, wstając.

Ja też się podnoszę i kręcę głową. Idę do biura Cole'a, bo wiem, że trzyma tam akta mojej sprawy – widziałam, gdzie je schował, kiedy byłam u niego pierwszy raz. Wracam z nimi po chwili i wręczam teczkę Frankowi. Wygląda na zakłopotanego, ale otwiera ją.

– Jeśli twierdzisz, że muszę stąd wyjechać, w takim razie musisz podrzeć moją umowę, a wtedy wracam do domu.

– Nie! Savannah – krzyczy Cole, podchodząc do mnie.

Podnoszę rękę, żeby go powstrzymać.

– Jeśli uważasz, że mój pobyt tutaj zagraża bezpieczeństwu tego domu i jego lokalizacja może zostać ujawniona, to chcę pojechać do Nowego Jorku.

– Myślę, że nie rozumiesz, jak duża jest to sprawa – mówi Frank zaskoczony moją reakcją.

– Masz rację, nie rozumiem. Chętnie posłucham wyjaśnień, jeśli tylko zechcesz mi ich udzielić.

– Frank, powiedz jej. – Cole wygląda bladło. – Musi pojąć, jak bardzo to poważne.

Frank rzuca akta na stół i siada z powrotem.

– Proszę, Savannah, usiądź.

Cole wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię, przyciągając do siebie.

Frank wypuszcza powoli powietrze. Pochyla się, opiera ręce na nogach i mi się przygląda.

– Ktoś zlecił twoje porwanie. Nie jesteśmy jeszcze do końca pewni kto, ale mamy kilka teorii.

Jednym z podejrzanych jest prawa ręka twojego ojca, Luka.

Kręcę głową. Luka zawsze był dla mnie jak wujek.

– I kto jeszcze?

– Na razie nie zagłębiajmy się w to.

Czuję się, jakbym dostała młotkiem w brzuch. Kolacja podchodzi mi do gardła, niczym wskaźnik w tej maszynie, co znajduje się w wesołych miasteczkach, a w którą się wali z całym impetem, żeby zmierzyć swoją siłę.

– Jednym ze zleceniodawców jest mój ojciec, prawda?

– Savannah, wszyscy są teraz podejrzani – mówi cicho Cole.

Frank wzdycha.

– Kiedy zostałam porwana przez *Los Sirvientes Del Diablos*, ci dowiedzieli się czegoś i postanowili odwrócić sytuację na swoją korzyść. Kiedy ustaliliśmy, że kazano im cię zabić już po pierwszym dniu, zdaliśmy sobie sprawę, że ty o niczym nie mogłaś wiedzieć. Nadal jednak nie mamy pojęcia, co skłoniło ich do zmiany planów.

Zrywam się na równe nogi. Jestem wkurzona.

– Że co?

– Istniało prawdopodobieństwo, że ty i twój ojciec razem to zaplanowaliście. Stara się

o reelekcję, a w ten sposób zwróciłby na siebie uwagę prasy, ale...

– Jaja sobie, kurwa, robisz? – syczę, odwracając się do Cole’a. – Ty też tak myślałeś?

Cole kręci głową.

– Savi, w twojej sprawie cały czas wypływa coś nowego. Ale tak, zanim cię uratowaliśmy, pojawiła się taka myśl. Kiedy otrzymaliśmy potwierdzenie, że nadal żyjesz i nadal jesteś pod ich obserwacją, uświadomiliśmy sobie, że dzieje się coś więcej. – Robi mi się niedobrze. – Jesteśmy pewni, że szantażują twojego ojca.

– O mój Boże – szepczę, walcząc z zawrotami głowy.

Frank odchrząkuje.

– Nie twierdzimy, że twój ojciec jest zamieszany w porwanie, ale mają na niego coś i wykorzystują to, by go szantażować. Grożąc mu, że to ujawnią, jeśli nie zapłaci.

– Czekaj! – Chodzę w tę i z powrotem, próbując załapać, o co chodzi. – Kiedy zaczęli go szantażować?

– Ponad miesiąc temu.

– Czyli tuż przed tym, jak zostałam uratowana?

– Tak.

– Dlaczego w ogóle zaczęli?

– Nie wiemy.

– Może York ostrzegł ich, że zamierzacie po mnie przyjechać i mnie uratować?

– Zastanawiamy się nad tym. – Frank kiwa głową. – Słuchaj, nie wiemy, kto w ogóle zainicjował porwanie. Nie wiemy, gdzie są *Los Sirvientes Del Diablos* i reszta karteli, ale wiemy, że mają na twojego ojca jakiegoś haka i używają tego przeciwko niemu. Nie mamy pojęcia, gdzie jest Amerykanin, ale to cholernie łośki gość i zawsze dostaje to, czego chce, a chce ciebie. Jeśli wrócisz do Nowego Jorku, to na pewno zostaniesz porwana.

Przeczesałem palcami włosy, po czym sięgam po stojącą na stole szklankę Cole’a i wypijam jego brandy jednym haustem. *Święty Jezusie, ale mocne!*

– Zaryzykuję – mamroczę, a Cole i Mark zrywają się na równe nogi.

– Nie. Nie pozwolę ci. – Cole chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie. Oplata ramieniem moją talię i mocno ściska. – Frank, ona jest przerażona.

– Frank – zaczyna spokojnym głosem Daniel – to mój ojciec założył Shadows. Dwa dni temu przekazałem firmę synowi. Myślę, że jeśli wszyscy, którzy są zatrudnieni w tym domu, będą za tym, że Savannah powinna tu zostać, to powinna, skoro tego życzy sobie mój syn.

– Tak uważam – deklaruje Cole bez wahania.

Frank zastanawia się nad tym pomysłem.

– Jeśli wszyscy są tego zdania, to w porządku, będziemy cię wspierać. Ale zastanów się, co ryzykujesz, jeśli znajdą ją lub to miejsce.

– Nie, chłopaki. – Przełykam ślinę. – Daniel, to niezmiernie miło z twojej strony, ale nie chcę, żebyście ryzykowali to wszystko, i to tylko dla mnie.

Walczę z napływającymi łzami.

– Savannah, przestań, proszę. – Cole ściska mnie mocniej.

– Zwołaj spotkanie – decyduje Frank, patrząc na nas dwoje.

Czyżby Cole nie dbał już o to, że ktoś zobaczy, co do mnie czuje?

– Frank, mogę zamienić z tobą słowo w gabinecie Cole’a? – pytam, na co Cole się wzdryga. – Zaraz wrócę – zapewniam go. – *Proszę, zaufaj mi* – błagam go wzrokiem.

– Oczywiście. – Frank gestem wskazuje korytarz.

Rozdział piętnasty

Cole

Cole czuje, jakby coś utracił, gdy nie ma jej przy nim. Patrząc, jak odchodzi, zastanawia się, o czym, u diabła, będą rozmawiać. Daniel mówi przez krótkofalówkę, aby wszyscy opuścili swoje posterunki i przyszedli do salonu – i to w trybie pilnym.

Mark chwyta rękę Cole'a i odciąga go na bok.

– Chciałem, żeby to Frank powiedział jej o szantażu. Może uruchomi to coś w jej pamięci. Poza tym nie chcemy jeszcze, żeby wróciła już do ojca. Ciągłe coś się tam nie zgadza. Przepraszam, że wygadałem się, co mówił York. Pomyślałem, że może będzie chciała zostać, jeśli uzna, że będzie mogła pomóc w tym śledztwie.

Cole kiwa głową. Wie, że Mark ma dobre intencje, ale nie może znieść myśli, że Savannah właśnie u Yorka szukałaby odpowiedzi.

– Do dzieła, synu.

Daniel wskazuje głową na tłum zgromadzony w salonie. Kiedy Cole podchodzi do kominka, wszyscy przestają rozmawiać, czekając, aby dowiedzieć się, co się dzieje.

– Dziękuję wszystkim za tak szybkie przybycie. Oto jak wygląda sytuacja. Właśnie odkryliśmy, że York mógł kontaktować się z ludźmi Amerykanina. Okazuje się, że Amerykanin miał inne plany wobec Savannah. – Cole przetyka zalegającą w tyle gardła żółć i kontynuuje. – Wygląda na to, że planował porwać ją dla siebie, więc zintensyfikował polowanie. Jest tutaj Frank Brandon i chce zabrać Savannah do Waszyngtonu dla jej bezpieczeństwa, ale Savannah nie chce tam jechać. Chce wrócić do Nowego Jorku, żeby nie narażać Shadows.

Wśród zgromadzonych słychać coraz głośniejsze pomruki.

– Nie! Oni ją zabiją! – wrzeszczy Abigail, trzymając się za brzuch.

– Oto mój plan. – Cole unosi rękę, aby ponownie skupić na sobie uwagę wszystkich. – Frank pozwoli jej tu zostać, o ile wszyscy się zgodzą i będą świadomi konsekwencji jej ochrony przez Shadows. Sprawy mogą przyjąć zły obrót, więc jeśli ktoś nie czuje się z tym dobrze, niech da mi znać, a tymczasowo zawieszę go w obowiązkach, do czasu aż to się nie skończy. Nikt nikogo nie będzie oceniał. Ręka do góry, kto jest przeciwko temu, żeby Savannah tu została.

Nikt nie podnosi ręki.

– Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą, jeśli powiem, że Savi zostaje w domu. – Głos Keitha rozlega się w pokoju.

Cole kiwa głową, czując ulgę. Teraz musi tylko przekonać samą Savannah.

– Jeśli nie masz nic przeciwko... – Mike ciągnie się za kurtkę – ...poczę się w tym wszystkim, więc chciałbym już wyjść i wypatrywać tego chorego sukinsyna.

– W porządku, idźcie. Dzięki, chłopaki.

Cole czeka, aż wszyscy wyjdą, po czym opiera czoło o kominek i bierze głęboki wdech, marząc o zakończeniu całej sprawy.

– Skarbie – Sue masuje mu plecy – twój ojciec właśnie mi powiedział. Jestem pewna, że ona po prostu się boi i martwi o was wszystkich. Daj jej trochę czasu. Wiesz, że nie łatwo jej to wszystko przetrwać.

– Nie wiem, co zrobię, jeśli odejdzie – szepcze.

Sue staje przed nim i patrzy mu w oczy.

– W drodze powrotnej ze SPA odbyliśmy całkiem interesującą rozmowę. Naprawdę jej na tobie zależy, Cole.

– Wspomnij tę część o małych Loganach, Sue – podpowiada wścibska June, przechodząc obok.

Sue stara się ukryć uśmiech.

– No tak, cóż, nasze cioteczki – kiwa głową w stronę Abigail i June – dostały potwierdzenie, że Savannah chce mieć dzieci.

O Boże! Biedna Savannah. Już sobie wyobraża ten pluton egzekucyjny strzelający w nią pytaniami. Chociaż pomysł z małym Loganem biegającym po domu nie jest tak przerażający, jakby mógł przypuszczać. Kręci głową. *Co, do diabła, się ze mną dzieje? Znam tę kobietę dopiero od dwóch miesięcy!*

– Synu. – Daniel wskazuje na korytarz, w którym Savannah ściska dłoń Franka.

– Do zobaczenia jutro – woła Frank, zanim znika za drzwiami.

Savannah wchodzi do salonu. Cole widzi, że płacze. Ciągle zastanawia się, co też dzieje się w tej ślicznej główce. Wie, że musi dać jej trochę spokoju. Dlatego nic nie mówi.

– Mam czas do jutra na podjęcie decyzji – informuje go, nie patrząc mu w oczy.

– Chodź tu i usiądź, Savannah – prosi Sue, obejmując jej ramiona i prowadząc ją do kanapy. Otula ją jej ulubionym kocem. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie. Nic mi nie trzeba, dzięki.

– Co powiedział Frank? – pyta Daniel.

Mark wychodzi z pokoju, aby odebrać telefon.

– Po prostu wytłumaczył mi, z jakim ryzykiem wiąże się decyzja o zostaniu, a z jakim o wyjeździe. Poza tym rozwiązał parę moich wątpliwości i ja też odpowiedziałam na kilka jego pytań. Nie pojedę do Waszyngtonu... ten pomysł przeraża mnie jeszcze bardziej niż powrót do Nowego Jorku. Zaufanie do drugiego człowieka, to nie jest coś, co przychodzi mi łatwo. Jestem po prostu bardzo zdezorientowana. – Drapie się po głowie. – Nie myślę już o Nowym Jorku jako o swoim domu, a po tym, czego się dziś dowiedziałam, to już chyba nikomu nie mogę tam ufać. – Zaczyna płakać. – Najgorsze jest to, że mam mieszane uczucia wobec ojca. Jak to o mnie świadczy? Jestem okropną osobą. Przepraszam – mówi, wstając. – Naprawdę potrzebuję trochę czasu, aby to wszystko przemyśleć. – Spogląda na Cole'a. – Nie będzie żadnego uciekania do lasu. Obiecuję – oznajmia, po czym odwraca się i idzie na górę.

Cole wstaje i zaczyna łązić tam i z powrotem po pokoju, ignorując niski szum głosów w tle. Wie, że nie może pozwolić jej odejść. Chcąc udowodnić, jak bardzo mu na niej zależy, rusza do jej pokoju, nie zważając na dźwięczące mu w uszach protesty matki, aby dać Savannah więcej czasu. Przemierza korytarz, otwiera drzwi do jej sypialni, po czym zamyka je za sobą i przekręca klucz w zamku. Słychać odkręcony prysznic, więc zdejmuje ubranie i wchodzi do łazienki. Nie waha się, otwiera drzwi kabiny prysznicowej i wchodzi do środka.

– Cole! – Savannah aż podskakuje, jej wzrok wędruje na dolne partie jego ciała. – O!

Chwyta ją w tali, unosi i przyciska do ściany.

Savannah piszczy i oplata go nogami w pasie.

Lubi trzymać ją w ten sposób. Nie może mu uciec i ma pełen dostęp do jej długiej, smukłej szyi. Całuje ją pod uchem, czując, jak przyspiesza jej puls.

– Nad czym się tu zastanawiać, Savi? – szepcze zachrypniętym głosem.

Przeczesuje dłońmi jego mokre włosy i wzdycha.

– Cole, nie mogę zostać.

O nie, cholera, nie.

Nakierowuje członka na jej szparkę i wbija się w nią.

Dziewczyna krzyczy, chwytając go za ramiona.

Cole prawie zgina się wpół, jest tak ciasna i gotowa na niego.

– Tak dobrze?

– Boże, tak! Jeszcze! – Porusza biodrami. Jej piersi wciskają się mu w twarz. Słodki Boże, jest taka piękna! Wysuwa się z niej i po chwili znowu wsuwa z impetem, kolana prawie się pod nim uginają. Chryste, jest niesamowicie. Potrzebuje chwili, by się opanować. Minęło sporo czasu, odkąd był z kobietą. Znowu się w nią wbija, aż dziewczyna wystrzeliwuje do góry. – Tak! – krzyczy i drapie jego skórę, złakniona jego ciała. Cole zwalnia tempo, drażniąc ich oboje krótkimi, niemrawymi pchnięciami.

– Cole, proszę – błaga i zaczyna kręcić biodrami, chcąc zwiększyć tarcie. – Proszę.
– Jeśli wyjedziesz, już nigdy cię nie zobaczę. Mówiłaś, że jesteś moja. – Savannah zaczyna jęczeć, gdy Cole mocno się w nią wbija. – Tu jest twoje miejsce, skarbie, przy mnie, nigdzie indziej.
Nachyla się, wsysa się w jego usta i wsuwa mu głęboko język.
Ta kobieta go wykończy. Wznawia gwałtowne pchnięcia, dając z siebie wszystko. Całkowicie się w niej zatracą... jego umysł wiruje od jej westchnień i jęków.
– Cole! – wykrzykuje.
Widzi, że zaraz dojdzie, więc mówi:
– Dalej, skarbie. Poddaj się temu.
Savannah krzyczy, jej całe ciało drży, a cipka ściska go jak dobrze dopasowana rękawiczka. Jego wzrok staje się mętny, traci wszelką kontrolę i w końcu wytryskuje w niej.
Oboje dyszą, zstępując z wyżyn uniesienia. Jest jak galaretką w jego ramionach, całkowicie wyczerpana. Myje ją, trzymając ją jedną ręką. Osusza ją ręcznikiem, a następnie kładzie do łóżka. Sam też się szybko wyciera, wrzuca ręcznik do kosza na pranie, po czym dołącza do niej i w tej nagiej bliskości znajdują ukojenie.
Jest ciemno jak w kotłach ze smołą, ale widzi, że Savannah jeszcze nie śpi, jej oddech jest nierówny. Całuje ją w ramię, jego usta powoli przesuwają się po jej jedwabistej skórze.
– Nie pozwolę ci odejść, Savannah – szepcze.
Nic nie odpowiada, tylko przyciska się do niego mocniej.
*

Savannah

Bębnię palcami w poręcz, obserwując zmieniające się cyfry, jedna po drugiej. Jeszcze piętnaście pięter.
– Savannah! – woła Luka, kiedy wysiadam z windy na dwudziestym szóstym piętrze biurowca Maxwell. – Co ty tutaj robisz? – Przytula mnie.
– Umówiłam się z tatą na lunch.
Patrzy na mnie dziwnie, a ja już wiem, co zaraz powie.
– Musiał zapomnieć. Wyszedł jakieś dziesięć minut temu.
Przeklinam w duchu.
– Trzeci raz w ciągu dwóch tygodni. Normalnie można wpaść w kompleksy – żartuję, posyłając mu najpiękniejszy uśmiech, na jaki mogę się zdobyć. – Chyba nie pozostaje mi nic innego, tylko wrócić na drugi koniec miasta.
Luka ściska mi ramię.
– Przykro mi, skarbie. Przekażę mu, że byłaś.
– Dzięki.
Naciskam przycisk windy kilka razy, ale nagle decyduję, że napiszę ojcu wiadomość na samoprzylepnej karteczce i przykleję ją do jego monitora, aby ją zobaczył po powrocie. Biegnę do jego biura. Margo, jego recepcjonistki, nie ma przy biurku, więc wślizguję się do gabinetu ojca, chwytam długopis i szybko piszę: „Znowu zapomniałeś... zalegasz z trzema lunchami. S.”. Przyklejam karteczkę do monitora i wychodzę.
– Witam – zwraca się do mnie kobieta z prostymi blond włosami ściętymi na boba. – Savannah, prawda?
– Tak. – Uśmiecham się. – Gdzie jest Margo?
– Jej ojciec zachorował, więc pojechała go odwiedzić do Filadelfii.
Wieczorem w końcu tata do mnie oddzwania.
– Hej – mówię, przecierając oczy.
– Savi, przepraszam, że zapomniałem o dzisiaj. – W tle słyszę kobiecy głos.

- *Czyżbyś miał towarzystwo? – żartuję.*
- *Nie bądź śmieszna, Savi, to tylko Margo. Przyszła podrzucić teczkę z dokumentami.*
- *Jasne – śmieję się, wstając, żeby zdjąć koc z krzesła.*
- *Przełożymy to na inny dzień. Muszę lecieć. Dobranoc, Savannah.*
- *Baw się dobrze, tato. – Wciąż się uśmiecham, kiedy się rozłączam.*

Przechodzę koło okna i nagle zatrzymuję się, bo mój wzrok przykuwa ktoś stojący po drugiej stronie ulicy. Zdaje mi się, jakby patrzył prosto na mnie. Trzyma coś, co wygląda na złożoną gazetę, a kiedy się odwraca, światło odbija się od jego butów... wyglądają jakoś dziwnie, czubki są jakby podwinięte. Ciekawe.

Otwieram oczy, serce tłucze mi się w piersi. Patrzę na zegarek – czwarta trzydzieści. Cole leży wtulony we mnie, więc delikatnie próbuję zdjąć z siebie jego ramię, ale on tylko jeszcze bardziej zaciska uścisk.

– Dlaczego serce tak ci wali? – szepcze mi w szyję.

Jasna dupa.

– Zły sen. Przepraszam, że cię obudziłam.

– Nie obudziłaś.

Przewraca się na plecy i przyciąga mnie do siebie. Kładę głowę na jego klatce piersiowej.

– Nie spałeś?

Czuję się strasznie.

– Co ci się śniło?

Unika odpowiedzi na moje pytanie, więc wzdycham.

– Przypomniało mi się, że kiedyś już widziałam Amerykanina. Stał na ulicy przed moim mieszkaniem i obserwował mnie.

Cole nic nie mówi, tylko wpatruje się w sufit. Wiele bym dała, żeby dowiedzieć się, o czym myśli. Kiedy nie mogę już dłużej znieść ciszy, wsuwam się na jego brzuch i siadam na nim okrakiem. Jedyne światło pochodzi od księżycy w pełni, które wpada przez okno, więc trudno mi odczytać wyraz jego twarzy. Opuszkami palców kreślę ścieżki na jego brzuchu. Jego mięśnie się napinają, kiedy zakłada ręce za głowę. Wiem, że się o mnie martwi. Nie miałam czasu tak naprawdę pomyśleć, odkąd odpłynęłam po naszym spotkaniu pod prysznicem. Drzę, gdy przypominam sobie, co czułam, gdy był we mnie. Przenoszę ciężar na kolana, aby uzyskać odpowiedni kąt i nabijam się na niego, zanim zdąży mnie powstrzymać.

– Savannah! – Prostuje się gwałtownie i chwyta mnie za biodra. – O ja pierdole.

Wiercę się na nim, dopasowując się do jego rozmiaru. Opada z powrotem na plecy, a ja nadaję powolne, wręcz leniwe tempo.

Przyciska dłonie do twarzy i bierze głęboki wdech.

– Chryste, kobieto!

Chwyta mnie za pośladki, przytrzymuje i unosi swoje biodra, próbując wsunąć się głębiej i przyspieszyć tempo.

Odpycham jego ręce, uśmiechając się. Tym razem ja kontroluję sytuację. Kręci głową i jęczy, gdy narzucam rytm, ponownie przesuwając rękami po jego torsie i zatrzymując się we właściwych miejscach. Zapowiada się niezły rewanż.

Wysuwam się prawie do końca, ale w ostatniej chwili cofam się i zostawiam w sobie sam czubek jego członka.

Cole wypuszcza powietrze z sykiem.

Zsuwam się z niego i opadam na łóżko, wiedząc, że więcej nie zdziałam.

Nagle przewraca mnie na plecy, a moje nogi lądują na jego ramionach. Wciska się we mnie, bierze mnie na ostro. Zamykam oczy i uśmiecham się – uwielbiam, kiedy jest taki dominujący w łóżku. Ha! Dominuje też poza sypialnią. Podoba mi się, że to ja doprowadziłam go do takiego stanu. Wiedziłam, że teraz on przejmie inicjatywę.

– Spójrz na mnie, maleńka. – Otwieram oczy, jest kilka centymetrów nade mną, jego spojrzenie mówi mi, jak bardzo się martwi. – Tu jest miejsce, do którego należysz – mówi, po czym wbija się we

mnie mocno, jakby chciał zaakcentować swoje słowa, i doprowadza mnie na krawędź ekstazy.

Zatracam się w morzu barw, gdy wykrzykuję jego imię, orgazm nadchodzi falami.

Zakrywa moje usta, by stłumić krzyki. Czuję, jak drży, kiedy dochodzi zaraz po mnie. Opada i opiera głowę na moim brzuchu, a ja przeczesuję palcami jego wilgotne włosy.

– Chcę ci to robić każdego ranka – mówi, całując mnie tuż nad pępkiem. Kładzie się na plecach i przyciąga mnie do siebie, tak że leżę z powrotem na jego torsie. – Następnym razem chcę to zrobić powoli, chcę żeby trwało to godzinami.

Brakuje mi słów, żeby opisać, jak się czuję. Zamiast mówić, pochylam się i całuję go w szyję, tuż pod brodą.

Budzę się ponownie o siódmej. Tym razem Cole nawet nie drgnie, kiedy wstaję z łóżka. Nakrywam go kołdrą, upewniając się, że jest mu ciepło, a potem biorę szybki prysznic. Udaje mi się ubrać bez budzenia biedaka.

– Dzień dobry – mówi Abigail, wręczając mi kubek kawy, kiedy zjawiam się w kuchni. – Przespałeś się chociaż trochę?

– Trochę – wdycham. Jestem nieco obolała. Dwa numerki z Cole’em, a mnie przydałaby się miękka poducha pod pupę. – Cole wciąż śpi. Jest naprawdę zmęczony. Możesz dopilnować, żeby nikt go nie budził?

– Oczywiście. Aha, Frank przyjechał jakieś dwadzieścia minut temu. Jest na zewnątrz z Danielem, jeśli chcesz z nim porozmawiać.

– Tak. Dzięki.

Obchodzi wyspę, po czym mnie przytula.

– Proszę, nie wyjeżdżaj. Wszyscy cię tu kochamy. – Pociąga nosem, potem mnie puszcza.

Zaczynają szczypać mnie oczy.

– Ja też cię kocham, Abigail.

I tak rzeczywiście jest. Wow, naprawdę bardzo mi na niej zależy.

Zakładam kurtkę, wsuwam na nogi buty i wychodzę na werandę. Na dworze prószy śnieg. Ruszam w stronę Franka i Daniela, którzy stoją przy stajniach.

– Dzień dobry – mówię, podchodząc do nich.

– Witaj, Savannah – odpowiada Frank. – Podjęłaś już decyzję?

Daniel zdejmuje wełnianą czapkę, zakłada mi ją na głowę, po czym obdarza mnie uśmiechem Loganów.

– Do zobaczenia w domu.

*

Cole

Cole otwiera oczy i czuje, że coś jest nie tak. Przesuwa szybko ręką po pościeli i podskakuje, kiedy zauważa, że Savannah nie ma w łóżku. Cholera! Jest za piętnaście ósma, a Frank miał przyjechać o szóstej trzydzieści. Odślania panel przy drzwiach, wpisuje kod i biegnie do swojej sypialni. Potrzebuje czystych ciuchów.

Zbiega po schodach do kuchni, w której znajduje ojca i Abigail. Wyglądają na zmartwionych.

– Gdzie ona jest?

– Na zewnątrz, koło stajni – informuje go Abigail. – Rozmawiają od ponad godziny.

Cole podchodzi do okna. Widzi ich – Savannah stoi tyłem do domu, a Frank kiwa głową.

– Dlaczego nikt mnie nie obudził? – pyta, próbując zebrać myśli.

– Savi chciała, żebyś się wyspał.

No jasne. Opada na stołek barowy. Dochodzi do niego, że nie pamięta, kiedy ostatni raz spał po siódmej.

– Nie pozostaje ci nic innego, jak czekać – odzywa się Daniel zza jego pleców. – Wygląda na to,

że trochę to potrwa, więc idź się wykapać. Wyglądasz koszmarnie.

Korzysta z rady ojca i bierze krótki prysznic, po czym wraca do kuchni i siada przy stole. Matka podaje mu talerz z bekonem i jajkami. Drapie się w głowę. To czekanie go dobija.

– Jak się wczoraj czuła? – dopytuje jego matka, siadając naprzeciwko niego.

– Była zdezorientowana. Według mnie nie chce wyjeżdżać.

– Nie chce – stwierdza Keith, dołączając do nich. – Tak mi powiedziała, kiedy wracaliśmy z lasu.

Zapytała: „A co jeśli nie chcę odejść, co się wtedy stanie?”.

Cole czuje się przytłoczony nadmiarem myśli.

– Zastanawia się, czy nie wyjechać, ponieważ jeśli zostanie, narazi nas wszystkich na niebezpieczeństwo – mówi Daniel z nosem w kubku z kawą. – Zależy jej na nas tak bardzo, że jest gotowa zaryzykować własne życie, aby tylko być pewną, że nic nam się nie stanie. Niesamowita kobieta.

– Ciągłe jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo – obrusza się Keith. – Jakoś wcześniej nam to nie przeszkadzało.

Drzwi frontowe otwierają się i wszyscy milkną. Najpierw wychodzi trzęsąca się z zimna Savannah.

Cole szybko nalewa jej kubek kawy.

– Nie obudziłaś mnie.

– Potrzebowałeś się wyspać – odpowiada, wyciągając rękę i ściskając jego ramię.

Jej palce są jak lód. Gdy tylko bierze kubek, do pokoju wchodzi Frank.

– No cóż, twoja dziewczyna jest piekielnie dobra w targowaniu się – stwierdza, zdejmując czapkę i siadając przy stole. – Mam zlasowany mózg.

Cole znowu czuje, jak przewala mu się w żołądku, więc odchyła się do tyłu, trzymając się za blat wyspy.

Frank ostentacyjnie sprawdza godzinę, patrząc na swój zegarek.

– Muszę jechać do miasta. Wrócę wieczorem z moimi ludźmi, żeby przetransferować agenta Yorka z powrotem do Waszyngtonu.

Savannah podchodzi i ściska mu dłoń.

– Dziękuję.

Nikt nic nie mówi. Kiedy tylko Frank wychodzi, wszyscy kierują spojrzenie na Savannah.

– Tak więc – wzdycha – chyba jesteście na mnie skazani.

Cole opada na blat, a pozostali podchodzą do niej, by ją przytulić. Czuje, jakby jego stopy były przyspawane do podłogi.

Savannah odwraca się i staje na palcach, szepcząc mu przez ramię:

– Nie mogłam zostawić tego domu, chłopaków ani ciebie.

Kąciki jego ust unoszą się, gdy się nad nią pochyla.

– Nie pozwoliłbym ci, nawet gdybyś tego chciała.

Odwraca się do niego. Są tak blisko, że Cole czuje na policzku jej ciepły oddech. Rozgląda się i widzi, że wszyscy są czymś zajęci. Pochyla się więc i delikatnie całuje ją w usta. Savannah przechyla głowę zaskoczona, ale posyła mu szeroki uśmiech.

No i zakochał się.

Rozdział szesnasty

Savannah

Powoli pcham wózek alejką w markecie.

– Okej, czyli srebro i złoto? – pyta Abigail, gdy wchodzimy do trzeciego sklepu z ozdobami świątecznymi.

Ponieważ zdecydowałam się zostać (znowu), pomyślałam, że udekoruję dom na święta.

Abigail i June zwykle po prostu ubierają choinkę i to wszystko. W tym roku będzie inaczej. Skoro zostaję, udekorujemy dom tak, jak Lynn i ja robiłyśmy to w Nowym Jorku – zimowa kraina czarów.

– I czerwień – dodaję, gdy Abigail podnosi paczkę białych, błyszczących płatków śniegu. – Te są idealne. Ile jest w paczce?

– Hmm, dwanaście... o, zobacz, złote też są.

– Idealnie. Weź po trzy z każdego koloru.

Śmieje się i wrzuca je do wózka.

– Wiesz może, jak układa się Melanie i Markowi?

Abigail sięga po grubą czerwoną wstążkę. Kiwam głową na znak aprobaty i jednocześnie ładuję do wózka pudełko z ozdobami oraz czerwony welurowy okrągły chodniczek pod choinkę.

– Właściwie to nawet całkiem dobrze. – Odpowiadam, a jej twarz promienieje. – W końcu zaczął ze mną o niej rozmawiać. Chce ją zaprosić na pokaz iluminacji świątecznej w mieście, na który wszyscy się wybieramy.

– Wow, trochę jak oficjalne spotkanie z rodziną... znowu!

Wybuchamy śmiechem.

Po odwiedzeniu jeszcze trzech sklepów, jestem pod wrażeniem tego, co udało nam się skompletować. Paul kręci głową, gdy za każdym razem wychodzimy z pełnym wózkiem.

– Skoro już wiem, że z nami zostajesz, zapraszam was do Zacka – mówi. – Skoczę jeszcze tylko do spożywczego, żeby zaoszczędzić trochę czasu.

– Okej... – Waham się, czy dać mu listę zakupów.

– No co?

– Tylko nic nie pomył.

Posyła mi ironiczny uśmiezek, już to przerabialiśmy.

– Skoro na liście jest... – instruuję.

– Wiem. – Wrywa mi kartę z ręki. – Skoro na liście napisane jest ostry, wyrazisty ser, nie kupuj łagodnego. Rany, pamiętam. – Śmieje się, wsiada do SUV-a i macha mi na pożegnanie.

Zack jest przeszczęśliwy, że nas widzi. Nasza zaimprovizowana wyprawa na zakupy nie pozwoliła wcześniej poinformować go, że przyjdziemy. Dosłownie szaleje z radości. Adam, tak jak ostatnio, sadza nas przy kominku.

– Moje panie! Cóż za nieoczekiwana radość – wita się z nami serdecznie Zack. – Przyjechałyście do miasta na małe zakupy?

– Savannah chce, żeby świąteczny nastrój zapanował w całym domu, więc musiałyśmy dokupić trochę rzeczy. – Abigail uśmiecha się, zdejmując płaszcz.

– Chyba wykupiłyśmy wszystko, co było w mieście – żartuję.

– Wprost cudownie! – Pstryka palcami na Adama. – Butelka mojego ulubionego wina.

Adam biegnie na zaplecze.

– Usiądźcie wygodnie i pozwólcie Zackowi się wami zająć.

Uśmiecham się. Najwyraźniej taki ma już zwyczaj postępować z nami. Jestem jak najbardziej na tak. Zawsze przygotowuje nam świetne jedzenie.

– Mogę zadać osobiste pytanie? – Abigail bierze łyk wody.

– Pewnie.

– Kto cię nauczył grać na pianinie?

Odchrząkuję i tłamszę uczucie dyskomfortu, które pojawia się za każdym razem, gdy ktoś nawiązuje do tego tematu.

– Moja mama.

– Tak myślałam.

– Jak to?

Zastanawia się przez chwilę.

– W twojej grze słychać dużo emocji. Opowiesz mi o niej?

– Była cudowna. – Wzruszam ramionami, ale kiedy widzę, że Abigail jest naprawdę zainteresowana, kontynuuję: – Była matką z rodzaju tych, co to rzucają wszystko i idą się bawić ze swoim dzieckiem. Nauczyła mnie piec, jeździć na rowerze, śpiewać. – Nie mogę się powstrzymać i zaczynam chichotać. – W naszej rodzinie to ona umiała śpiewać. Ja tylko gram na pianinie.

– A co z twoim... – przerywa, zaczyna się rumienić i wachlować ręką.

– Abby?

Rozglądam się po restauracji.

– Nie, nie obracaj się – prosi. – Mów dalej.

– Tak, właśnie to robię – śmieję się zdziwiona.

Wtedy zdaję sobie sprawę, co na nią tak podziałało.

– Witajcie, Savannah, Abigail. Obie wyglądacie dzisiaj ślicznie.

– Dzięki, pan również wygląda nieźle – odpowiadam. – Jakie plany na dzisiaj, doktorze Roberts?

Przyglądam się twarzy Abby – jej odcień powoli zaczyna wracać do normalnego.

– Musiałem odebrać kilka zamówień i postanowiłem zjeść lunch.

– Proszę do nas dołączyć – zapraszam go, a oczy Abigail szeroko się otwierają.

– Dziękuję, z przyjemnością.

Adam podsuwa mu krzesło. Musiał nas obserwować.

– Jedząc ciągle w pojedynkę, człowiek czuje się bardzo samotny – przyznaje, siadając i spoglądając na Abigail, która jak do tej pory nie odezwała się słowem. – Śliczna bluzka, Abigail. Bardzo ci w niej do twarzy.

– Dziękuję. – Uśmiecha się nieśmiało. – A ja widzę, że założyłeś czerwony krawat.

Tym razem to doktor Roberts się rumieni.

– Tak, cóż, to mój ulubiony.

Prawie opada mi szczeka, kiedy zdaję sobie sprawę, że muszą nawiązywać do ich romansu z zeszłego lata.

– A więc, doktorze Roberts, ma pan jakieś plany na jutrzejszy wieczór? – Niezręcznie mi, że przerywam im taką miłą chwilę, ale mam zamiar podarować im kolejną.

– Raczej nie.

– Wspaniale. W takim razie proszę do nas wpaść na kolację. Jutro Abigail ma akurat wolny wieczór... – Patrzy na mnie zdziwiona. – Jutro ja gotuję. Jej siostra June przyjechała do nas i, jak dobrze rozumiem, nie miał pan okazji jej jeszcze poznać.

– Wolny wieczór? – Uśmiecha się do Abigail. – Wobec tego, jak mógłbym odmówić?

Muszę zacisnąć usta, by nie wykrzyknąć z radości.

– No to świetnie! Może być piąta?

Kiwa głową i widzę, jak Abigail stara się nie uśmiechać.

– Przepraszam na chwilę. Muszę skorzystać z toalety. – Uznaję, że przyda im się chwila sam na sam.

Kiedy idę do toalety, moją uwagę przyciąga gazeta leżąca na barze. Zerkam na pierwszą stronę i zaczynam czytać lokalne wiadomości o iluminacji świątecznej. Słyszę jakieś dzwoniące dochodzące z zewnątrz, wyglądam przez okno i zauważam kogoś po drugiej stronie ulicy. Jest w nim coś znajomego, ale po chwili znika. Zamieram. Odkładam gazetę, mrużę oczy, ale nic nie widzę, bo oślepia mnie słońce,

które odbija się od śniegu. W chwili gdy wydaje mi się, że widzę jego twarz, podjeżdża tramwaj, a mężczyzna odwraca się do mnie plecami i wskakuje do środka.

Otwieram frontowe drzwi i wychodzę na zewnątrz. Mam gonitwę myśli... ta niebieska kurtka, czerwona czapka, niebieska kurtka, czerwona czapka. Idę dalej wąskim, pokrytym śniegiem chodnikiem, skręcam za róg i widzę, jak mężczyzna wysiada przy kawiarni. Wbiegam nagle na ulicę, jakiś samochód hamuje tuż przede mną. Kierowca krzyczy na mnie, ale ledwie to rejestruję, skupiona na pościgu za nieznajomym. Wchodzę do kawiarni i przyglądam się wszystkim twarzom, po czym dostrzegam niebieską kurtkę na krześle, ale jej właściciela nie ma w pobliżu.

– Widzieliście mężczyznę, do którego należy ta kurtka? Widzieliście, jak on wygląda? – pytam parę przy stoliku obok krzesła z kurtką, ale oboje wzruszają ramionami i kręcą głowami.

Zwracam się do dwóch kobiet za kasą.

– Gdzie jest mężczyzna, którego kurtka tam wisi? Zamówił już coś? Jak on wygląda? – ponawiam szybko swoje pytanie.

– Nie, nie, nie jestem pewna – duka jedna z młodych kobiet. – Przepraszam.

– Proszę nie przepraszać, tylko pomyśleć. Gdzie on jest? – Prawie na nią krzyczę.

Wszyscy się na mnie patrzą, gdy nagle otwierają się drzwi od toalety i wychodzi z niej mężczyzna, poprawiając sobie pasek od spodni.

– To on – woła dziewczyna przy stoliku.

– To pana ta niebieska kurtka? – pytam mężczyznę.

– Tak – odpowiada.

O Boże. Drapię się w głowę. *Savi, co to, u diabła, było?* Chyba muszę pogadać z doktorem o tym, że zaczynam świrować. Kręcę głową, jest mi głupio.

– Przepraszam, wzięłam pana za kogoś innego. – Ruszam do drzwi, ale po chwili odwracam się.

– Przepraszam – wołam – ma pan czerwoną czapkę?

– Nie, zieloną. – Podnosi ją.

Żołądek mi się zaciska, kiedy znów patrzę na jego kurtkę. Jest inna. Jego to dwurzędowy płaszcz. Tamten miał na sobie kurtkę narciarską. Cholera.

Otwieram drzwi, przede mną stoją jacyś ludzie. Przytrzymuję dla nich drzwi, ale ci się nie ruszają. Podnoszę wzrok i widzę, że to Paul, który zerka na mnie z góry. O cholera...

– Co ty wyrabiasz?

– Przepraszam, myślałam... – Kręcę głową. Nie będę mu mówić, że wydawało mi się, że widziałam Jose Jorge'a. Wezmą mnie za wariatkę i prawdopodobnie skończy się to dodatkową godziną terapii u doktora Roberta. – Przepraszam.

– Masz cholerne szczęście, że cię znalazłem. Cole jest...

– Zadzwońeś po Cole'a? – warczę. – Ile mnie nie było, pięć minut?

– Nie, zadzwoniłem do Keitha, a ty zniknęłaś na piętnaście minut.

– Keith! – Unoszę ręce do góry i wymijam go. – Tym gorzej!

– Jak to gorzej? – Przypiesza, żeby się ze mną zrównać. – Słuchaj, nie możesz tak uciekać.

Zatrzymuję się i odwracam się do niego.

– Nie uciekłam. Po prostu pomyślałam... – Kręcę głową. – Słuchaj, to się więcej nie powtórzy. Przepraszam. Czy możemy po prostu o tym zapomnieć?

– Dobrze.

Lunch jest całkiem udany, zwłaszcza po tym, jak unikam ze dwudziestu pytań odnośnie do tego, co się stało. Doktor Roberts nie kupuje mojej bajeczki z wyjaśnieniami, ale przynajmniej na razie daje sobie z tym spokój. On i Abigail wyglądają na dużo bardziej zrelaksowanych. Oboje z niecierpliwością czekają na jutrzejszą kolację. Powoli mija przypływ adrenaliny, ale widok faceta w niebieskiej kurtce i czerwonej czapce zostaje mi w głowie. Gdzieś głęboko w środku mnie jest część, która uważa, że to mógł być on.

Abigail relacjonuje mi, o czym rozmawiali, kiedy mnie nie było. Doktor Roberts chyba już od jakiegoś czasu chciał się z nią umówić, ale nie był pewien, czy ona czuje podobnie. Jej twarz promienieje pozytywną energią. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak szczęśliwej. Obejmuje mnie, gdy idziemy do

samochodu, dziękując mi za jutrzejszy wieczór. Przez resztę drogi papla o różnych rzeczach. Ciągłe przyłapuję Paula na tym, że przygląda mi się w lusterku wstecznym.

Abigail opowiada June, jak spędziłyśmy dzień, a ja, opadając na kanapę, zerkam na wszystkie torby i zastanawiam się, czy nie powinnam zacząć dekorować domu, ale nie wstaję. Zamiast tego zamykam oczy, potrzebuję chwili namysłu. Słyszę, że ktoś odchrząkuje. Otwieram oczy i widzę przyglądającego mi się Keitha. Ma skrzyżowane na piersi ramiona i grobową minę.

Unoszę rękę.

– No dalej. Wszczep mi tego chipa.

Przewraca oczami.

– Uwierz mi, bardzo bym chciał – parska śmiechem. – Czyś ty oszalała?

– Możliwe. – Wzdycham, zakrywając twarz ramionami. – Cole wie?

– Tak. – *Jakże by inaczej.* – Był ze mną, kiedy dzwonił Paul.

– Jak bardzo był zły w skali od jednego do dziesięciu? – pytam, zerkając przez ramię.

– Było dziesięć, ale teraz powiedziałbym, że jakieś osiem.

Znowu wzdycham. Ostatnio coś często to robię.

– Ma telekonferencję, ale na pewno będzie chciał się z tobą później zobaczyć.

O, tak, z pewnością.

*

Cole

Cole wpatruje się w telefon przełączony na tryb głośnomówiący. Frank opowiada mu dokładnie, co wydarzyło się po tym, jak wyjechali z domu. Cole sięga po kryształową karafkę i nalewa sobie podwójną brandy. Ta cała gówniana sprawa wymyka się spod kontroli. Bierze łyk, odstawia szklanekę i rozprostowuje rękę, w której ścisnął długopis, odkąd Frank zaczął mówić.

– To jest kurewsko niewiarygodne!

– Ta, trochę się zadziało. – Frank odchrząkuje. – Muszę lecieć. Jesteśmy w kontakcie.

– Dobra.

Jest wyczerpany. Kiedy pociera twarz, przychodzi wiadomość od Abigail, która informuje go, że kolacja jest gotowa. Odpisuje jej, że nie dołączy do nich. Musi wykonać kilka telefonów, pierwszy będzie do ojca.

Cole wychodzi z gabinetu około dziesiątej. Idąc korytarzem, dochodzą go nikłe dźwięki muzyki. Wchodzi do salonu i zatrzymuje się gwałtownie. *O cholera jasna...*

– Wygląda niesamowicie, co? – pyta June, podając mu rum z ajerkoniakiem. – Pracowała nad tym cały wieczór.

Savannah stoi na drabinie i właśnie umieszcza gwiazdę na czubku choinki. Zdobia ją srebrne i złote bombki, a całe drzewko oplata gruba czerwona wstążka. Pod stojakiem leży czerwony aksamitny chodniczek. Gzyms kominka przyozdabia girlanda z lampkami i czerwoną wstążką. Nad nim wisi ogromny, gustownie oświetlony i udekorowany w tym samym stylu wieniec. We wszystkich oknach na różnej długości zawieszono srebrne i złote połyskujące płatki śniegu. Wszędzie poustawiane są świece, dopełniając świąteczny wystrój w całym pomieszczeniu. June wskazuje na poręcz przy schodach, którą oplata taka sama co przy kominku girlanda. Na stole w przedpokoju stoi duża donica z ogromną gwiazdą betlejemską. Savannah nawet ją lekko obsypała brokatem, aby błyszczała jak reszta ozdób.

– Wow. – To jedyne, co Cole jest w stanie powiedzieć.

– Wszystko w porządku, kochanie? Wyglądasz na zestresowanego.

Kręci głową. Teraz nie czas na zagłębianie się w przykre sprawy.

Jej uśmiech sprawia, że ma ochotę do niej podbiec.

– No i jak ci się podoba? – dopytuje Savannah.

– Wygląda niesamowicie.

Puszcza do niej oko, na co jej uśmiech robi się coraz szerszy.

Przez korytarz przechodzi Mark, trzymając worek ze śmieciami i zatrzymuje się obok Cole'a.

– Co się dzieje? – pyta cicho.

Cole kręci głową, gdy Savannah schodzi po drabinie. Derek oczywiście asekuracyjnie stoi przy niej na wypadek, gdyby spadła.

– Nie pogrywaj ze mną. Widzę po twojej minie, że szykuje się coś dużego.

– Pogadamy później. – Patrzy na Marka, mruży oczy i przygląda się jego brodzie. – Ładny brokacik.

– Daj spokój! – Mark syczy, wycierając brodę. – To gównu nie chce zejść. – Cole próbuje zdusić uśmiech. – A, odpiardol się! – piekli się Mark, po czym biegnie w stronę łazienki.

Po schowaniu pudełek, torebek i różnych opakowań, wszyscy spotykają się na drinka i coś słodkiego. Mark wstaje od stołu. Od czasu do czasu Cole zerka na niego z uśmiechem tylko po to, żeby się z nim podrażnić. Uwielbia robić sobie z niego bekę. Szuka wzrokiem Savannah, ale gdzieś zniknęła, więc wraca do rozmowy z Frankiem. Jego żołądek skręca się, gdy nawiedzają go czarne myśli.

– Możesz mi teraz powiedzieć, co się dzieje? A może mam zadzwonić do twojego ojca? – pyta stojący obok niego Mark.

– Na dół. – Wskazuje skinieniem głowy.

Zaczyna mu opowiadać, co się dzieje, ale nagle słyszy, jak Savannah szepcze coś do kogoś za rogiem. Patrzy na Marka i podnosi rękę.

– Tego nie wiem – jej głos się urywa.

– Cóż, taka jest umowa – precyzuje Derek.

Co, do cholery? Kiedy Cole robi krok naprzód i staje przed nimi, Savannah aż podskakuje na jego widok.

– Cole... – zaczyna mówić, ale on nie daje jej dokończyć.

– Co się tu, u diabła, dzieje? – Kręci głową, patrząc w oczy Derekowi. – Idź na górę, Rent – rozkazuje mu.

Derek patrzy na Savi.

– Dasz sobie radę?

Serio?

Savannah kiwa głową, przeczesując palcami włosy.

– Co ty tu z nim robisz? – Cole prawie na nią krzyczy. – Wiesz, jak to wygląda?

– Co ty...?

– Najpierw wybiegłaś z restauracji, zmuszając Paula do tego, żeby cię szukał i tym samym zostawił Abigail bez ochrony, bo co? Zachciało ci się pieprzonego ciasteczka z kawiarni? A teraz znajduję cię i Dereka szepczących w ciemności. Co się, kurwa, dzieje?

– Nie! To nie tak, jak...

– Wiesz co, nieważne. Nie chcę tego, kurwa, słuchać, Savi. Rusz czasem jebaną głową i dla odmiany pomyśl o kimś innym.

Savannah wbija wzrok w podłogę, dygocząc.

– Mogę w końcu coś powiedzieć?

– Nie. – Nerwowo zaciska zęby, próbując pohamować swój gniew. – Lepiej idź do siebie.

Patrzy, jak Savannah odwraca się na pięcie i wchodzi na górę po schodach.

Mark wychodzi z za rogu.

– Wow – szepcze.

– Zamknij się.

– Chyba trochę za ostro, Cole. Ta dziewczyna jest jedną z najbardziej bezinteresownych osób, jakie znam.

– Kurwa!

Cole pociera twarz. Dzisiejsze wydarzenia sprawiły, że emocje wzięły nad nim górę.

*

Savannah

Przechodzę przez jadalnię i wychodzę na patio. Desperacko potrzebuję świeżego powietrza. Chodzę po zaśniewionych deskach, próbując złapać oddech i ukoić zranione uczucia. Przez ostatnie dziesięć minut wiruje mi w głowie, oddycham ciężko, a przed oczami pojawiają mi się plamki. Zaciskam dłonie na brzuchu, próbując się uspokoić – cholera, cholera, cholera!

– Savi? – woła Derek, wślizgując się przez drzwi na patio. – Nic ci nie jest? Co się dzieje?

– Daj mi chwilę. – Unoszę rękę.

Przez słowa Cole'a i to, że być może widziałam dzisiaj Jose, chyba zaraz zwymiotuję kolację. Nagle atakuje mnie żywe wspomnienie, więc kucam, zwijam się w kłębek i zakrywam głowę ramionami.

– *Jedz, perra!* – krzyczy na mnie grubas, wpychając mi bułkę do ust. – *Jedz, albo znowu nakarmię cię moją pięścią.*

Wzdrygam się. Czy to naprawdę jego widziałam dzisiaj w mieście, czy tracę już rozum?

Kroki Dereka odbijają się echem, gdy podchodzi bliżej. Nic nie mówi, tylko kładzie mi rękę na ramieniu w przyjaznym geście, chcąc dać mi do zrozumienia, że nie jestem sama.

Pomaga mi to i mój żołądek uspokaja się nieco. Po chwili Derek wraca do środka, a ja wstaję i, próbując opanować nerwy, kieruję się do drzwi.

Widzę Keitha, który rozmawia z Johnem.

– Keith – zagaduję – możemy pogadać?

– Jasne – odpowiada i odchodzimy na bok.

– Z racji tego, że Cole nie chce mnie słuchać, bo jest zbyt pochłonięty wydzieraniem się na mnie, to czy ty mógłbyś mu powiedzieć, że wybiegłam dzisiaj z restauracji, bo wydawało mi się, że widziałam Jose Jorge'a?

Z twarzy Keith znika spokój i pewność siebie.

– Tak, okej – odpowiada.

Kiedy Keith pędzi do biura Cole'a, ja udaję się do swojego pokoju.

*

Budzę się o piątej. Chwilę zajmuje mi, zanim uświadomię sobie, że nie jestem z powrotem w mojej celi. Biorę prysznic, ubieram się i schodzę na dół do salonu, gdzie rozpalam kominek i kładę się na podłodze obok Scoota. Zwija się w kłębek przy moim brzuchu, gdy kładę się na boku, z głową opartą na ramieniu. Musiał zarwać noc, bo nie wymusza na mnie, żebym go drapała. Słuchanie z zamkniętymi oczami jego cichego mrużenia mnie odpręża.

– Co nam wiadomo? – Czyjeś słowa wyrrywają mnie z półsnu.

– Tylko tyle, że stał przed restauracją Zacka – słyszę głos Cole'a dochodzący z kuchni.

– Okej, gdzie ona teraz jest?

– U siebie.

Niezdarnie wstaję, czując lekki ból od leżenia na podłodze.

– Dobrze przyjrzała się jego twarzy? – Tym razem rozpoznaję już głos Daniela.

– W miarę – odzywam się, wychodząc zza rogu, na co oboje aż podskakują.

– Gdzie byłaś?

Cole przygląda się mojej pokrytej futrem koszuli. Nie odpowiadam, nadal jestem na niego wkurzona. Zamiast tego sięgam po kubek i nalewam sobie kawy.

– Powinnaś była komuś powiedzieć – upomina mnie Daniel, posyłając mi słaby uśmiech.

Staję przy wypie i odwracam się do niego, wciąż ignorując Cole'a.

– Miałam taki zamiar – mamroczę. – Muszę się przebrać.

– To potem przyjdź do nas, do biura Cole'a.

– Pewnie. – Kiwam głową i idę na górę.

*

Daniel otwiera mi drzwi do biura, wchodzę do środka i rozglądam się po pokoju. Widzę, że Keith siedzi naprzeciwko Cole'a i obaj wyglądają na równie zmęczonych co ja.

– Chodź, siadaj, Savannah. – Daniel wskazuje na wolne miejsce.

Keith uśmiecha się do mnie, gdy siadam obok niego. Wszyscy się na mnie gapią. Nie jestem pewna, czy powinnam coś powiedzieć.

Daniel odzywa się jako pierwszy.

– Więc opowiedz nam o wczoraj.

Wzdycham, próbując powstrzymać emocje, które znów zaczynają się we mnie kłębić.

– Szłam do toalety – zaczynam – i wtedy zobaczyłam gazetę na barze, więc zatrzymałam się, żeby rzucić na nią okiem. Potem spojrzałam przez okno i zobaczyłam na zewnątrz mężczyznę patrzącego w moją stronę. Wyglądał zupełnie jak Jose Jorge, byłam naprawdę wstrząśnięta. Nie mogłam w to uwierzyć, więc poszłam za nim. Musiałam się upewnić. Jose... – Urywam.

– Co Jose? – pyta Cole, pochylając się do przodu na krześle.

O Boże, niedobrze mi.

– To on mnie biczował. – Ocieram nieznosną łzę. Dosłownie czuję, jak gęstnieje atmosfera. – Musiałam wiedzieć, czy to on. Nie mogłam stracić go z oczu. Nie myślałam...

– No właśnie – syczy Cole.

Odwracam się do niego.

– Nie musisz mi przypominać, Cole! Wczoraj wystarczająco dobitnie mi to wyjaśniłeś – rzucam mu, aż ten się wzdryga.

– A potem co było? – pyta zwięźle.

– A więc jednak chcesz poznać szczegóły? – wypalam.

Nie mogę się powstrzymać; skrzywdził mnie.

– Tak – odpowiada i nerwowo zaciska zęby.

Odwracam wzrok.

– Poszłam za nim. Weszłam do kawiarni, ale go tam nie było. Zgubiłam go. – Pomijam część, w której nękałam biedną kasjerkę i jednego z klientów.

– Ten mężczyzna, który wyglądał jak Jose, jak był ubrany? – pyta Daniel.

– W niebieską kurtkę, czerwoną czapkę i džinsy.

– Dlaczego od razu nam o tym nie powiedziałaś? – chce wiedzieć Cole.

– Ponieważ czułam się głupio! Myślałam, że zobaczyłam człowieka, którego nienawidzę najbardziej na świecie. Ruszyłam za nim, żeby... co? Skonfrontować się z nim? Znęcał się nade mną przez siedem miesięcy, więc nie wiem, o czym myślałam. Miałam ci powiedzieć, Cole. Po prostu nie widziałam cię cały dzień, poza tą chwilą podczas dekorowania w salonie, ale potem znowu gdzieś zniknąłeś. – Przetykam ślinę i kontynuuję swoją tyradę. – Kiedy zesłam na dół po lód dla Abigail, wpadłam na Dereka. Zauważył, że jestem zdenerwowana, i zapytał, co się stało. Odpowiedziałam mu, że najpierw chcę z tobą o tym porozmawiać. Wtedy ty zszedłeś na dół i nas zobaczyłeś. Chciałam ci wtedy powiedzieć, ale nie dałeś mi szansy. Ochrzaniłeś mnie i zasugerowałeś, że pieprzę się z Derekiem. Nigdy bym ci tego nie... – urywam, bo przypominam sobie, że nie jesteśmy sami. Czuję, że muszę przeprosić Daniela. – Przepraszam, że tak zniknęłam. Zdaję sobie sprawę, jakie to było niebezpieczne, nie tylko dla mnie, ale także dla Abigail. – Spoglądam z powrotem na Cole'a. – Postąpiłam samolubnie. To się więcej nie powtórzy.

Cole kręci głową i wpatruje się w biurko. Wszyscy milczą.

– To wszystko? – pytam.

– Tak, Savi, możesz już iść. Dzięki – mówi Daniel, wstając.

*

Cole

Cole odchyła się na krzesło i patrzy za wychodzącą Savannah. Jego ojciec siada z powrotem na swoim miejscu i drapie się w głowę.

– Savi jest dzisiaj w złym humorze czy ja o czymś nie wiem? – pyta John, wchodząc do gabinetu. Nalewa sobie spokojnie kawę, ale w końcu orientuje się, że panuje napięta atmosfera, więc się odwraca.

– W czymś wam przeszkodziłem?

– Savannah twierdzi, że widziała Jose Jorge'a – informuje go Cole.

– Myślisz, że to był rzeczywiście on? – pyta John, spoglądając na innych.

– Nie wiem, ale była na tyle pewna, żeby zaryzykować i narazić się na niebezpieczeństwo. Poszła za nim. Paul dogonił ją dwie przecznice dalej.

– Jasna cholera.

– Keith, zajmij się tym. Zdobądź nagrania z monitoringu miejskiego i spróbuj się czegoś dowiedzieć.

– Pewnie. – Keith wyciąga z kieszeni komórkę.

Skrzynka mailowa Cole'a sygnalizuje nową wiadomość. Cole sprawdza i widzi, że to od Franka.

– Cholera!

Szybko otwiera załącznik i klika na ikonkę „drukuj”.

– Jakież kłopoty, synu? – pyta Daniel, widząc minę Cole'a.

Cole podaje kartkę Johnowi, który zerka na nią, po czym spuszcza głowę. Keith wyrywa mu ją z ręki i czyta równocześnie z Danielem, który zagląda mu przez ramię.

– Cholera, chłopcy... robi się poważnie.

Słowa starszego Logana zawisają w powietrzu.

Rozdział siedemnasty

Savannah

Muszę się czymś zająć. Przygotowywanie kolacji to za mało. Najlepiej wypocić to ogromne napięcie. Schodzę na dół w stroju treningowym. Zeskakuję ze schodów i ląduję z piskiem na wypolerowanej posadzce korytarza, prowadzącego do sali gimnastycznej. Moje nowe sneakersy mają żółtą neonową podeszwę. Abigail dobrze się spisała z zakupem sportowych ubrań dla mnie. Czarne legginsy do połowy łydki mają z boku żółty pasek, pasujący kolorem do tego na butach, i ładnie współgrają z czarnym sięgającym nad pępek topem. Otwieram drzwi i zauważam Paula i Dereka ćwiczących z hantlami.

– Cześć, Savi – woła Paul między kolejnymi powtórzeniami. – Przyszłaś się trochę spocić?

– Taki mam plan. – Rozglądam się po sali, próbując zdecydować od czego zacząć. Mój wzrok pada na drzwi w głębi. Keith wspomniał, że gdzieś tu jest ring bokserski, więc podchodzę do drzwi i zaglądam przez szybkę. Widzę, że instruktor pokazuje Johnowi kilka ciosów. Zaciekawiona wślizguję się do środka. Patrzę, jak John zadaje serię ciosów w trzymaną przez trenera rękawicę.

Wykonuje obrót, a potem kopie w powietrze.

– Okej, dobrze. Teraz zrób sobie pięć minut przerwy i postaraj się oczyścić umysł. Jesteś dzisiaj jakiś rozkojarzony – stwierdza instruktor i rzuca mu ręcznik.

John podnosi wzrok i mnie zauważa.

– A, to ty, Savi. Cześć.

– Hej. Chyba niezbyt ucieszył cię mój widok.

– Przepraszam. Zwariowany dzień. Widziałaś się z Cole'em?

– Dzisiaj rano, potem już nie. A co?

– Tak tylko pytam – odpowiada i bierze łyk wody. – Co tutaj robisz?

– Pomyślałam, że zajrzę na ring.

Dzwoni jego telefon, więc John wychodzi, żeby porozmawiać.

– Jestem Mario – zagaduje mnie instruktor, opierając się na linach.

– Savannah.

Mario mruży oczy.

– Boksowałaś kiedyś?

– Nie.

– A miałybyś ochotę?

– Pewnie. – Uśmiecham się, podaję mu rękę, a on podciąga mnie i rozsuwa liny, żebym mogła wejść na ring.

– Załóż to. – Podaje mi parę czerwonych rękawic. – Po pierwsze musisz poznać właściwą postawę.

Ponieważ jestem praworęczna, każe mi wysunąć lewą nogę do przodu, a prawą zostawić nieznacznie z tyłu. Ciężar powinien być równomiernie rozłożony na obu nogach, a kolana lekko ugięte. Mówi mi też, żebym trzymała stopy ukośnie – mają być rozstawione na szerokość ramion, może trochę bardziej – i żebym lekko uniosła prawą piętę. Dłonie w górę, łokcie w dół, oczy tuż nad górną częścią rękawic, które mają osłaniać podbródek.

– I oddychaj. – Uśmiecha się. – Okej, nie będę teraz omawiał szczegółowo kroków w boksie, bo zaraz wróci John, ale możemy zobaczyć, jak wyprowadzasz ciosy. Postaraj się przy tym trochę zabawić.

Uśmiecham się na jego słowa. Wyprowadzam pięść do przodu i uderzam w rękawicę.

– Dobrze, ale tym razem zrób wydech przy uderzeniu i nie napinaj pięści ani ramienia, dopóki nie trafisz w cel.

– Dobra. – Kiwam głową, starając wszystko zapamiętać.

Wracam do pozycji wyjściowej i próbuję ponownie, tym razem nie zapominając o prawidłowym oddychaniu.

– Nieźle! – Uśmiecha się. – Jeszcze raz.

Po kilku rundach to on uderza, pokazując mi, jak blokować ciosy.

– Że co? – dziwi się Derek, stając w drzwiach. – Mario zaciągnął Savi na ring?

– Tak. – Wyprowadzam cios w ramię Mario, ale ten blokuje mnie w ostatniej chwili. – Lepiej uważaj, Derek. Wypracowuję sobie tutaj nieziemskie umiejętności – żartuję, jednocześnie próbując uniknąć ciosu, ale i tak dostaję w ramię.

– Naprawdę? – śmieje się. – Dzięki za ostrzeżenie.

– No nie! – wykrzykuje Paul, odsuwając na bok Dereka. – Savi, ty na serio?

– Co? – pytam, patrząc na wracającego Johna, który najwyraźniej skończył rozmawiać przez telefon.

Derek wychodzi, śmiejąc się.

– Dobrze wiesz co – odpowiada Paul, przyglądając mi się.

– Savi, prosisz się o kłopoty – bąka pod nosem John, a następnie siada i wyciąga proteinowy baton, którego zjada w dwóch kęsach.

– Jestem dwudziestoosmioletnią kobietą. – Wyprowadzam kolejny mocniejszy cios, zaskoczona własną siłą. – Jeśli chcę nauczyć się boksować, to mam do tego prawo – oznajmiam, po czym wyprowadzam dwa szybkie ciosy. – Więc, jeśli moglibyście...

John podnosi ręce na znak, że się poddaje.

– No dobra – Mario przygląda się wszystkim – o czym nie wiem?

– O niczym – mamrocze i zadaje kolejny cios.

– Sparingujesz z dziewczyną szefa – oświeca go Paul.

– Paul! – wykrzykuję. – Pogięło cię?

– Serio? – Mario robi zdziwioną minę.

– Serio! – potwierdza Cole, stając w drzwiach.

Wszyscy odwracamy się w jego stronę. *No świetnie.*

– Przepraszam, Savi. – Mario kręci głową i zaczyna zdejmować rękawice.

– Savi, z ringu – rozkazuje Cole i macha na mnie.

– A niby dlaczego miałabym to zrobić? – pytam, czując, jak podnosi mi się ciśnienie.

– Savi – ostrzega mnie Cole.

– Korzystanie z siłowni przez klientów nie jest sprzeczne z zasadami obowiązującymi w tym domu. – Rozglądam się teatralnie dookoła. – A ja jestem właśnie na siłowni.

– O, rany – komentuje cicho John, chwytając swoją torbę i wychodzi, a za nim szybko podąża Paul.

Mario schodzi z ringu i też wybiega z sali. Świetnie. Zostaję sama z Cole'em. Zrezygnowany przeczesuje włosy palcami i podchodzi do mnie.

– Masz rację, Savannah, klienci mogą korzystać z siłowni. – Wskakuje na ring i przechodzi pod linami. Robi dwa kroki i już jest przede mną. – Ale jako moja dziewczyna nie chcę, żebyś z kimś się boksowała.

– Cole – pryham, zdejmując rękawice i odrzucając je na bok. Obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie. Chciałabym się wtulić w jego ramiona, ale nadal czuję się przez niego zraniona. – Po tym, co powiedziałeś wczoraj wieczorem...

– Przepraszam, Savannah – przerywa mi. – Nie dałem ci szansy na wytłumaczenie się. Pochopnie wyciągnąłem wnioski. Przepraszam.

– No właśnie, ale powiedziałeś też kilka rzeczy, które naprawdę mnie zabolęły. – Uwalniam się z jego uścisku. – Serio, myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę i odpocząć od siebie. Moja głowa...

– Nie pozwolę ci odejść, bez względu na to, jak mocno będziesz mnie odtrącać. Pokłóciliśmy się, ale pary czasem się sprzecząją...

– Pary też sobie ufają – podkreślam. – Ty najwyraźniej mi nie ufasz.

Podchodzi do mnie.

– Ufam ci. Po prostu wczorajszy dzień był beznadziejny, do tego ty jeszcze zniknęłaś. A potem zobaczyłem cię na dole z Derekiem. Nie powinienem się na tobie wyładowywać. To nie było w porządku. Przepraszam, kochanie. – Pochyla się i całuje mnie w czoło. – Proszę, powiedz, że mi wybaczasz.

Wzdycham, ręką obejmuję go w pasie. Cole opiera brodę na mojej głowie.

– Wybaczam. – Stoimy tak przez kilka minut, oboje tego potrzebujemy. – No to mogę sparingować?

– Nie.

– Czemu?

– Bo nie lubię patrzeć, jak ktoś cię bije, nawet jeśli to tylko zabawa.

– W porządku. – To znaczy, nie potrafię się z nim spierać po takiej odpowiedzi. To słodkie, jak bardzo się o mnie troszczy. – To co robimy z Jose?

– Omówimy to dziś wieczorem przy kolacji.

O nie.

– A nie możemy tego zrobić po kolacji?

Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć.

– Dlaczego?

– Bo zepsujesz nastrój. Chciałabym, żeby dziś wieczorem było miło i przyjemnie.

– Tak?

Przyciąga mnie z powrotem do siebie.

– Abby i doktor Roberts mają się ku sobie. Mam zamiar im trochę pomóc.

Kręci głową, po czym cicho się śmieje.

– No dobrze, ale i tak musimy później o tym pogadać.

– Zgoda.

Pomaga mi zejść z ringu i razem idziemy przez siłownię. Jego wzrok pada na mój brzuch.

– Nie podoba mi się ten top. Jest wstrętny.

– Nie, wcale nie – śmieję się.

*

June wręcza Abigail duży kieliszek białego wina.

Abigail marszczy brwi.

– Wiesz, że lubię czerwone.

– Nie dzisiaj, Abby. – June posyła jej gniewne spojrzenie. – Nigdy nie pije się czerwonego wina na pierwszej randce. Chcesz mieć przebarwienia na zębach?

– Masz rację.

Odwracam się, żeby ukryć uśmiech. Przykrywam pojemnik z sałatką z fetą i wkładam go do lodówki, myśląc o rzeczach, które muszę jeszcze zrobić. Okej, sałatka jest gotowa, kurczak przyszykowany, warzywa posiekane. Teraz czas na deser.

– Ładnie ci w tej różowej sukience, Abby – komentuję, żeby pomóc jej się rozluźnić.

– To sukienka June – odpowiada, wyglądając materiał. Wcale mnie to nie dziwi. June jest młodsza i interesuje się modą. Abby spogląda na mnie. – Dzięki, kochanie. Ty też ślicznie wyglądasz.

Uśmiecham się, patrząc w dół na fioletową bluzkę z dekoltem w szpic, czarne obcisłe skórzane spodnie i szpilki.

– Czyli w ten weekend jest festiwal światła. Wszyscy planujemy wybrać się do miasta? – pyta Mark, wchodząc do kuchni. Staje jak wryty, gdy widzi Abigail w kopertowej sukience. – A co ty masz na sobie? – pyta i odwraca się do mnie. – Co się dzieje? Dlaczego jesteście takie wystrojone?

– Uspokój się, Mark – mówi June. – Doktor Roberts przychodzi na kolację.

– A, okej. – Rusza w stronę lodówki, ale po chwili się zatrzymuje. – Czekaj. – Patrzy na Abigail.

– Ale w sumie to po co tak się wystroiliście?

– Prawie się udało. – June sączy wino, uśmiechając się.

– Czy ty...? Czy to jest...? – Kręci głową. – Jesteście ze sobą?

– Nie – odpala. – Po prostu przychodzi na kolację. – Biedna Abigail z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Czy tylko ja nic o tym nie wiem? – zwraca się do mnie. – Cole wie? Nie no, jasne, że wie. – Podnosi ręce do góry. – Nie wiem, co mam o tym myśleć. To znaczy, nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanowić. – Opada na stołek barowy i drapie się w głowę. – W sensie, doktor to dobry człowiek, ale czy jest wystarczająco dobry? – zaczyna gadać do siebie, a June tylko przewraca oczami. Kiedy rozlega się dzwonek do dzwoni, Mark zrywa się ze stołka i poprawia koszulę. – Otworzę.

– Tylko bądź miły – ostrzega go Abigail.

June i ja wybuchamy śmiechem, aż musimy złapać się blatu.

– Dawno się tak nie ubawiłam – stwierdzam, opuszczając ręce na kolana i próbując złapać oddech.

– Jest taki opiekuńczy – rozczula się June, ocierając łzy. – To takie słodkie.

– Tak. – Abigail kiwa głową, dopijając wino. – Dobra. – Wstaje i wygładza dół sukienki. – Moje panie, idziemy.

– Muszę jeszcze coś dokończyć, więc idźcie beze mnie. Niedługo do was dołączę – mówię, napełniając kieliszek June, zanim uda się do salonu.

Nastawiam piekarnik i kucam, żeby włożyć ziemniaki. Kiedy wstaję, czyjes dłonie obejmują moją talię.

– Hej.

– Cześć – mówi Cole, kładąc brodę na moim ramieniu. – Ładnie wyglądasz i pachniesz jak ciastko.

Wyczuwam, że jest zestresowany; ma zmęczony głos.

– Wszystko w porządku? – pytam, a potem kładę dłonie na jego dłoniach i przyciągam go bliżej siebie.

– Nie bardzo – przyznaje – ale o tym później. – Całuje mnie w ramię. – Potrzebowałam teraz tego. – Wzdycha i zanurza nos w mojej szyi.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Odwracam głowę i całuję go w usta. – Przyjechał doktor Roberts i Mark świruje. – Śmieję się, przypominając sobie scenę sprzed chwili. – To było naprawdę zabawne, kiedy dowiedział się, dlaczego przyjechał.

– No ja myślę.

Gdzieś w oddali słychać Dereka. Cole krzywi się na dźwięk jego głosu.

– Co się wydarzyło między wami?

Wzdycha.

– Jeszcze z pięć lat temu próbował być bohaterem, a teraz nawet mnie nie krył, kiedy sprawdzaliśmy tamten dom. Jakiś gość z kartelu omal nie poderżnął mi gardła nożem przymocowanym do karabinu.

Gwałtownie nabieram powietrza i zakrywam usta.

– Nie chodzi już nawet o to, co się stało, tylko o to, co było później. Nie mamy przecież dbać o samych siebie, tylko o całą jednostkę. Dlatego nigdy nie będzie należał do Blackstone. Nie ufam mu.

– Rozumiem.

Głos Dereka jest coraz bliżej, więc próbuję wyswobodzić się z uścisku, ale Cole nie chce mnie puścić.

– Cole?

– Jeszcze chwilę.

Uśmiecham się.

– Może przytulisz mnie dziś wieczorem? – proponuję.

Czuję, jak jego klatka piersiowa unosi się i ciężko opada, potem znowu całuje mnie w ramię i robi krok do tyłu.

– Hej, Savi – mówi Derek, wchodząc do kuchni. – Co jest na kolację?

Odwracam się do lodówki i wyciągam piersi z kurczaka.

– Kurczak faszerowany fetą i pieczoną czerwoną papryką.

– Mmm, brzmi nieźle.

Pochyla się, żeby rzucić okiem.

– Muszę wrzucić to na grilla.

Sięgam po kurczaka, ale Cole bierze ode mnie talerz i mówi, że on to zrobi.

– Cole jest coś nie w sosie – komentuje Derek, siadając przy kuchennej wyspie.

– No cóż, wątpię, żebyś był szczęśliwy, zmagając się każdego dnia z tym co on.

Chcę nalać sobie wina, ale Derek chwyta za butelkę pierwszy.

– Ja to zrobię. – Uśmiecha się do mnie. – No to powiedz mi, Savi. Spotykałaś się z kimś, zanim...

– urywa.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą, ale już domyślam się, do czego zmierza.

Przysuwa się do mnie odrobinę bliżej.

– Pomyślałem, że powinnaś dać mi się gdzieś zaprosić. No wiesz, na jakąś randkę.

No i proszę bardzo. Tak jak myślałam...

– Koles, ale ty jesteś ślepy – śmieje się Keith, wchodząc do kuchni.

Najwyraźniej usłyszał tę niezręczną gadkę.

Cole wraca do środka i stawia talerz na blacie. Patrzy na mnie, potem na Keitha. Jestem pewna, że zastanawia się, dlaczego powietrze wydaje się tak naelektryzowane.

– To jak? Piątek o szóstej? – naciska Derek, nie dbając o towarzyszącą nam publiczność ani o to, że jest to wbrew zasadom domu.

Keith opiera się o lodówkę i uśmiechnięty patrzy raz na mnie, raz na Cole'a, napawając się każdą sekundą tego przedstawienia.

– Co się dzieje? – szepcze Mark, podchodząc do Keitha.

– Savi właśnie została zaproszona na randkę.

Wpatruję się w nich obu.

– Aha! – Twarz Marka nagle się rozjaśnia. – Aha. Okej, kontynuujcie. – Macha ręką, jakby to był jakiś uliczny performance.

– A, tu jesteś, Savi – mówi June, podchodząc do mnie. – Chodź przywitać się z doktorem. W końcu to ty go zaprosiłaś.

– Jasne – odpowiadam, siląc się na uśmiech. – Przepraszam.

Mam ochotę rzucić się June na szyję w podziękowanie za ratunek, ale sama pierwsza mnie obejmuje i puszcza do mnie oko. Najwyraźniej musiała usłyszeć naszą rozmowę. Mówię bezgłośnie „dziękuję” i idę przywitać się z doktorem.

Cole dotrzymuje słowa i przy kolacji nie wspomina o pracy. Unika ciężkich tematów, chociaż co jakiś czas przyłapuję jego i Marka na wymianie spojrzeń. Doktor Roberts i Abigail doskonale się dogadują. June wygląda na zachwyconą, widząc, jak jej starsza siostra dobrze się bawi w towarzystwie mężczyzny. Nie żeby Abigail piała z zachwytu, ale na pewno promienieje.

– Aż trudno uwierzyć, że sama to wszystko zrobiłaś – stwierdza doktor Roberts, zataczając ręką krąg po pokoju. – Po prostu rewelacja. Zdecydowanie masz smykałkę do dekorowania wnętrz.

– Dziękuję. – Uśmiecham się. – Boże Narodzenie to moja ulubiona pora.

– Uwielbiam, że uwielbiasz Boże Narodzenie i że to jest twoja ulubiona pora. – Keith uśmiecha się i sięga po ciastko. – To jest takie dobre.

– To sernik? – pyta Mark, chociaż doskonale wie, że tak.

Odchyła się i sięga do stołu za nim.

– Jak słowo daję, siedzisz tam tylko po to, żeby być blisko ciasta – rzucam.

– Tak. – Mark śmieje się i kładzie na talerzu wielki kawałek sernika.

Po jakimś czasie udajemy się do salonu na drinka. Spotkanie nabiera tempa. Cole rozmawia z doktorem Robertsem. Wyglądają na pogrążonych w dyskusji, więc zostawiam ich samych.

– Nie odpowiedziałaś w końcu na moje pytanie – odzywa się za mną Derek.

Cholera. Odwracam się i silę na uśmiech.

– Właściwie to spotykam się z kimś, ale twoja propozycja bardzo mi schlebia.

– Spoko. – Wsuwa ręce do kieszeni. – Przepraszam. Nie proponowałbym ci randki, gdybym

wiedział.

– Nic się nie stało.

– Czy mogę prosić wszystkich o uwagę? Mam kilka informacji, którymi chciałbym się z wami podzielić – woła Cole. – Proszę, podejdźcie tutaj wszyscy. Mijamy to już z głowy. – Ruszam w stronę Cole’a, ale Keith ciągnie mnie za rękę, więc siadam obok niego i June.

– Przyszliśmy za późno? – pyta Daniel, wchodząc z Sue do salonu.

– Nie, w samą porę – odpowiada Cole i kiwa im głową, kiedy siadają.

Zwracam uwagę, że nie wita się z nimi tak serdecznie jak zazwyczaj. Sue wydaje się trochę nieswoja, ale udaję, że tego nie zauważam. Wszyscy zbieramy się wokół Cole’a i czekamy, aż zacznie.

– W porządku – mówi, kładąc dłonie na biodrach. – Wczoraj około siedemnastej Frank wraz z agentem Bridgesem wystartowali do Waszyngtonu, żeby przetransportować Yorka. Po trzydziestu minutach lotu York przechwycił broń Bridgesa i go zastrzelił, a w trakcie szamotaniny zabłąkana kula trafiła pilota. – Przerywa, gdy wszyscy zaczynają szeptać, po czym kontynuuje: – W dalszej walce Frank strzelił do Yorka, raniąc go śmiertelnie. Nie będę zdradzał wam wszystkich szczegółów, powiem tylko, że pilotowi udało się dolecieć do Waszyngtonu. Nic mu nie jest, po prostu przez jakiś czas będzie uziemiony. – Wygląda na zmieszanego, kiedy dochodzi do niego, że z tego, co powiedział, wyszedł mu niezamierzony żart.

– Biedny agent Bridges. Miał rodzinę? – szepcze Abigail.

– Nie miał dzieci, ale miał żonę. Skontaktowano się z nią – wykrztusza Cole.

– Dlaczego to zrobił? – pytam, nie mogąc pojąć sensu tego wszystkiego.

– York przyznał się Frankowi, że sprzedawał kartelom informacje. – Patrzy mi w oczy. – I do zatrucia Savannah.

Kręcę głowę z niedowierzaniem.

– Przysiągł, że nie zdradził lokalizacji naszego domu, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim to na nim wymuszą, więc chciał się wycofać. Wygląda na to, że trochę go to przerosło. Myślał, że może działać selektywnie, jeśli chodzi o to, co im powie, a czego nie. Mylił się.

– Z Frankiem wszystko w porządku? – rzuca Mike zza moich pleców.

– Tak. – Cole rozgląda się po zebranych. – Znałem Yorka od dziesięciu lat. Naprawdę wierzę, że nie zdradził lokalizacji Shadows. Zrobił się chciwy, ale nawet on nie mógłby tego zrobić, jego moralny kompas nie pozwoliłby mu posunąć się aż tak daleko.

Kilka osób zaczyna wstawać, ale Cole odchrząkuje.

– Jeszcze jedna rzecz. – Patrzy na mnie. – Dziś rano grupa Blackstone otrzymała wiadomość, że została postawiona w stan najwyższej gotowości.

Moje tętno spada. Wiem, co to oznacza: jak tylko dostaną sygnał, będą musieli wyjechać niemal natychmiast.

– Frank dostał potwierdzenie lokalizacji Amerykanina. Mamy zielone światło, żeby go zgarnąć, żywego lub martwego.

Niedobrze.

– Czy Frank dał jakieś wskazówki co do tego, kiedy to może nastąpić? – pyta Sue, ściskając ramię swojego męża.

Cole bierze łyk drinka.

– W zasadzie w każdej chwili. Czekamy na dokładne namiary, wtedy będziemy mogli wyruszyć. – Znów spogląda na mnie, ale odwracam wzrok. Targają mną najbardziej pierwotne emocje. – Na razie robimy to, co zwykle. Nie sądzę, aby stanowiło to bezpośrednie zagrożenie dla naszego domu. To wszystko na teraz. Będę was informował na bieżąco.

Dopiero po chwili wszyscy zaczynają się rozchodzić. Ja natomiast od razu zrywam się z kanapy, potrzebując trochę przestrzeni. Wpadam do kuchni, kiedy słyszę za sobą głos Cole’a.

– Hej, hej, hej – Cole dotyka mojego ramienia – nie uciekaj.

– Nie uciekam. – Zamykam oczy, nie znoszę, kiedy go okłamuję. – Okej, tak, chciałam uciec.

Podchodzi bliżej, przesuwa dłoń w dół po moim ramieniu, *splata palce z moimi palcami*, unosi je do ust i całuje.

– Wszystko będzie dobrze.
– Skąd możesz to wiedzieć?
– Bo los nie zesłał mi ciebie tylko po to, żeby zaraz mi cię odebrać. – Uśmiecha się i całuje mnie w usta. – A teraz, kiedy mam do kogo wracać, będę musiał być bardziej ostrożny.

Znowu mnie całuje.

Próbuję pozbierać myśli, ale nie mogę zapomnieć o tym, że w każdej chwili może wyjechać.

– Możesz mi coś obiecać?

Jego twarz się spina, ale kiwa głową.

– Obiecuj mi, że niezależnie od tego, kiedy dostaniecie sygnał do wyjazdu, bez względu na to, gdzie będziesz i co będziesz robił, to zanim wyjedziesz, przyjdiesz i pożegnasz się ze mną.

Łza spływa mi po policzku, Cole wyciera ją palcem. Przesuwa dłonią po moim karku i całuje mnie z taką pasją, że zapominam o oddychaniu. Robi krok do tyłu.

– Obiecuję skarbie.

Kiwam głową. Podaje mi chusteczkę. Wycieram policzki i biorę głęboki wdech.

– Tu jesteś – mówi Derek. – Chciałem sprawdzić, jak się trzymasz.

– Nic mi nie jest – zapewniam go. – Jest okej.

Proszę odejść.

– A wiesz, co oznacza skrót okej? – pyta z szerokim uśmiechem na ustach.

– Obawa, konfuzja, emocje, jątrzenie – odpowiadam. – Jestem fanką śmiesznych skrótowców, jak Edward Norton.

Derek odchyła głowę do tyłu i śmieje się głośno.

– Słyszałem, że jesteś zabawna, ale widzę, że też bystra. Podobasz mi się.

Cole, który stoi naprzeciwko mnie oparty o kuchenną wyspę, pociera twarz rękami. Wiem, że Derek działa mu na nerwy, kiedy ze mną flirtuje.

– A tak w ogóle, to z kim się spotykasz? – zagaduje beczelnie.

– Ze mną – odpowiada Cole, opuszczając ręce.

Otwieram usta ze zdziwienia, ale szybko odzyskuję panowanie nad sobą.

– Z tobą? – Derek otwiera szeroko oczy. – Jesteś z Savannah?

– Tak.

– Czy to nie wbrew zasadom tego domu?

Cole wpatruje się w niego.

– Mój dom, moje zasady, pamiętasz?

– Wygodne – parska. – Nieźle, szef wkłada rękę do garnka z miodem.

– Czy sam nie próbowałeś zrobić tego samego, Derek? – pytam.

– Nie zapominaj się, agencie Rent. – Cole prostuje się i mierzy do niego palcem. – Może mieszkamy pod jednym dachem, ale niezależnie od tego powinieneś odnosić się do mnie jak do swojego przełożonego.

Derek zaciska zęby, ale potakuje skinieniem głowy.

– Tak jest – odpowiada szybko, odwraca się i wychodzi z kuchni.

– Cole – podchodzę do niego i pociągam go za koszulę – zabierzesz mnie do łóżka?

Uśmiecha się do mnie.

– Jasne, skarbie.

Gdy wchodzimy do pokoju, Cole wciąż wydaje się poirytowany.

Siadam na krześle przed oknem i patrzę, jak sypie śnieg. Płatki uderzają o szybę, by po chwili stopić się i spłynąć setkami potoczków.

Przygasa światło i w pokoju rozbrzmiewa *Crash Into Me* Dave'a Matthews'a. Cole staje przede mną, mój wzrok leniwie przesuwa się po jego ciele. Ma rozpiętą koszulę, podwinięte rękawy, jest bez krawata, ręce wsunął do kieszeni. Kąciaki moich ust kierują się ku górze. Ten człowiek to doskonałość w najczystszej postaci.

Kuca przede mną, łapie mnie za łydkę, przesuwa dłoń w dół, aż dosięga stopy, z której delikatnie zdejmuje but. To samo robi z drugim.

Obserwuję, jak mięśnie jego brzucha napinają się, gdy się porusza. Patrzy na mnie płonącym z pożądania wzrokiem, po czym chwyta mnie jedną ręką za udo, a drugą podtrzymuje moje plecy.

Oplatam jego szyję, kiedy mnie podnosi.

Patrzy na mnie *zmrużonymi oczami*, trudno odczytać wyraz jego twarzy, ale widać na niej wahanie.

– Cole?

Jego uścisk zacieśnia się, po czym delikatnie kładzie mnie na łóżku. Zdejmuje koszulę, rzuca ją na podłogę i nakrywa mnie swoim ciałem. Jego usta znajdują moje, powoli i delikatnie przesuwają językiem po wewnętrznej stronie moich warg.

– A teraz będę się z tobą kochał tak, jak na to zasługujesz. – Odgarnia mi włosy z twarzy i przechyla głowę. – Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. – Całuje mnie wzdłuż linii szczęki aż do ucha, po czym zatrzymuje się na chwilę, a z jego ust wyrывa się długi jęk. – To tak, jakby ktoś wszedł mi do głowy, poznał moje najskrytsze pragnienia i stworzył z nich ciebie.

– Cole – szepczę, czując, jak emocje biorą nade mną górę – nikt nigdy nie sprawił, że...

Nie pozwala mi dokończyć, jego wargi wpijają się w moje. Przesuwają rękę po moim biodrze i rozpinają mi spodnie. Zdziera je ze mnie i odrzuca przez ramię.

Podnoszę się i zdejmuję bluzkę, desperacko pragnąc jego ust z powrotem na moich.

Cole błyskawicznie ściąga swoje spodnie, po czym zaczyna całować mój brzuch. Jego dłonie przesuwają się w górę do moich piersi i delikatnie pieszczą je przez koronkowy biustonosz.

– Jesteś taka miękka – szepcze między pocałunkami. – Tak idealna.

Jego gorące dłonie odpinają zapięcie stanika, złaknione usta całują moje piersi.

Opadam z powrotem na poduszkę, przez *moje ciało* przebiega *dreszcz* podniecenia.

Rozkładam nogi, a wtedy Cole kładzie się między nimi, ustawia się i wchodzi we mnie. Jego tors przylega płasko do moich piersi, dłońmi obejmuje moją twarz i wpatruje się we mnie z absolutnym uwielbieniem.

– Przeraza mnie to, jak bardzo cię potrzebuję, Savannah.

Jestem poruszona jego słowami, aż wstrzymuję oddech.

– Czuję wręcz fizyczny ból, kiedy nie ma cię w pobliżu i nie mogę cię dotknąć.

Przesuwam palcami wzdłuż linii jego szczęki, a on pochyla głowę i zamyka oczy.

– Jestem tutaj, cała twoja i gotowa na twój dotyk – zapewniam go.

Wypuszcza z jękiem powietrze, wsuwa głębiej we mnie swój twardy członek, rozkosznie i nieznacznie powoli. Unieruchamia mnie i wsuwa się do końca, patrząc mi w oczy.

Dostrajam się do melancholijnego głosu Sama Smitha śpiewającego *Not In That Way*. Zamykam oczy, moje emocje są jak zawodnicy grający w przeciąganie liny. Dla tego mężczyzny moje serce bije jak oszalałe, zaplątane w sieć miłości, która prawie uniemożliwia oddychanie.

Cole daje upust swoim uczuciom, otwiera przede mną serce i odsłania duszę. A ja nie mogę pozbyć się natrętnej myśli, że niedługo wyjedzie.

– Nie rób tego, kochanie – mruczy nad moim policzkiem, poruszając się we mnie niespiesznym tempem. – Nie myśl teraz o tym. Obiecuję, że wrócę.

Zaciskam usta, roniąc kilka łez.

Nachyla się, by scałować je z moich policzków.

– Bądź tu teraz ze mną, moja słodka Savannah.

Otwieram oczy.

– Oddaj mi się cała. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to pokiwać głową, po czym Cole całuje mnie do utraty tchu.

Wolne tempo przyprawia mnie o zawrót głowy. W moim podbrzuszu kula ognia robi się coraz bardziej gorąca. Zaczynam się niecierpliwic, więc oplatom go nogami w pasie, czując, jak drżą mięśnie jego pleców. Ciągnę za prześcieradło, gdy szepcze moje imię.

– Cole! – błagam, wiedząc, że jestem już tak blisko.

Zaczyna całować mnie w obojczyk.

Mieszanka jego ciężkich oddechów i gorących ust doprowadza mnie na skraj ekstazy. I nagle

wystrzeliwiają fajerwerki, dają się ponieść i wyłączam myślenie. Mogę tylko odczuwać. Wiję się pod nim, kręcę i zaciskam się na nim. Krzyczę coś bez sensu, choć nie do końca zdaję sobie z tego sprawę. Cole drży, łapie mnie za uda i wsuwa się głębiej. Doznania są zbyt silne, ale nie chcę, żeby ta chwila się skończyła. Pot spływa mi po skórze, moje ręce ściskają prześcieradło ze wszystkich sił, naszymi ciałami targają gwałtowne *konwulsje* i razem szczytujemy. Czuję się teraz jak piórko, które powolutku opada na ziemię.

Osuwam się na materac, jestem tak słaba, że nie mam siły się ruszyć. Mam wątpliwości, czy kiedykolwiek zdołam. Cole odgarnia mi włosy z twarzy, uśmiechając się do mnie. Wychodzi ze mnie, a ja wzdrygam się na tę rozłąkę. Wstaje, bierze niewielki ręczniczek, którym przeciera mi twarz, a potem ciska go w stronę łazienki. Odwraca się do mnie i wskakuje z powrotem do łóżka. Przyciąga moje bezwładne ciało do swojej klatki piersiowej, a następnie przesuwając palcami po moim kręgosłupie.

Zamykam oczy i poddaję się pokusie zatopienia się w słodkiej iluzji. Po raz pierwszy rzeczywiście czuję, że tutaj jest moje miejsce, w ramionach Cole'a. Każda część mojego ciała należy do niego. Gdy balansuję na cienkiej linii w kierunku błęgiego snu, czuję na policzku delikatne drżenie jego piersi.

– Nie bój się oddać mi się całym sercem, Savannah, bo ja tego serca nigdy ci nie złamię.

Rozdział osiemnasty

Savannah

– Savannah! – Czuję, że ktoś szarpnie mnie za ramię. – Savannah, obudź się! – szepcze nagle Cole.

– Okej, okej, już nie śpię. Co się dzieje?

Rzuca mi ubranie.

– Ubieraj się – nakazuje, wciągając spodnie. – Szybko, nie ma czasu!

Wciągam na siebie ciuchy i wkładam buty. W głowie mam mętlik.

– Trzymaj! – Podaje mi kurtkę. – Chodź. – Łapie mnie za rękę i otwiera drzwi sypialni, wychyla się zza drzwi i sprawdza, czy jest bezpiecznie. – Szybciej!

Biegniemy korytarzem. Zastanawiam się, dlaczego nie korzystamy z tylnych schodów.

– Gdzie idziemy?

Nie odpowiada, zatrzymuje się i otwiera pokój Abigail. Na łóżku siedzą przerażone i przytulone do siebie Abigail, June i Sue.

– Zostań tutaj, bez względu na wszystko. Nikomu nie otwierajcie drzwi. Tylko ja mam klucz. – Cole chwyta mnie za ramiona, pochyla się i patrzy mi w oczy. – Tu będziesz bezpieczna. Nigdzie się nie ruszaj i czekaj na mnie.

Całuje mnie, a potem każe June zamknąć za nim drzwi na klucz.

– Nie, Cole, zaczekaj!

– Savannah, zostań! – rozkazuje.

Patrzę w stronę Abigail, Sue i June. Wyrwana z kamiennego snu, czuję się zupełnie zdezorientowana. Mój umysł szaleńczo próbuje zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Chodź tu. – Sue klepie materac obok siebie. – Powiedz mi, Savannah, kiedy szliście korytarzem, coś słyszeliście albo widzieliście?

– Nie. – Kręcę głową. – Raczej nie.

– O Boże, nie jest dobrze – lamentuje June. – Po prostu wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ten dzień, ale teraz jak już nadszedł to... – Sięga po dłoń siostry i zaczyna się modlić.

– Nie rozumiem. Co się dzieje? – dopytuję.

– Kartele – wyjaśnia mi Abigail zdławionym głosem. – Mark powiedział, że jest ich co najmniej dwanaście.

– O mój Boże – mówię i zaczynam się trząść. – To wszystko moja wina.

– Nie, kochanie – stwierdza krótko June.

Rozlega się walenie do drzwi i wszystkie jednocześnie krzyczymy. Ktoś wrzeszczy coś po hiszpańsku, po czym drzwi wywala eksplozja. Wokół nas latają kawałki drewna. Przez chwilę jesteśmy oszołomione, w końcu Abigail zaczyna wydzierać się na całe gardło.

Przez wzniecony kurz widzę czarny AK-47 i pokój rozświetlają trzy jasne błyski, po których następuje huk. June rzuca się w stronę Abigail, ale wtedy pojawiają się dwa kolejne błyski. Obie upadają na podłogę. Ja ląduję na łóżku pchnięta przez Sue, która pada na mnie bezwładnie. Jej ciałem targają gwałtowne konwulsje, a potem nieruchomieje. Krew Sue spływa po mnie, po twarzy i włosach, kiedy staram się wydostać spod jej ciała. Udaje mi się odsunąć ją na bok i wtedy dostrzegam Amerykanina stojącego w drzwiach i wycierającego ręce białą chusteczką.

– Czas na nas – oznajmia, jak gdyby nigdy nic.

Jakby nie zabił właśnie trzech osób, które kocham! Ignoruję go i podbiegam do Sue. Biorę jej stygnące ciało w ramiona i próbuję ją ocucić, ale jest taka blada.

– Proszę – krzyczę, dławiąc się szlochem – obudź się!

Wkoło jest tyle krwi. Amerykanin chwytam mnie za ramię i ciągnie do drzwi.

– Powiedziałem, że na nas już czas!

– Nie! – wrzeszczę. – Proszę!

– Savannah! Savannah!

Otwieram oczy i wyskakuję z łóżka, wciąż wykrzykując imiona moich przyjaciółek. Zrywam się do drzwi, ale od tyłu obejmują mnie czyjeś silne ramiona.

– Dlaczego ich zabiłeś? – łkam. – To moja rodzina.

– Savannah, przestań, nic się nie dzieje. To był tylko sen. – Obrócona plecami do Cole'a, czuję jak drży. – Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje.

– Cole? – szepczę.

– Tak, skarbie, to ja.

– Cole.

Odwracam się i zapłakana wtulam głowę w jego pierś. Osuwamy się razem na podłogę. Ściskam go z całych sił, dopóki nie znikną mi sprzed oczu sceny z koszmaru. Teraz pozostanie mi tylko poradzić sobie z jego wspomnieniem. Po chwili wreszcie się uspokajam. Opieram głowę na udzie Cole'a, podczas gdy on przebiega palcami w górę i dół wzdłuż mojego ramienia.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta cicho.

Kręcę głową. Już samo pytanie sprawia, że zaczynam płakać.

– Okej, możemy o tym pogadać później, jeśli chcesz.

Po jakimś czasie postanawiam zadać mu nurtujące mnie pytanie.

– Jeśli ktoś wtargnąłby do domu i próbował nas zaatakować, to czy jest tutaj gdzieś jakieś bezpieczne miejsce?

– Tak, jest – odpowiada łagodnie.

Wypuszczam ciężko powietrze.

– Pod salą rozrywki znajduje się piwnica. To tam trzymaliśmy Yorka. Są tam cztery cele, a za nimi jest schron. W zasadzie to cały poziom jest schronem. Jest ogromny, wielkość kuchni, salonu i jadalni razem wziętych. Jest nie do ruszenia z zewnątrz. Gdybyśmy kiedykolwiek zostali zaatakowani, wyjdź na tylny korytarz, a stamtąd już ktoś zaprowadzi cię do schronu, gdzie masz zostać, dopóki nie zrobi się bezpiecznie.

Odsuwam się, żeby na niego spojrzeć.

– A ty nie pójdziesz tam wtedy ze wszystkimi?

Cole bawi się kosmykiem moich włosów, nawijając go sobie na palce.

– Kapitan nie opuszcza tonącego statku.

Kolejnych kilka łez spływa mi po policzku.

– A jeśli ma ku temu ważny powód? – kontryję, próbując wszystkiego, jak tonący, który chwytam się brzytwy.

– Skarbie, wiem, że to wszystko cię przeraża, ale zadbam o twoje bezpieczeństwo.

– Nie to mnie martwi, Cole. Martwię się, że tobie coś się stanie.

Podpieram się i siadam. Rozbolała mnie głowa, a od płaczu mam zapchane zatoki. Podciągam nogi, obejmuję je ramionami i opieram brodę na kolanach.

– To moja praca, Savi, i jestem dobry w tym, co robię. Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, to nie boję się. Tym się właśnie zajmuję. – Wykrzywia usta w lekkim uśmiechu, gdy na mnie patrzy. – O czym myślisz?

Wzruszam ramionami, czuję się zmęczona, ale po tym koszmarze boję się zasnąć.

– Czasami zdaje mi się, że wszystko tutaj to tylko jakiś przydługawy sen. To znaczy, przecież tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się codziennie. Czuję się, jakbym gdzieś utknęła, całkowicie bezradna, i że marnuję czas i zasoby armii. Wiem, że to nie moja wina, ale nie zmienia to faktu, że czuję, że jestem dla was ciężarem. – Wzdycham ciężko. – Chcę tylko poznać odpowiedzi na moje pytania. Chcę się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi. Chcę odzyskać moje życie.

– Wiem. – Cole podnosi mnie i kładzie na łóżku. Leżymy obok siebie, obejmuje mnie ramieniem i przytula. – Nie jesteś żadnym ciężarem, Savi. Jesteś jedną z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek

przydarzyły się w tym domu. Nie tylko mnie, ale i wszystkim, którzy tu mieszkają. – Odgarnia mi włosy i całuje mnie w skroń. – Spróbuj się przespać. Nie jesteś sama. Jestem przy tobie.

Zamykam oczy, wsłuchując się w uderzenia jego serca, aż w końcu zasypiam.

*

Pięć dni później...

Idziemy udekorowaną ulicą, po obu stronach wiszą sznury kolorowych lampek. Przed każdym sklepem stoją pięknie i bogato przystrojone choinki. Przy budce z gorącą czekoladą stoją ubrani w stroje z epoki kolędnicy i śpiewają *Carol Of The Bells*. Ulicą jedzie powóz konny i wiezie czteroosobową rodzinę. Gdy nas mijają, rozbrzmiewają dzwonki. Sue nie żartowała. Ludzie w tym mieście zdecydowanie kochają święta Bożego Narodzenia. Jest naprawdę niesamowicie. Miasto wygląda jak scenka rodzajowa z obrazów Thomasa Kinkade'a. Spoglądam na Cole'a, który prezentuje się bardzo elegancko w czarnym wełnianym płaszczu i szarym szaliku. Przyglądam się jego twarzy, próbując odgadnąć, czy jest tu z nami, czy myślimi wybiega w przyszłość.

Napięcie w domu trochę zelżało, odkąd Cole zawołał chłopaków na spotkanie któregoś wieczoru po kolacji.

Keith nie był w stanie potwierdzić, czy wtedy w mieście to był rzeczywiście Jose Jorge, czy tylko wydawało mi się, że go widziałam.

Ale tak jak powiedział Cole, nic innego nie możemy zrobić, jak tylko być przygotowanymi. Z rezerwą odnosił się do tego wyjścia, ale Daniel przekonał go, że trzeba żyć normalnie, musimy tylko zachować odpowiednie środki ostrożności.

Założyłam perukę i okulary i już miałam wychodzić, kiedy przed drzwiami zatrzymał mnie Cole.

– Jak się czujesz?

– Szczerze, trochę śmiesznie. – Unoszę lekko perukę. – Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie jako blondynki.

Uśmiecha się i mi ją zdejmuję.

– Myślę, że nie będzie ci potrzebna. Wystarczy, jak będziemy ostrożni. – Śmieje się, a jego śmiech jest taki rozkoszny. – Masz. – Naciąga mi na głowę jasnoróżową wełnianą czapkę. – Tak lepiej. – Odgarnia mi wystający pukiel włosów. – Za to podobają mi się okulary seksownej bibliotekareczki – komentuje żartobliwie.

Uderzam go lekko w ramię, ale nie zdejmuję okularów w grubych oprawkach. Dzięki nim naprawdę wyglądałam zupełnie inaczej.

Kiedy dojeżdżamy do miasta i zmierzamy do restauracji, obserwuję Marka i Melanie idących przed nami. Jej ognistorude włosy wystają spod zielonej czapki. Uśmiecham się, kiedy zauważam, że bierze go za rękę. Wyglądają na szczęśliwych. To takie odświeżające widzieć, że wszyscy dobrze się bawią. Naprawdę tego potrzebowaliśmy.

Zatrzymuję się przed witryną sklepu jubilerskiego – któż mógłby się temu oprzeć? Przyciskam dłonie do szyby, żeby lepiej widzieć.

– Och, jest piękny – szepczę, szyba na moment zaparowuje od mojego oddechu.

Cole pochyla się nad moim ramieniem, żeby zobaczyć, co przykuło moją uwagę. To mała kryształowa łożka z prawdziwym płatkiem śniegu w środku, zawieszona na delikatnym łańcuszku. Kryształ działa jak szkło powiększające, dzięki czemu drobny płatek wydaje się większy.

– Naprawdę jest jedyny w swoim rodzaju – komentuje, uśmiechając się przy tym.

Śmiać mi się chce na to nieco wydumane stwierdzenie. Zostaliśmy trochę w tyle, więc ruszamy dalej, żeby dogonić resztę.

Cole chyba się nie spieszy. Nagle się wzdryga, a po chwili mamrocze coś pod nosem. Zatrzymuje się, nachyla i szepcze mi do ucha.

– Proszę, potakuj na to, co zaraz powiem.

Kręci głową. Już wiem, co go tak zaniepokoiło.

– No proszę, proszę, Cole Logan – wita się z nami długonoga blondynka z niewiarygodnie

białymi zębami.

– Cześć, Christina – odpowiada Cole przez zaciśnięte zęby.

To ta jego stuknięta była!

Spogląda najpierw na mnie, a potem na nasze splecione dłonie.

– A to kto? – pyta, jakbym nie stała tuż obok.

– To moja narzeczona.

Cole uśmiecha się do mnie, a ja wczuwam się w swoją rolę, stoję na palcach i obdarzam go dość długim pocałunkiem.

– Jesteś zaręczony? – dziwi się Christina. Z otwartymi ustami przypomina pstrąga. – O, jaka szkoda.

Przewracam oczami.

– Tak, jesteśmy. I rodzina na nas czeka, więc... Trzymaj się, Christina. – Cole żegna się skinieniem głowy i wymija ją.

– Wesołych świąt, Sereno – mówię słodkim głosem.

– Mam na imię Christina – poprawia mnie oburzona.

Cole nic nie mówi, dopóki nie skręcimy za róg.

– No cóż... – wzdycha.

– Wygląda na miłą dziewczynę.

Wybuch śmiechem, przyciąga mnie do siebie i przytula.

– Jak to było? – droczę się. – Twoja narzeczona?

– Poniekąd to prawda, skarbie – szepcze w moje włosy, ale zanim zdołam wymusić na nim, żeby wyjaśnił mi, co dokładnie miał na myśli, ciągnie mnie za rękę w kierunku restauracji Zacka.

W momencie, kiedy stawiane są przed nami talerze z jedzeniem, telefon Cole'a zaczyna dzwonić.

Przeprasza, wstaje od stołu i wychodzi na zewnątrz. Mark wygląda na zmartwionego.

– To może być cokolwiek – szepcze mi do ucha Keith.

Na nic się zdaje obserwowanie Cole'a przez okno restauracji. Stoi odwrócony do mnie plecami, więc nawet nie mogę odczytać czegoś z jego twarzy. Mija dwadzieścia długich minut. Wszyscy przy stole próbują odwrócić moją uwagę od Cole'a.

W końcu Sue siada na jego krzesło i jestem zmuszona skupić się na niej.

– Hej – mówi, delikatnie przesuwając dłonią po moim czole. – Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę blado.

Kręcę głową i myślę o dzisiejszym poranku. Właściwie to od kilku dni czuję się trochę dziwnie, ale to raczej zrozumiałe zważywszy na to, co się ostatnio działo.

– Trochę się stresuję i pobolewa mnie brzuch.

Mruży oczy i kiwa głową.

– Wysypiasz się?

– O dziwo tak – odpowiadam. Poza koszmarem z początku tygodnia, naprawdę dobrze śpiam.

– Nawet kilka razy ucięłam sobie popołudniową drzemkę.

– To dobrze. – Uśmiecha się do mnie.

Myślę, że przekonałam ją, że u mnie wszystko w porządku, ale sama zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście wyglądam aż tak źle. Patrzę przez okno, ale Cole'a już tam nie ma. Rozglądam się i widzę, że nie ma go również w środku. Już mam wstać i iść go poszukać, kiedy staje obok mnie i kładzie lodowatą dłoń na moim ramieniu.

Mark spogląda na niego. Zauważam jakiś niepokój na jego twarzy, ale nikt nic nie mówi.

Sue wstaje i wraca na swoje miejsce. Szepcze coś Danielowi, a ten kieruje wzrok na mnie.

Naprawdę, ludzie, nic mi nie jest.

– Cole? – Przekierowuję uwagę na niego.

– Savi, jedz. Wszystko ci stygnie.

Patrzy na nietkniętą kolację na moim talerzu.

Serio? Każesz mi teraz jeść?

– To był Frank? – pyta Mark, patrząc przeze mnie na Cole'a.

– Tak.

– Wysyłają nas?

Cole rozgląda się po zgromadzonych przy stole, po czym kręci głową.

Co to znaczy?

– Więc Mark, jakie masz plany na Boże Narodzenie? – pyta Melanie, próbując rozładować napięcie.

Zanim odpowie, bierze długi, głęboki wdech.

– Hmm, właściwie to jeszcze dziś wieczorem wyjeżdżam do domku mojego kuzyna.

Wpatruję się w niego zeszywniała.

– Tak? A kiedy wrócisz? – chce wiedzieć Melanie.

– Jeszcze nie wiem – mówi ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy – ale jak tylko wrócę, będziemy musieli wybrać się na narty, tak jak mówiliśmy. – Wierci się niespokojnie.

Odsuwam talerz, słowa Marka są dla mnie jak cios w głowę.

– Przepraszam. – Wstaję od stołu.

Cole też się podnosi i daje znak swojej matce.

– Savi – mówi zmartwionym głosem.

– Muszę iść do toalety – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy.

Pojawia się przy mnie Sue, udając, że też właśnie się tam wybierała.

Kręci mi się w głowie. Czuję się lekko oszołomiona, więc Sue pomaga mi usiąść na skórzanej kanapie przed łazienkami.

– Masz.

Przykłada mi do twarzy wilgotny ręcznik i siada obok mnie.

– Zadzwonili po nich – szepczę. – Wyjadą wieczorem.

Sue bierze mnie za rękę, po czym kładzie dłoń na wewnętrznej stronie mojego nadgarstka.

Dziwne to.

– Nic mi nie jest. Po prostu mam zawroty głowy.

– Mhm – mruczy, nadal sprawdzając mi puls.

– Jak ty dajesz sobie z tym radę? – pytam, rozpaczliwie potrzebując czyjś wsparcia.

Wzdycha i puszcza moją dłoń.

– Trochę mi zajęło, zanim się do tego przyzwyczaiłam – odpowiada cicho. – Po prostu znajduję sobie jakieś zajęcie, żeby o tym nie myśleć. Ale ty na szczęście masz mnie, Abigail, a także June, dopóki nie wróci do siebie, no i resztę chłopaków.

– Boję się – przyznaję.

– Wiem. – Przytula mnie mocno na pocieszenie. – Ja też.

*

Cole

Cole robi wszystko, co w jego mocy, aby skoncentrować się na jedzeniu i gościach, ale rozmowa z Frankiem bardzo go zaniepokoiła. Kiwnięciem głowy daje znać ojcu, żeby podszedł do baru. Obaj przepraszają i wstają od stołu.

– Dwie brandy – zamawia Daniel.

Cole przeczesuje palcami włosy.

– No dobra, synu, co powiedział Frank?

– Blackstone wyrusza dziś o dwudziestej trzeciej.

Ojciec podaje mu drinka.

– Miejsce docelowe?

– Meksyk.

– Aż tak daleko na południe?

- Tak.
- Hmm – zastanawia się głośno Daniel, pocierając kark. – Myślisz, że...?
- Tak.
- Mam zadzwonić do agenta Joela?
- Koniecznie.
- Cole – ojciec kładzie mu rękę na ramieniu – z nami będzie bezpieczna. Ściągnę moich ludzi i zrobię z naszego domu istne Fort Knox. Musisz się skupić na zadaniu i zrobić wszystko, żeby doprowadzić sprawę do końca.
- Cole podnosi wzrok i widzi, że Savannah siedzi z powrotem przy stole.
- Wiem, tato.
- *

Savannah

Patrzę, jak Mark żegna się z Melanie. Czuję się rozdarta. Zastanawiam się, na którym miejscu chciałabym być. Może coś w tym jest – w tym utrzymywaniu nas w nieświadomości odnośnie do ich pracy. Ale z drugiej strony ta niewiedza mnie dobija. Chryste, jestem swoim największym wrogiem.

Podchodzi Cole i obejmuje mnie w talii, po czym wychodzimy na zewnątrz. Powietrze jest zimne. Sue i Daniel postanowili przenocować u nas i pożegnać chłopaków.

Kiedy Cole przekazał wiadomość Paulowi i Johnowi, byłam zaskoczona ich reakcją. Zachowywali się tak, jakby po prostu usłyszeli najświeższą prognozę pogody. Ja natomiast czuję się zmęczona, bardzo zmęczona. Przytulam się do Cole'a i oplatom go rękami w pasie.

– Zimno ci?

Kręcę głową. Wcześniejsze podekscytowanie związane z Bożym Narodzeniem dawno wygasło. Chciałabym, żeby święta minęły jak najszybciej i żebym nie musiała myśleć o tym, że nasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie spędzimy osobno.

Idziemy do swoich samochodów, nikt nic nie mówi. Cole wydaje się jakiś inny. Jest pogrążony w myślach. Chcę go zapytać, o czym tak duma, ale to byłoby głupie, biorąc pod uwagę, że wyjeżdża za cztery godziny.

W aucie w drodze powrotnej panuje nieznośna cisza. Cole przytula mnie mocno, gładząc kciukiem moją dłoń. Widzę, jak przebiega wzrokiem horyzont. Zastanawiam się, czy nie męczy go ta nieustanna czujność.

Kiedy na podjeździe wyskakuję z samochodu, bierze mnie za rękę.

– Przejdziemy się na mały spacer?

– Pewnie.

Trzyma moją dłoń i prowadzi w kierunku ścieżki w lesie. Idziemy w milczeniu, słysząc jedynie dźwięk skrzypiącego śniegu pod naszymi butami. Kiedy dochodzimy na polanę na szczycie wzgórza, spoglądamy w dół na jezioro. Na pomarszczonej tafli wody migocze odbite światło jasnego księżycyca.

– Wow – szepczę w obawie, że zepsuję nastrój. – Jak tu pięknie.

– Savannah? – mówi cicho Cole.

Odwracam się i widzę, że się we mnie wpatruje.

– Chcę, żebyś była wyjątkowo ostrożna, jak mnie nie będzie. Żadnych wypadów do miasta, żadnego uciekania do lasu. Proszę, postaraj się, aby zawsze ktoś był w pobliżu. Możesz mi to obiecać?

Kiwam głową na znak zgody, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

Podchodzi do mnie bliżej

– W czasie akcji muszę być maksymalnie skoncentrowany. Muszę zachować jasny umysł.

– Obiecuję, Cole. Rozumiem. Nie martw się, nie ucieknę, ja...

– Savannah, kocham cię. – *O rany!* – Nie mogę wyjechać, nie mówiąc ci tego. To dla mnie coś nowego. Nigdy wcześniej nie powiedziałem tego żadnej kobiecie, nigdy wcześniej nie czułem czegoś

takiego.

Oczy napęniają mi się łzami.

– Cole. – Odchrząkuję. – Nie mogę znieść tego, że teraz, kiedy chcę ci to powiedzieć po raz pierwszy, ty musisz wyjechać, ale... ja też cię Kocham.

Cole zamyka oczy i wydaje z siebie drżące westchnienie.

Biorę jego twarz w dłonie.

– Dla mnie to też coś nowego. – Całuję go delikatnie. – Obiecuj mi, że do mnie wrócisz.

Otula mnie ramionami i ściska mocno.

– Obiecuję, skarbie.

*

Budzę się nagle. Czuję, że mam opuchnięte oczy. Sięgam ręką za siebie i uświadamiam sobie, że rzeczywiście wyjechał. A wydaje się, jakbyśmy dosłownie przed chwilą leżeli spleceni w pościeli, udowadniając sobie, ile miłości możemy sobie ofiarować. Zerkam na zegarek. Jest dziewięć trzydzieści. Wyskakuję z łóżka i idę pod prysznic. Nie mogę uwierzyć, że spałam tak długo.

– Cześć, Savi. – Abigail podaje mi kubek kawy, kiedy siadam przy kuchennej wyspie, i przesuwając po blacie czerwone pudełeczko z kokardą. – Cole zostawił to dla ciebie. – Uśmiecha się, czekając, aż je otworzę.

Pociągam za wstążkę i powoli unoszę wieczko. Przykładam dłoń do ust, oczy wypełniają mi się łzami.

– No i?

Odwracam pudełko i pokazuję jej kryształową łezkę z uwięzionym w środku płatkiem śniegu.

– Savannah, jaki piękny! – wykrzykuje z radością, zaciskając dłonie na piersi.

– Zauważyłam go wczoraj na wystawie, kiedy szliśmy do Zacka. Cole musiał wymknąć się do sklepu po skończonej rozmowie telefonicznej.

Abigail zapina mi wisiorek na szyi, a ja wyciągam karteczkę umieszczoną na spodzie pudełka.

Na pamiątkę dnia,

w którym powiedzieliśmy sobie te wyjątkowe słowa.

Twój C.

Przyciskam karteczkę do piersi, czując jak w gardle rośnie mi gęsia skórka.

– Abby? – Pociągam nosem, a po chwili czuję, zalewającą mnie ogromną falę mdłości. W głowie kręci mi się tak mocno, że prawie spadam ze stołka. – Łoo.

– Savannah? – Widzę, że usta Abigail poruszają się, ale ledwo ją słyszę.

Kark zrasza mi pot, skręca mi się żołądek. Boże, czyżby znowu ktoś próbował mnie otruć?

Abby podsuwa mi kubek pod twarz w ostatniej chwili, a wtedy głośno opróżniam żołądek.

– O, rany – słyszę gdzieś za sobą głos Sue. – Zabierzmy ją do łóżka.

Rozdział dziewiętnasty

Savannah

Budzę się kilka godzin później. Przy drzwiach balkonowych, przy stoliku siedzi z kimś Sue.

– Halo? – mówię półprzytomnie.

– Savannah, to jest doktor Brown. Jest ginekolożką.

Podciągam się i siadam na łóżku.

– Okej. – Kręcę głową. – Ale po co...? – I nagle mnie olśniewa: brak apetytu, nudności, emocjonalna huśtawka, zmęczenie – Jestem w ciąży?

Doktor Brown podchodzi do mnie.

– Myślę, że tak, panno Miller.

Co?

– Ale ja biorę pigułki!

– Żadna antykoncepcja nie jest w stu procentach skuteczna. Czasami takie rzeczy po prostu się zdarzają. Zakładam, że wiesz, kim jest ojciec.

Że co? Rumienię się, spoglądając na Sue. O Boże, wiem, że ona chce mieć wnuki, ale to za wcześnie! A co jeśli pomyśli, że próbuję złapać jej syna na dziecko? Do diabła, dopiero wczoraj powiedzieliśmy sobie, że się kochamy.

– Savannah. – Sue uśmiecha się do mnie.

– Tak, wiem, kto jest ojcem. Cole.

Odchylam głowę, zastanawiając się, co on sobie pomyśli.

– No i dobrze. – Doktor Brown uśmiecha się do mnie. – Pamiętasz, kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

Próbuję sobie przypomnieć, ale mam pustkę w głowie.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

– Nic nie szkodzi. Przyjdź za kilka dni do mojego gabinetu. Chciałabym zrobić ci USG, a tutaj nie mam takiej możliwości. Chcemy mieć pewność, że dziecko urodzi się zdrowe. – Otwiera torbę. – Na razie zacznij brać to. – Podaje mi buteleczkę z witaminami prenatalnymi. – Sue skontaktuje się ze mną, kiedy będziesz mogła do mnie przyjechać. Proszę dużo odpoczywać i dobrze się odżywiać – poleca mi, po czym zbiera się do wyjścia.

– Dziękuję – mówi Sue, odprowadzając doktor Brown do drzwi. – Jesteśmy w kontakcie.

Sue odwraca się do mnie, posyłając mi największy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Och, Savannah! – Wyrzuca ręce do góry. – Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa!

Mam ochotę poprosić ją, żeby zostawiła mnie na chwilę samą, tak bym mogła przetrwać to, co właśnie usłyszałam, do jasnej nędzy. Ale Sue pakuje się na łóżko i siada obok mnie.

– Wszystko w porządku?

Nie bardzo.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze, nagle przypominając sobie jej zachowanie w restauracji. – Wiedziałaś, prawda?

Uśmiecha się.

– Domyślałam się, ale wolałam poczekać. Dzisiejszy poranek potwierdził moje przypuszczenia, dlatego zadzwoniłam po doktor Brown. Znam ją od lat i wiem, że jest najlepsza w mieście.

Kiwam głową, próbując zbytnio jej nie pochylać.

– Wczoraj powiedział mi, że mnie kocha – mówię, dotykając wisiorka. – Kocham go, Sue, naprawdę go kocham.

Pociąga nosem i sięga po moją dłoń.

- Jak myślisz, co powie Cole? – pytam nerwowo.
- Śmieje się, ocierając policzki z łez.
- Będzie bardzo szczęśliwy, Savannah!
- Tak myślisz?
- Ja to wiem.
- Fatalny moment. Nie planowałam tego.
- Być może, ale wszystko będzie dobrze.
- Sue – patrzę na nią – czy może to zostać między nami?
- Daniel już wie.
- W porządku, ale nie mów nikomu więcej, dobrze? Nie chcę, żeby Cole dowiedział się ostatni.
- Oczywiście. Tylko nasza trójka będzie o tym wiedziała.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc i staram się nie wpadać w panikę z powodu tego, co rośnie w moim brzuchu. Potem zaczynam myśleć o Cole'u. Uśmiecham się, kiedy dochodzi do mnie, że w tym niewielkim ciałku jest cząstka każdego z nas. Głaszczę się po brzuchu i na powrót zasypiam.

*

Cole

Cole odchodzi na bok, trzymając przy uchu telefon satelitarny. Po ostatnim dniu wszyscy są wyczerpani. Starli się z grupą karteli, która zlokalizowała ich obóz. Łapali szybko, co się dało, i zabrali się w inne miejsce. Spogląda na zegarek – jest tuż po północy.

– Nikomu nic się nie stało? – chce wiedzieć Keith.

– Tak, ale niewiele brakowało – odpowiada Cole, informując przyjaciela o tym, co zaszło i o aktualnej sytuacji.

– W porządku, u nas póki co spokojnie.

– Dobrze – mówi Cole z wahaniem w głosie.

– Savi ma grypę – oznajmia Keith.

Cole słyszy w jego głosie rozbawienie.

– Więc jak ciebie też złapie choróbsko, to powodzenia, stary, bo Savannah została w łóżku przez cały dzień.

Biedna Savannah. Planował zadzwonić wcześniej i miał nadzieję, że będzie gdzieś niedaleko, żeby mógł z nią porozmawiać. To, że wykorzystywanie odprawy do celów osobistych jest sprzeczne z ich zasadami, nie miało żadnego znaczenia. Odkąd w jego życiu pojawiła się Savannah, wszystkie reguły, jakimi się kierował, poszły w diabły.

– Chcesz, żebym ją obudził?

Pytanie Keitha wybija go z zamyślenia. Chyba nie powiedział tego na głos?

– Nie, jest późno. Jutro wcześniej rano zaczynamy obserwację, a raczej dzisiaj, więc to jest odprawa odnośnie do... – ponownie spogląda na zegarek – tego, co się stało minionej nocy i dzisiejszego poranka.

– W porządku. Uważajcie na siebie.

– Będziemy. Bez odbioru.

*

– Widzę siedmiu mężczyzn od wschodu – po cichu melduje Mark – pięciu od zachodu.

– Zrozumiałem – odpowiada Cole, przesuwając lornetkę, by potwierdzić to, co usłyszał. – Siedmiu od wschodu i pięciu od zachodu.

Przesuwa się w bok i sięga po krótkofalówkę, która zaczyna trzeszczeć.

– Fox One do Raven One – odzywa się Paul.

– Mów Fox One.

- Mamy zielonego hummera jadącego w stronę domu, zbliża się od północnego wschodu. Cole dostrzega samochód i podąża za nim wzrokiem.
- Zrozumiałem, Fox One, widzę go. Muszę wiedzieć, ilu ich tam jest.
- Zrozumiałem.

Hummer bez problemu przejeżdża przez bramę i zatrzymuje się przed posiadłością. Dwóch uzbrojonych strażników otwiera drzwi i wyciąga mężczyznę w granatowym garniturze i kremowej płóciennej torbie na głowie.

- Hmm – odzywa się Cole – ciekawe, zakryli mu głowę, ale ręce ma niezwiązane.
- Właśnie – zgadza się z nim Mark, kiwając głową.
- Wygląda na to, że nasz tajemniczy gość robi interesy z Amerykaninem.
- Ale chyba nie ufają mu na tyle, żeby zdradzić swoją lokalizację. – Mark mruży oczy. – Myślisz, że to może być burmistrz?

- Nie, ten tutaj jest wyższy i szczuplejszy.

Patrzą, jak mężczyzna w marynarce i jeden z uzbrojonych strażników znikają w domu, a Hummer rusza z powrotem tą samą drogą, którą przyjechał.

- Najwyraźniej gość planuje tu trochę zabawić.

Mark przewraca się na plecy i przeciąga się, potem spogląda na zegarek i wyciąga proteinowy baton. Cole cofa się kilka centymetrów, znikając z pola widzenia. Wypluwa gumę i odkręca butelkę wody.

Mark ściąga kamizelkę.

- Kurwa, tęsknię za śniegiem.
- Ja też – mówi Cole, ale myśli o Savannah.
- Znam to spojrzenie.
- Tak, to twoje też nie jest mi obce – odpala, na co Mark posyła mu szeroki uśmiech. – W porządku. – Cole zakręca butelkę, a następnie klepie się po kieszeniach.

- Masz. – Mark rzuca mu gumę.

Odkąd razem wstąpili do wojska, żucie stało się ich nawykiem. Kiedy są na służbie, pomaga im się to zrelaksować. Cole wkłada do ust gumę, po czym zaczyna studiować mapę.

- Kurwa, co to jest? – krzywi się Cole.
- Hubba Bubba.
- A ty co jesteś, dwunastoletnia dziewczynka?
- Lepiej się żuje. – Mark wzrusza ramionami.
- Obrzydliwe.
- Obrzydliwa to jest ta twoja cytrynowa dla starego pierda.
- Dosłownie czuję, jak skleją mi się zęby. I co to za gówniany smak?
- Wiśniowy. Nazwali go słodka i pyskata wiśnia.
- Ja... ja... – Cole kręci głową. – W sumie to nie wiem, co powiedzieć.

Wypluwa gumę i bierze swoją. Obaj kładą się na brzuchu, kilka centymetrów od stanowiska obserwacyjnego.

*

Savannah

Siedzę na kanapie w salonie z torebką na kolanach, całkowicie zatopiona we wspomnieniach.

– Nawet nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz – mówię, siadając obok Lynn na kanapie u mojego ojca w mieszkaniu.

Kiedy Lynn pojawiła się na progu drzwi, wyglądała, jakby właśnie zobaczyła ducha.

- Bo się nie spotykam, Savi. Po prostu się z nim przespałam, a teraz mi się spóźnia.
- Ile dni?

– Tydzień – odpowiada, wycierając oczy.

– A więc... – Szybko liczę i opada mi szczęka. – Czy to był ktoś z... – nachylam się do niej bliżej, bo widzę mojego ojca w kuchni – ...z imprezy charytatywnej, na której byliśmy w zeszłym miesiącu? – Lynn zamyka na chwilę oczy i bierze głęboki wdech. – O mój Boże, czy to był Jones, ten odjazdowy, seksowny blondyn z biura taty?

– Ten „asystencik” Luki? Nie, nie Jones! – Kręci głową z obrzydzeniem.

Ignoruję jej sukowaty komentarz, ponieważ dobrze wiem, że Jones nie jest żadnym asystentem, tylko haruje jak wół dla mojego ojca, jak i dla pozostałych w jego biurze.

– No to kto? I dlaczego nie założył prezerwatywy? Nie chcę wyjść na świętszą od papieża, ale daj spokój, Lynn, nawet ja mam...

– No co masz? – pyta ojciec, patrząc na mnie surowo i dając mi do zrozumienia, żebym nie kończyła zdania. Podaje Lynn butelkę wody i siada naprzeciwko nas. – Czyli jesteś w ciąży?

Lynn otwiera szeroko oczy. Szuka u mnie ratunku, ale jestem tak samo zaskoczona, że usłyszał, o czym rozmawiamy.

– Hmm, nie wiem – mówi, czerwieniąc się o jakieś trzy odcienie.

– Kto jest ojcem? – pyta, jakby miał do tego prawo, ale nie oponuję, bo mnie samą zżera ciekawość.

– Wolalabym o tym nie mówić, dopóki nie będę całkowicie pewna.

Mój ojciec odstawia szklankę z impetem na stół.

– Jak mogłaś być tak głupia?

– Tato – odpalam. – Przestań.

– Cicho bądź, Savi. – Spogląda na mnie ze złością i wymachuje palcem przed moją twarzą. – Przysięgam, że jeśli dowiem się, że zaszłaś w ciążę przed ślubem, to będziesz musiała ją usunąć. Nie pozwolę szargać dobrego imienia naszej rodziny. – Patrzy na Lynn. – A ty też albo zdecydujesz się na skrobankę, albo zrobisz tak, żeby na twoim palcu znalazł się pierścionek zaręczynowy, zanim o wszystkim dowie się prasa. – Pochyliła się nad stolikiem i patrzy na nas ze zmarszczonymi brwiami. – Zalatwicie to, zanim ja to zrobię. – Wstaje i wychodzi z pokoju, klnąc pod nosem.

Łapię Lynn za dłoń i ściskam ją mocno. Skręca mi się żołądek. Gdyby moja matka mogła teraz usłyszeć ojca, byłaby zdruzgotana. Na szczęście wynik testu ciążowego, który Lynn zrobiła wieczorem, był negatywny. Nigdy nie widziałam na jej twarzy takiej ulgi jak wtedy, nigdy też nie dowiedziałam się, kto był potencjalnym kandydatem na tatusia.

– Gotowa? – pyta stojący obok mnie Keith.

Nawet nie usłyszałam, kiedy wszedł do pokoju.

– Tak.

Początkowo Keith nie chciał się zgodzić na wyjazd do miasta, ale kiedy Sue wypowiedziała słowo „ginekolog”, dłużej nie obstawał przy swoim i nie zadawał więcej pytań. Na pewno myśli, że złapałam jakąś infekcję. Normalnie byłabym zakłopotana, ale teraz jestem zbyt podekscytowana, by się tym przejmować. Chciałabym podzielić się z nim tą nowiną, ale najpierw chcę powiedzieć Cole’owi. Poza tym w SUV-ie jest z nami Derek, który trochę się zdystansował, odkąd dowiedział się, że Cole i ja się spotykamy.

– Zaciągnięty kaptur, włosy schowane i okulary na nosie, okej, Savi? – instruuje mnie Keith z siedzenia kierowcy, spoglądając na mnie w lusterku wstecznym.

Kiwam głową i robię wszystko, co mi polecił.

Mike jest dwa samochody za nami. Dzisiaj to on robi za zwiadowcę.

Podjeżdżamy do krawężnika. Czekam, aż Keith wyjdzie i pozwoli mi wysiąść.

Derek otwiera mi drzwi do kliniki. W poczekalni widzę Sue. Podbiega do mnie i przytula mocno.

– Dzięki, chłopcy, dalej już sobie poradzimy – mówi do Keitha i Dereka.

Obaj siadają przy drzwiach i zerkają na siedzące w poczekani kobiety. Na widok zakłopotanych min chłopaków, uśmiecham się złośliwie.

Sue prowadzi mnie w głąb kliniki, wciąż mnie obejmując.

Domyślałam się, że znają ją tutaj całkiem dobrze, ponieważ machają jej na powitanie i pozwalają

nam przejść dalej.

Rozbieram się od pasa w dół, a następnie kładę się na leżance. Rozłożony na niej papierowy ręcznik rozdiera się dwukrotnie, gdy staram się wygodnie ułożyć.

Leżę na plecach, jestem trochę zdenerwowana. Doktor Brown wyjaśnia mi, co za chwilę zrobi. Bardzo długa, zimna sonda zostaje wsunięta między moje... uła. Wypuszczam powietrze, patrzę w górę i liczę odpryski na suficie.

Sue wzdycha po cichutku i kładzie rękę na piersi.

– Widzisz to, o tam? – Doktor Brown stuka palcem w ekran. – To małe okrągłe to twoje dziecko. Patrzę z powrotem na sufit, krzyżuję ramiona na twarzy i zaczynam płakać.

– Savi – mówi Sue, podchodząc do mnie – nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

– Wiem. – Pociągam nosem i próbuję uspokoić oddech. – Po prostu chciałabym, żeby Cole był tu ze mną.

– Wiem, kochanie – szepcze. – Ja też.

Wycieram policzki i spoglądam z powrotem na moje dziecko. Serce tłucze mi się w piersi, gdy patrzę, jak to małe kółko pulsuje w rytm mojego tętna.

– Wow. – Łamie mi się głos, ciało zalewają emocje.

– Tętno idealne – informuje mnie lekarka z uśmiechem, stukając w klawiaturę. – Według mnie to jakiś piąty tydzień.

Zaciskam usta, starając się nie uśmiechać, bo po głowie chodzą mi kosmate myśli o Cole'u ze mną pod prysznicem, w jego łóżku, moim łóżku, moim...

– Proszę bardzo. – Podaje mi zdjęcie.

– Mogę dostać jeszcze jedno? – pytam.

– Oczywiście – odpowiada i drukuje drugie zdjęcie. – Ubierz się, a potem omówimy wszystkie nakazy i zakazy.

Doktor Brown i Sue kierują się do drzwi. Siadam i, zanim wyjdą, mówię do Sue:

– Musisz pokazać to dziadkowi. – Podaję jej wydruk.

– Dziękuję! – Przytula mnie, a potem się rozpląkuje. – Nie mogę się doczekać.

Wkładam do torebki graty, które dała mi lekarka, i podchodzę do Keitha stojącego przy drzwiach. Widząc moje zaczerwienione oczy, delikatnie dotyka mojego ramienia.

– Nie jestem pewien, czy chcę znać odpowiedź na to pytanie, ale obiecałem Cole'owi, że będę pilnował cię jak oka w głowie, więc muszę zapytać. Wszystko w porządku?

– Właściwie to tak. – Uśmiecham się. – Naprawdę w porządku.

Z moich durnych oczu znów zaczynają lecieć łzy.

– No to dlaczego płaczesz?

Targają mną sprzeczne emocje, jestem niewiarygodnie podekscytowana i jednocześnie śmiertelnie przerażona, że Cole'owi może się coś stać.

– Tęsknię za Cole'em – przyznaję zgodnie z prawdą. – Chciałabym móc z nim porozmawiać, usłyszeć jego głos... – Wzdycham, czując się jak cikliwa panna. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Obejmuje mnie jedną ręką i przytula. Firmowy uścisk Keitha. – Kiedy rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem, dało się wyczuć, że myśli o tobie – zapewnia, a potem prowadzi mnie do samochodu.

*

– Jajka czy gofry? – pyta Abigail, wręczając mi kubek kawy.

Spoglądam na kubek i przypominam sobie, że powinnam odstawić kofeinę. *O cholera, z kawą też muszę się rozstać.* Spoglądam na mój ukochany napój i składam obietnicę, że wrócimy do siebie tak szybko, jak się da. Oj, trudno będzie mi ukryć mój stan.

– Wystarczy mi tost.

Abigail odwraca się i spogląda na mnie z niepokojem.

– Savannah, co się dzieje?

Cholera.

– Nic, po prostu nie jestem zbyt głodna.

A na samą myśl o zjedzeniu jajek czy gofrów mam ochotę puścić pawia.

– Czy ty czasem czegoś przede mną nie ukrywasz?

Boże, czuję się okropnie, nie mogąc jej powiedzieć, że w drodze jest mały Fritter.

– Savi?

– Chyba ciągle jestem przeziębiona.

Wie, że kłamię, ale posyła mi tylko łagodne spojrzenie, po czym podchodzi do tostera.

– Savi – woła Keith z korytarza – możesz tu przyjść, proszę?

Idę za nim do gabinetu Cole’a. Keith wskazuje na telefon stacjonarny i, uśmiechając się, zamyka za sobą drzwi.

Siadam w masywnym skórzanym fotelu i podnoszę słuchawkę.

– Halo?

– Cześć skarbie. – W słuchawce rozbrzmiewa jego zachrypnięty głos, na którego dźwięk w moim brzuchu łaskota mnie jakiś milion motyli.

– Cześć – wykrztuszam, próbując powstrzymać łzy. – Wszystko w porządku?

– Boże, jak mi Ciebie brakuje.

– Też za tobą tęsknię, Cole. Kiedy wracasz do domu?

Wiem, że mówię jak desperatka w nagłej potrzebie, ale do cholery, tak właśnie się czuję.

– Jak tylko będzie to możliwe. W tej chwili prowadzimy obserwację, upewniamy się, czy wiemy dostatecznie dużo, zanim wykonamy kolejny ruch. – Przerywa na chwilę, po czym zaczyna się śmiać.

– Co?

– Zabrzmiało to jakbyś traktowała nasze miejsce jak swój dom.

Uśmiecham się. Ma rację, tak właśnie myślę.

– Tak, no cóż, to jest teraz mój dom.

– Hmm – mruczy do telefonu. – To prawda.

Przygryzam wargę i już mam mu powiedzieć o naszej małej istotce we mnie, ale wtedy słyszę, jak głęboko wzdycha.

– Coś nie tak?

– Po raz pierwszy trudno mi jest pracować w terenie. Normalnie wykonuję swoją robotę bez mrugnięcia okiem, ale teraz, mając świadomość, że jesteś tam beze mnie... nie potrafię się skoncentrować.

O Boże. Staram się coś szybko wymyślić.

– Cole, posłuchaj mnie. Nie wyjeżdżam do miasta pod byle pretekstem. Nigdzie nie uciekam i melduję się Keithowi tak często, jak tylko mogę. Proszę, bardzo cię proszę, nie martw się o mnie. Nic mi nie jest. Skup się na tym, co robisz, żebyś mógł wrócić do domu cały i zdrowy. – Zaciskam powieki. Już prawie mówię o dziecku, ale nie mogę mu tego zrobić. To by go zdekoncentrowało jeszcze bardziej.

– Coś mi obiecałeś, Cole.

Odchrząkuje.

– Tak. – Słyszę czyjeś głosy w tle. – Savi, muszę kończyć. – Przerywa. – Kocham Cię.

– Ja też cię kocham, Cole. – Czuję, jak łzy spływają mi po policzkach, gdy połączenie zostaje zerwane. – ...i jestem w ciąży – szepczę do głuchej słuchawki.

– Savi? – Keith wsadza głowę w drzwi.

Odkładam słuchawkę, ale nie wstaję. Wchodzi do pokoju, przyglądając mi się uważnie.

– Keith, musisz coś dla mnie zrobić.

– Okej.

– Nie mów mu, że jadę dzisiaj do miasta.

– Savannah, jeszcze mnie o to nie pytał, ale jeśli to zrobi, nie mogę kłamać.

– Nie możesz mu powiedzieć, Keith. Mówił, że nie może się skupić, bo się o mnie martwi.

Powiedziałam mu, że nie ruszam się z domu. Jeśli się wygadasz, to będzie mu tylko trudniej.

Kręci głową.

– Nie mogę. Jesteś moją przyjaciółką, ale on jest moim szefem. Ja...

Wstaję, wyciągam z kieszeni zdjęcie USG i podaję mu je.

Patrzy na obrazek, a potem spogląda na mój brzuch.

– Piąty tydzień. – Uśmiecham się, masując brzuch.

– O Boże.

– Keith, jeśli Cole dowie się, że pojechałam do miasta, będzie chciał wiedzieć dlaczego, a ja nie mogę... nie kiedy tam jest i grozi mu niebezpieczeństwo.

– Okej, masz rację. – Obchodzi biurko, po czym mocno mnie przytula i podnosi. – Bardzo się cieszę z waszego szczęścia. Wow.

– Dzięki – wysapuję. – Możesz mnie już postawić z powrotem?

*

Cole

Cole zakłada ręce za kark i wygląda przez okno opuszczonego domu za miastem. On i jego ludzie ukryli się w tym miejscu wczoraj wieczorem, odkąd zostali zmuszeni do wycofania się ze swojej pierwszej pozycji. Przyczaili się tutaj, aby uniknąć zdemaskowania. Niestety coś takiego może doprowadzić do powstania luk w kordonie bezpieczeństwa. I właśnie przez jedną z takich luk przedostał się zwiadowca któregoś z karteli.

Chłopak ma może dziesięć lat i wydawał się równie zaskoczony co Cole i jego ludzie, kiedy nagle natrafił na ich obóz.

Paul dostrzegł go pierwszy, ale zanim Cole zdołał coś zrobić, chłopak już dał sygnał, komu trzeba.

Trzy minuty później widzą reflektory land rovera pędzącego w ich kierunku. Na szczęście znajdują się nad rzeką i udaje im się wymknąć bez przeszkód.

Cole nigdy wcześniej tak nie nawalił i jest na siebie wściekły, ale nie potrafi przestać myśleć o Savannah. Kurwa mać, martwi się, że coś jej się stanie. Po raz pierwszy naprawdę ma do kogo wrócić i naprawdę chce wrócić. Tak bardzo za nią tęskni, nawet za tym, jak na niego patrzy, jakby dla niej istniał tylko on.

Aaaaa! Skup się! Przymyka powieki, próbując oczyścić umysł. Nic nie pomaga. Patrzy na Marka, który kima w kącie, wykorzystując – jak to doświadczony żołnierz – każdą wolną chwilę, by uciąć sobie drzemkę.

Paul siedzi pod ścianą, używając kolby karabinu jako poduszki. Pierwszy wartę ma John, który stoi niedaleko drzwi, oparty o ramę okna. Cole podrywa się z łóżka i bierze swój karabin.

– John, ja wezmę pierwszą zmianę. I tak nie śpię, więc nie ma sensu, żebyśmy obaj byli zmęczeni.

– Dzięki, ale jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym nie spać – mówi, pozostając na swoim stanowisku.

Cole kiwa głową ze zrozumieniem. Ma złe przeczucia. Takie sytuacje wiążą się z dużym stresem, a z Amerykaninem mieli już wcześniej do czynienia – to bezwzględny człowiek. Cole opiera karabin o ścianę, a następnie siada obok na podłodze, nachylając się tak, by móc patrzeć przez tylne okno. Siedzą tak przez długi czas, wsłuchując się w otaczające ich dźwięki.

– Jak tam twoja siostra? – zagaduje cicho Cole.

Cztery miesiące temu siostra Johna została potrącona na skrzyżowaniu przez ciężarówkę z naczepą. Początkowo było niedobrze, stwierdzono obrzęk mózgu, ale jakoś udało jej się z tego wylizać – no, mniej więcej. To było naprawdę trudne dla Johna, jest jego bliźniaczką i są ze sobą bardzo zżyci.

– Fizycznie coraz lepiej. Mówią, że powinna znowu zacząć chodzić – odpowiada John. – Jeśli chodzi o jej stan psychiczny, wciąż nie przypomina sobie większości dzieciństwa. Nie pamięta nikogo poza Popsem, naszym psem, więc jest ciężko. Ale przynajmniej złapali kierowcę. Według rejestru to była jego osiemnasta godzina jazdy.

– Kurczę, stary, przykro mi.

– Jest jak jest – bąka pod nosem.

Oboje wracają do komfortowej ciszy.

Po jakimś czasie Cole spogląda na zegarek. Jest siódma trzydzieści rano. On i John nie opuścili swoich punktów obserwacyjnych ani nie zasnęli. Często pracują w takich warunkach. Cole sięga po telefon satelitarny.

– Tu Raven One, siódma trzydzieści pięć, meldujemy się – oznajmia Cole, następuje połączenie i odbiera Keith.

– Tu Roger. Raven One, jaki jest plan na dzisiaj?

– Zamierzamy uderzyć. Wczoraj mieli towarzystwo, więc chcemy tam wejść i zobaczyć kto to.

– W porządku, rozumiem. Realizujecie dzisiaj plan wejścia do domu. – Następuje pauza. – Daniel i Sue postanowili zostać u nas. Dziś rano przyjechali agent Joel i trzech innych, więc mamy dodatkowe wsparcie. Sue znalazła jakieś zajęcie dla Savi, więc...

– Dobrze, to dobrze. – Słyszac to, czuje się o wiele lepiej. – Dobra, zamelduję się znowu wieczorem.

– Uważajcie na siebie.

– Będziemy. Raven One bez odbioru.

Cole chowa telefon do kieszeni kamizelki, po czym zjada proteinowy baton i kilka ziaren kawy w czekoladzie. Bierze głęboki wdech i oczyszcza umysł ze wszystkich dręczących go myśli. Wreszcie może się skupić na tym, co ma zrobić.

– Dobra – mówi, wchodząc do pomieszczenia, w którym chłopcy pakują swój sprzęt. – Bierzmy się za nich.

Rozdział dwudziesty

Savannah

Przekręcam się na łóżku, kiedy słyszę pukanie. W drzwiach stoi Keith z rękami w kieszeniach.

– Cześć, Keith.

Zerkam na godzinę. Jest czwarta po południu. Zahibernowałam się w swoim pokoju na cały dzień. Odwołałam sesję z doktorem Robertsem do czasu powrotu Cole'a. Nie mam ochoty rozmawiać o moich uczuciach. Chcę po prostu czuć. Wiem, że nie dotyczy to tylko mnie, ale mam to gdzieś. Tym razem będę samolubna.

– Mogę wejść?

– Oczywiście.

Podciągam się i opieram głowę o zagłówek. Keith siada na brzegu łóżka.

– To – sięga po zdjęcie USG, które leży na stoliku nocnym – powinno być w czymś ładnym. – Wyciąga małą srebrną ramkę w esy floresy i wsuwa w nią fotografię. Odkłada ją na stół i odwraca w moją stronę. – Gotowe. – Uśmiecha się.

Usta mi drżą, łzy spływają po policzkach. Pochylam się i przytulam go.

– Dziękuję, Keith. Za wszystko.

Kiedy się odsuwam, widzę, że jemu też zaszklily się oczy. Udaję, że tego nie widzę, a on, że się nie wzruszył.

– No dobrze, chodź na dół. Daniel i Sue przyjechali z walizkami, więc zakładam, że zostaną tu przez jakiś czas.

Uśmiecham się na tę propozycję i szybko zeskakuję z łóżka.

Abigail przygląda mi się przez całą kolację. Nie jem, ale to nie z powodu ciąży. Po wyjściu spod prysznic, trafiłam w necie na skrót wiadomości, gdzie zobaczyłam mojego ojca. Reporter zapytał go, czy wiadomo coś nowego o moim zaginięciu. Tata odpowiedział, że nie, ale jakoś dziwnie to powiedział. Przynajmniej tak mi się wydawało. Był jakiś inny. Zastanawiam się, co się tak naprawdę dzieje. Może zapłacił okup, a potem zrozumiał, że mnie nie odzyska? Już sam widok jego twarzy wywlekl na wierzch różnego rodzaju emocje.

– Savannah? – Głos Sue przenosi mnie z powrotem do jadalni.

Orientuję się, że wszyscy odeszli już od stołu. Zostali tylko Sue i Daniel, którzy stoją i wpatrują się we mnie.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Kiwam głową i patrzę na mój talerz z ledwo tkniętym jedzeniem. – Przepraszam, jestem po prostu zmęczona.

Daniel spogląda na Sue, po czym oboje prowadzą mnie do salonu i sadzają na kanapie. Sue idzie zaparzyć dla mnie kubek rumiankowej herbaty, a Daniel wręcza mi jasnozieloną, dużą torbę prezentową.

– Co to? – pytam, stawiając ją między nogami.

– Teraz coś dla ciebie, a później coś dla maleństwa.

– O! – Wyciągam białą bibułę i wsadzam rękę do środka. Czuję delikatny nosek i na moich ustach pojawia się uśmiech. Zbiera mi się na płacz, kiedy wyciągam pluszowego misia i sadzam go sobie na kolanach. Jest brązowy, jego oczy i nos są czarne. Ma czapkę i buty jak żołnierz oraz kurteczkę z wyszytym zieloną nicią napisem „Logan Junior”, na widok którego ściska mi się serce. – Jest cudowny, dziękuję – szepczę, drapiąc miśka za małym uchem.

Daniel pochyla się i całuje mnie w głowę.

– Nie, Savannah, to my dziękujemy tobie. – Uśmiecha się i siada.

Sue wraca z tacą pełną owoców, sera oraz cudownie aromatycznej herbaty. Biorę kilka łyków

i po chwili zaczynam się odprężać.

Rozmawiamy o wszystkim: o moim dawnym i nowym życiu oraz o tym, jakie imię chciałabym nadać dziecku. Kiedy kładę się do łóżka, jestem mentalnie wypompowana, ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów z optymizmem patrzę w przyszłość. Dotykam swój brzuch i masuję go pieszczotliwie.

– Dobranoc, maleństwo.

*

Cole

Cole przywiera ciałem do ściany i zamyka oczy, słysząc z różnych stron kroki. Dwóch ludzi jest na górze, troje zbliża się od wschodu. Jego radio trzaska dwa razy. To sygnał od Marka, w ten sposób daje mu znać, że u niego wszystko w porządku. Paul zameldował się chwilę wcześniej, John jeszcze nie. Cole naciska radio raz, dając im znać, że u niego też wszystko okej. W szybce na obrazku na ścianie widzi mężczyznę, czeka aż ten wejdzie do sypialni. Raz... dwa... trzy... liczy, po czym dopada do gościa, oplata ręce wokół jego szyi i gwałtownie przekręca, łamiąc mu kark. Wsuwa ciało faceta pod łóżko. Neutralizując w ten sposób pierwsze zagrożenie, Cole czeka na kolejne.

– Raven Two, jaka jest twoja pozycja? – zgłasza się po cichu.

– Dwa-trzy na zachód – odpowiada Mark.

Idealnie. Jest na drugim piętrze, trzecie drzwi od schodów.

– Zrozumiałem, Raven Two. – Zakrada się za drzwi. – Raven One wylatuje.

– Zrozumiałem.

Cole unosi swoją broń i upewnia się, że droga wolna. Lokalizuje dwóch mężczyzn na piętrze i kolejnych dwóch po drugiej stronie korytarza. W pomieszczeniu panuje półmrok. Czarny sprzęt, moro i pomazana farbą twarz – raczej nie powinni go zauważyć. Porusza się zwinnie, tak że mija zaledwie kilka sekund i dociera do pokoju, za którego drzwiami przyczał się Mark.

– To tylko draśnięcie – informuje go szybko przyjaciel.

Cole sprawdza jego ramię. Rana jest głęboka i krwawi. Nie obejdzie się bez kilku szwów, ale poza tym jego przyjacielowi nic nie dolega. Cole szybko bandażuje ranę, a potem podaje Markowi kilka czekoladek z kofeiną, co pomoże mu zachować czujność.

– A John? – pyta z obawą Cole.

Mark kręci głową.

– Okej. A Paul?

– Szafa w korytarzu na pierwszym piętrze, tam go widziałem ostatni raz.

Cole kręci głową z goryczą. Wolałby nie korzystać z radia. Nie jest pewien, gdzie jest John, co się z nim stało ani czy został schwytany, czy zabity. Tak czy inaczej istnieje prawdopodobieństwo, że znaleźli już radio Johna, więc usłyszeliby ich. Jakby tego było mało, prawdopodobnie sami podali im się na talerzu.

– Musimy się stąd zabierać – stwierdza Cole, wyglądając przez okno. – Widziałeś Amerykanina?

– Nie, ale jest tutaj. Hummer i land rover wciąż stoją przed domem. Nikt nie wyjeżdżał.

– Okej, schodzę na dół. Ruszaj, kiedy dam ci znać, że jest czysto. – Cole staje przed Markiem. –

Czekasz, jasne?

Mark ma bladą i zlaną potem twarz, ale kiwa głową.

– Pamiętasz nasz układ? – Cole chwyta w dłonie twarz przyjaciela, żeby ten na niego spojrział. –

Razem wstąpiliśmy...

– Razem przechodzimy na emeryturę – sapie Mark.

– Właśnie. Lepiej się trzymaj, bo w razie czego powiem Melanie, że zginąłeś na nartach na oślej łączce. – Cole posyła mu szeroki uśmiech.

– Chyba ty.

– Dobrze, więc zostań ze mną.

– Ta, nigdzie się nie wybieram.

Cole kiwnąwszy głową, wymyka się przez drzwi, zanurza się w ciemność i schodzi po schodach. Zerka na zegarek. Za dziesięć minut wszyscy powinni się ponownie zameldować. Gdzie, do cholery, jest John? Przesuwa ręką po ścianie, aż znajduje uchwyt do drzwi szafy.

– Melduj się Fox Two.

Drzwi szafy otwierają się. Na podłodze siedzi Paul i opatruje zakrwawioną nogę. *Kurwa!* Cole wchodzi do środka, żeby lepiej się przyjrzeć. Szybko odwiązuje zakrwawiony bandaż i widzi, że rana jest głęboka. Przeklina, gdy orientuje się, ile krwi stracił Paul. Jego twarz blednie z minuty na minutę.

Muszą przerwać misję.

– Zostań tu. Przyślę po ciebie Marka, a potem wyjdziecie obaj.

Paul zaczyna oponować, ale Cole kręci głową.

– To rozkaz, agencie.

Cole wygląda ostrożnie przez drzwi, a następnie daje znak Markowi przez radio, żeby zszedł na dół.

– Wiesz gdzie jest John? – pyta Cole, owijając nogę Paula.

– Nie, ostatni raz widziałem go w jadalni – odpowiada, pojękując z bólu. – Rozdzieliliśmy się.

Dziabnęli mnie i wylądowałem tutaj.

– Okej, ustaw zegarek na dziesięć minut. Uruchom czas, jak wyjdę. Jeśli do tego czasu nie wrócę z Johnem, wynoście się stąd. To bezpośredni rozkaz.

– Tak, pułkowniku. – Paul kiwa głową i ociera pot z czoła.

Cole pomaga mu wstać, opiera go o ścianę, po czym powoli otwiera drzwi. Widząc Marka schodzącego po schodach, rusza korytarzem i sygnalizuje mu, że droga jest czysta. Następnie osłania Marka, dopóki ten nie znajdzie się bezpiecznie przy Paulu. Trzymając się nisko, z uniesioną bronią, ostrożnie przechodzi przez salon i jadalnię.

Nagle dostaje czymś w ramię. Odwraca się i widzi Johna przykucniętego między dwiema rzeźbami lwów. *Bogu, kurwa, dzięki.*

John pokazuje na kawałki rozwalonego radia dyndające na jego piersi.

Cole rozgląda się i daje mu ręką sygnał, aby wstał i do niego podszedł.

John kiwa głową, następnie wykonuje polecenie.

– Przerwywamy misję. Mamy rannych. Musimy ich stąd wydestać. Fox One i Raven Two stracili dużo krwi. Jeśli zostaniemy rozdzieleni, spotykamy się w naszym centrum dowodzenia.

John potakuje skinieniem głowy i ruszają w stronę frontowego wejścia. Po prawej stronie pojawia się mężczyzna.

Cole rzuca się do przodu, zakrywa usta zaskoczonemu mężczyźnie i jednocześnie zaciska mocno ramię wokół jego szyi, odcinając mu dopływ powietrza. Sygnalizuje Johnowi, że ma iść dalej.

Mężczyzna uderza Cole'a łokciem w brzuch, na co ten zaciska ramię jeszcze mocniej, aż pojmany przestaje się szarpać i wiotczeje. Cole obserwuje, jak John i reszta idą w stronę drzwi, po czym dostrzega, że z głębi rezydencji zmierza w ich kierunku dwóch mężczyzn.

Strzela i trafia w głowę jednego z nich. Kiedy chce zrobić to samo z drugim, dostaje mocny cios w tył głowy. Pada na kolana. Dzwoni mu w uszach, ostry dźwięk wwierca się w mózg, a potem jego wzrok zasnuwa ciemność i z ciężkim łoskotem łąduje twarzą na ziemi.

*

Savannah

Włączając się po posiadłości, rozkoszuję się słońcem, mimo że wciąż jest mroźno. Derek trzyma się blisko mnie. Udało nam się puścić w niepamięć niezręczną chwilę w kuchni i zaczęliśmy pracować nad naszą znajomością. Jestem mu za to wdzięczna. Życie pod jednym dachem z tak wieloma ludźmi

może dać się we znaki.

Nadal ze mną flirtuje, ale myślę, że są to bardziej wygłupy. Zbliżając się do drzwi domu, rozmawiamy o muzyce.

– To poza bluesem, czego jeszcze słuchasz? – pyta, wkładając ręce do kieszeni kurtki.

– Hmm, Beck, Radiohead, Weezer i ostatnio zakochałam się w kanadyjskim zespole Tragically Hip. – Uśmiecham się, przypominając sobie jedną z ich piosenek zatytułowaną *Ahead By A Century*. Któregoś dnia słuchałam jej ze dwadzieścia razy z rzędu. – Zaczęli grać na początku lat osiemdziesiątych. Powinieneś ich posłuchać. To taki alternatywny rock.

– Czyli lubisz też alternatywny rock?

– Lubię każdą muzykę, ale tak, jest na drugim miejscu na mojej liście.

Uśmiecham się. Po chwili dostrzegam Keitha, obserwującego nas z werandy. Powoli rusza w naszą stronę, a ja czuję, jak po kręgosłupie przebiega mi dreszcz.

– Savannah, wejdiesz do środka? – pyta Keith, jest błądy jak ściana.

Czuję, jak narasta we mnie panika, która z żołądka promieniuje do serca, przyspieszając jego bicie. Zauważam, że Derek i Keith wymieniają spojrzenia.

Chwilę później Derek bierze mnie pod ramię i prowadzi do drzwi wejściowych. Nie chcę wchodzić do środka.

Pragnę uciec jak najdalej od tego, co mi zaraz powiedzą. Nie chcę myśleć o najgorszym, tyle że coś wisi w powietrzu. Jak na huśtawce – bujam się w jedną stronę i doświadczam tego, co dobre, bujam się w drugą i doświadczam tego, co złe. W jednej chwili myślę, że wszystko będzie dobrze, a w następnej szukam drogi ucieczki.

Keith otwiera drzwi do gabinetu doktora Roberts'a.

W pokoju czuć napięcie, od którego dostaję gęsiej skórki i zaczynam się trząść.

Daniel obejmuje ramieniem Sue. Jej oczy szklą od łez, dłonie ma zaciśnięte w pięści.

Boże. Kiedy patrzę na twarze zgromadzonych, na karku czuję uporczywe mrowienie.

June wyciąga rękę, żebym usiadła obok niej. Kolana mi się trzęsą, prawie potykam się o własne nogi.

Abigail dołącza do nas chwilę później, wycierając oczy chusteczką. Doktor Roberts na moment ściska jej ramię. Wszyscy są nieznośnie cicho, aż w końcu Daniel kiwa głową Keithowi na znak, żeby zaczął.

– Pięćdziesiąt cztery godziny temu Blackstone weszli do domu uznanego za główną rezydencję Amerykanina. – Odchrząkuje, żeby oczyścić gardło, za to w moim zalega wielka gula. – Sprawy nie poszły zgodnie z planem. Musieli przerwać misję. Próbując się wycofać, znaleźli się pod ostrzałem. Wszystkim udało się opuścić budynek, z wyjątkiem Cole'a.

I nagle wszystko zamiera. Czas. Ruch. Fałde mózgowie. Oddech. Bicie serca – nie wiem, jak to nazwać, po prostu zatrzymuje się.

Ledwie słyszę następne słowa, ale w końcu dociera do mnie, co mówi Keith.

– Wiemy, że żyje.

– Skąd? – wykrzykuje Sue, łapiąc Daniela za rękę, a ten mocno zaciska dłoń żony.

– Waszyngton potwierdził, że kamera satelitarna zarejestrowała, jak Amerykanin z kartelami przewożą Cole'a w nieznanym miejscu.

Moje płuca błagają, żebym nabrała powietrza. Kiedy w końcu to robię, z mojego gardła wydobywa się przeraźliwy szloch.

Gdy upadam na kolana, Abigail pochyła się nade mną i masuje mi plecy.

– Nie znamy wszystkich szczegółów, ale chłopcy są w bardzo złym stanie. Zanim wrócą do nas, najpierw muszą przejść badania w Waszyngtonie.

– Oni... oni go tam zostawili? – szepczę, po policzkach spływają mi gorące łzy.

Keith patrzy na mnie i zaciska usta.

– Frank przejmuje dowodzenie – odzywa się dziwnie upiornym głosem Daniel – ponieważ Cole nie jest w stanie... – Przerywa, biorąc wdech. – Kazali im wracać, to rozkaz Franka. Nie mają wyboru, Savannah.

– Właśnie, że mają! – krzyczę przez łyzy. – A co z Cole’em? A jeśli... – Zakrywam usta dłonią. Kolejny głośny szloch wydobywa się z moich ust. Wstaję. Jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie. – Proszę, każ im tam wrócić. – Odwracam się do Keitha, wykrzykując każde słowo. – Proszę, błagam, Keith, błagam, każ im tam wrócić i go znaleźć. Chcę, żeby wrócił. Musi wrócić!

– Przykro mi, Savannah. Nie ja o tym decyduję.

W oczach Keitha widzę błaganie o zrozumienie.

Ruszam w kierunku drzwi, czując narastającą klaustrofobię – ściany na mnie napierają, sufit się obniża. Muszę uciekać. Wszyscy mi się przyglądają. Niektórzy wstają i chcą podejść, ale unoszę rękę, powstrzymując ich. Chcę tylko, żeby Cole wrócił. Wpadam na Dereka, który zagroził mi przejście. Słyszę, jak Sue mówi Danielowi, że powinnam się uspokoić. Jak mogę się uspokoić, kiedy wiem, że Cole dostał się w ręce karteli i Amerykanina? Nie, gdy ojciec mojego dziecka jest przetrzymywany wbrew własnej woli. Nie, muszę się stąd wydostać... i to natychmiast.

Spojrzenie, które rzucam Derekowi, sprawia, że odsuwa się na bok i robi mi przejście. Doktor Roberts woła mnie, ale nie słyszę nic prócz zamykanych za sobą drzwi. Idę jak automat do swojego pokoju, wbijam kod na panelu na ścianie, wchodzę do biblioteczki Sue i opadam na poduszki. Zwijam się w kłębek i natychmiast odpływam w sen. Od razu wracam myślami do czasów, kiedy czułam się bezpieczna w ramionach Cole’a. Tak, to tylko sen, ale biorę, co jest.

*

Sue z pomocą Keitha znajduje mnie jakiś czas później, powoli kładzie się na podłodze.

Nie śpię, leżę tyłem do niej. Za bardzo wszystko mnie boli, żeby się ruszyć.

Sue kładzie się za mną, obejmuje mnie ramieniem i chwytą moją dłoń.

Szlocham, rozpaczliwie potrzebując matki, a ona, jak mniemam, dziecka do przytulenia.

Leżymy tak, doświadczając emocjonalnego rollercoastera. Zасыpiamy. Budzimy się kilka godzin później, jesteśmy wyczerpane, dosłownie wyciśnięte do ostatniej kropli.

Decydujemy się na wspólny spacer, żadna z nas nie chce być teraz sama.

Keith i Daniel pracują w biurze Cole’a. Nie chcemy im przeszkadzać, dlatego postanawiamy wyjść na świeże powietrze. Nie rozmawiamy o niczym ważnym, po prostu bezmyślnie paplamy, gdy ból staje się zbyt dotkliwy. Jestem wdzięczna, że Sue potrzebuje mnie tak bardzo, jak ja jej. Szybko staje się moją opoką. Dziękuję Bogu za nią i Abigail. Nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

Obie wzdrygamy się jednocześnie. Słyszymy odgłos silnika. Na ten dźwięk serce zaczyna mi walić jak młotem. Odwracam się i widzę lecący nisko nad górami czarny helikopter. Ląduje, wzbijając wokół nas tumany wirującego śniegu. Ściskam dłoń Sue, wiem, jakie to będzie trudne.

Ciągnie mnie za rękę i wracamy do domu.

Jesteśmy już prawie na werandzie, gdy obok nas zatrzymuje się SUV. Podchodzi do mnie Keith.

Drzwi helikoptera się otwierają. Pierwszy wychodzi Paul. Próbuje stać prosto.

Następny jest John. Podchodzi do Paula, bierze jego torbę, a następnie obejmuje go w pasie i pomaga mu utrzymać równowagę.

Następnie pojawia się Mark ze opuszczoną głową. Jego mowa ciała sprawia, że robi mi się nieswojo. Żaden z nich nie nawiązał ze mną kontaktu wzrokowego.

Keith daje nam znak, żebyśmy weszły do środka.

Siadamy na kanapie, Sue cały czas trzyma mnie za rękę. Czekamy, aż dołączą do nas pozostali.

Chłopcy odkładają swoje torby i ostrożnie wchodzą do salonu. Daniel pomaga Johnowi posadzić Paula na kanapie.

Na nodze ma założoną niewielką szynę, przez co trudno jest mu się poruszać.

Ręka Marka jest na temblaku przywiązany ciasno do piersi. Porusza się jak robot, kiedy przechodzi przez pokój. Siada i wbija wzrok w podłogę. Nie jestem pewna, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z obecności pozostałych.

– Masz. – Daniel stawia szklankę na stoliku, a następnie staje przy kominku.

Mark nie reaguje. Wszyscy czekamy, aż dołączy do nas reszta.

– Nic nie poszło zgodnie z planem – zaczyna cicho Paul. – Jak tylko weszliśmy do środka,

wszystko się posypało.

Czuję ucisk w żołądku. Mam ochotę krzyknąć: „Co się do cholery stało? Gdzie jest Cole?”. Ale nie krzyczę. Zamiast tego patrzę na Marka, który dalej siedzi z pochyloną głową.

– Zauważyła nas pokojówka, kiedy przechodziliśmy przez kuchnię. Upuściła tacę i wtedy zobaczył nas jeden z ich ludzi.

– Było ich tak wielu – mówi John, odchrząkując. – Trzech z nich doskoczyło do mnie i rozwalili mi radio. Udało mi się uciec i pobiegłem do umówionego wcześniej miejsca, ale nikt tam nie przyszedł, więc wróciłem do jadalni, gdzie ostatni raz widziałem Paula. Znalazłem bezpieczne miejsce i próbowałem naprawić radio, ale nic nie dało się z nim zrobić.

– Dźgnęli mnie w nogę, ale zwałem. Potem natrafiłem na jakąś szafę i schowałem się w niej. Trzydzieści minut później znalazł mnie Cole – relacjonuje Paul.

Odrywam wzrok od Marka i patrzę na Paula.

– Zobaczył moją nogę i powiedział, że Mark też jest ranny, że ma ranę postrzałową. Powiedział też, że mamy przerwać misję. I poszedł szukać Johna.

John drapie się po głowie.

– Zatrzymali nas, kiedy po nich szliśmy. Cole zdjął jednego, kazał mi iść i zabrać naszych. Trafiłem na Paula i Marka w holu i skierowaliśmy się do drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam to strzał i ich człowiek spadający ze schodów. Odwróciłem się, kiedy biegliśmy do punktu odprawy. Ale... ja... ja... – Kręci głową. – Nigdzie go nie widziałem.

Kiedy tego słucham, zaczyna mnie coś kłuć w głowie, tracę ostrość widzenia, a ręce robią mi się lodowate.

– Czekaliśmy na niego. – Dalej opowiadać musi Paul, ponieważ John ledwo się trzyma. – Czekaliśmy całą noc i cały ranek. Poskładaliśmy się do kupy na tyle, na ile mogliśmy, i wezwaliśmy wsparcie. Zanim nasi dotarli, tamci zdążyli się wynieść. Kazano nam wracać i czekać na dalsze wytyczne.

Rozglądam się po pokoju, analizując to, co właśnie usłyszałam. Tak bardzo chciałabym na nich nakrzyczeć, żeby tam wrócili, ale widzę, że są tak samo załamani jak ja. Musieli zostawić swojego człowieka – dowódcę, przyjaciela i brata. Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić.

Nagle czuję okropny skurcz żołądka, który intensywnością dorównuje bólowi z ziejącej w moim sercu dziury. Oplatom rękoma brzuch, moją twarz zraszają krople potu.

– Savi? – Keith klęka przede mną. – Musisz się uspokoić.

– Uspokoić się? Uspokoić się! – powtarzam w kółko, bo rozpala się we mnie gniew. Stoję i czuję, jak ból oplata mnie w pasie.

– Tak, Savannah – ostrzega Daniel, ale nie dociera do mnie, co mówią.

Cofam się, przeczesując włosy palcami, łzy spływają mi po twarzy. Mam wrażenie, że moja klatka piersiowa zaraz eksploduje. Unoszę ręce do góry.

– Chcecie, żebym się uspokoiła, kiedy Cole siedzi gdzieś w celi albo jest sześć stóp pod... – urywam i zamykam oczy.

Czuję, że wszyscy się na mnie gapią. Opuszczam bezwładnie ręce wzdłuż ciała. Odwracam się na pięcie i idę do swojego pokoju, gdzie zwijam się w kłębek, żeby złagodzić ból brzucha. Płaczę tak długo, aż morzy mnie sen.

*

Cole

Cole syczy, gdy w dużą ciętą ranę na jego torsie jeden z oprychów kartelu wkłada swój paluch. Przez ostatnie dwa dni był torturowany przez bardzo pomysłowych dupków. Ale wstrząsy elektryczne, podtapianie i chłostanie jeszcze go nie złamały. Dwie szuje przed nim wydają się znudzone. Powiesili go za nadgarstki na łańcuchu, jego stopy dyndają tuż nad ziemią. Już dawno stracił czucie w ramionach.

Ból został zablokowany – dzięki wielogodzinnym treningom potrafi wyłączyć część mózgu odpowiedzialną za jego odczuwanie.

Nie zamknęli za sobą drzwi, więc Cole widzi, jak idą korytarzem. Korzysta z okazji i słucha wszystkich dźwięków. Od kiedy go tu przywieźli, koncentruje się na próbie zapamiętywania kroków. Czternaście kroków od land rovera do drzwi, czternaście od drzwi do sypialni. Słyszy dźwięk włączanego telewizora i otwieranych piw. Zamyka oczy i przełącza się w tryb medytacji, wykorzystując czas na odpoczynek. Dzięki temu będzie wystarczająco silny psychicznie, gdy do niego wróca.

*

Jasne światło przenika przez zamknięte powieki. Czuje, że nie jest sam.

Przed jego twarzą przesuwają się cień, dźwięk stukania paznokciem o kafelki przywołuje wspomnienie. Takie skojarzenie zostało ze spotkania z Amerykaninem w pamięci Savannah. Cole symuluje omdlenie, mając nadzieję, że powiedzą przy nim coś istotnego.

– A więc to jest słynny pułkownik Cole Logan – odzywa się Amerykanin, jego angielski jest doskonały.

– *Si, señor* – odpowiada męski głos.

– Ilu zabili jego ludzie?

– *Veintiocho*.

Tak, skurwysynu. Dwudziestu ośmiu kundli z głowy, pozostaje kolejny miliard.

– Nie chce gadać?

– Nie.

– Chyba wiem, jak to załatwić.

Amerykanin robi dwa kroki naprzód i wali Cole'a w brzuch.

– Czas się obudzić, pułkowniku – mówi zaczepnie.

Cole kaszle i stara się złapać oddech, po czym wychyla się do przodu, próbując przyjrzeć się ubraniu mężczyzny. Ma na sobie charakterystyczny czarno-biały garnitur, kowbojski kapelusz i śmieszne kowbojskie buty z odstającą na czubkach złotą kobrą.

– W końcu po tylu latach się spotykamy – rzuca Amerykanin.

Cole milczy, obserwując jego ruchy. Utyka lekko na prawą nogę i przechyla głowę w lewo, jakby bolała go szyja.

– A teraz zadam ci pytanie, a ty na nie odpowiesz. Gdzie jest moja Savannah?

Cole ze wszystkich sił stara się, by nie zareagować.

Amerykanin kiwa głową i poprawia lewy mankiet koszuli.

– Czyli krótkie tortury fizyczne na ciebie nie działają. Żałuję, ale niestety nie mamy więcej czasu.

– Stuka palcem w usta. – Zastanawiam się, jak mocna jest twoja psychika. – Uśmiecha się złośliwie. – Panie Donovan, czy mógłby pan do nas dołączyć?

Słysząc kroki, więc Cole przenosi wzrok na drzwi.

Wystarczy chwila, by zorientować się, kto to jest. W pamięci wyświetlają mu się slajdy tego, co zobaczył, kiedy ostatni raz obserwowali ich dom i pojawił się ten facet. Trudno zapamiętać żyłatego gościa w granatowym garniturze, z kremową płócienną torbą na głowie.

– Rozumiem, że mnie poznajesz? – pyta z uśmiechem.

– Tak – mruczy Cole.

– Widzisz, pułkowniku, mamy problem. Schrząniłeś bardzo ważną dla mnie transakcję. – Podchodzi bliżej. – Ale można to bardzo łatwo naprawić, jeśli po prostu oddasz mi pannę Miller.

Cole ma pomysł. Przekręca ramię i opuszcza głowę, jakby tracił przytomność.

Donovan patrzy na Amerykanina.

– Możesz przynajmniej posadzić go na krześle czy coś? – Wskazuje na brzuch Cole'a. – Obrażasz mnie tym. Nie potrzebuję patrzeć na rozciągnięte i zakrwawione ciało.

Amerykanin powoli kręci głową, jest zirytowany, ale woła swoich ludzi.

– Tylko niczego nie próbuj – ostrzega, przystawiając do twarzy Cole'a splotę.

Dwóch oprychów zwalnia blokadę bloczków i opuszcza go na drewniane krzesło. Związują mu

ręce i nogi, ale nie przywiązują do krzesła. Cole zauważa, że pasek jednego z nich ma sprzączkę z teksańską krową. Jej rogi bardziej przypominają broń niż stanowią ozdobę.

Przeszywa go tępy ból, zaczyna odczuwać skutki bicia, jakie doświadczyło jego ciało, ale cieszy go fakt, że jego plan zadziałał i już nie wisi przyczepiony do sufitu. Teraz kiedy już siedzi, jego umysł przełącza się z powrotem w tryb przetrwania, a ciało z każdą sekundą się regeneruje.

– A teraz – mówi Donovan, siadając przed nim – gadaj, gdzie dziewczyna?

Cole oblizuje usta językiem. Smakują jak cynowa puszka. Spluwa na bok... tak, to krew. Spogląda na mężczyznę, nie spiesząc się z odpowiedzią.

– Po co ci ona?

– Wiesz kim jestem? – Pochyla się na krzesło. – Znaczy, znasz mnie, co?

– Luka Donovan, asystent burmistrza.

– Zgadza się. Znam córkę burmistrza od dawna – stwierdza, uśmiechając się.

Cole odwzajemnia uśmiech, ale z zupełnie innego – bardziej brutalnego – powodu.

– Widzisz, burmistrz jest gotowy na reelekcję. Sondáže są dobre, ale przez te ciągłe wpadki jego córki nie są świetne. Konieczna więc była mała zmiana. – Odchyła się i kręci głową. – Nigdy nie udałoby mi się tego dokonać bez pomocy Lynn.

Cole podejrzewał najlepszą przyjaciółkę Savannah, ale nie potrafił do końca tego rozgryźć.

– Savannah ufa jej bardziej niż komukolwiek – kontynuuje swobodnym tonem. – Tak więc Lynn i ja spotkaliśmy się na kolacji i doszliśmy do pewnego porozumienia. Jej człowiek miał udawać potencjalnego klienta i zwać jej „przyjaciółkę” na parking o określonej porze. To było idealne rozwiązanie.

– Joe Might? – przerywa mu Cole.

Luka kiwa głową i wzrusza ramionami.

– Widzisz, pułkowniku, podobnie jak ty, ja też w swoim zawodzie spotykam wiele podejrzanych ludzi. Człowiek zaczyna się uczyć. W przeciwieństwie do pieniędzy, które nie zawsze dają to, czego się chce, ładna buźka i zajebiste ciało, takie jak ma Savannah, już tak.

Zanim Cole zdąży pomyśleć, co robi, wyrzywa się do przodu, zwała Lukę z krzesła i rzuca mężczyznę na ścianę.

Luka stęka, z trudem łapiąc oddech.

Cole wali go łokciem w twarz i kolanem w brzuch, gdy nagle czuje ostry ból między łopatkami. Upada na ziemię, po czym dostaje kolbą pistoletu w skroń. Nie rejestruje bólu i próbuje wstać, ale Amerykanin przystawia mu broń do twarzy.

– Jeszcze jeden ruch, a rozwalę ci łeb – syczy.

Wtedy Cole nieruchomieje. Zamyka oczy, głośno zgrzytając zębami, co bez wątpienia ma mu pomóc się uspokoić.

– Zabierzcie go stąd!

Dwóch mężczyzn chwytają go, a trzeci przystawia mu pistolet do głowy.

Widzi na podłodze skulonego Lukę, jęczącego i trzymającego się za brzuch.

Cole próbuje zmusić się do kontrolowania przepływu myśli, bo jeśli tego nie zrobi, ich zaciekle agresja doprowadzi do jego śmierci. Przykuwają go do rury przy ścianie w jakimś małym pomieszczeniu, zatrzaskują drzwi i zostawiają w ciemnościach. Przesuwa się, opiera głowę o dłonie i naciska, aby zatamować krwawienie ze skroni. Wypuszcza powoli powietrze i zastanawia się nad możliwymi sposobami ucieczki. Musi tylko zdobyć jakąś broń.

Jego uwagę zwraca lekki powiew chłodnego powietrza z miejsca, w którym rura styka się ze ścianą. Ustawia się tak, że na poziomie oczu ma dwuipółcentymetrowy otwór, przez który może wyjrzeć na zewnątrz. W niedalekiej odległości widać światła. Czyli jest w jakiejś miejscinie. Odwraca się, gdy słyszy kroki, potem stłumione głosy i głośny trzask, po którym następuje głuchy łoskot. Najpierw coś jest wywlekane z pokoju obok, a potem światło, które docierało przez szparę pod drzwiami, gaśnie. Kręci głową – woli nie wiedzieć.

Szarpie za rurę, aby sprawdzić jej wytrzymałość. Odsuwa się do tyłu i kopie w jej podstawę, ale to na nic się zdaje.

– Kurwa! – klnie cicho pod nosem i opiera głowę o ścianę.

Potrzebuje snu. Zamyka oczy, ale od razu zaczyna myśleć o Savannah, która pewnie odchodzi od zmysłów. Czuje ukłucie w piersi. Na pewno będzie zdruzgotana, kiedy się dowie, że za jej porwaniem stoją Luka i Lynn.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Cole

– Obudź się! – Luka kopie Cole’a w żebra. – Powiedziałem, obudź się!

Cole otwiera oczy, nie spał, i to przez większość nocy. Lekceważy ból w żebdach i uśmiecha się, gdy widzi, że Luka ma na oku czarno-niebieską śliwę.

Facet patrzy na niego z góry. Zamyka drzwi, przysuwa sobie krzesło, siada i zaczyna mu się przyglądać.

– Słyszałem, że jesteś twardzielem z Zielonych Beretów. Do diabła, zostałeś pułkownikiem w wieku trzydziestu lat. Naprawdę jesteś gość – mruczy. – Ale widzisz, pułkowniku, każdy ma swój słaby punkt. Odchyła się na krzesło i krzyżuje nogi. – A wczoraj pokazałeś mi, jaki jest twój. – Uśmiecha się z wyższością. – Jest piękna, prawda? Jej długie, jedwabiste włosy, opalona skóra, te ciemne oczy, w których można się zatracić, to smukłe ciało, zaokrąglone tam, gdzie trzeba... mmmm, precudne. – Kręci głową, jakby coś sobie przypominał. – Nie sądzę, żeby w tym miejscu znalazł się ktokolwiek, kto nie miałby ochoty jej zerznąć.

Cole zaciska zęby, czując bużującą w żyłach adrenalinę.

– Widzę, że też poddałeś się jej urokowi, co wyjaśnia, dlaczego nie podałeś jej lokalizacji. Ale szkoda twojego czasu. – Śmieje się. – Jest jak naładowana spluwa i ma osobowość strażnika, pilnie strzegącego dostępu do swojego serca. Nie rozłoży przed nikim nóg.

Fala emocji, która uderza w Cole’a, jest wręcz nierealna. Uśmiecha się w duchu, a jego uśmiech próbuje wydostać się na zewnątrz. Tak, udało mu się znaleźć drogę do serca Savannah. Teraz tylko musi do niej wrócić.

– Mówisz, jakbyś też był nią zainteresowany... – rzuca Cole ściszym głosem, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej na temat porwania.

– Nie, nie, nie. – Kręci głową. – Za bardzo lubię swoją pracę, by się w to wpakowywać, dlatego zdecydowałem się na jej najlepszą przyjaciółkę.

Cole przewraca oczami. *Co za kutas.*

– Powiedz mi coś, Luka. – Cole przesuwają się i opiera przedramiona na zgiętych kolanach. – Jak udało ci się znaleźć kogoś, kto zdecydował się ją porwać?

Luka parska śmiechem.

– Zdziwiłbyś się, jak łatwo było znaleźć kogoś, kto chciał pomóc mi rozwiązać mój mały problem. Szepnąłem słówko tu i tam i dostałem kilka propozycji. W końcu zgłosili się do mnie *Los Sirvientes Del Diablos* i zawarliśmy umowę. Złapali ją i zabrali do Tijuany. Miała zginąć w ciągu tygodnia, ale wtedy ten facet – wskazuje przez ramię na drzwi, mając na myśli Amerykanina – skontaktował się z nimi i dobił własnego targu. Chciał Savannah dla siebie, ale zgodził się poczekać, aż wpłyną pieniądze z okupu. – Przerywa i pochyla się do przodu. – Obowiązują jakieś zasady, wiesz. Nie można tak po prostu sobie przyjść i zabrać dziewczynę. Musiał się wstrzymać do czasu, aż transakcja zostanie sfinalizowana.

Kurwa, gość gada jak najęty, co za dupek. Z przyjemnością rozkwasiłby mu gębę.

– Ale wtedy *Los Sirvientes Del Diablos* zrobili się chciwi. Skontaktowali się z burmistrzem, mówiąc, że mają jego córkę i że ktoś inny się nią interesuje, więc ten, kto zapłaci więcej, dostanie dziewczynę. – Luka zdejmując okulary i pociera grzbiet nosa. – Ale burmistrz zareagował inaczej, niż się spodziewałem. Przysięgam, był zadowolony, że zniknęła. Jego własna córka! Jego sondáže szły w górę. Zaczął spotykać się z jakąś babką. – Jego ton łagodnieje. – Nie zrozum mnie źle, pułkowniku, kocha Savannah, ale ona po prostu nie wskoczyłaby na pokład tego kampanijnego statku, a facet ma swoje priorytety. – Wzdycha głośno.

– Hej! – krzyczy Amerykanin, wpadając przez drzwi. – Co ty, kurwa, robisz?

– Tak sobie gadamy – odpowiada spokojnie Luka.

– Nie ściągnąłem cię tutaj na pierdolone spotkanie i pogaduchy. Wynos się, sam to załatwię. Amerykanin zakłada mosiężne kastety, po czym zaciska pięść.

– Czy to naprawdę konieczne? – pyta Luka, wstając ze zniesmaczoną miną. – Mogę zamienić z tobą słowo na zewnątrz?

Dotyka ramienia Amerykanina, ale zaraz odskakuje. Mężczyzna odwraca się do niego, chwytając go za ramię i wykręca je.

– Nigdy mnie, kurwa, nie dotykaj! Nigdy! – warczy Amerykanin. – Na zewnątrz, już.

Luka kiwa głową, pocierając ramię i wychodzi za Amerykaninem. Drzwi zatrząskują się za nimi. Zostawiają go z jednym strażnikiem z karabinem maszynowym.

Cole przechyla głowę i wpatruje się w mężczyznę. Jest taki młody, ma może ze dwadzieścia parę lat. Jego twarz jest spocona, cały się trzęsie, nerwowo zaciskając palce na broni.

Dzieciak przerzuca przez głowę pasek od karabinu.

– Ruszysz się – mówi z twardym akcentem – a odstrzelę ci łeb.

Cole uśmiecha się do niego i mamrocze coś pod nosem, mając nadzieję, aż podejdzie do niego chociaż odrobinę bliżej. I rzeczywiście, młody robi dwa kroki w jego stronę. Cole nagle łapie się rury, kopie lufę pistoletu tak, że broń wystrzeliwuje do góry i uderza chłopaka w oko. Strażnik pada do tyłu z krzykiem i gramoli się na drugą stronę pomieszczenia, uciekając poza zasięg Cole'a.

Drzwi otwierają się z impetem. Amerykanin widzi na podłodze dzieciaka trzymającego się za głowę i jęczącego z bólu. Patrzy na Cole'a, podchodzi do niego i uderza go w bok głowy mosiężnymi kłykciami.

*

Kiedy się budzi, znowu jest ciemno. Przez małe pęknięcie w ścianie czuć powiew chłodnego powietrza. Cole ma wrażenie, jakby w jego czaszkę wladowała się ciężarówka – prawdopodobnie jest pęknięta. Już samo otwarcie oczu boli jak diabli, więc cieszy go, że światło jest wyłączone. Drzwi otwierają się, gdy uderza w niego kolejna fala mdłości. Pochyla się i wymiotuje. *Kurwa.*

U jego stóp leży butelka wody. Podnosi głowę i widzi stojącego nad nim Lukę. *Chryste, ciągnij dalszy zabawy w dobrego i złego gline.* Przesuwa ręce w dół rury i stopą sięga butelkę z wodą. Otwiera ją niezdarne i pije, chłodna woda jest w tym momencie jak marzenie. Natychmiast robi mu się lepiej na żołądku. Gdyby tylko jeszcze mógł dostać coś przeciwbólowego. Na samą myśl uśmiecha się lekko.

– Coś cię bawi? – pyta Luka, siadając na podłodze naprzeciwko niego.

– Nie bardzo – prychna Cole, rzucając pustą butelkę na podłogę.

– Wiesz, nienawidziła prasy. – Luka kontynuuje swoją opowieść tak, jakby nikt mu jej nie przerwał. – Savannah nienawidziła swojego ojca za to, że zamiast niej wybrał pracę, więc upijała się i szlajała po mieście, kompromitując się.

Cole pochyła się i dotyka obolałą głowę, czuje, jak krew spływa mu po szyi. Luka rzuca w niego pustą butelką, a potem kopie go w nogę.

– Słuchasz mnie? Bo zaraz zaczniesz się najciekawsze.

Cole piorunuje go wzrokiem, ale opuszcza ręce i prostuje się.

– Któregoś wieczoru trafiłem na burmistrza pijącego w swoim biurze. Wyznał, że ktoś skontaktował się z nim i pokazał nagranie poświadczające, że Savannah żyje, ale ponieważ nie zapłacił od razu, zaczęli go szantażować, twierdząc, że to on wszystko zaaranżował. Wiedziałem, że *Los Sirvientes Del Diablos* powiedzieli mu, że to ja stoję za tym wszystkim. Widziałem to po jego oczach. Myślałem, że to już koniec, ale zamiast tego poprosił mnie o pomoc. Byłem w szoku. W końcu jest jego córka, tymczasem jakimś cudem upiekło mi się. Obaj chcemy być na szczycie i zrobimy wszystko, co trzeba, aby się tam dostać. – Klaszcze w dłonie, przypinając Cole'a o pulsujący ból głowy. – Więc uknuliśmy nowy plan! Wykorzystujemy media, ile się da. Nikt nam nie zarzuci, że nie obchodzi nas nasza kochana zaginiona Savannah. Olewamy żądania okupu i mamy nadzieję, że się jej pozbędą. Wszystko szło gładko. Nie było z nimi kontaktu, wszystko było dobrze. Ale wtedy, kilka miesięcy później, siedzę w barze i ten tutaj w szykownych bucikach – nawiązuje do Amerykanina – podchodzi do

mnie i mówi, że albo zapłacimy, albo upublicznią nagranie rozmowy telefonicznej, podczas której omawiają szczegóły okupu z burmistrzem. Zamierzali udowodnić, że wiedział, że jego córka żyje, ale głównie go to obchodziło. Tak więc sięgnęliśmy po praktykę zaniżania cen. Zaczęliśmy od pięćdziesięciu kawalków, żeby zyskać trochę czasu do namysłu, ale zanim udało nam się coś zdziałać, Savannah rozplynęła się w powietrzu.

Cole odchyła się do tyłu, próbując zmusić bolącą głowę do przetworzenia wszystkich informacji, którymi zarzuca go Luka.

– Poczekaj. – Cole przerywa jego paplaninę. – Myślałeś, że wystarczy zignorować grupę powiązaną z kartelami, a oni tak po prostu dadzą wam spokój? Miałeś jakiegokolwiek pojęcie o kartelach, zanim się w to wplątałeś?

Ten facet jest naprawdę głupi.

– Dostali kasę za porwanie dziewczyny. My zrobiliśmy swoje. To oni nie dotrzykali warunków umowy.

– Chciałeś ochujać kartele na ich własnym podwórku – dziwi się Cole, nie dbając o to, czy wkurzy go tym stwierdzeniem. – Kurwa, poszedłeś na układ z pierdolonymi samozwańczymi sługami Diabła!

Luka pociera kark.

– Tak, teraz to wiem – zgadza się, smutno kiwając głową. – Stwierdzili, że to my ją im zgarnęliśmy i zaczęli wysyłać nam wiadomości, że jesteśmy im winni dwa miliony i że albo zapłacimy, albo upubliczniają taśmę. – Podnosi głos. – Grozili mojej rodzinie, Lynn i próbowali podpalić mój samochód. Bucior albo „Amerykanin”, jak wy go nazywacie, w końcu zrozumiał, że nie mamy, kurwa, pojęcia, gdzie ona jest, ani co się stało. Straciliśmy mnóstwo pieniędzy i czasu, aż w końcu dowiedzieliśmy się, że ukryła ją gdzieś pieprzona armia amerykańska. – Znowu się nachyla i patrzy Cole’owi w oczy. – Widzisz, pułkowniku, zawarłem pakt z diabłem, ale muszę to wszystko doprowadzić do końca. I tu pojawia się ty. Chcę, żebyś oddał dziewczynę Amerykaninowi, ja muszę zapłacić im te dwa miliony, a burmistrz musi wygrać wybory, i wtedy wszystko będzie tak, jak być powinno. To bardzo proste.

Cole’owi nie mieści się to wszystko w głowie. Tyle mataczenia, tyle zakłamanych ludzi. Nie może uwierzyć, że własny ojciec Savannah mógł tak łatwo z niej zrezygnować. Boże, to ją zabije, jeśli się o tym dowie.

– Myślisz, że jestem aż tak głupi? – pyta Cole. – Myślisz, że po tym wszystkim, co mi wyjawileś, uwierzę, że tak po prostu pozwolisz mi odejść? Luka, nie zostałem pułkownikiem w wieku trzydziestu lat dzięki swoim umiejętnościom walki.

Luka wzdycha, ignorując komentarz Cole’a.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co ci powiedziałem, jestem pewien, że twój umysł jest teraz jak rozpedzona machina. Naprawdę nie lubię się powtarzać, ale gdzie ona jest?

Cole postanawia, że, zanim zdecyduje się na kolejny ruch, musi zdobyć więcej informacji.

– Dlaczego Lynn miałaby ją zdradzić?

Luka zastanawia się przez moment.

– Odpowiem ci na twoje pytanie, a ty w zamian odpowiesz na moje. – Poprawia krawat. – Lynn i ja zaczęliśmy się spotykać kilka lat temu. Chyba nie przeszkadzało jej to, że jestem od niej starszy o jedenaście lat. Utrzymywaliśmy to w tajemnicy, nikomu o tym nie mówiliśmy, zwłaszcza Savannah. Lynn nią gardziła. Była zazdrosna i nie mogła zrozumieć, dlaczego Savannah nie chciała brać udziału w kampanii i angażować się w życie ojca. Dlaczego nie mogła zrozumieć, że wszyscy byśmy na tym zyskali? Razem z nim dostalibyśmy się na sam szczyt. – Kręci głową. – Lynn miała trudne dzieciństwo. Nienawidziła Savannah za to, że ona miała łatwe i szczęśliwe. A teraz jeszcze zabierała Lynn szansę, by w końcu dostać to, na co zasłużyła.

– Obserwowanie przez cztery miesiące, jak twoja matka gaśnie w oczach, trudno nazwać szczęśliwym dzieciństwem – odpowiada Cole, czując, jak w jego żyłach zaczyna buzować złość.

– W sumie to wyszło nawet dobrze, jej matka nie była zwolenniczką wejścia Douga do polityki.

– Luka wzrusza ramionami i przewraca oczami. – Najwyraźniej Savannah wdała się w swoją matkę.

Cole zaczyna się śmiać. Jego cierpliwość do tego człowieka się wyczerpała, zaczyna mu się robić ciemno przed oczami.

– Jesteś nieźle popierdolony.

– Być może – przyznaje Luka, wstając. – Ale to nie ja jestem przykuty kajdankami do rury w domu pełnym gości pragnących mojej śmierci. – Otwiera drzwi i daje znak, by ktoś wszedł. Następnie odwraca się do Cole'a. – Ostatnia szansa.

Wchodzi Amerykanin, wygląda na wkurzonego i rozdrażnionego.

– No i? – pyta Lukę.

– Pierdol się – odpowiada Cole, zmuszając ich, aby na niego spojrzeli.

– Co? – Amerykanin rzuca mu wkurwione spojrzenie.

– Powiedziałem... pierdol się.

Amerykanin przygląda mu się przez chwilę, po czym wyjmuje chusteczkę i ociera czoło, zastanawiając się przez chwilę.

– W porządku, pułkowniku, dosyć tego cackania.

Kiwa głową do dwóch facetów, żeby weszli, i mierzy z pistoletu w głowę Cole'a.

Jeden z mężczyzn to dzieciak, którego uderzył wcześniej – ma spuchnięte oko. Młody odpina Cole'a od rury, zakuwa na powrót jego nadgarstki i stawia go na nogi. Normalnie Cole coś by zrobił, ale tamci mają przewagę liczebną, do tego słyszy czyjeś głosy dochodzące z innego pomieszczenia. Nie, na razie poczeka na idealny moment i dopiero wtedy uderzy.

– Nadal moglibyśmy to z niego wyciągnąć – protestuje Luka, ale Amerykanin kręci głową.

– Nie chce mówić. Jest zbyt dumy. Prawda, Kapitanie Ameryko? – Śmieje się. – Wiem, że zależy mu na dziewczynie, tak samo jak mnie. Obaj ją kochamy. Widzę to po jego minie, kiedy wymawiam jej imię.

Twarz Cole'a tężeje.

– Nie mogę się doczekać, aż poczuję ją pod sobą, pułkowniku. Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę jej skomlenie i błaganie, kiedy...

Cole rzuca się na Amerykanina, uderza go „z byka”, posyłając go do tyłu. Strażnik – ten który nie ucierpiał – uderza w głowę Cole'a kolbą karabinu i powala go na kolana.

Dzwoni mu w uszach. Krzyczy, gdy ból głowy eksploduje we wszystkich kierunkach.

Buty Amerykanina stukają o podłogę, gdy podchodzi bliżej.

– Zabierzcie go do wanny. Myślę, że pułkownik musi przypomnieć sobie, kto tu rządzi. – Patrzy na gościa z klamrą z teksańską krową. – Muszę pojechać do miasta. Zróbcie mu dziesiątkę, a potem przykujcie go z powrotem do rury.

– *Si, señor.*

Cole słyszy, jak Amerykanin wychodzi z pokoju, trzask zamykających się za nim drzwi, a potem ryk silnika.

– Zmiana planów – mówi ten od klamry do jednookiego. – Przygotuj zaplecze, *esé*. – Uśmiecha się do Cole'a. – Czas się zabawić, pułkowniku.

*

Savannah

Przez ostatnie trzy dni byłam w totalnej rozsypce. Po prostu leżę w łóżku, patrzę, jak upływa czas i zastanawiam się, gdzie jest Cole. Czasami zapominam się i myślę o najgorszym, a potem czuję się winna, że straciłam nadzieję. Dużo płaczę i prawie nie jem. June i Abigail siedzą przy mnie bezustannie, raz jedna, raz druga. Sue przez większość czasu leży zwinięta w kłębek na moim łóżku. Potrzebuje pocieszenia tak samo jak ja. Na zmianę jesteśmy dla siebie silne. Daniel i Keith gorączkowo pracują z Frankiem, próbując wykorzystać swoje kontakty w Meksyku, żeby wytropić Cole'a. Mark, John i Paul chcieliby pomóc, ale zostali odsunięci od sprawy. Traktują ją zbyt osobiście, poza tym dwóch z nich wciąż dochodzi do siebie po doznanych obrażeniach.

Derek jest odpowiedzialny za nowych ludzi, których sprowadził Daniel. Wszyscy oprócz mnie wydają się czymś zajęci. Ja utknęłam między przyszłością a chęcią pozostania w przeszłości, kiedy był ze mną Cole. Mówię po cichu do mojego brzucha, co mnie uspokaja i mam nadzieję, że uspokaja też maleństwo.

Potrzebuję zmienić otoczenie, więc schodzę na dół. Słyszac krzyki dobiegające z sali rozrywki, kieruję się w tamtą stronę. Zerkam do środka, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wszyscy na coś czekają, chyba na włączenie jakiegoś nagrania.

– Wiemy tylko tyle, że to wiadomość dla Blackstone – mówi Daniel, jest bardzo blady.

Obraz nagrania wyostrza się. Opieram się o ścianę, żeby nie upaść. Cole klęczy, jest pobity, bez koszuli i cały spocony, z paskudnym rozcięciem biegnącym wzdłuż torsu. Krew ścieka po jego twarzy z rozcięcia na głowie. Usta ma zakneblowane, ręce skute z przodu. Spogląda w kamerę, sprawiając, że moje serce zamiera. Wszyscy wzdychają albo krzyczą. Mark wstaje i zbliża się do telewizora.

Obok Cole'a stoi mężczyzna, ma skrzyżowane ręce na piersi. Nagle coś dostrzegam. Gość trzyma dużą maczetę. Zamieram, nie mogę oddychać. Mój mózg błaga, żebym odwróciła wzrok, ale nie mogę.

– Jedyne, co wystarczyło zrobić, to mi ją oddać – mówi mężczyzna, gdy kamera zbliża się do jego twarzy. – Blackstone zabił dwudziestu ośmiu naszych ludzi. Teraz zabiję jednego z waszych i będę zabijał, dopóki nie dacie nam tego, czego chcemy. – Następuje zbliżenie na twarz Cole'a, a następnie kamera powoli przesuwa się w dół, ukazując ostrze trzymane przy jego szyi.

Cole oddycha ciężko, na zbliżeniu krople potu są wyraźnie widoczne.

Błysk maczety. Siła cięcia sprawia, że ciało Cole'a skręca się, po czym upada na ziemię. Krew rozpryskuje się na wszystkie strony, także na obiektyw kamery.

Następuje cisza. Ludzie wokół mnie poruszają się w zwolnionym tempie. Patrzę w oczy Marka, który usłysawszy moje westchnienie, orientuje się, że ich obserwuję.

Jest wstrząśnięty, wręcz skamieniały. Wpatruje się we mnie w milczeniu, po chwili wszyscy odwracają się i widzą, że stoję w drzwiach.

Daniel patrzy z przerażeniem i przykładą dłonie do ust. Paul i John wstają, ciężko sapiąc. Krzyczę, bo dopada mnie ostry skurcz w podbrzuszu. Osuwam się, gdy ból ściska mnie jak imadło.

Mike stoi najbliżej, więc podbiega do mnie i bierze w dłonie moją głowę, zanim upadnę na podłogę.

Ból fizyczny jest nie do zniesienia. Dyszę, próbując złapać oddech. Wbijam palce w brzuch. *Co się do cholery dzieje?*

– Dzwoncie po lekarza! – woła Keith, podbiegając do mnie.

Widzę przerażenie na jego twarzy, gdy jego wzrok pada na mój brzuch.

Daniel odpycha Mike'a i pochyla się nade mną.

– Ciii, kochanie – uspokaja mnie drżącym głosem. – Oddychaj.

Głodzi mnie po włosach, szepcząc coś do Keitha.

I nagle wszystko robi się czarne.

*

– Ma niski poziom HCG – mówi pielęgniarka. Wpatruję się w ścianę otępiła, jestem cała odrętwiała. – Dwadzieścia sześć czterdzieści. Sprawdź jej wyniki badania moczu.

Kiwa głową lekarzowi i wychodzi z pokoju.

– Savannah, coś cię boli?

Odczuwam jeden wielki ból, więc wskazanie jakiegoś konkretnego, wydaje się niemożliwością.

Daniel dotyka mojej dłoni. Łzy spływają mu po twarzy, gdy pochyla się na wysokość moich oczu.

– Savannah? – szepcze.

Zamykam oczy i kiwam głową raz.

Czuję niechciany nacisk, gdy wprowadzają mi sondę, pomieszczenie wypełnia dziwny dźwięk, jakby stało się zbyt blisko kogoś, kto trzyma mikrofon. Po twarzy spływa mi łza, gdy widzę stojącego przede mną Cole'a. To trwa tylko sekundę – po chwili już go nie ma. Zaczynam szlochać. Chcę zwinąć się w kłębek, ale nie mogę. Muszę poczekać, aż sprawdzą, czy jedyna cząstka Cole'a, jaka mi została, wciąż we mnie żyje. Zamykam oczy. Za dużo tego wszystkiego.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego wieczoru

Savannah

Czuję, jak Sue ostrożnie wstaje z łóżka. Cicho stąpa przez pokój i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Zostawia mnie samą tylko wtedy, kiedy myślę, że śpię. Otwieram oczy i widzę, że na dworze wciąż jest ciemno. Doskwiera mi pulsujący ból głowy, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę być sama, ale też nie chcę przy mnie nikogo oprócz Cole'a. Keith na stałe zakwaterował się na kanapie w jego pokoju – stwierdził, że nie wyjdzie, dopóki ja tego nie zrobię.

Przewracam się na drugi bok, przytulam poduszkę Cole'a i wdycham jego zapach. Płaczę nie tylko dlatego, że straciłam jedyną kochaną ponad wszystko osobę, ale także dlatego, że nigdy nie będę trzymać w ramionach naszego dziecka. Moim jedynym pocieszeniem jest to, że Cole będzie mógł to zrobić. Nigdy nie wierzyłam w niebo ani piekło, ale teraz wyobrażam sobie, że są gdzieś tam szczęśliwi i czekają na mnie, aż do nich dołączę. Wyobrażam sobie Cole'a trzymającego nasze maleństwo. Wyobrażam sobie, jak mówi mu, jak bardzo go kocham, jak całuje jego miękkie, ciemnobrązowe włosy i patrzy w jego piękne, ciemne oczy – tak bardzo podobne do oczu jego ojca. Sięgam po misia w wojskowym ubranku i przyciskam go do piersi. Czuję się taka pusta, taka zagubiona. Wcześniej odczuwałam ból, ale to było nic w porównaniu z tym, co czuję teraz. Jak mam żyć dalej, kiedy wszystko w moim ciele mówi mi, że nie potrafię? To życie się dla mnie skończyło; muszę urządzić je na nowo.

Mój wzrok przykuwa coś, co jest przyklejone do tylnej części szafki nocnej Cole'a. Przesuwam się, udając, że naciągam na siebie koc. Kiedy dostrzegam, co to jest, czuję, że los wreszcie się do mnie uśmiechnął. Biorę głęboki wdech i zamykam oczy, po raz drugi w moim życiu obiecuję sobie w duchu, że zrobię wszystko, żeby wrócić do rodziny. Jest różnica między życiem a po prostu przetrwaniem, ale tutaj nie ma życia. Powoli odchylam się, żeby spojrzeć na Keitha. Śpi twardo. Sięgam po broń, wysuwam ją z kabury, moja ręka jest śliska od łez. Wciąż ściskając misia jedną ręką, drugą przykładam pistolet do skroni. Po raz pierwszy od dłuższego czasu w końcu czuję spokój.

*

Major Mark Lopez – 01:52 w nocy.

Mark siedzi przy biurku Cole'a, popijając jego brandy. W końcu udało mu się zdobyć DVD wysłane przez kartele. Musiał się bardzo natrudzić, aby przekonać Franka, żeby dał mu je przed jego wyjazdem nad ranem. Mark po prostu czuje, że coś przeoczyli – tylko nie wie co.

Wcisną „play” i ogląda nagranie, potem włącza od nowa i znowu ogląda, i tak w kółko, aż w końcu coś przykuwa jego uwagę. Cofa film i analizuje uważnie klatkę po klatce.

– Co? – szepcze Mark z niedowierzaniem, odstawiając brandy z takim impetem, aż rozchlapuje mu się na ręce. Przesuwa się bliżej ekranu i obserwuje uważnie ostatnią scenę, zanim Cole upada na podłogę. – Kurwa jego mać!

KONIEC

Nota autorska

Dziękuję za przeczytanie pierwszej części trylogii *Złamana*. Niniejsza historia przyśniła mi się pewnej nocy. Rano, po przebudzeniu, zaczęłam pisać tak szybko, jak tylko mogłam, w miarę jak historia ze mnie wypływała. Książkę ukończyłam w około dwa miesiące. Nigdy nie planowałam napisać trylogii, ale po skończeniu drugiej części, zdałam sobie sprawę, że wciąż potrzebuję w moim życiu Cole'a i Savannah. Ich historia rozwijała się i ewoluowała. Te dwie postacie zajmują bardzo szczególne miejsce w moim sercu. Podobnie jak w mojej pierwszej powieści, *Co czai się w ciemności*, i tutaj jest kilka scen, które zaczerpnęłam z własnego życia. Mam nadzieję, że zakochacie się w Cole'u i Savi, tak jak ja.

Gdybym miała taką możliwość, chętnie nakręciłabym serial telewizyjny na podstawie tej książki – jeden odcinek na tydzień, tylko po to, by jak najdłużej móc delectować się tą historią.

Nie zapominajcie, proszę, że ta historia to fikcja literacka oraz że w prawdziwym życiu rzeczy dzieją się znacznie wolniej, niż ma to miejsce w książce. Akcja historii toczy się szybko, bo w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

Podziękowania

Ogromne podziękowania dla kaprala George'a Myatta i oficer Darcy Wood.

O autorce

J. L. Drake urodziła się i wychowała w Nowej Szkocji w Kanadzie, później przeniosła się do południowej Kalifornii, gdzie obecnie mieszka z mężem i dwójką dzieci.

Kiedy nie pisze, uwielbia spędzać czas z rodziną, podróżować lub po prostu cieszyć się wieczorami spędzonymi w domu. Jedną z rzeczy, które da się zauważyć w jej książkach, jest zachwyty czterema porami roku. Dorastanie na wschodnim wybrzeżu Kanady sprawiło, że zmiana sezonów jest jej bardzo bliska i dlatego często wspomina o niej w swojej twórczości.

J.L. Drake jest zapaloną czytelniczką książek Jamesa Pattersona, często inspirowana jego pełnymi tajemnic i intryg historiami. Ma nadzieję, że lektura jej książek będzie dla Was równie przyjemna, co dla niej ich napisanie.

¹ Fragment książki „Chłopcy z ferajny” Nicholas Pileggi, wyd. Aramis, tł. Bernard Andrzejewski.

² *Chica apurate!* - Pośpiesz się dziewczyno! (z hisz.)

³ ¡*Apúrate!* - Pośpiesz się! (z hisz.)

⁴ ¡*Nombre* - Nazwa (z hisz.)

⁵ Apple fritter – (z ang) jabłko w cieście (przyp. tł.)